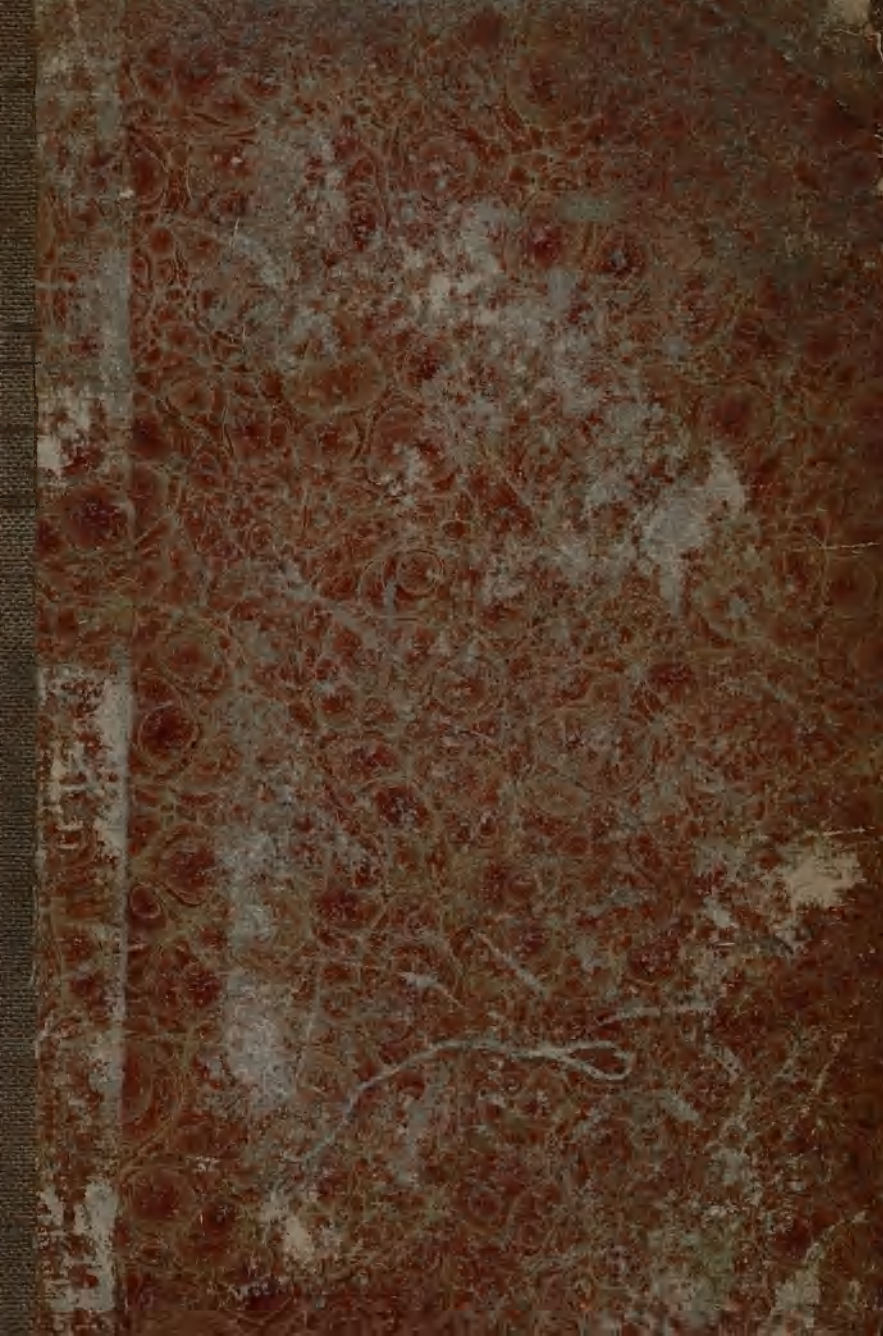
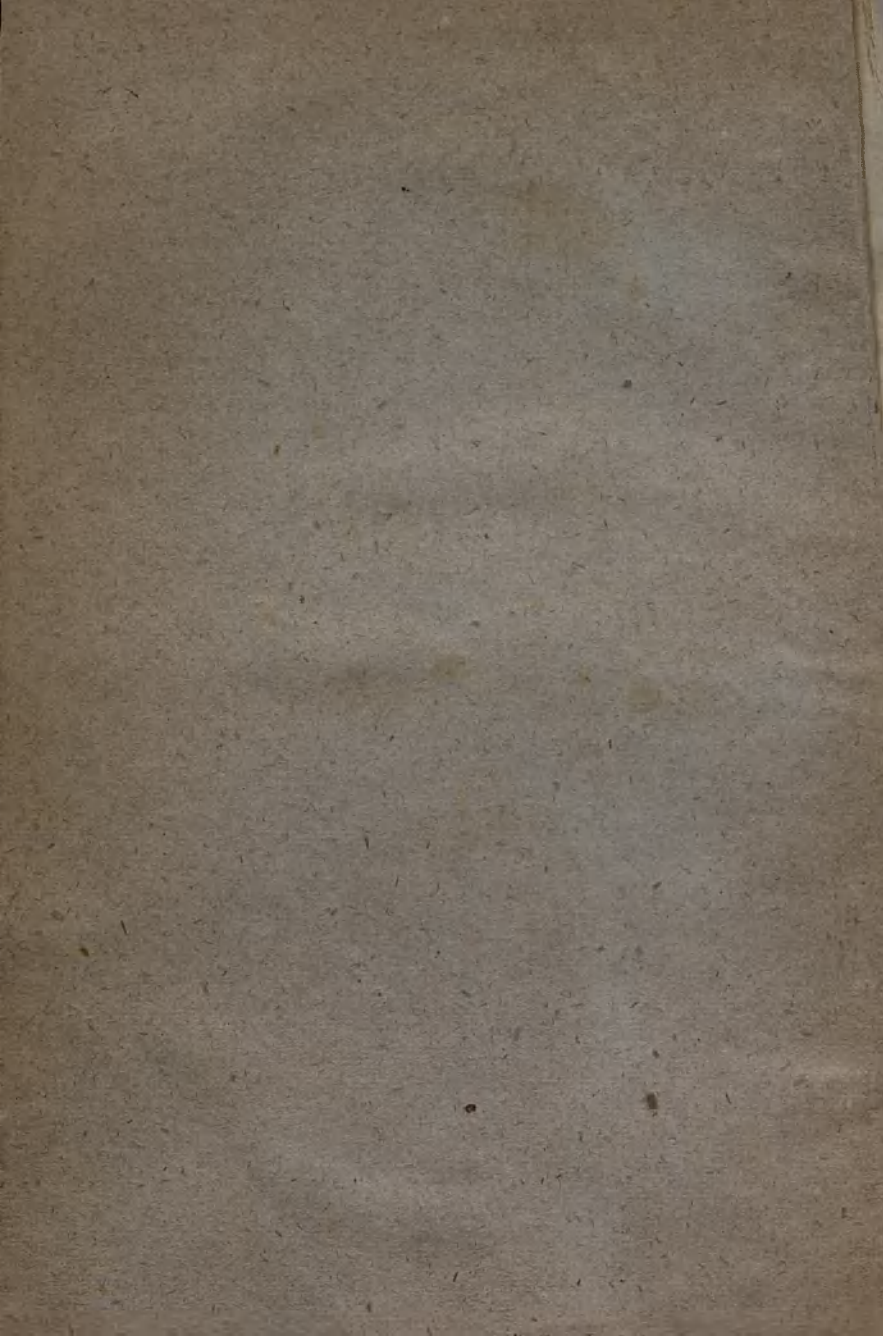




A 8423

3152

m. LP



3152

PIERWSI GALICJANIE

THE WEST GALLERY

3152

PIERWSI GALICJANIE

POWIEŚĆ Z PRZESZŁOŚCI

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO

B. 775.

ola biblioteki polskiej w Ławach

Józef Repsiechowski



L W Ó W,
NAKŁADEM KAROLA WILDA.
1867.

Br 5612
239801

WYDZIAŁ KSIĄŻKOWY I KARTOTECZKI

Z Drukarni E. Winiarza.

A 8423



51

W O W

WARSZAWA KAROL WÓJCIK

1867

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	<i>Stronica</i>
I. Dziad sokalski	1
II. Towarzyszka podróży	17
III. W stolicy	33
IV. Galicja w kolebce	55
V. Pan graf jaryczowski	70
VI. Pan Pratzel v. Pudelpilz w kłopotach	84
VII. Lwów	99
VIII. Człowiek, który sam siebie kupił	114
IX. Kto kogo oszuka?	133
X. Madej na nowem stanowisku	158
XI. Oktawa racławicka	174
XII. Komedjanci	198
XIII. Tysiąc butelek szampana!	215
XIV. Gry, wino i kobiety	231
XV. Szatan i anioł	252
XVI. Złowrogi gość	274
XVII. Shylockowe sprawy	295
XVIII. Kto kocha ojczyznę, niech idzie na Wołoszczyznę	313
XIX. Nad Dniestrem	328
XX. Dwie sceny	351
XXI. Zemsta lichwiarza	373
XXII. Reduta	389
XXIII. Monodram Żagwina	410
XXIV. Epilog	423

WAŻNIEJSZE MYŁKI DRUKU.

- Na stronie 71 wiersz 2 od góry zamiast: typem jakiego, czytaj:
typem jaki
- " " 121 wiersz 9 od dołu zamiast: i nadawała twarzy, czy-
taj: co nadawało jej
- " " 176 wiersz 6 od góry zamiast: raport, czytaj: respons.
- " " 192 wiersz 14 od dołu zamiast: mruknął, czytaj: ciągnął.
- 
-

WYKŁADY WYKŁADY



I.

Dziad sokalski.

Nadchodził właśnie czas, kiedy dla Polski zagasnąć miały ostatnie promienie wolności....

Wypadki naszej powieści odbywają się na tej części ziemi polskiej, która pozbawiona wolności już od całych dziesiątek lat, przebywała właśnie nowicjat swej zmienionej doli.

Jesteśmy w młodej jeszcze bardzo Galicji, w roku 1793.

Było to w jednym z małych miasteczek naszych, w Sokalu. W kościele OO. Bernardynów, słynnym w kraju całym z łask Bożej Rodzicielki, uwielbianej w cudownym swym obrazie, skończyła się właśnie suma. Dzień był świąteczny i odpustowy, więc mnóstwo ludzi wychodziło z przepelnionej świątyni, powiększając ruch odpustowego zgromadzenia przed kościołem.

Cisnęli się w progach kościoła i około rozstawionych z uboższymi kramów chłopkowie smutnego wejrzenia, którzy pospieszyli podzielić się z Bogiem czasem wolnym od atmańskich i ekonomskich nawoływań, przesuwała się bracia szlachta zagonowa i wioskowa gromadnie lub samopas, kręcili się w dobrej komitywie z handlującymi żydkami bużańscy flisacy.

Wśród zgietku ludzi, snujących się około przybytku opatrności Bożej, przechadzał się także organ opatrności światowej. Jakieś wysokie, chude i kościste indywiduum z miną urzędową na ogolonej twarzy, z harbajtlem na grzbiecie, w kłapiastym surducie z metalowymi guzami, w obłożonych sztylpach z ogromnemi ostrogami, z trzcina w rękę i w załuszczoneym trójgraniastym kapeluszu na głowie, chodziło szczudłemi nogami tędy i owędy, spozierając z poczuciem wyższości na nabożne tłumy. Za niem drab jakiś wysoki, z fizjonomją widocznie rodzimą, bo przypominającą ruskiego hajduka, w obcisłym i przykrótkim półfraku z grubego, wytartego sukna, w skórzanych wysokich kamaszach i z ogromnym bukiem w szerokiej łapie kroczył w nieodstępnej asystencji.

Po wrażeniu, jakie sprawiał widok tych dwóch ludzi, a zwłaszcza pierwszego, bo drugi widocznie bardzo podrzednego był stopnia, poznać było łatwo urzędowy ich charakter. Rozstępywali się z najpokorniejszem uszanowaniem chłopi, chyląc aż ku ziemi swe czapki i kapelusze, kłaniali uniżenie przebiegający żydkowie — jedna tylko szlachta zagonowa w szarych lub niebieskich żupanach, choć szabel swych pozbawiona, mniej huczna i mniej bundziuczna, mijała ich nieraz nieuchylając czapek, z rękoma za wełnianym pasem lub przy sumiastym wąsie. Na niejednej szlacheckiej twarzy odbił się wprawdzie na spotkanie jegomości z harbajtlem wyraz niepokoju lub przykrego uczucia jakiejś niepewności — daleko więcej jednak było takich, którzy mijali go z otwartą butą i indygnacją w oku.

Nieopodal od kościoła rozsiadł się na ziemi cały szereg dziadów, istnym wieńcem łachmanów i bród rozczochranych, istną kliniką nóg krzywych, rąk uschłych i innych najprzeróżniejszych kalectw, prawdziwym Babelem głosów ochrzypłych, podnoszonych imieniem wszystkich cnót chrześcijańskich, wszystkich świętości nabożnej wiary, tytułem całego orszaku świętych patronów i cudotworców. Ten na imię św. Antoniego, patrona zgub zaklina, ów do św. Mikołaja cudotworecy się odwołuje, inny dusze zmarłych przypomina, chcąc zagłuszyć czwartego, co wywodzi właśnie pieśń o cudownym obrazie sokalskim.

Niektórzy z nich z liram u boku, pokręcają na przygawkę korbami i stroją nieposłuszne gardła do lamentowego śpiewu, zapraszając chłopków do słuchania budujących pieśni o Łazarzu nędzarzu, o patronie Jantonim, o Jezusie Milatyńskim. Zbierają się gromadki chłopków, łaknących obroku duchowego i lir skrzypu, każdy dziad znajduje dawców i słuchaczy, ale tylko koło jednego z nich ciśnie się tłum znaczny i mnożący się coraz to nowymi przybyszami.

Tam bowiem siedzi dziad nie lada, znakomitość na parnasie poezji dziadowskiej, najgłośniejszy w okolicy, najskuteczniejszy pośrednik modłów w rozmaitych intencjach. Ma on lirę najdźwięczniejszą i głos jak na dziada najczystszy, i zapas pieśni nabożnych i z szerokiego świata najbogatszy.

Jest to stary Madej, dziad nad dziady, wszystkich odpustów uczestnik, wszystkich miejsc cudownych pielgrzym, wszystkich okolic włóczęga. I postacią swoją góruje on nad

dziady inne. Oto siedzi na pniaku, zdradzając nawet i w tej pozycji swój wzrost okazały. Długa, gęsto szpakowata broda spływa mu aż po pas prawie, ubrany w płótniankę brudną i obszarpaną, udrapowany malowniczo zgrzebną płachtą, z dwoma bezdennemi torbami na krzyż, torbami, których ofiarki dziesięciu odpustów i jałmużna dziesięciu gromad nie zdołałyby wypełnić, z całym zbiorem medalików, szkaplerzy i różańców na obnażonej z efektem, obrośłej, silnie sklepionej piersi, z lirą wiszniowej barwy i sekatym kosturem u stóp bosych.

Stary Madej, jak zawsze ma najliczniejszą i najdoborowszą publiczność, tak i teraz najgestszym gronem słuchaczy otoczony. Na samym przedzie stoi jakiś stary szlachcie chodackowy z ogromnym siwym wąsem i potężną szramą przez policzek prawy, ongi może najgłośniejszy rębacz sejmikowy lub konfederat barski, dziś poniewoli spokojny poddany rzymskiego imperium, koło niego całe grono braci szlachty z jednego zaścianku, tuż przy nich dwoje szlachetek z waszecia w wyszarzanych sajecikowych żupanach, dalej kilku małomieszczan w baranich czapkach na zawiasy, w ciemnych fałdzistych kapotach, ówdzie znowu hajduk dworski w opiętych czekczerach.

To wybór sam słuchaczy — a po za tą śmietanką odpustowej publiki dopieroż zgromadził się cały orszak wieśniaków, patrzących na dziada Madeja ciekawym wzrokiem i z rozwartemi ustami. Każdy prawie z słuchaczy przygotował ogromny miedziak austriacki, bo Madej kończy już właśnie jakąś przejmującą pieśń o marności świata.

Skończył Madej pieśń nabożną, posypały się grosze i już wielu rozejść się chciało, kiedy Madej powiódłszy okiem po liczne zgromadzeniu, zawołał głośno i dziadowskim akcentem:

— Daj wam Boże wieczne panowanie za jałmużnę! Jaśnie wielmożni państwo — dodał zwracając się do szlachty zagonowej — moi złoci dobrodzieje i wy chrześcijanie dobrzy, posłuchajcie jeszcze jednej pieśni, jakiej nie słyszeliście nigdy! Warta ona drugiego dudka dla biednego dziada!

Kiedy tych słów domawiał, przecisnął się w sam środek słuchaczy jakiś młodzian dorodny, podróżno i skromnie ale z pańska ubrany, w krótkim niebieskim żupanie, w karmazynowym kołpaczku z kordonem i szklaną kitką, przy srebrnych ostrogach i, co od razu obudziło respekt u chłopów a braterską grzeczność u waszeczów, z szablą w blachmalowej pochwie na bandolecie.

Rozstąpiło się grono młodzianowi, zrobiono mu miejsce na samym przedzie. On zapewne innej przyczyny zgiełku się spodziewał, bo z uśmiechem rozczarowanej ciekawości spojrzał na dziada, i chciał się już wycofać z natłoku, kiedy Madej kłaniając swą długą brodą zaapostrofował go *ad personam*:

— Jasny paniczu — wołał — i wy miłosierni chrześcijanie! Zaśpiewałbym pieśń nigdy jeszcze może nie słyszaną, ale...

— To zaśpiewaj — odezwał się młody człowiek przy szabli.

Dziad Madej oglądał się ostrożnie po tłumie, potem podniósł się z siedzenia, stanął na pniaku i rzucił bystro okiem dokoła po nad głowy swoich słuchaczy...

Ruch ten jeszcze bardziej rozciekawiał słuchaczy, a szlachcic z siwym wąsem i szramą na twarzy odezwał się:

— A czegoż się gawronisz? Jeśli co dobrego to posłuchamy...

Madej raz jeszcze rzucił okiem dokoła a potem dodał:

— Bo to miłosierny dobrodzieju, aby napaści na biednego nie było...

— Jakiejże to napaści się boisz? — zapytał z uśmiechem nieznajomy młodzian.

— Czy też przypadkiem po bliskości nie ma tego... — zapytał dziad z obawą.

— Kogo?! — zapytał zniecierpliwiony już szlachetka ze szramą.

— A Miemca, miłosierny dobrodzieju — szepnął dziad półgłosem — bo Miemcy się o to sierdzą okrutnie...

— Nie ma, nie ma! — uspakajał nieznajomy z lekką chmurą na czole.

— A choćby, Mospanie tedy! — warknął szlachcic ze szramą i pokręcając marsowo wąsa trzepnął się lewą ręką po boku, jakby po szabli, której tam już oddawna nie było.

Dziad usiadł napowrót na pniaku, wziął lirę na kolana, i nastroił twarz do uroczystej miny... Potem chrząknął, i uczynił wstęp na lirze zwykłą, przeciągłą przygrawką. Był to prolog bez słów, który tem bardziej rozciekawiał słuchaczy i nastroił do uwagi.

Przebrzmiała krótka, żałosna i zawodząca przygawka,
a dziad odtąd już akompaniując tylko lirą śpiewał:

Śladem bieda przyszła, śladem,
Za zbytkami, za nieładem,
Za zbytkami, za nieładem...

Długo nad granicą stała,
Wolności się dotknąć bała,
Wolności się dotknąć bała.

Wolności się dotknąć bała,
Bo ją dawno szanowała...

Wolności! niebieskie dziecko!
Ułowiono cię zdradziecko!
W klatkę cię mocną zamknięto,
Bujnych skrzydełek przycięto!

Przedtem u jednego stołu
Król z poddanym jadł pospołu.

Jak ojciec dzieci przyjmował,
Jak swych przyjaciół częstował.

Dziś mu u stołu klękają,
Kości z psietami zbierają.

Głowę kiedyś w kraju drogą
Służki pańskie trącą nogą.

Pochlebcy go otaczają,
Palcem biednego stykają,
Palcem biednego stykają.

Ot, mówią, kość polizuje,
Dawnej wolności żałuje,
Dawnej wolności żałuje!...

Skończył Madej pieśń swoją.

Wydobył jeszcze na zakończenie kilka nut żałośnych z swej liry i spojrzał z wyrazem tryumfującego zadowolenia po swych słuchaczach.

Pieśń ta nowa i niezwykła jak na odpustowego dziada, sprawiła na gronie słuchających wielkie wrażenie. Spiewał ją nadto Madej uroczysiej i lepiej, niżli zwykłe pieśni dzia-dowskie. Wprawdzie nuta była zwykła, przewlekła i lamen-tująca, ale tym razem jakby pod urokiem słów nabierała wyrazu i uczucia rzewności.

Stokroć jednak głębiej niż spiew i lament liry, przejęła słuchaczy treść sama. Nastąpiło milczenie w gromadzie sto-jących i nikt nie ruszył z miejsca. Każdy prawie z tych, którzy rozumieli słowa pieśni, zdawał się dosłuchiwać jeszcze jej echa, brzmiącego w sercu...

Pierwszy szlachcic z siwym wąsem i szramą przez prawy policzek dał znak głośny wrażenia. Wybuchł nagle głośnym płaczem, a po zbruzdżonem licu i po zamaszystym wąsie spłynęły mu łzy serdeczne... Wspomnienia dawnej złotej wolności, której nieraz musiał być czynnym i głośnym uczestnikiem, schwyliły potężnie za serca dawnego rębajły czy konfederata...

Patrząc z współczuciem na szlochającego pana ojca, i brata stali nieruchomo rozrzewnieni zaściankowcy... Zadumał się smutno szlachetka w sajecikowym żupanie i potrzasał głową

i swą czapą wysoką stojący obok niego małomieszczanin... Nieznajomy młodzian zarumienił się mocno, twarz dorodną pochylił ku ziemi, a ręką ścisnął swą szablę...

Jedni tylko chłopci wątpliwe odnieśli wrażenie z dziadowskiej pieśni. Bezmyślnem okiem spoglądali to na dziada, to na szlachtę, to wręście po sobie. Słuchali oni z wielką ciekawością pieśni i teraz jeszcze ciekawe szepty szemrzą w ich gronie, ale nie rozumieli myśli, bo w sercach ich niestety, przeszłość nie napięła żadnej struny, któraby zadrzeć i odezwać się mogła na taką skargę...

Podczas gdy wszyscy tak zajęci byli po swojemu wrażeniem pieśni Madejowej, gotowała się scena, którą snąć przewidywał był Madej z obawą, kiedy przed rozpoczęciem spiewu tak ostrożnie rozglądał się do koła.

Nikt podczas samego spiewu nie uważał, że zaledwie dziad rozpoczął pieśń tak niezwykłą, owo indywiduum w kląpiastym surducie i z harbajtlem na grzbiecie stało w nieodłącznej asystencji swego towarzysza tuż za plecyma Madeja. Jegomość z harbajtlem był to urzędnik z krajsamtu, a jego towarzysz rodzajem wykonawczego organu.

Urzędnik rozumiał dobrze po polsku a może nawet był Polakiem. W owym czasie trochę miejsc podrzędnych urzędowych na prowincji znajdowało się już w ręku krajowców. Zresztą miał rząd nawet na samym wstępie swego panowania w Galicji gotowych urzędników niższej rangi w wysłużonych podoficerach ułanów Szybilskiego.

Jenerał Szybilski, syn kmiecy, niegdyś koniuszy u księcia wojewody Lubomirskiego, wstąpił był jeszcze za czasów

siedmioletniej wojny do austriackich szeregów, a dosłużywszy się tu stopnia pułkownika, zorganizował w armji pułk ułanów. Byli to pierwsi ułani w armji austriackiej. Werbowany za pozwoleniem Rzeczypospolitej, składał się pułk ten z samych prawie Polaków, którzy zasłynęli w wojnach z pruskim Frycem.

Z podoficerów tego pułku miał rząd austriacki pierwszych urzędników, świadomych języka polskiego. I nasz jegomość z harbajtlem zakrawał miną i wojskowem trzymaniem się na Szybilczyka. Stał on podczas śpiewu obok dziada, ścisnąc laskę w chudej żylastej pięści.

Gdy dziad skończył, on postąpił naprzód, wyprężył się jeszcze wyżej i zawołał głośno:

— *Was ist das?! Co ty śmiesz śpiewać dziadowski łotrze!*

I podniosłszy laskę spuścił ją z zamachem na lirę Madeja. Lira pękła z żałosnym tonem, a Madej porwał się jak oparzony na równe nogi...

Jegomość z harbajtlem chwycił dziada silnie za ramię.

— Już cię drugi raz chwytam na uczynku, łotrze! — zawołał — ale teraz już cię nie puszcze.

Na skinienie zbliżyła się i asystencja w skórzanych kamaszach, potrząsając sękatym bukiem.

Jakby wymiótł wynieśli się chłopci, uciekając przerażeni na wszystkie strony.

— Bierz go! — zawołał jegomość z harbajtlem.

I palnął dziada laską po plecach, jakby mu chciał dać przedsmak tego, co go czeka później. Sążnista figura w ka-

maszach splunęła w garść dla animuszu i chwyciła obu rącz Madeja.

— Miłosierny dobrodzieju!.. — ozwał się błagalnym głosem dziad Madej.

Ale potracony silnie przez urzędowego sługusa potoczył się naprzód w nieprzyjemną drogę.

— Hola Mospanie! — dał się nagle słyszeć głos doniosły.

Młodzian nieznajomy w karmazynowym kołpaczku stanął tuż przed Madejem.

— Hola Mospanie tedy! — huknął stary szlachcie ze szramą i przybył także z sukursem.

— Puście go! — zawołał nieznajomy.

— Puścić Mospanie, bo!.. — zawtórzył groźnym głosem stary szlachcie.

Rozgniewała srodze ta interwencja jegomości z harbajtlem, poczerwieniał ze złości i zawinął groźnie laską.

— Fora *schelm!* — krzyknął na obrońców dziada.

I pomagając sługusowi uchwycił się Madeja jedną ręką, a drugą odtrącił silnie nieznajomego młodzieńca.

Nieznajomemu krew nabiegła do twarzy, pechnął silnie atakującego i obalił go na ziemię. Równocześnie potoczył się na ziemię sążnisty sługus pod rękami jarego szlachcica.

Jegomość z harbajtlem porwał się szybko z ziemi, zgrzytnął zębami i śmiało natarł laską na młodego człowieka. Niebawem i straż jego stanawszy na nogach pospieszyła mu w sukurs z sękatą pałką.

Młody nieznajomy dobył szabli, a stary szlachcic chwycił za leżący na ziemi kostur Madeja. Posypały się gęste płazy i razy na atakujących. Jegomość z harbajtlem i jego straż musieli się salwować cofaniem.

— Zwołaj chłopów, niech łapią wszystkich trzech opryszków! — zawołał pierwszy do swego adjutanta — ja przeprowadzę dragonów!

I puścił się biegiem ku miastu.

— Uciekajmy! miłośni dobrodzieje! — zawołał dziad pierwszy.

— W mieście stoją Wallony! — ostrzegł szlachetka w sajetowym żupanie zbliżając się do nieznajomego.

Nieznajomy schował z wolna szablę do pochwy i rzekł do Madeja.

— Nie bój się dziadu! nie damy się! Chodźmy!

I z dziadem i starym szlachcicem oddalił się spokojnym i wolnym krokiem z miejsca awanturniczej sceny. Chłopi, choć zganiani do kupy przez policjanta w kamaszach, rozstąpili się przechodzącym i uchylili pokornie kapeluszy przed karmazynowym kołpaczkiem.

Po drodze pożegnał się stary szlachcic z nieznajomym młodzianem i skreślił w boczną uliczkę spiesznym krokiem, salwując się przed zemstą jegomości z harbajtlem i urażonej w osobie jego władzy. Nieznajomy tymczasem szedł naprzód i niebawem stanął przed lichym żydowskim zajazdem. Dziad Madej szedł w ślad za nim, trzymając troskliwie pękniętą lirę w rękach i oglądając się z obawą po za siebie.

Przed bramą zajazdu czekał wyrostek z dwoma końmi i stała uprzężona, wyładowana teliga.

— Gotówes Wasylku? — zapytał młodzieniec.

— Gotów jasny panie!

— Więc ruszamy! — odparł nieznajomy.

I uchwyciwszy uzdę wspiał się w strzemię.

Madej patrzył rozpaczliwie na przygotowania do odjazdu.

— Jasny paniczu! Miłosierny dobrodzieju! — począł lamentować — a cóż się ze mną stanie?

Młodzian, który podobno już był zapomniiał o swym towarzyszu, popatrzył nań z uśmiechem...

— Cóż ja pocnę nędzarz nieszczęśliwy — desperował Madej — złapią mnie dragony, ćwiczyc mnie będą, do kałauzu zamkną!

To ostatnie zwłaszcza, odjęcie swobody osobistej, musiało być najstraszniejszym dla starego włóczęgi.

Nieznajomy uśmiechnął się powtórnie z szczerą żartobliwością, i jakby folgując jakiemuś nagłemu conceptowi, rzekł:

— Jedź ze mną!

Dziad uradowany poskoczył z miejsca, jakby chciał dośiąść luznego konia.

— Siadaj na teligę!

Nie mówić tego dwa razy Madejowi. Gdzie? którądy? to były nieznane dlań pytania. Za chwilę siedział już obok woźnicy na wypakowanej telidze.

Tymczasem siedział już w siodle młodzian, zażył dzielnego konia, poprawił kołpaczka, brzęknął szablą i ruszył

z miejsca. Za nim na koniu wyrostek z luźnym wierzchowcem na troku, a w tyle teliga, ciągniona przez dwa silne i ręce konie.

Kłusem minęli miasto. Dzień był pogodny, a choć jesień miała się ku schyłkowi, słońce nie tylko grzało, ale piekło nawet. Gdy wyjechali na drogę w czyste pole, młodzian powstrzymał konia i zrównał się z teligą.

— Jakże ty się nazywasz? — zapytał nieznajomy dziada.

— Madej, jasny paniczu!

— A zkądżeś ty Madeju, czy z bajki?...

— A tak jakby z bajki, jasny paniczu — odpowiedział Madej powstając na telidze i wyciągając się ku jeźdźcowi — bo z niskąd! Gdzie to dziada pytać zkąd on? Z szerokiego świata, z dróg krzyżowych, z pod figur świętych, z kruchty, z kościelnego progu! Zkąd dziad? ztamtąd, gdzie psy nie dobre, a dokąd? tam gdzie chata miłosierna, albo ludzie na odpuscie...

Uśmiechnął się na tę legitymację jowialnie młody jeździec, a po chwili zapytał:

— A kto ciebie Madeju tej pieśni nauczył? Czyś ją sam może ułożył?

— A gdzieżby tam, jasny paniczu — odparł Madej — gdzie głupiemu dziadowi stać na pieśń taką! Kuda kuchtci do patyny, jak mówią nasi ludzie. Wyuczył mnie jej jeden pan dobry i bardzo mądry, co takie pieśni w mig układa, tak prosto z głowy, i nabożne i światowe...

— A któż to taki?

— Pan Karpiński, jasny paniczu.

— A! pewnie pan Franciszek Karpiński! — poderwał z zajęciem młodzian.

— To, to, jasny panie, pan Franciszek Karpiński, niech mu Bóg da wiek długi i szczęśliwe panowanie!

— Błogosławisz mu, że cię nauczył wabić Niemców na swoją własną skórę... — zaśmiał się młody jeździec.

— A! co tam panie! pieśń pieśnią a Niemcy Niemcami, a panu Karpińskiemu takij niech Bóg da wiek długi i szczęśliwe panowanie. Nabawił ja się tą pieśnią już nieraz biedy na różnych odpustach, ale zawsze człowiek wypłynął za łaską Bożą i miłosiernych dobrodziei!

— A gdzieżeś ty się zeszedł z panem Karpińskim?

— Dziad wszędy łązi, to nieraz i dobrze trafi, jasny panie! Od odpustu do odpustu, to i cały świat chrześcijański przejść by można, gdyby nogi statkowały. Był ja też pod Brzeżanami, ta zaszedłem i do Dobrowód, tam ten pan Karpiński siedział. Zaczął ja grać przed progiem, pan Karpiński wyszedł, posłuchał i powiada: „Co ty dziadu śpiewać umiesz — poczekaj, ja cię nauczę ładnej pieśni!“. I zatrzymał mnie w domu przez trzy dni, i jak zaczął słowo po słowie podgadywać i uczyć, tak dziad się wyuczył całkowitej pieśni. Byłem potem i drugi raz u pana Karpińskiego, ale go już nie było w Dobrowodach, wyjechał do Warszawy, do króla polskiego.

Kiedy tak Madej rozmawiał z swym wybawicielem, usłyszano z dala głuchy tentent koni. Młody jeździec zwrócił konia, spojrział bystro po za siebie i zawołał:

— Ścigają nas!

Istotnie na rekwizycję owego urzędnika z krajsamtu wyruszył z miasta kwaterujący tamże oddział jazdy z pułku wallońskiego. Zawahał się nieznajomy, szalona buta młodzieńca rada by stawić czoło ścigającym, ale rozsądek prze-mógł. Dziad już wcześniej wyrwał bicz woźnicy i zaciął konie u teligi, która szalonym pędem potoczyła się naprzód. Młody jeździec dał także koniu ostrogów i ruszył wraz z wyrostkiem z kopyta. Dzielne konie lotem piorunu pomykały się po nierównej drodze... W dobrej odległości z tyłu darły się naprzód na swych ciężkich koniach Wal-lony...

II.

Towarzyszka podróży.

Nie długo ścigał oddział Wallonów naszych podróżnych. Znaczna odległość, o którą go wyprzedzili uciekający, trudność dogonienia dzielnych koni młodego nieznajomego, zresztą mało ważna w gruncie przyczyna pogoni, to wszystko zniechęciło dowódcę oddziału, tak że zaniechał dalszych wyścigów i wrócił z żołnierzami do Sokala.

Tymczasem nasi podróżni, uszedłszy następstwem jednej przygody, spotkali się niebawem z drugą. Pędząc naprzód z szaloną szybkością nie uważali nasi podróżni, że nieopodal przed nimi toczyła się powoli wielka i ciężka landara. Pochylony nieco na siodle młody jeździec, któremu karetą ta wyrosła przed oczyma jakby z pod ziemi, minął ją szybko, ale teliga pędząca nieco w tyle, wymijając w szybkim ruchu karetę, zaczęła kołami swemi o koła powozu. Nastąpiło mocne wstrząśnienie, oba wozy wyrzucone z swej kolei powstrzymały się na drodze.

Z karety odezwał się przerażony głos kobiecy.

Młody jeździec powstrzymał konia i zmieszał się niepo-
mału, ujrawszy w powozie młodą damę, przestraszoną bar-
dzo tym wypadkiem. Jednym prawie skokiem swego konia

stanął u obu wozów i chciał już wybuchnąć gniewem na nieuważnego woźnicę, gdy naraz usłyszał dzwieczny głosik:

— A to mi grzecznie, panie kawalerze, twoi ludzie nabawili mnie przestachu a mój powóz pewnie połamany...

Młody jeździec zarumienił się cały, a zmierzony zadąsanym wzrokiem podróżnej zaledwie wyjąknął:

— Istotnie, pani... raczy darować... niezmiernie przykro mi...

I uchyłając kołpaczka nisko z głębokiem pomieszanem skłonił się z konia damie.

Potem zeskoczywszy szybko z siodła, skłonił się powtórnie i z wzrokiem pełnym gniewu i zakłopotania zarówno rzucił się ku swoim sługom, aby wraz z nimi oglądnąć skutki niemiłego wypadku.

— Nie trudź się Waćpan, proszę — odezwał się tenże sam dzwieczny głosik i mała zgrabna rączka gestem uspakajającym wysunęła się z powozu.

Na szczęście powozowi damy nic się nie stało. Konie szarpnąwszy silnie zahaczoną teligę urwały postronki, a tym sposobem osie obu wozów nie poniosły szwanku. Młodzian ochłonąwszy nieco z pomieszanego zbliżył się do powozu i rzekł:

— Mogę przynajmniej zapewnić, że powóz pani nie uszkodzony, i że cała ta przykra przygoda tylko chwilowo zaniepokoiła panią, za co powtórnie błagam o przebaczenie...

Dama uśmiechnęła się z lekka, absolvując młodziana łaskawszem już spojrzeniem. Oboje spojrzeli w milczeniu na siebie. Nieznajomy poprzestał w obserwacji na krótkim tylko i nieśmiałym spojrzeniu i, maskując nowe pomieszanie, począł

się uważnie przypatrywać sługom dźwigającym teligę — podróżna dama tymczasem ciekawie i z zajęciem przypatrywała się dorodnemu młodzianowi.

I my skorzystamy z chwili tego milczenia i zapoznamy bliżej czytelnika z obiema postaciami.

Już po samym ekwipażu poznać było można, że właścicielka jego należeć musi do stanu dam bardzo modnego i magnackiego tonu. Była to na pół podróżna ale z wielkim zbytkiem przyozdobiona angielska bastarda, wybita wewnątrz bogatą materją. Cztery piękne konie lśniły w pysznej swej uprzęży i powiewały wysokimi kitami a powoził foryś w stroju pocztyljona, w pąsowym żylecie i palonych butach. Koło niego siedział wyrostek zgrabny, rodzaj pazia, ubrany ciemno, z hiszpańska, w czapeczce z strusiem piórami.

Sama pani była także w stroju najwytworniejszym ówczesnych elegantek warszawskich. Poznałeś to od razu po pysznej robie jedwabnej, po przednich koronkach na mienelach i w wycięciu gorsu, po starannej i modnej fryzurze w pudrowane pukle *à la Sévigné*, i po jesiennym drogim płaszczyku, którym się z lekka osłaniała. Była to dama nie najpierwszej młodości ale niezawodnie najpierwszej urody. Mogła mieć lat górz trzydzieści, ale wdzięki jej zdawały się być właśnie na zenicie swego rozkwitu i blasku. Twarzyczka w prześliczny owal utoczona, nosek nie klasyczny wprawdzie ale wdzięcznie i filuternie skrojony, usta różane, śmiejące, jakby tylko do rozkoszy słów i pocałunków prze-

znaczone. Czarne, gorejące ogniem życia oczy odbijały czarownie od białej, z lekka różem ukraśnionej twarzy.

Nieznamomy młodzian był w swoim rodzaju typem naturalnej, polskiej urody. Twarz jego nie miała pretensji do tej wytworności rysów, do tej romansowej błości cery, do tego całego wyrazu donżuańskiej kwalifikacji, w którym się lubują salonowi estetycy, za którym przepadają salonowe serca. Była to niezawodnie piękność prawdziwie męzka, ale piękność zdrowa, czerstwa i naturalna. Twarz jego o szlachetnych ale bezpretensjonalnych rysach, rumiana i świeża, miała pełność pierwszej młodości, ale uderzała zarazem silnym, męzkim wyrazem, okraszał ją młody, podkrecony czarny wąsik a ożywiał wzrok jasny, swobodny, sokoli.

Pierwszy jego widok, kiedy jeszcze na koniu rzucił się ku powozowi w śmiałym skoku, sprawił na przejezdnej damie widoczne i bardzo korzystne wrażenie. Piękny bo też był w młodzieńczej energii i sile swej jędrnej a smukłej postaci, na dzielnym koniu białym, w swobodnej, rycerskiej postawie śmiałego jeźdźcy, taki hoży i dorodny, taki malowniczy w swym niebieskim żupaniku, przepasanym zamiast pasa taśmą srebrzystą, w swym z junacka osadzonym na głowie kołpaczku, z kitą białą i przy tej szabli, która tak wdzięcznie uzupełniała dzielny wyraz całej jego postaci!...

Kiedy zeskoczył z bieguna i stanął u powozu damy, uderzyła zaraz pewna ciekawa odmienność, powiedziałbym kontrast nawet między obiema postaciami.

Ona, piękność skończona, w wieku, po którym dalsze lata już nie przybytkiem ale ubytkiem wdzięków się zna-

czą, rzucona z swobodnym wdziękiem w powozie, więcej w nim leżąc niż siedząc, z tą wyciągniętą naprzód małą nóżką w paryzkim trzewiczku, z tą zwróconą i nachyloną ku niemu twarzyczką, dojrzałą już w swej piękności, z tą całą samowiedzą i pewnością swych wdzięków i ich przewagi, z tym całym wyrazem pewnej rozkosznej kokieteryj w całej postaci — patrzyła na nieznanego młodziana okiem ciekawem i figlarnem. On z tą naiwną prostotą, z chłopięcą niemal nieśmiałością, z rumieńcem pomieszania na dorodnem licu, to spuszczone w kłopotcie ku piersi, to gdzieś na boku szukającym zajęcia wzrokiem zdradzał widocznie, że śmieiej mu na siodle, niż przy stopniach modnego powozu, że łacniej mu patrzeć w otwór nabitej lufy niż w ciekawy i figlarny blask pięknych oczu kobiety...

Tymczasem służba uprzątnęła się do reszty z robotą.

— Przeszkoda usunięta! — ozwał się młodzieniec, zwracając się do damy.

— Dziękuję — skłoniła się z czarującym uśmiechem nieznanemu. Ale nie mógłbyś mi powiedzieć, panie kawalerze — dodała — czemu w tak szalonym pospicchu pędziliście po drodze?...

Młodzieniec zarumienił się jeszcze bardziej.

— Wstyd mi wyznać... ale...

— Co? uciekałeś Waćpan?

— Tak jest — odparł młody człowiek — mógłbym powiedzieć, pierwszy raz w życiu, i słusznie też zostałem ukarany...

— Więc uciekałeś Waćpan istotnie? A to dla czego? przed kim, z kim? — pytała dalej podróżna dama z żartobliwym uśmiechem.

Młodzian chciał w pomieszczeniu swem dać od razu krótką odpowiedź i mimowoli prawie zrobił ruch wskazujący dziada.

Dama spojrzała z zdziwieniem na Madeja, który siedząc na telidze skłonił z żebraczą pokorą obnażoną głowę.

— Jakto z tym dziadem?... fi! kawalerze, żartujesz? Słyszałam, że młodzi panicze jak Waćpan uciekali z młodem i pannami, ale z dziadem!... Cha, cha, cha!... cóż to za awantura?...

I zaśmiała się szczerze swym srebrnym głosikiem.

— Istotnie, że awantura... — bąknął młody człowiek, kręcąc bandoletem od szabli.

— A! śmieszna być musi, wyobrażam sobie... Ale wiesz Waćpan co, opowiedz mi ją... Nudzę się śmiertelnie, wlokąc się tą niemiłosierną drogą...

I mierzając młodego człowieka wzrokiem pełnym pustoty zapytała:

— Dokądże to, panie kawalerze?

— Do Lwowa.

— Wybornie! Mamy więc, ile mi się zdaje, godzinę jeszcze wspólnej drogi... Przyjm pan miejsce w powozie, bardzo proszę...

I małą swą rączką zrobiła ruch zapraszający.

Na takie obcesowe zaproszenie pięknej damy zmieszał się nasz młodzian jeszcze bardziej i skłonił się w milczeniu. Podróżna usunęła się w przeciwną stronę powozu.

— Dziękuję za tak niezasłużoną łaskę — odezwał się wreszcie młody jeździec — ale pozwól pani, abym się przedstawił... Jestem Tadeusz Warski, oficer kawalerji z brygady JW. generał-majora Kościuszki...

Nieznajoma dama przybrała minę, jakby chciała wygłosić wzajemnie swoje nazwisko, lecz nagle jakby się w myśli poprawiając, skłoniła lekko główką, uśmiechnęła się uprzejmie i rzekła:

— Miło mi bardzo... A więc siadaj, panie oficerze!...

Tadeusz, bo tak już odtąd zwać możemy naszego młodego podróżnego, odpasał szablę i podał ją swemu wyrostkowi, rzucił na swój strój spojrzenie i z dość kłopotliwą miną wszedł do powozu.

Konie ruszyły dalej, i cała połączona kalwakada posunęła się rażno po drodze.

— No, opowiadajże, panie oficerze, co to była za awantura, której zawdzięczam towarzysza podróży?

Tadeusz opowiedział. Wystawiony ciągle na krzyżowy ogień oczu swej towarzyszki, zmięszany całą przygodą i jej niespodziewanem zakończeniem, Tadeusz opowiadał w urywanych słowach i bez związku. Nieznajoma śmiała się i słuchała z uwagą, widać jednak było że zajęcie jej miało za przedmiot nie opowiadanie ale opowiadającego.

— Ach ja wam męzczyznom zazdroszczę — ozwała się po skończeniu opowieści — gdzieś tak mimochodem znajdziecie sobie rozrywkę, bodaj w jakiej awanturze szlacheckiej... Ale ja biedna kobieta, jakże ja się tu znudziłam u was w tej Galicji...

— Więc pani gościem tu tylko?... — zapytał Tadeusz.

— Tak, i bardzo znudzonym gościem... Widzisz panie oficerze, ja jestem *sujet mixte*, poddanka króla Jegomości i cesarza austriackiego zarazem... Przybyłam z Warszawy w interesach...

— I ja nie dawno wróciłem z Warszawy. Przejeżdżałem tamtędy wracając z kampanji...

— A to pan także jeden z naszych bohaterów... Zape-
wne walczyłeś panie oficerze pod Dubienką... Ach ta wojna!
ta wojna! Ileż to razy przeklinałam ją z serca... W War-
szawie nudzić się musiałyśmy z powodu tej wojny. Księżę
Józef wyjechał do obozu, pod Blachą cicho było jak w kla-
sztorze, król smutny i zamyślony, młodzież cała się wyniosła.
Lubię rycerzy, ale wojny nienawidzę! Nudziłam się przy
końcu w Warszawie, ale tu, naprawdę, już na desperację
mi się zbiera! Cóż robić, trzeba się ułatwić z sprawami!
Ach nudna ta wasza Galicja, nudna!

— Jakkolwiek urodziłem się w tej prowincji, mało ją
znam, więc bronić jej nie mogę...

— Ach, nie broń Waćpan, nie broń! nie obronisz! W ca-
łej okolicy i w całym Lwowie nie znalazłam ani towarzy-
stwa, ani towarzyszeki nawet do ludzi podobnej. Proszę Wać-
pana, tu podobno nie macie nawet kobiet, coby stały na
równi z dzisiejszym czasem...

— Śmiałym oponować — ozwał się Tadeusz, który po-
woli nabierał kontenansu — słyszałem o wielu damach,
które są ozdobą wyższego towarzystwa tej nieszczęśliwej
prowincji.

— Na przykład...

— Pani Szeptycka, kasztelanowa przemyska...

— A! ta tak zwana *Sévigne* galicyjska! — machnęła niedbale rączką piękną nieznajoma.

— Bawi tu także pani wojewodzina Jabłonowska...

— Słyszałam, słyszałam, umie podobno po łacinie i po grecku i z Jezuitami dysputuje.... Cha... cha...

— A pani Lubomirska, która jest obecnie we Lwowie, niegdyś przedmiot podziwienia samego Marmontela...

Warszawska elegantka znowu machnęła swą drobną rączką.

— Bawi we Lwowie pani Kossakowska, kasztelanowa kamińska...

— A dajże Waćpan pokój, to impertynentka nieznosna! A mieliśmy jej dość w Warszawie! Kobieta prosta i bez tonu...

Ubodło trochę Tadeusza to lekceważenie dla zacnej pani, którą wszyscy czcili jako gorliwą Polkę, i chciał się odezwać z słowem obrony, kiedy towarzyszka jego poczęła trzepać dalej:

— Ach jakże tęsknię do naszych kółek warszawskich, do balików, wieczorków! Pisano mi właśnie ze Lwowa, że poczynają się tam zjeżdżać pod zimę goście z całej prawie Polski, być więc może, że musząc koniecznie zostać w Galicji, powetuję sobie dawne nudy... Zapewne się spotkamy we Lwowie, panie Tadeuszu?

— Wątpię.

— Cóż to, papa nie pozwoli? — zaśmiała się sarkastycznie podróżna.

— Nie papa, którego nie mam — odrzekł z pewną urazą Tadeusz — ale obowiązek...

Nieznamoma dama dostrzegła tej lekkiej urazy i jakby chcąc wynagrodzić swój żarcik, zmieniła ton i treść rozmowy, z niepospolitą zręcznością zawiązała konwersację prawie familjarną, a nie tylko wdziękiem swej postaci, ale i powabem dowcipu, żywości i swobody potrafiła tak ożywić i ośmielić Tadeusza, że ten niebawem rozmawiał z nią z taką szczerością, jakby miał przed sobą bardzo dawną i bardzo życzliwą znajomą.

Tadeusz zajął się, ożywił, począł opowiadać swobodnie o swych stosunkach, widokach, wrażeniach, zgoła o wszystkim prawie. Między innemi zapytała podróżna dama Tadeusza o rodzinę, a on tak począł mówić:

— Nie wiem czem jest dla człowieka rodzina, wyobrażam to sobie tylko... Nie znałem ani rodziców, ani rodziny, matka wydawszy mnie na świat umarła. W dwa lata później, kiedy więc byłem jeszcze niemowlęciem, zmarł mój ojciec śmiercią nagłą...

...Straszna to historia; opowiadał mi ją przyjaciel mego ojca. Mój ojciec, walcząc w konfederacji barskiej, nie był obecny, gdy matka moja umarła. Wracając do rodzinnej zagrody, dowiedział się o tej smutnej wieści z ust spotkanego na drodze znajomego szlachcica. Spieszył więc z bolescią do domu, aby uściskać dziecinę i płakać na grobie żony. Przejeżdżał z dwoma swoimi towarzyszami przez Lwów. Właśnie były to pierwsze dni zajęcia Galicji przez Austriaków.



...Mój ojciec i jego towarzysze mijali Lwów właśnie, kiedy w farnym kościele odbywało się jakieś solenne nabożeństwo. Wstąpili wszyscy trzej do kościoła. Ujrzeni tu mnóstwo oficerów i urzędników niemieckich a na środku kościoła na osobnym tronie, w kapeluszu na głowie, siedział Pergen, pierwszy gubernator cesarski. Była to uroczystość inaugurująca rządy austriackie. Mój ojciec patrzył z srogą boleścią na ten akt w kościele...

...Do bólu męża dołączył się stokroć okropniejszy ból prawego Polaka. Kiedy wśród uroczystej ceremonii odczytano akt rewindykacyjny, on wysłuchawszy go z trupią bladeścią na twarzy i gorączkowym wzrokiem, wydał naraz z siebie wielki okrzyk jakby gniewu i boleści, i padł na ziemię... Wyniesiono z kościoła trupa...

...Serce mu pękło...

Nieznajoma podróżna szepnęła:

— A! to okropnie!

I przyłożyła do oczu koronkową chustkę, jakby chciała otrzeć łzy z czarnych oczu....

— Dwaj towarzysze pochowali trzeciego i łzami zrosili jego mogiłę. Ubył im jeden członek z potrójnego przymierza. Wszyscy trzej bowiem, w jednej i tej samej okolicy osiedli, jedną i tą samą miłością przejęci, zawarli z sobą uroczyste przymierze, ślubując nawzajem do ostatniej kropli krwi, do ostatniego grosza mienia służyć sprawie upadającej ojczyzny... Razem wyszli do obozu konfederatów, razem przebyli wszystkie ich walki, a kiedy sprawa miała się

ku upadkowi, wszyscy pragnęli i szukali śmierci na polu bitwy. Żaden jej nie znalazł.

...Mój ojciec ubył pierwszy z tej trójki, nie mogąc przeżyć pierwszego upadku ojczyzny.

...Cześnik Zakrucki, rzucił się w jednej z ostatnich potyczek konfederatów z Moskalami w sam wir walki, w najgęstszy rój Moskali, lecz choć porąbany srodze, ocalał przecie, ale utraciwszy prawą rękę, stał się niezdolnym do dalszych bojów i dziś spełnia drugą część ślubu swego, służy ojczyźnie mieniem, sercem i myślą.... Mieszka tu w Galicji, i jest moim opiekunem, moim drugim ojcem....

...Trzeci wyszedłszy cało z walki, nie chciał pozostać w nieszczęśliwym kraju, popłynął później za panem Puławskim do Ameryki, gotów wrócić, skoro ramienia jego zapotrzebuje własna ojczyzna. Tym trzecim z przymierza był pan Promnicki...

Na te słowa drgnęła nieznajoma dama znacznie, jakby w przestachu i wydała stłumiony wykrzyk...

Tadeusz porwał się szybko z siedzenia.

— Na miłość Boga! Co pani?

Piękna podróżna była blada, a w oczach jej malowało się przerażenie...

— To nic — szepnęła stłumionym głosem — lekkie omdlenie, chwilowa afektacja nerwów...

I przetarłszy marmurowe czoło uśmiechnęła się tak powabnie i wesoło jak przedtem.

Urwała się rozmowa na chwilkę, ale niebawem zatarły się na twarzy podróżnej ostatnie ślady chwilowego, zagad-

kowego wrażenia. W czarnych jej oczach zamigotało znowu to samo światło pustoty, usta różane zakwitły znowu kietującym uśmiechem, a cała jej postać nabrała znowu tej swobodnej elastyczności i gracji, jaką olśniewała z początku.

— Opowiedziałeś mi pan bardzo zajmującą historję, jakby rozdział z ciekawego romansu... — rzekła już z całą swobodą. — Ale podobno wspomniałeś pan imię Zakruckiego...

— Tak, to właśnie niegdyś najlepszy przyjaciel mego ojca, a dziś ukochany i drogi mój druh i opiekun...

— Czy nie ma ten pan Zakrucki córki?

Twarz Tadeusza oblała się rumieńcem.

— Ma... — odpowiedział.

Warszawska piękność dostrzegła rumieńca i usta jej przebiegł uśmiech.

— I bawi w Warszawie, nieprawdaż?...

— Tak.

— I jest bardzo piękna i dobra...

— O tak! śliczna i dobra jak anioł...

— Oho! zwolna! zwolna! — zawołała śmiejąc się towarzysza i podniosła do góry mały paluszek.

— Oddaję tylko słusność... — zająknął się Tadeusz.

— Tak jest, oddajesz pan słusność aniołowi... A ten anioł nazywa się Zosia, nieprawdaż?

Tadeusz skinął głową.

— A w tej Zosi Waćpan się kochasz!

Tadeusz nowym się okrył rumieńcem.

— Ależ... — usiłował się zasłonić.

— Nie zapieraj się panie oficerze! — przerwała figlarnie i z ciągłym uśmiechem nieznajoma — pieczesz raki. O! a ja się znam na tem!...

— To się zapierać nie będę — odezwał się teraz także z uśmiechem Tadeusz — z panną Zofią dziaćkami wychowaliśmy się razem, razem przeżyli wiosnę życia...

— I razem lato spędzić chcecie!... — zaśmiała się podróżna.

— Kiedy już tak nieostrożnie się zdradziłem, wyznam, że istotnie marzę o tem szczęściu, na które zgadza się i pan Zakrucki przez pamięć mego ojca i miłość ku mnie...

— Cała spowiedź! cała spowiedź! to mi się podoba! — zawołała piękna dama i klasnęła w ręczki. — Tę pannę Zosię widziałam raz w Warszawie, gdzie podobno bawi na wychowaniu u swej ciotki... Przyznać muszę, nie zły masz gust, panie oficerze!

Tadeusz skłonił się uśmiechem tego zadowolenia, jakim opromienia twarze młodzieńców wspomnienie kochanki.

— A cóż, nie mówiłam, że pańskie opowiadanie to kartka z romansu! Jednemu pęka serce.... Umiera i zostawia syna. Drugi ma córkę. Syn i córka kochają się nawzajem... Potrzebamy tylko jeszcze, aby ten trzeci z sprzymierzonych, aby...

— Ale dajmy pokój kombinacjom — przerwała sobie sama wesoła dama.

Tadeusz uśmiech odwzajemnił uśmiechem a oko jego naiwne nie dostrzegło wyrazu, który właśnie co zamajaczył na twarzy pięknej nieznajomej....

Wyraz ten byłby może jego prostą, szczerą naturę od razu odepchnął od nieznajomej.

Na ten wyraz złożyło się tyle zimnej ironji splecionej z pustotą niby żartobliwą, tyle jakiegoś szyderstwa złączonego z uśmiechem niby harmonijnym i niewinnym, że przedstawiał on prawie demoniczną grę kontrastów....

— Panie Tadeuszu — ozwała się piękna podróżna topiąc swój czarowny wzrok w oku młodzieńca — ja znam twoją Justynę, twoją Heloizę, twego aniołka! Panie Tadeuszu, abyś tylko temu aniołkowi nie rozranił serduszka! Czy myślisz, że ją kochasz?...

— Czemuż pani pytasz o to, coś sama odgadła?

— Bo ja nie wierzę w miłość!

I przy tem wyznaniu niewiary głos jej właśnie był tak miękki i tak czuły, a spojrzenie tak urocze i takie blasku uczucia pełne, że zdawałoby się właśnie, że jedno i drugie zna tylko jedno: mowę miłości.

— I pan myślisz, że będziesz jej wiernym?

Tadeusz milczał na uwięzi magicznej siły jej oczów.

— Bo ja nie wierzę w wierność... — odpowiedziała na jego milczenie nieznajoma.

— Jeżeli panią spotkam kiedy w życiu, przekonam...

— Jeżeli mnie pan kiedy spotkasz w życiu, przekonasz się, żem słusznie nie wierzyła — odparła nieznajoma, kładąc nacisk na pierwszą, powtórzoną część zdania.

— Zobaczymy...

— Zobaczymy!...

I znowu zadzwonił jej uśmiech figlarny, wabny, rozkoszny...

W tej właśnie chwili powóz stanął u drogi rozstajnej. Jedna w lewo prowadziła ku Lwowu, druga w prawo do wieńca siół, które okazywały się w oddali.

Nieznajoma dała znak forysiovi, aby stanął.

— Drogi nasze rozchodzą się — rzekła do Tadeusza — wierz mi panie oficerze, że życzę sobie z serca, aby się niebawem zeszyły!

I podała dłoń Tadeuszowi.

Tadeusz powstając ucałował małą rączkę i uczuł jej uścisk na swej dłoni.

Wyskoczył szybko z powozu, lecz zatrzymał się jeszcze przy stopniach i zapytał:

— Wolnoż mi prosić, abyś pani do wspomnienia tych chwil kilku dodała i pamięć swego nazwiska?...

Nieznajoma ścisnęła raz jeszcze swą rączką dłoń Tadeusza i rzekła:

— Laura!

— Laura? — powtórzył Tadeusz czekając także nazwiska.

Ale Laura zaśmiała się tylko, skinęła rączką a powóz ruszył szybko drożyną na prawo.

III.

W s t o l i c y.

Długo spozierał Tadeusz za niknącym w kłębach kurzawy powozem i długo myślał o pięknej, nieznajomej Laurze. Powab wdzięków tej kobiety, jej modna, obcesowa prawie swoboda, do której nie nawykł był jeszcze młodzian w szlacheckim dworze konfederata i w obozie żołnierskim wychowany, dowcip i żywość jej rozmowy, urok pustoty naddobnej — to wszystko sprawiło znaczne wrażenie na młodym naszym oficerze. Lecz gdy ostatnie echo bastardy angielskiej umilkło, gdy rączy koń zostawił za sobą w oddali drogę wiejską, którą skręcił ekwipaż nieznajomej — a Tadeusz zamyślił się swobodniej nad spotkaniem, wydało mu się prawie jakby sen jaki, dziwnem, niewytłumaczonem.

Dziwił się sam sobie, nie mógł pojąć owej poufności rozmowy, gniewał się na siebie i wstydził, że przed kobietą pustą i całkiem sobie nieznaną, tak rychło wydał się nawet z tajemnicą serca, której wyłączną powiernicą była dotąd tylko chwila zadumy lub tęsknoty... Począł sobie wyrzucać taką swawolną gadatliwość, i oskarżał się sam niemal o profanację swego uczucia przed osobą, którą pierwszy raz w życiu oglądał.

Tak zadumany zmierzał Tadeusz dalej ku celowi swej podróży. Tymczasem piękny jesienny wieczór spuścił się jasną ossjanową mgłą na ziemię. Konie znużone zwolniły biegu, a dziad Madej siedzący na telidze począł spiewać jakąś pieśń przeciągłą i jednotonną, jakby chciał rozerwać sobie nudy swej niespodzianej podróży.

Zostawimy Tadeusza jego myślom — a sami uzupełnimy tymczasem szczegóły, które o stosunkach swych wyjawił przed zagadkową Laurą.

Wiemy już, w jak tragiczny sposób został Tadeusz sierotą. Po nagłej śmierci jego ojca, zajął się losem dziecięcia pan cześnik Zakrucki. Zakrucki był prawdziwym wzorem cnotliwego obywatela, któremu dano było przenosić wszystkie boleści okropnych klęsk publicznych. Należał on do tej falangi Polaków, która w ostatnich latach bytu Polski z ofiarnością najwyższego poświęcenia, z wysiłkiem wszystkich zasobów moralnych i materialnych, z namiętnością miłości i rozpaczcy zarazem, podtrzymywała ojczyznę upadającą, nim pod przemocą gwałtu i zdrady opuścić musiała skrwawione w walce dłonie...

Przewalczywszy wszystkie boje konfederacji barskiej, wyszedł z nich złamany niepowodzeniem, wyszedł kaleką bezsilnym i — niewolnikiem... Wątłego zdrowia od początku, a straciwszy prawą rękę w walce i okryty ciężkimi ranami, stał się niezdolnym do dalszych orężnych zapasów. Musiał wrócić do zagrody, pocieszając się nadzieją służby publicznej na polu obywatelskich zabiegów, lecz wrócił już wtedy, kiedy część ojczyzny, w której osiadł na ziemi swych

dziadów, oderwaną już była od Rzeczypospolitej, i przeszła pod panowanie berła austriackiego.

Odejęty od wolnej swej ziemi, zaliczony w rzeszę poddanych obcego rządu, czyli mówiąc zwykłym ówczesnym wyrazem, zakordonowany przez Austrię, żył dalej tym krwawym trudem serca i myśli, którym musiało być życie patriotów owego czasu. Tem cięższy i krwawszy musiał to być trud dla Zakruckiego, ile że odjętą mu była, jako ziemianinowi ujarzmionej już prowincji, swoboda i możność bezpośredniego udziału w ostatnich zapasach ojczystych.

Wierząc jednakże w rychłą zmianę na lepsze, łudząc się wszystkimi temi nadziejami, w które tak płodne serce kochające wielką sprawę, nie dał zwolnieć ani jednemu z tych węzłów, któremi życie jego wiązało się z życiem ojczyzny. Przebolewał wszystkie dalsze klęski, przeżył srom wszystkich upokorzeń, jakich doznawała Polska w następstwie pierwszego podziału, odżywiał się radośnem wrażeniem wszystkich przebłysków, które miały być nową zorzą, a były tylko ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

Opamiętanie się narodu na wielkim sejmie, konstytucja 3go maja, złudne i krótkie przymierze króla z narodem a narodu z królem, wawrzyny z pod Dubienki, potem drugi podział i srom grodzieński — wszystkie te krzepiące lub bolesne wypadki znajdowały w naszym zakordonowanym konfederacie żywszy udział, bezpośredniejsze i głębsze echo, niż w wielu innych, którzy z bliska i czynnie mogli występować w tej porze.

Licząc w czasie opowiadania lat górą pięćdziesiąt, Zakrucki był już wdowcem od dawna. Nie miał syna, tylko jedynaczkę córkę, ową wspomnianą już w przeszłym rozdziale Zosię. Mieszkając w ustronnym zakątku kraju, w którym trudno było o takie wychowanie i wykształcenie, jakim pragnął ozdobić umysł jedynaczki, powierzył Zakrucki Zosię, skoro tylko lat dziewczęcego podlotka dobiegła, opiece swej ciotecznej siostry, starej panny, zacnej i złotem sercem obdarzonej.

Krewna ta miała mały majątek z tamtej strony kordonu, a osiadłszy na późne swe lata w Warszawie, z największą gotowością przyjęła pod swą troskliwą i prawdziwie macierzyńską opiekę młode dziewczątko. Wahał się zrazu Zakrucki wysłać jedynaczkę do stolicy, która obyczajom swym tak smutną zgotowała była sławę, jednakże zacny i bogobojny charakter krewnej, która sama do pana brata po Zosię przyjechała, jej miłość dla młodzianki bratanicy i silne nalegania, pokonały w końcu wstręt Zakruckiego i Zosia pojechała do Warszawy, gdzie właśnie i w czasie naszego opowiadania bawiła.

Było to znaczną ulgą dla Zakruckiego, bo majątkowe jego stosunki nie były po temu, aby mógł dać córce potrzebne wykształcenie, tak kosztowne przy ówczesnych środkach oświaty. Zakrucki nie był nigdy bogatym a gorliwe, pełne poświęcenia pełnienie obowiązków obywatelskich nadzarpnęło mocno już i tak bardzo skromnej fortunki. Długi pobyt w obozach konfederackich, ofiary materialne któremi wspierał ten związek, nadwładliły tak mocno jego majątek,

że gdy w końcu powrócił, okazało się po obliczeniu, że pozostać trzeba na małej wiosce, którą Zakrucki nadto nie uważał za swoją własność, ale za majątek swej córki, gdyż wioskę tę wziął był w posagu za swą nieboszczką żoną.

Ubogi co do własnej osoby, zarządzał przecież Zakrucki bardzo obszernym majątkiem. Jak już wiemy z opowiadania Tadeusza, należał Zakrucki do tej trójki, która złączywszy się wzajemnym ślubem, poszła razem do obozu konfederacji. Ojciec Tadeusza pierwszy opuścił swoich druhów, a drugi, Promnicki, zabawiwszy jeszcze czas niejaki w kraju, zrozpaczony smutnym stanem ojczyzny a rozgoryczony nadto domowemi zajściami, wyjechał do Ameryki. Zakrucki był nie tylko przyjacielem, ale i najbliższym sąsiadem obudwóch. Jeden więc swą śmiercią, drugi swym odjazdem włożył nań obowiązek zarządzania pozostałemi majątkami.

Majątek nieboszczyka Warskiego, ojca Tadeusza, nie przysparzał dużo kłopotów Zakruckiemu, składał się bowiem z maleńkiej wioszczyny, stanowiącej zaledwie dostatnią fortunę szlachcica. Promnicki przeciwnie należał do możniejszej szlachty i posiadał kilka wsi i za kordonem i w Galicji. Dobra jego galicyjskie graniczyły z wioską Zakruckiego, a Promnicki wyjeżdżając z kraju, powierzył mu opiekę nad niemi. Zakrucki biedził się, tyrał na stare lata, pracował dniami i nocami, aby odpowiedzieć zaufaniu obu swych przyjaciół. Był to bowiem człowiek wielkiej zacności i cnoty obywatelskiej, pełen katońskiej sumienności i poświęcenia.

Zarządzając fortuną swych towarzyszków broni, nie zważał na to Zakrucki, że cierpi na tem własne jego mienie, na którego pilnowanie brakowało mu już nawet czasu. Po Warszawskim został sierotą nasz Tadeusz, a losem jego zajął się także Zakrucki. Bóg nie dał mu samemu syna, którego w tych nieszczęsnych dla ojczyzny czasach a przy własnem kalectwie tak gorąco pragnął, aby przelać w młodą duszę całą siłę własnego uczucia i zapału, włożyć na młode barki całe brzemie obywatelskich obowiązków. Tadeusz zastąpił mu syna. Zakrucki wychował go w swoim dworze, pokochał go jak własnego syna, zaprawił własnym hartem, utwierdził własną enotą, natchnął własnym zapałem patriotycznym.

Pod wodzą takiego nauczyciela urobił się umysł Tadeusza jak najpomysłniej. Cała szlachetna istota starego konfederata przelała się w młodą duszę wychowanka. Gdy Tadeusz dorósł lat młodzieńczych, Zakrucki polecił mu obrać stan rycerski. Rada ta jak najzupełniej przypadła do ognistej duszy Tadeusza, i opuściwszy Galicję przed trzema laty, udał się w szeregi wojska Rzeczypospolitej, którego organizacja pod wodzą księcia Józefa i Kościuszki była niejako rytmem rycerskim do uchwał wielkiego sejmku.

Tadeusz jako oficer kawalerji w brygadzie Kościuszki przebył krótką kampanję i odbył w niej pierwszy chrzest krwawy, polski — chrzest, który namaścił wówczas tylu bohaterów do całego szeregu walk na własnej i obcej ziemi. Po zromotnem odstępstwie króla i nagłem zakończeniu

wojny, wystąpił Tadeusz tymczasowo z szeregów i wrócił do Galicji, do zagrody Zakruckiego.

Stary konfederat był dla niego czemś więcej jeszcze, niż ojcem, przyjacielem, mentorem ukochanym, był ojcem Zosi. A powtarzalibyśmy się niepotrzebnie, gdybyśmy na tem miejscu chcieli opowiadać obszerniej, że Tadeusz pokochał nadobną córkę Zakruckiego. Wiedział o tem, i nie był temu przeciwny Zakrucki, widział owszem w stosunku tym tylko urzeczywistnienie własnego, tajnego życzenia, ale przy zbyt młodym wieku obojga, a nadto wśród tak groźnych i smutnych stosunków ojczyzny, która miała pierwszeństwo nad wszystkimi osobistymi widokami i marzeniami, nie mogło być mowy o tak rychłym urzeczywistnieniu życzeń zakonanych.

Jakoż zaledwie kilka miesięcy zabawił Tadeusz w domu swego opiekuna, gdzie miał także szczęście oglądania przybyłej do ojca w odwiedziny Zosi, gdy nowe, właśnie przygotowujące się wypadki powołały i Zakruckiego i jego do służby publicznej. Uchwały sejmu grodzieńskiego, dyktowane przez Moskwę, wywołały reakcję w narodzie. Rzucili się patrioci do ratowania nieszczęsnej ojczyzny od ostatecznego upadku. Wojsko, otrzymawszy nakaz redukcji, pragnęło walki. Szybko zrodziła się myśl powstania i szybko, błyskawicznie, podnieciła umysły. Rozpoczęła się praca nad przygotowaniem, a wszystkie widoki i nadzieje znachodziły swój punkt środkowy w Kościuszcze. Rozbiegły się po ziemiach polskich przygotowujące wskazówki i wezwania do gotowości i ofiar.

Wieści te szybko dobiegły Zakruckiego i przejęły go nową radośną nadzieją, nowym zapałem. Cały jego umysł utonął w jednej tylko, ciągle pracującej myśli, jakby ze swego stanowiska najdzielniej poprzeć tak pożądane zamiary. Ale najpierw chciał począć od siebie. Chciał najpierw pospieszyć z ofiarą mienia. I teraz dopiero najciężej, najboleśniej uczuł swe ubóstwo. Biedny stary konfederat nie miał grosza, aby nim wesprzeć sprawę ojczystą. Pragnąc koniecznie być jednym z pierwszych w niesieniu ofiar, umyślił korzystać z środka, do którego dotąd czuł wstręt niezwy- cięzony, zaciągnąć pożyczkę znaczną.

Do kontraktów lwowskich było jeszcze daleko, tą więc zwykłą drogą trudno było o otrzymanie znaczniejszej sumy. Zakrucki postanowił tedy zaciągnąć pożyczkę u jednego z bankierów żydowskich we Lwowie, u jednego z tych Manicheuszów, którzy podówczas, w czasie tylu zmian politycznych i połączonych z niemi zawichrzeń prywatnych stosunków, doprowadzali do ruiny tyle fortun polskich.

Zakrucki, bardziej w interesach wielkiego majątku swego nieobecnego przyjaciela Promnickiego niżli w swoich własnych, miewał nieraz stosunki handlowe z jednym z najbogatszych izraelitów lwowskich, do niego więc udać się zamierzał. Wiedział dobrze, że ma do czynienia z lichwiarzem głośnym w okolicy i między szlachtą, ale pospiech usunął wszelkie troski i obawy.

Gdy nadszedł dzień, w którym Tadeusz pożegnać miał opiekuna swego, aby się udać do korpusu generała Mada- lińskiego, Zakrucki wręczył mu skrypt niezapłacony ale

opatrzone w podpis, z zleceniem, aby pożyczył u izraelskiego Krezusa ile możliwości jak najznaczniejszą sumę i podług niej kwit biały wypełnił. Tadeusz musiał przejeżdżać przez Lwów, gdyż z zlecenia swego opiekuna miał się widzieć także z jego dawnym przyjacielem, panem Gozdzkim z Jaryczowa, który najczęściej przebywał we Lwowie. Oprócz tego otrzymał Tadeusz i inne poruczenia, o których za jego przyjazdem do Lwowa się dowiemy. Zakrucki bowiem cierpiąc właśnie z powodu swych ran dawnych, nie mógł się ruszyć z domu.

Z głębokiem rozrzewnieniem, ze łzami w oczach pożegnał i pobłogosławił stary konfederat odjeżdżającego Tadeusza. Wszakże wysyłał go na bliski bój, którego powodzenie osiwiwały towarzysz barski radby był okupił ostatkami swej krwi serdecznej!... Jakżeż mu zazdrościł młodości! Tadeusz miał ramieniem pomagać sprawie, miał być bezpośrednim uczestnikiem i aktorem dramatu, którego perypecje stary konfederat w samotnej swej zagrodzie odczuwać miał wszystkimi mękami obaw, niepewności, wyczekiwań!...

Z silnie wzburzonym sercem opuścił Tadeusz opiekuna — ale wkrótce owa wesoła swoboda młodości, chęć czynu i uśmiechające się dzielnej duszy widoki rycerskiego rzemiosła, powróciły mu pierwotną świeżość myśli i humoru. Takim go też poznaliśmy w przygodzie sokalskiej i w spotkaniu z nieznajomą damą.

A teraz, po tej przydługiej trochę dygresji, która unndziła może czytelnika, wracamy do Tadeusza i jego po-

dróży. Nie będziemy jej opisywać, bo nie ciekawszego nie wydarzyło się w drodze naszym podróżnym.

Było to z rana, kiedy Tadeusz stanął we Lwowie. W jednym z następnych rozdziałów, gdy wypadki naszej powieści odgrywać się będą w stolicy, podamy opis jej ówczesnej fizjognomji, z tego więc powodu nie będziemy tym razem kreślić postaci Lwowa.

We Lwowie, którego część właściwie miejska i stołeczna nie tak obszernych była rozmiarów jak obecnie, znajdowało się na przedmieściach bardzo dużo dworów, należących do szlachty z bliskich i dalszych okolic. Bywały na każdym prawie przedmieściu jurydyki szlacheckie, jak n. p. Sieniaszczyzna, Potoczyszna, Kuropatniczyszna itd. Przyjaciel i towarzysz broni Zakruckiego Promnicki, posiadał we Lwowie na Halickiem przedmieściu także dwór własny. Dwór ten w mieście, tak jak zresztą cały majątek Promnickiego, był pod zarządem opiekuna Tadeusza.

Tadeusz stanąwszy we Lwowie, a spiesząc się w dalszą podróż, zeskoczył z konia, a oddawszy go wyrostkowi, kazał wraz z teligą zajechać do dworu Promnickiego a sam wprost udał się do wskazanego sobie przez opiekuna Izraelity. Łatwo się dopytał zaraz w rynku o jego pomieszkanie, bo któżby we Lwowie nie znał podówczas Naftala, słynnego z grubych kapitałów i grubej lichwy? Na Krakowskiej ulicy, za akademią, w starej, brudnej kamienicy mieszkali Naftal. Ciemne i popsute wschody wiodły na pierwsze piętro, gdzie mieszkał starozakonny bankier.

Tadeusz wszedł do zadusznej izby, która jakkolwiek nie bardzo czysto utrzymana, odbijała przecież od zwykłych mieszkań żydowskich swą pretensją do porządku i ochędóstwa.

Znane to było pomieszkание i odwiedzane przez licznych a rozmaitych gości, cisnących się po pożyczki do nabitej szkatuły Naftala. Wydeptywali doń drogę i miejscy panicze, i oficerowie garnizujących we Lwowie pułków, pielgrzymowała doń podczas kontraktów szlachta, choć każdy przeklinał później Naftala, osławionego z ogromnej lichwy, z srogości w ściąganiu długów i z wielu nieczystych sprawek i sztuczek spekulacyjnych. Ale w owym czasie, skutkiem ruiny kraju a w znacznej części i nowej jego organizacji, kredyt upadł był niesłychanie a lichwa zakwitła bujnie. Bawili się lichwą nietylko żydzi, ale wielu z obcych urzędników, spekulujących na kieszeń głupiego Polaka.

Tadeusz wszedłszy do izby zapytał o gospodarza:

— Naftal w domu?

— Czemu nie? — odpowiedziała zaszargana żydówka, widocznie czcigodna żona bankiera, mierząc okiem Tadeusza.

Wyszedł niebawem z drugiego pokoju sam gospodarz, żyd niski, chudy, z błyszczącemi oczkami i z niemiłym uśmiechem na ustach.

— A to pan Tadeusz!... — zawołał przypatrując się młodzianowi — już wiem, już sobie przypominam...

— Naftal mnie widział u pana Zakruckiego...

— Tak, u pana Zakruckiego, kiedyś z nim handel robił. Nu, co porabia pan Zakrucki?

— Zdrów; i on to właśnie mnie do Naftala przysyła.... Potrzebuje pieniędzy....

— Ja nie wiem, czemu ten pan Zakrucki taki dziwny pan! Proszę tylko, on ma w ręku dobra Promnickiego, taka wielka fortuna!... Z tych dóbr nazbierał pewnie już kapitały a nie ruszy!..

— Bo nie jego — odparł Tadeusz krótko, niezadowolony z takich uwag żyda.

— Nu, albo pan Promnicki wróci?...

— Wróci.

— A jak nie żyje?

— Ale gdzie tam, żyje i wróci! Ale do interesu panie Naftal.

— Nu, choćby i wrócił, to i on i pan Zakrucki mieliby dosyć... No, no, niech się pan wielmożny nie chmurzy.... A ile to potrzeba?

— Jaknajwięcej.

— Jaknajwięcej! Zkąd wziąć jaknajwięcej.... Teraz nie ma pieniędzy, aż strach. Ja zawsze słyszał od pana starosty olchowieckiego jedną piosneczkę, i ja ją zawsze sobie teraz powtarzam. Pan starosta, a miał on dużo interesów ze mną, zawsze tak mówił:

Szóstak z tymfem, ćwierć z talarem,
Z których probierz zrobił nicę,
I co było z Drezna darem
Poszło w posły za granicę.

— A wie wielmożny pan — ciągnął żyd dalej, kontent z konceptu — jak mówił pan starosta olchowiecki, co przyszło z zagranicy?

Ztamtąd w zamian przyszły posły.
Włoch z małpami, Niemiec z osły,
Włoszka, kastrat, atlas, kwiatki!
I projekta na podatki.

— Nu, jak się panu podoba, czy nieprawda?... Ale widzę, że się pan kwapi, ile mam dać?

— Trzy tysiące dukatów...

— Aj! to grosz wielki! A na jaką ewikcję, na dobra pana Promnickiego, czy na wieś pana Zakruckiego?

— Ależ to nie pan Promnicki, ale pan Zakrucki pożycza!

— Nu pan Zakrucki pewnie zapłaci, ale niedaj Boże jakiego wypadku, to nie ma na taką sumę dobrej ewikcji...

— Czegoż się to Naftal obawia?

— Niczego złego, broń Boże, ale zawsze lepiej mniej niż więcej... Byli bogatsi, ta spotkał ich wypadek i nie mogli później zapłacić. Pan Tepper z Warszawy, jaki bankier, a pan Blank, co? A przecież pozarywali ludzi i po-bankrutowali... A pan Prot Potocki, czy nie magnat, a co to u niego przepadło, aj!

Po dalszej jeszcze rozmowie zdecydował się Naftal dać dwa tysiące dukatów. Tadeusz wyciągnął papier z podpisem Zakruckiego i wypełnił skrypt, według dyktanda Naftala, bez uwagi i z pośpiechem.

Naftal odliczył pieniądze, a Tadeusz opuścił pomieszkane izraelity i podążył spiesźnie do domu Promnickiego na Hallickiem.

W dworku tym, stojącym pustką już od dawnych czasów, rezydował staruszek, dawny towarzysz Promnickiego i Zakruckiego podczas konfederacji, szlachcic ubogi, pan Dederkało. Powrócił on razem z naszą trójką z konfederacji, a że nie miał ani szmatka ziemi w domu, na którejby mógł osiąść, a nadto po trudach i burzach wojaczki poczuł w sobie jakiś pociąg do dewocji i pragnął zamieszkać w mieście, więc osadził go Promnicki w swoim dworze na przedmieściu.

Pan Dederkało żył tu sobie w małym alkierzu spokojnie, chodził regularnie do pobliskiego kościoła Karmelitów i spełniał w dworze niby funkcję klucznika, która najmniejszego trudu nie wymagała. Zakrucki doselał mu ze wsi wiktuałów i kiedy niekiedy jakiś grosik w dodatku. Dederkało wżył się w miejskie życie, poznał się i poprzyjaźnił z przedmieszczuchami i spokojnie spędzał stare lata.

Tadeusz miał od opiekuna osobne zlecenia dla starego Dederkały. Idąc do dworku, wyobrażał sobie już naprzód jak się nim ucieszy stary gracz konfederacki, który był zawsze przywiązany do swoich dawnych towarzyszy i ich potomstwa. Jakże przykro zdziwił się Tadeusz, gdy już na podwórzu otrzymał od wyrostka swego wiadomość, że pan Dederkało ciężko jest chory.

Tadeusz wszedł spiesźnie do dworu i zastał w alkierzu staruszkę na łożu. Był mizerny i blady, dawna czerstwość

zawędzonego wiatrami wygi zniknęła z pomarszczonego lica. Chory był poobwiązywany chustkami i twarz miał z jednego boku zapuchniętą. Gdy obaczył Tadeusza, chciał się porwać z łóżka Dederkało, ale nie mógł; i podnosząc tylko głowę uśmiechnął się dość wesoło i mrugnął pocziwie siwemi oczyma, jak to zwykł był czynić dawniej jeszcze, kiedy Tadeusz był małym chłopięciem.

Tadeusz poskoczył do chorego, uściśnął rękę starca serdecznie i zawołał:

— A cóż to mościpanie Dederkało, źle się sprawujesz, zgryzotę robisz mnie i panu Zakruckiemu, chorujesz?...

— Cóż robić! cóż robić! Dopuszczenie Boże!

— Ale cóżto waszmości się stało, obwiązany chustami, jakby cię wprost po moskiewskich razach felczer miał w swym ręku?

— A miał mnie felczer w ręku, oj miał — stęknął pan Dederkało — zszywał i łątał gębę, mospanie, jak torbę dziadowską!

— Ale cóżto, jakże to?

— At, przyszła kryska na Matyska! Dobrze mi tak! Trzeba było siedzieć cicho, mości Dederkało, Boga chwalić, kaszę jeść, dworu pilnować i na Promnickiego czekać, czy nie przypływa z Ameryki! Ale pop swoje, czart swoje!

Po długim badaniu i rozmaitych zapytaniach wystękał w końcu chory konfederat całą przygodę, której skutki okupywać musiał słabością. Podług opowiadania jego tak się rzecz miała: Pan Dederkało wyszedłszy jednego poranku z domu poszedł starym zwyczajem do kościoła OO. Karme-

litów, wysłuchał dwie mszy, modlił się długo, a opuściwszy świątynię, wyszedł na miasto.

Ledwie ku katedrze się zbliżał, kiedy ku wielkiej jego ucieście zaszli mu drogę z synami dwaj szlachcice zaściankowi pan Kasper i pan Nikodem; starzy jak i on, obaj z tegoż samego co i on zaścianku, a co stokroć więcej znaczyło, obaj konfederaci, starzy towarzysze broni! Uradował się niezmiernie pan Dederkało, uradowali się i panowie bracia Kasper i Nikodem, a po pierwszych wykrzyknikach radości i powitania stanęło na tem, aby uczcić pomyślne spotkanie gęsiorkiem miódka. Pan Dederkało jako Lwowianin i gospodarz poprowadził panów braci do winiarni przy tak zwanej *Veteranische Höhle*, czyli jak ją króćiej nazywał pan Dederkało, do „szeheli”. Szehela była miejscem schadzki starych wysłużonych żołnierzy austriackich, inwalidów z siedmioletniej i z ostatniej tureckiej wojny i oficerów z garnizującego we Lwowie pułku Spleny.

Pan Dederkało, przyszedłszy tam z swoimi niegdy towarzyszami broni i kochanemi panami braćmi, zasiadł przy jednym ze stołów, podczas gdy naprzeciw właśnie raczyło się piwem grono niemieckich oficerów. Niechętnie wprowadzie spozierała szlachta na niemieckich weteranów, ale dopóki miodek nie rozegrzał głów i animuszów, dopóty nie zakłóciło spokoju międzynarodowych stosunków. Ale gdy w miarę, jak wojskowi pod wpływem częstych szklaniec stawali się głośniejszymi, i szlachta także z panem Dederkałą jako przewodzącą zaczęła się ferworzyć i ożywiać, po-

częły latać od stołu do stołu i niechętnie spojrzenia i przejrzyste aluzje.

Nie byłoby ztąd jednak przyszło do głośniejszych nieporozumień, gdyby spijany trunek nie był rozbudził ochoty śpiewackiej u wojskowych. Po kilku tonach i pomrukach jakby na nastrojenie gardeł, odezwała się nagle głośno od stołu niemieckiego stara pieśń żołnierska, wyciągana z marsową energją:

*Prinz Eugenius, der edle Ritter
Wollt' dem Kaiser wied'rum krieg'en
Stadt und Festung Belgrad!
Er liess schlagen eine Brucken.
Dass man kunnt hinüberraucken i t. d.*

— Oho! patrzaj mi! — zawołał Dederkało — jak im to wesoło!

— Brak respektu, panie bracie, brak respektu — ozwał się pan Nikodem — przeszkadzać drugim w statecznym dykursie!

— To chyba huknąć im na *silentium*! — zaproponował p. Kasper.

— A jużci, że nie godzi się dać tak ignorować! — zauważał rozogniony już pan Dederkało.

I podniósł starą, żylastą dłoń, aby nią trzasnąć o stół na znak milczenia.

— A czy nie byłoby lepiej ot i nam zaśpiewać? Oni sobie, to my sobie!

— A jużciż, albo my gorsi, mospanie! Śpiewają pieśń wojacką, to i my sobie zanucim!

— A jaką?

— A jużci jaką konfederacką, panie bracie! ot naprzykład: Stawam na placu!

— Zgoda! zgoda! śpiewajmy!

Pan Dederkało oparłszy się junacko na stole, poprawił sierdżście swego wása i rozpoczął śpiew.

Wpadła szlachta tubalnemi głosy i głośniejsz niż śpiew niemiecki zagrzmiała zwykłą pieśń konfederacką:

Stawam na placu z Boga ordynansu,

Rangę porzucam dla nieba wakansu,

Dla wolności ginę,

Wiary swej nie minę,

To jest mój azard!

— To jest mój azard! — powtórzyło grono szlacheckie wiersz ostatni podniesionemi głosy jakby wojennemi surmami, że aż szyby zabrzęczały a śpiew od stołu niemieckiego ucichnął.

— *Still!* — odezwało się z przeciwnego stołu.

— Sam sztyl! — wrzasnął pan Dederkało i palnął z całej siły o stół pięścią.

Na groźne odkrzyknięcie przyleciała w odpowiedź próżna szklanica.

Porwali się zaściankowcy z krzeseł, jeden i drugi macnął się pó lewym boku, jakby czego szukał, a nie znalazłszy chwycił co było pod ręką. Rozpoczęła się żwawa utarczka, z której zwycięzko byliby wyszli pan Dederkało i jego towarzysze, gdyby nie nowe grono wojskowych, którzy weszli właśnie wśród najzaciętszej zamieszki do gospody i rzu-

cili się swoim do pomocy. Zabłysnęły gołe szable, a grono zaściankowców bezbronne i trzykroć słabsze, mimo zaciętego oporu zostało pokonane. Wzięto ich w środek i zaprowadzono na odwach.

W kilka godzin wypuszczono pana Nikodema i pana Kaspra wraz z synami, ale biednego pana Dederkałę zdeklarowano za *rädelsführera* i choć był poraniony znacznie, zamknięto na dni kilkanaście do kordegardy. Rany odniesione w bójce, przeteżenie się w późnym wieku, tak nieszcześnie poskutkowały na biednym rezydencie, że zaledwie powrócił z więzienia do dworu Promnickiego, zaniemógł ciężko.

Taka była przyczyna choroby pana Dederkały. Zmartwił się nią nie pomału Tadeusz i zakłopotał, bo stary rezydent jeźli kiedy, to teraz na swem stanowisku klucznika był bardzo potrzebnym w dworze pana Promnickiego. Zadumał się, jakby odbywał naradę z własnymi myślami, gdy rozchyliły się drzwi od alkierza i wszedł wyrostek:

— Proszę jasnego pana — zapytał — a co się robi z tym dziadem z Sokala?

Tadeusz, który prawie był zapomniiał o Madeju, potarł się w czoło, jakby w skutek nowego, niepotrzebnego kłopotu.

— A zawołaj go tu.

— Jest za drzwiami — odpowiedział wyrostek.

W tej samej chwili zajrzała przez rozchylone drzwi twarz Madeja.

Na skinienie Tadeusza dziad wszedł do alkierza i skłonił się nisko.

— Cóż zrobimy z tobą Madeju? — zapytał Tadeusz.

— Ach jasny paniczu, miłosierny dobrodzieju — odpowiedział Madej — czyż ja wiem, co ja z sobą pocznę? Ja się w mieście zgubię, przepadnę! Chyba wrócę znowu piechotą...

Tadeusz uśmiechnął się, spojrział na Madeja, a potem jakby pod wpływem jakiejś nowej myśli, rzekł:

--- Chodź no za mną.

I zaprowadził dziada do drugiego pokoju.

— Czyś ty pocziwy człowiek, Madeju?

— Mnie zna sto gromad i poświadczyć by mogło, żem dziad pocziwy.

— Czy porzuciłbyś włóczęgę dziadowską i potrafiłbyś siedzieć w kącie?

— Czemuż nie, jasny paniczu, na stare lata i kości dobry wypoczynek...

— A gdybym ci dał przytułek dobry...

— Chwaliłbym Boga i dziękował jasnemu paniczowi.

— Więc zostaniesz tu w tym dworze.

Dziad ciekawie i z zadziwieniem spojrział na Tadeusza.

— A umiesz być cicho i trzymać język za zębami?

— Jak ryba niema, jasny paniczu.

— Słuchajże. Pan Dederkało, rezydent tego dworu jest chory. Potrzeba kogoś, aby i domu i jego pilnował. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Będziesz więc pilnował domu. Jeść i pić będziesz miał do syta, ale wiernym być musisz.

Makej z uroczystym gestem schylił głowę.

— A teraz uważaj. Ty znasz pana Zakruckiego z pod Sokala?

— Znam, miłosierny pan, nieraz pożywił i obdarzył biednego dziada.

— Pamiętajże, aby nikt nie wchodził do dworu, tylko pan Zakrucki, jeżeli przyjedzie! Nikt inny nogi tu postawić nie śmie! Rozumiesz?

— Rozumię.

— Gdyby tu w nocy kto przybył z jakimi furami, nie wpuść na podwórze, ale zapytaj o cedułkę. Gdy ci dadzą cedułkę, daj ją przeczytać panu Dederkale, a on ci powie, czy wpuścić czy nie.

Dziad skinął głową na znak, że pojął.

— Zresztą brama musi być zawsze zamkniętą, dniem i nocą!

Tadeusz wskazał potem na ścianę.

— Jeżeli kiedy za tą ścianą usłyszysz gwar i stuk jaki, to nic cię to obchodzić nie powinno!

— Może strachy, duch święty z nami!

— Nie bądźże głupim stary! Jeżeli tam posłyszysz ludzi za ścianą, to nie trwoż się i nie rób hałasu, bo im tam być wolno.

— A zkadże się tam wezmą, jeżeli nikogo nie mam puścić?

— To cię nie obchodzi, ale skoro będą, to sza!

— Rozumiem, jasny paniezu!

— Jeżeliby kto obcy pytał, czy jest kto we dworze, powiedz zawsze, że nie ma nikogo.

Madej w milczeniu skinął głową.

— A teraz uważaj. Widzisz to czarne kółko w kącie na ścianie?

— Widzę.

— Jeżeliby jacy ludzie gwałtem i przemocą dobijali się do bramy, to pociągniesz za to kółko mocno... Będziesz pamiętał?

— Będę.

— Słuchaj więc. Jeżeli będziesz wiernie spełniał rozkazy i milczał, nie zaturbujesz się już aż do śmierci o dobry kęs chleba...

Madej ścisnął kolana Tadeusza.

— Jeżeli w czem uchybisz rozkazowi, pamiętaj że ja sam kiedyś, prędzej czy później, powiesić cię każę na suchej wierzbie!

— Broń Chryste Panie!

— Więc zgoda?

— Zgoda.

Tadeusz siadł przy małym dębowym stoliku i pisał coś na białej karcie papieru. Napisawszy złożył i zapieczętował.

— Masz ten list. Wkrótce przyjedzie tu pan Zakrucki, a ty ten list mu oddasz. On cię jeszcze lepiej pouczy, co masz robić.

— Dobrze, jasny paniezu.

— Więc sprawa skończona! — dodał Tadeusz i skinął na Madeja, aby wyszedł.

IV.

Galicja w kolebce.

Galicja była owego czasu jeszcze w kolebce... Mieszkańcy jej odbywali dopiero nowicjat niewoli... Jakiż to był nowicjat, jaki był los pierwszych Galicjan? Wystawmy sobie ludzi, którzy żyli dotąd w całej pełni swego narodowego uczucia, którzy korzystali z tak nieograniczonej, niestety aż do samowoli posuniętej osobistej i politycznej wolności — przeniesionych nagle w stan niewolniczej podległości, w ucisk obcych rządów, w nowe tak ciężkie i wstrętne z początku formy publicznego a nawet prywatnego życia, a własna imaginacja zdoła nam może odpowiedzieć na to pytanie...

Dwie wręcz przeciwne sobie formy rządu, absolutna i że tak powiemy ultra-konstytucyjna, dwie wręcz przeciwne sobie charakterem swym narodowości, niemiecka i polska — a więc dwie formy publicznego żywota, z których pierwsza była już nowym, żelaznym faktem a druga jeszcze tak świeżem i niczem z serc i umysłów niezatartem wspomnieniem, i dwie narodowości, z których druga stała się służebnicą i przedmiotem pogardy pierwszej — musiały w pierwszym swem ścieraniu się, w pierwszych chwilach nierównej

walki, przedstawiać widok dziwnie smutnego, przerażającego wywrotu...

Był to też wywrót bezprzykładny, który my pogrobowcy, wzrosli już na mogile ojczyzny, zaledwie wyobrazić sobie zdołamy. Galicja musiała być płodem ciężkiego porodu. Wykołysały ją rewindykacyjne akta, cały zastęp dekretów, przepisów, rozkazów i innych pisanych i niepisanych eksperymentów, a do niemieckiego chóru tej kołysanki wtórzyły bezradne, rozpaczliwe narzekania tego pokolenia, na którego żywym ciele dokonywano tych bolesnych operacji, któremu nagle z pod nóg usunięto całą podstawę społecznego i publicznego życia, któremu zanegowano najistotniejszą treść dotychczasowych praw, uczuć, tradycyj i nawyków, aby je zastąpić najjaskrawszym kontrastem nowego porządku.

Utwór ten nowy dostał na chrzcie imię Galicji.

Chrzest ten musiał być bolesny dla pierwszych neofitów nawet i bez winy nowych rządów. Nowe te bowiem rządy mogły może nieczuć z swego stanowiska dotkliwości zmian poczynionych. Przypuśćmy, że dawały one swym nowym poddanym to, co mieli wszyscy poddani dawniejsi, równały nową prowincję z resztą swych dzierżaw. Ale to zrównanie właśnie musiało być dla wychowanków dawnej, złotej wolności uciskiem, choćby ucisk ten i nie leżał był w interesie władz nowych. Samo już równouprawnienie było tu praw i swobód odjęciem. A Austria była podówczas państwem absolutnem w całym tego słowa znaczeniu.

Przyszły historyk Galicji będzie miał bardzo trudne zadanie. Z najważniejszej, z najciekawszej właśnie pory, z cza-

sów pierwszego istnienia Galicji, bardzo mało zostało nam materiałów i wskazówek. Do skreślenia odmgętu pierwszych lat galicyjskich nie masz innych źródeł nad kilka paszkwiłów niemieckich, nad kilka zapisków w raptularzu jakiegoś szlachcica i nad stos *Gesetzsammlungu*. Porównanie tego opłakanego nowicjatu Galicji z dzisiejszym stanem kraju, z dzisiejszą swobodą i pewnem uznaniem jego praw historycznych i narodowych, byłoby wymownym dowodem, jak wśród najtrudniejszych nawet stosunków łomią sobie tory prawdziwie żywotne idee, byłoby zarazem wykazem, jak znacznie najnowszym swym liberalnym zwrotem odbiegły rządy austriackie od dawnego swego systemu.

Nam jednak mówić przychodzi o Galicji pod rządem austriackim u schyłku wieku ośmnastego. Faktem jest dowiedzionym przez pozostałe zapiski i pamiętniki, że Polacy zawiedli się na nim wówczas nawet w tych nadziejach, które przypuścić jeszcze mogła rezygnacja, zniewolona godzić się z koniecznością. Najwięcej otuchy mieli po rozbiórce Polski ci właśnie Polacy, którym przypadł los należenia do Austrii. Niewiadomo z jakich przyczyn, najpewniej jednak dla tego, że siedziała właśnie w czasie pierwszego rozbioru na tronie rakuzkim cesarzowa tak pobożnej sławy, jak Marja Teresa, i że rządy jej odpowiadały bardziej zabranemu krajowi już samą wspólnością religji — Polacy galicyjscy spodziewali się zawsze, że im w tej klęsce jeszcze najlżejszy los przypadł w udziale.

Tymczasem nawet te rezygnacją miarkowane nadzieje okazały się sangwinicznymi. Doświadczyła tego boleśnie dzisiej-

sza Galicja, a jeszcze bardziej może owa tak zwana „Galicja druga“, choć nie długo była pod panowaniem austriackiem. Około czasu naszego opowiadania najbardziej to uczuli Polacy. Ucisk powszechny, zmuszanie do służby w kamaszach kijami, wieszanie rozproszonych oddziałów z powstania Kościuszkowskiego, które szukały schronienia za granicami Austrii, liczne aresztowania jak np. Ignacego Potockiego, marszałka Małachowskiego, Piramowicza i Zakrzewskiego, jak również Kołłątaja i Zajączka, którzy pierwsi otworzyli szereg więźniów polskich w fortecy józefstadtzkiej, brutalne chłosty przy indagacjach, jak np. w sprawie Raciborskiego, pogarda i ucisk polskiej narodowości, nieszanowanie własności prywatnej przez niektórych urzędników cudzoziemskich; to wszystko rozczerowywało nawet tych, którzy ciągle jeszcze ze wszystkich rozbiorowych rządów najwięcej pokładali ufności w Austrii.

W naszej jednak Galicji, w tej, która nią do dziś dnia pozostała, rozczerowanie takie nastąpiło zaraz z początku. Zaraz z pierwszych lat panowania austriackiego zostały nam ciągle skargi i narzekania. Naruszenie praw własności, zubożenie mieszkańców, upadek rolnictwa i kredytu, powaśnienie stanów i rodzin nawet, brak opieki nad religją, wyrwót wiary publicznej — te wszystkie oplakane skutki przypisywano zmianie rządów.

Już sam sposób składania przysięgi nowemu rządowi mocno obraził nowych poddanych. Cheiano przysięgę hołmagjalną złożyć w godziwszy sposób za pośrednictwem deputowanych i w imieniu całego kraju, a rząd tymczasem

kazał składać hołd w ręce cudzoziemskich urzędników, którzy najczęściej niegodni reprezentować tronu już samym swym charakterem pozbawionym wszelkiej godziwości, pogardą swą dla Polaków i brakiem taktu jętrzyli umysły. Egzekwowanie przysięgi homagjalnej, było upokarzające, i oburzało narodowe i osobiste uczucie do głębi.

Nowa i nagła zmiana organizacji w stosunkach ziemiańskich zachwiała kredytem ziemian. Przyczyniło się do tego także niedotrzymywanie warunków słuszności ze strony władz nowych, mianowicie przy sprzedaży starostw lub przy nabywaniu salin. Brak pieniędzy dał się uczuć w gwałtowny sposób, złoto i srebro zniknęło, a natomiast zalały kraj papiery wątpliwej wartości i moneta bita z podłego kruszczu. Podkopany kredyt pociągnął za sobą niesłychaną lichwę. Szlachta lichwy tej wyminąć nie mogła i poczęły się mnożyć ruiny majątku. Ztąd masa procesów konkursowych, subhastacyjnych i fiskalnych, i bezprzykładny zamęt w stosunkach majątkowych. Niesumienność mianowanych kuratorów i sekwestratorów podkopywała jeszcze bardziej kredyt i publiczną wiarę.

Zabranie prywatnych zapisów kościelnych na fundusz religijny, znoszenie kościołów i klasztorów, wydało się naruszeniem praw religji. Do zarzutu tego przyczynił się dalej i zarzut demoralizowania społeczeństwa. Wyszły bowiem świeżo tak nowe podówczas jeszcze prawa, na mocy których żony swych mężów, dzieci rodziców wpłatywały w gorzszą procesa, o majątkowe sprawy. Powstało ztąd rozdwojenie w kole samej rodziny, sądowe skandala między

rodzicami a dziećmi. Znając dawną, tradycyjną patryarchalność rodziny polskiej można sobie wyobrazić, jak dalece gorszyć musiały słusznie czy niesłusznie podobne wypadki literą nowego prawa dozwolane.

Ogromny, coraz bardziej wzrastający ciężar najrozmaitszych podatków dopełnił miary nieukontentowania. Nowa organizacja rządów, w których zasiadali prawie sami Niemcy, przejmowały nieufnością do organów publicznej sprawiedliwości — a szlachta skarżyła się gorzko, że rząd niedotrzymał danego przyrzeczenia i nieuszanował zasady: *a paribus et constatibus judicamini*.

Ludziom nawykłym do konstytucyjnych form rządu musiało się także dotkliwie dać uczuć zupełne zniesienie wszelkiego cienia nawet reprezentacji politycznej. Ciągłe domagania się jakiegokolwiek parlamentarnej instytucji, powtarzające się pod wszystkimi monarchami Austrii z owej pory, pozostawszy długo bez uwzględnienia, doczekały się w końcu — obietnicy. A obietnica ta, której wykonanie tak długo zwlekano, zawierała w sobie tylko igraszkę, tylko dziecienną komedję, bo za taką uważać należy późniejsze stany galicyjskie, te sławne stany i ten sławniejszy jeszcze sejm postulatowy, który przyszedł dopiero za cesarza Franciszka w życie!

Stany zaprowadzone na papierze w roku 1782 były dowcipnym żartem z biednej prowincji, która tak łaknęła choćby cienia reprezentacyjnego życia. Nie *an?* ale *quomodo?* było hasłem przywileju tej śmiesznej instytucji. Miano się naradzać nie nad tem, czy płacić wielkie podatki

i ponosić ciężary, ale jak je płacić i jak je ponosić. Atoli wolno było — tak głosił dekret zarządzający stany — wolno było.... podawać pokorne przełożenia i najuniżeńsze przedstawienia w formie prośb!...

A zażartowanie takie z żądań i życzeń kraju uchodziło dobrze podówczas a co więcej, wydawało się wielu galicyjskim panom, którzy z przedziwną łatwością potrafili wyzuć się z polskości i wleźć od razu w galicyjską skórę, prawdziwem ustępstwem, przywilejem wielkiej ceny i wagi!... Niestety! miały to do siebie owe nieszczęsne porozbiorowe czasy, miał to do siebie niski i lekkomyślny charakter pewnej części wyższej szlachty polskiej, że mimo kontrastów między dawnym a obecnym stanem rzeczy, srom słuźalstwa tak łatwo jakoś przystawał do duszy!

Dość wielu było takich, których zaraz pierwszy nowicjat niewoli zdemoralizował w najsmutniejszy sposób, którzy dla widoków dziecinnej ambicji tak prędko zapomnieli a tak prędko się nauczyli! którym do liberji nawet miary brać nie było potrzeba! Może najciekawszą choć najbardziej upokarzającą byłaby historia owej pory zabiegów o zaszczyt nowych niemieckich tytułów, owego wywodu szlachectwa, nakazanego dekretem z r. 1775. Dekret ten, który namnożył tylu grałów i grafiątek galicyjskich, jeżeli znalazł odpowiedź takich n. p. Bąkowskich, którzy płacili za to po 12,000, aby im — oszczędzono niepożądanego tytułu grałów, jeżeli znalazł wielu potomków dawnych znakomitych rodów, którzy tylko przymusowo przyjmowali nowe tytuły — to iluż za to zastał w kraju półgłówków, co dla śmiesznej ambi-

cyjki wyzuwali się w szale swej grafomanji z fortun, z własnej godności, z poczucia narodowych tradycyj!

Dziwne to zjawisko, że tam właśnie gdzie ojczysta polityczna wolność znalazła tyle ambieji, tyle wichrzycielstwa i niesforności, zastał obcy ucisk tyle słuźalstwa, tyle krwi zimnej na poniżające upokorzenia! Niezawodnie bardzo słuszenie zcharakteryzował poeta Karpiński pewną wyrodną część magnaterji polskiej, kiedy urażony pewnego razu przez jakiegoś tytułowca owej daty, rzekł mu:

— Wy magnaci zawsze od nas szczęśliwsi!

— Dla czegoż? W czymże mamy preferencją? — zapytał tak zagadniony.

— Oto wy magnaci — odparł nasz poeta — po upadku Polski najpierwsi w pyski braliście, a potem niektórych z naszych ubogich policzkowano!

Jeżeli słów tych żadną miarą zastosować nie można do całego stanu, jak to uczynił rozgoryczony śpiewak sielanek, to przecież jedną, nieliczną a wyrodną część szlachty oceniają one bardzo trafnie. Ale taka to już była klątwa pory i stosunków, że jak z strony władz nowych działały się często najdotkliwsze nadużycia i wychodziły ciężkie zniewagi dla narodowości zabranego kraju, tak znowu w wielu reprezentantach tegoż samego kraju uderzały brak taktu i dziwna lekkomyślność. Wielce zabawnie opowiadają nam pamiętniki z owych czasów, że gdy cesarz Józef był w nowej swej prowincji i bawił we Lwowie właśnie w czasie kontraktów, możniejsza szlachta chcąc zaimponować niejako Niemcom, występowała wszędzie z ogromnym przepychem, olśniewała

zbytkową wystawą strojów, pocztów i ekwipaży. Cesarz Józef widząc tę ostentację zbytków i bogactwa, którego wistocie nie było już w kraju, miał wyrzec publicznie:

— Żalicie się na wielkie podatki, a taki zbytek u was!

I oto, jeśli można uwierzyć w tak arcyśmieszny fortel, szlachta natychmiast zaprzestała ostentacji i uciekła się wprost do ekstremu. Panie pozdejmowały klejnoty i perły drogie, panowie poodsełali na wieś ekwipaże i chodzili po Lwowie piechotą. Cesarza i Niemców musiało to oczywiście ubawić serdecznie!...

Znachodzili się i tacy już nawet, którzy zamiast stawić tamę germanizacyjnej powodzi, pomagali niejako urzędnikom niemieckim, jak np. pewien pan galicyjski, który proponował, aby żaden krajowiec nie był urzędnikiem, na co nawet ówczesny gubernator Brygido zgodzić się nie chciał. Powstał osobny ród zauszników, pochlebców, zaprzańców, którzy więcej niezawodnie dokuczali krajowi niż cudzoziemcy.

Tymczasem rząd ignorował zupełnie narodowość polską, a językowi krajowemu żadnego nie uczynił ustępstwa. Rozpoczęła się praca germanizacyjna, praca zacięta ale płonna, jak tego dowiodła jej ciągła bezskuteczność, mimo że praca ta prawie wiek cały trwała. Rzuciła się biurokracja z swą drobnostkową gorliwością do tępienia narodowości, wymazywano z akt, z pism, z kalendarzów nawet imię Polski, zakazywano Matkę Boską zwać królową Polski, kazano się uczyć po niemiecku.

Urządzono demoralizujący system szpiegostwa w kancelariach biurokracji, a każdy przeklinał *pessimum genus delatorum*, bo każdemu dali się we znaki mistrzowie tego nikczemnego rzemiosła. Nadto rząd sam, choć był zapewne humanitarniejszym od moskiewskiego, był uprzykrzony, nudny, cikliwy. Dręczono drobnostkami, formalnościami, zalewano powodziami przepisów, cyrkularzy, nakazów itd., trapieno do rozpacz y pedanterją.

Podział na dystrykta a później na cyrkuły źle odpowiadał potrzebom kraju, a w dystryktach tych i cyrkulach dokazywali ojcowie naszej biurokracji nudząc, sekując, tyranizując szlachtę. Rozehodziły się po dworach szlacheckich befele i ferordnungi, pisane w niemieckim niezrozumiałym języku, trzymane w tonie ostrym, bezwzględnym, grożące rygorami kar i egzekucyj. Nie prawo ale często kaprys dyrektora dystryktu lub krajshauptmana decydował o spokoju biednych ziemian, cytowano ich bez ustanku, wodzono od Anasza do Kaifasza.

Szlachta stawiać się musiała na takzwane *interrogatoria*, które były czemś na wzór amtstagów dla wójtów. Na interrogatorjach tych miano wypytywać się o to, co dolega krajowcom pod nowym rządem — a istotnie używano ich na to tylko, aby im przypomnieć w najboleśniejszy sposób, że stracili wolność i ojczyznę. Skarżyła się szlachta na tych interrogatorjach na ciągłe pisaniny i egzekucje, (*continuae et assiduae scriptoriae et continuae executiones*), ale nic to nie pomagało, bo obijało się o niewyrozumiałość urzędników pierwszej zaraz instancji, którzy nadużywając w obu-

rzający sposób swej władzy, byli nieraz w swych dystryktach prawdziwymi kacykami.

Los obywatela pod władzą kreishauptmanów najlepiej maluje nam humorystyczny wierszyk Karpińskiego, który sam mając w Galicji dzierzawę w pierwszych latach zaboru austriackiego, doświadczył na sobie wszystkich tych systematycznych przykrości. Pisz on list do przyjaciela za kordorem a list ten datuje:

Z ostatniego Polski progu,
Gdzie się zdało Panu Bogu,
Oderwać od nas kraj żyzny,
Ruś, dawną mamkę ojczyzny...

W liście tym daje nam poeta następujący obraz pierwszego krajskapitana galicyjskiego.

Po wesołej w Polsce chwili,
Jużeśmy prawie wkroczyli
W kraj gdzie śmiać się zapomniano,
I gdzie płakać zakazano!
W kraj pełny uniwersałów,
Wiecznych prawnych foljałów,
I kursoryj, instruktarzów,
Ostrzeżenia, cyrkularzów!
Któż ich wszystkich nawspomina,
Gdy ich sto rodzi godzina?...
W polskiej bawiąc się krainie,
Stodko każdy dzień przeminie,
Czym był z równym, czym był z panem,
Insza tu rzecz z *krajshauptmanem*.
Ustąpcie! jedzie przez miasto,

Strojno, czubno, pętliczasto,
 Sama jejmość pełna sadła,
 Jakby naraz wołu zjadła,
 Tuż przy niej pociechy lube:
 Dwoje przy boku *szpicbube!*
 Wszelako z temi paniami,
 Często sobie radzim sami;
 Lecz w głowę zająć z temi pany,
 Zowią się memi *landsmamy*,
 A gorsi są niż Tatary,
 Wrogi i worka i wiary,
 Lubią, gdy co kogo boli...
 Już ich czuję.... *Tibi soli*....

Istotnie też nie tyle sam system rządu, co jego wykonawcy, był przykrym i srogim dla Galicji. Cyrkuły np. tak mocno dojeły szlachcie, że podając później petycję do tronu, prosiła nietylko o reformę organizacji kraju, ale wyraźnie i osobno błagała o wieczne usunięcie nienawistnej nazwy „cyrkułów”. *Que quoique dans la réalité le nom ne fasse rien à la chose, que cependant par indulgence pour l'opinion de ces peuples, et pour empêcher, que les noms odieux ne rappellent pas des maux passés V. M. daigne casser le nom des cercles justement abhorré dans le pays...* — mówi napisany po francusku memoriał z r. 1790.

Nastąpi z Niemiec urzędnicy przynieśli z sobą pogardę dla kraju i jego narodowości, a pogardę tę objawiali przy każdej sposobności. Brak ludzkości i ogłady, duma, zarozumiałość, despotyzm, były przymiotami wielu biurokratów.

Powodowały nimi często nienawiść do kraju i pewne rozmiłowanie się w dręczeniu jego mieszkańców, osobliwie szlachty. Ziemianin nie miał do czynienia z urzędnikiem ale z wrogiem, od którego ciągle doznawał najdotkliwszych upokorzeń i uraz. Tak było przynajmniej na początku.

Przytoczymy przykłady. Pan krajskapitan brzeżański rozesłał był do wszystkich obywateli swego cyrkułu cytacje, aby się na oznaczony dzień pod rygorem aresztu i kajdan stawili u niego. Zjechała się szlachta punktualnie, czekała długo w przedpokoju, aż nareście wszedł i sam pan krajskapitan.

— *Alle da?* — zapytał.

— Wszyscy! — odpowiedzieli zgromadzeni.

— Czy zachowujecie przepisy cesarskie?

— Zachowujemy.

— Jedźcież sobie do domu — odparł krótko p. krajskapitan.

Oczywiście odgryzała się szlachta jak mogła, a nieraz nawet bardzo dobitnie. Pewien szlachcic, Bobrowski, jadąc spotkał się na drodze z krajskapitanem i nie ustąpił mu wcześniej.

— Na bok *schelm* Polak! — zawołał krajskapitan.

Bobrowski uniesiony gniewem chwycił za strzelbę i wypalił do Niemca.

Inny obywatel z ziemi przemyskiej otrzymał nakaz w prostackich wyrazach, aby się stawiał zaraz do krajskapitana. Szlachcic nie stanął, i oto na drugi dzień zjeżdża do niego sam pan krajskapitan, a nie zważając na zgromadzonych

właśnie licznie gości, złażał i zszelmował gospodarza. Szlachcic nie wiele myśląc, kazał uchwycić Niemca i krótką sprawą sto bizunów mu wyliczył. Wpłatał się ztąd w długi proces, z którego jednak po długich zabiegach i kosztach na sucho wyszedł.

Dyrektor dystryktu lwowskiego, Ferdinandi, który był dawniej lokajem w Wiedniu, biczem uderzył szlachcica w własnem pomieszkaniu. Zelżony kazał go zamknąć do chlewu, a na drugi dzień związanego do Lwowa odstawił.

Nie było może nawet nieraz innego sposobu odwetu. Trzeba bowiem wiedzieć, że wielka część niższych urzędników w Galicji składała się wówczas z ludzi wątpliwej przeszłości i wątpliwszego jeszcze wykształcenia. Sami nawet paszkwilanci i oszczercy Galicji, jak np. autor *Schmähbriefów* Kratter, i Rohrer przyznają, że wielu urzędników było prostakami i niktzemnych antecedencyj, i że w kraju zabranym odznaczali się gorszącą demoralizacją, burdami a niekiedy lichwą.

Z jakich ludzi rekrutowały się w części niższe zastępy biurokracji charakteryzuje dosadnie dowcip pani Kossakowskiej, kasztelanowej kamińskiej, która będąc w Wiedniu u cesarzowej Marji Teresy, na zapytanie, jak się jej Wiedeń od czasu pierwszego w nim pobytu podoba, odpowiedziała:

— Bardzo mi się podoba. Od ostatniego mego pobytu Wiedeń się upiękniał. Uważam, że od czasu zajęcia Galicji, mieszkańcy kraty z okien powyjmowali, bo tych, których się obawiali, wysłano na urzędników do Galicji.

Tańska pani Kossakowska, jadąc raz we Lwowie z gubernatorem przez ulicę, rzuciła żebrzącemu jałmużny Niemcowi dukata, podczas gdy przedtem polskiemu żebrakowi dała tylko złoty. Gdy ją gubernator o przyczynę tej różnicy zapytał, odrzekła:

— Bo Niemiec prędko się u nas z bogaci, a jak zostanie konsyljarzem, to mi będzie pamiętał.

Pani Kossakowska prowadziła też ciągłą wojnę z Niemcami. Miała wielką satysfakcję usuwać ich z posad, co ją bardzo dużo kosztowało, czego jednak zazwyczaj dopiąć umiała w Wiedniu. Bali się jej więc ogromnie niemieccy biurokraci, wiedząc, że zadarliśy się z panią kasztelanową urzęda potracić by mogli.

Ale prawdziwym biczem na dokuczliwych Niemców był hrabia Gozdski, pan możny, mieszkający w pobliżu Lwowa. Znany on był z figlów, które płatał Niemcom, w czem mu pomagały znaczne wpływy, majątek i nieczemnie ustraszona odwaga. W przyszłym rozdziale przyjdzie nam zaglądnąć wraz z Tadeuszem do jego dworu w Jaryczowie, gdzie będziemy mieli sposobność zabrania także znajomości z pierwszym krajskapitanem galicyjskim.

Tymczasem przeprosić musimy czytelnika za tę dygresję o Galicji w kołobce, która urosłszy w rozdział cały, przerwała zwykły tok naszej powieści.

V.

Pan graf jaryczowski.

Tadeusz, załatwiwszy polecenia Zakruckiego we Lwowie i pożegnawszy serdecznie chorego Dederkałę, opuścił zaraz tegoż samego dnia stolicę. Celem jego podróży był Kraków, dokąd tak spiesźnie było młodej duszy, pragnącej czynu i burzy. Nim jednak ostatecznie puścić się miał w drogę ku staremu grodowi, musiał Tadeusz zboczyć jeszcze ze Lwowa na chwilę. Jak już wiemy z przedostatniego rozdziału, miał się Tadeusz z polecenia Zakruckiego widzieć z panem hrabią Gozdzkim *). Gozdzki bardzo często przebywał we Lwowie, tym razem wyjazd jego uprzedził przybycie Tadeusza. Młody nasz oficer musiał tedy odwiedzić Gozdzkiego w jego własnym dworze w Jaryczowie.

Upprzedzimy Tadeusza, a nim zdąży do tej miejsciny, zapoznamy czytelnika z panem Gozdzkim.

Znanym i głośnym na Galicję całą był dwór jaryczowski, sławnym i wielce popularnym gospodarz jego! Józef hrabia Gozdzki, pan możny, szwagier tak głośnego podówczas księcia de Nassau, należał do najwybitniejszych figur szlachty

*) Szczegóły do oddania postaci hr. Gozdzkiego zawdzięczaam Pamiętnikowi anegdotycznemu, wydanemu przez I. J. Kraszewskiego. Poznań 1867.

galicyjskiej, był pod niejednym względem typem pierwszego Galicjanina, typem jakiego musiały stworzyć nagły przewrót publicznego życia i owa konieczna walka narodowego charakteru z przykremi warunkami i formami nowego bytu.

Cechami takich typów były głównie: uporne odmawianie nowemu porządkowi rzeczy tytułu *de jure* a przymusowe tylko folgowanie temu, co było *de facto*, rezygnacja bez kapitulacji, powolne posłuszeństwo bez hołdu, mus bez uznania, wieczny protest w sercu i na ustach, walka umysłu i uczucia z rzeczywistym stanem stosunków, uciekanie się bodaj do własnej iluzji, aby choć nią nawiązywać zerwaną nić ojczystej wolności...

Taki dziwny i boleśny czas dysharmonji i kontrastów między tem co żyło jeszcze w duszy a tem co pogrzebano w rzeczywistości — jak cichsze i spokojniejsze charaktery wiódł do zupełnego odcięcia się od świata, do zamknięcia się w najciaśniejszej skorupie przed przykremi wrażeniami nowego ładu, do formalnego pustelnicstwa — tak znowu burzliwsze i gwałtowniejsze umysły pobudzał do ciągłych starć, do czynnego oporu, do awanturnicznych zapasów z nowym rządem.

Pan Gozdcki należał właśnie do tego ostatniego rodzaju. Z natury burzliwego i namiętnego usposobienia, obdarzony bezprzykładną, do szaleństwa posuniętą odwagą, z wrodzonym popędem do krnąbrnej awanturniczności, przebył on młodość swą i wiek męzki wśród ciągłych przygód. Gdy po rozbiórze Polski nie chciał złożyć homagjum carycy, skon-

fiskowano mu na Podolu dobra, a on przeniósł się wówczas do Galicji, gdzie objął majątek, zapisany mu przez wujenkę, panią stolnikową Humiecką.

Jeszcze przed stałem swem osiedleniem się w Galicji, znany on był w tej prowincji z całego szeregu przygód i awantur. Staczał formalne bitwy z panem starostą kaniowskim o jego żonę, rębał Moskali, kiedy przed rozbiorem zajęli byli stolicę Rusi, później rozbijał Niemców, wyrzucał nowych urzędników z swego domu, nie uznawał nowego porządku i nie płacił dobrowolnie podatków, dając się egzekwować i składając starannie kwity egzekucyjne, aby się niemi, jak mawiał, później wykazać, że nie on płacił, ale mu przymusowo zabierano.

Niegdyś rębacz pierwszej sławy, jeździec nieprześcigniony i obdarzony olbrzymią siłą, poddał się już w czasie naszego opowiadania starości, która po tak burzliwym życiu musiała być w dwójnasób dokuczliwą. Gozdzki nie dosiadał już konia, nie dobywał szabli, choć się nigdy od niej nie odłączał, a ból w nogach zmuszał go prawie do ciągłego siedzenia. Rozrywał się za to czytaniem książek i gazet, których był wielkim miłośnikiem, lub muzyką, w której był biegłym dyletantem.

Dwór jaryczowski, jakkolwiek nie był już tak huczny i głośny jak za młodszych lat swego gospodarza, zachował jednak zawsze stopę magnackiej okazałości. Sześćdziesięciu pajuków w szarozielonej barwie, pod rozkazami marszałka, liczny oddział strzelców z łowczym na czele, osobna dworska kapela — robiły dwór ludnym i rojnym. W stajni stało sto

dwadzieścia koni, bo choć sam Gozdzki jeździł jednokonną soliterką, to towarzyszyło mu przecież zawsze około czterdziestu ludzi i tyleż koni. Oprócz służby zwykłej przebywali na dworze jaryczowskim zawsze kapelan i lekarz nadworny, i mieściła się nadto znaczna liczba szlachty i rezydentów.

Lecz czas już zapoznać się nam z samym gospodarzem. W ulubionej swej komnacie, która będąc rodzajem sypialni, zbrojowni i gabinetu zarazem, przepelniona była książkami, papierami i całym zbiorem broni wojennej i myśliwskiej wszelkiego rodzaju, siedział sam pan na wygodnem, szerokiem krześle z ręką opartą na grubej lasce. Był to mężczyzna olbrzymiej budowy ciała i wielkiej bardzo tuszy. Twarz jego, jakkolwiek tuszą tą zmieniona i pozbawiona wyrazu, uderzała przecież stanowczemi rysami, a oczy zachowały cały ogień i całą energję spojrzenia z lat młodszych. Siwa czupryna krótko była postrzyżona, ale zato wąs duży i pokrętny sumiasto przewijał się po ogromnych policzkach i nadawał całości twarzy wiele charakterystycznej, sarmackiej grozy, którą podwajało jeszcze czoło wysokie i chmurne.

Pan Gozdzki właśnie przed kilku godzinami powrócił ze Lwowa i siedząc na krześle z markotną miną, nudził się widocznie. Słabość nóg nie pozwalała mu nigdy prawie opuszczać krzesła, odjęła mu najprzyjemniejsze niegdyś rozrywki. Przy podobnym stanie zdrowia jedyną zabawą, przypominającą czasy zdrowia i siły, było polowanie na kaczki. Pan Gozdzki kazał się wówczas wynosić na krześle nad brzegi dużego stawu jaryczowskiego i strzelał do kaczek. Krzesło było umyślnie tak urządzone, że łatwo na wszystkie

strony można się było na niem poruszać, a sam strzelec był tak dzielny, że żaden strzał nie spudłował mimo utrudnionej pozycji. Ale dziś już minęła pora polowania, a tym sposobem odpadła jedna z najmilszych rozrywek. Pan Gozdzki bawił się jakiś czas książką, potem kazał sobie podać skrzypce i próbował dawnego talentu, ale i głowa dziś jakoś do czytania nie była układna i palce do smyczka nie zreczne.

Rzucił tedy jedno i drugie, stuknął laską, ruszył niecierpliwie nogami, które mimo słabości tkwiły zawsze w ślniacych palonych sztylpach z ostrogami, ziewnął i szarpnął za taśmę od dzwonka. Jeszcze się nie uspokoiła poruszona szarpnięciem taśma, kiedy za drzwiami dał się czuć powolny, ociężały krok i niebawem stanęła w pokoju wysoka, chuda postać.

Był to pan Dyźma Hołubowicz, marszałek dworu i nierozłączny towarzysz i przyjaciel pana Gozdzkiego. Chudy, cieńki, zgarbiony, miał główkę w stosunku do postaci bardzo malutką, twarz drobną zwiedłą, pomarszczoną i pobabczoną, nos cienki z karmazynowym kolorytem, a na głowie zaledwie garść siwych włosów. Ubrany był w płowy kontusz przepasany jasnoblękitnym jedwabnym pasem, za który powsuwał ręce kończasto w łokciach zgięte. Starowina ledwie suwał nogami i pokaszłwał po drodze, a posunąwszy się na kilka kroków od drzwi w głąb pokoju, stanął, uklonił się i zapytał;

— Pan hrabia woła?

— Wołam, wołam bratuniu, bo mi już drzemać przychodzi z nudów! Ale siadaj stary, siadaj, bo jak żóraw kiwasz się na nogach...

Pan Hołubowicz jeszcze przed zaproszeniem oglądnął się za krzesłem a teraz usiadł sobie sztywnie i odchrząknął.

— Nie ma kaczek?

— Oho! kędy tam kaczki, ani łapki! — odparł stary machnąwszy ręką.

— A z poetyką jak tam? — zapytał dalej p. Gozdzki.

Była to aluzja do słabości pana Hołubowicza, który nudząc się często we dworze próbował nieraz Pegaza. Była to najsłabsza i najdrażliwsza strona starego Hołubowicza, więc popatrzył podejrzliwie na hrabiego, czy też nie szydzi z niego.

— No, no, przyznaj się stary bratku! Palce jak widzę masz waszmość inkaustem powalane!

— At wolne żarty, panie hrabio, wolne żarty! — odparł Hołubowicz — pan hrabia kpi ze starego a już to, mówiąc otwarcie, nie takim tam bardzo podlejszy od pana starościca korytnickiego, albo od pana Karpińskiego, co sobie tak hrabia w nich upodobał! Ich poezje za złamanego szeląga nie mają kunsztu! Kunszt panie, kunszt! to fundament *artis poeticae*!...

Stary widocznie się zapalił, bo i rumieniec na twarz mu wystąpił i długie kościste ramiona biegały jak skrzydła wiatraku.

— Jakiż to kunszt, panie Dyzma?

— A cóż mi tam za kunszt kleić rymy do rymów, to i gmin potrafi! Ale naprzykład logogryf składany, albo akrostyk cefoliczny, albo pieśń orficzna, albo wiersz wężykowaty, z gwiazdą podwójną i *et caetera*, to mi kunszt prawdziwy! Gdzie tam teraz takie wiersze piszą...

— No i napisałeś jaki wiersz kunsztowny? — zapytał z uśmiechem Gozdzki.

— Ba! gdyby to pan hrabia bez pośmieszków wysłuchał, np. ten rodowód Gozdzkich, co się zaczyna: „Got z Gotów gotów, godny pan graf Gotski...”

— No, no, daj wasze pokój, ja się nie będę starał o żadną monarchię, tak jak moja pani siostra o monarchów, to mi się i z królów gotskich wywodzić nie potrzeba! A zresztą to stare, a masz zapewne coś nowego.

— To chyba ten obelisk z szesnastu gatunków wierszy do panny...

— Oho! do panny, do panny! A do jakiej?

— Do panny Nowotarskiej! — bąknął stary mieszając się znacznie.

— Złapał się stary, złapał! A to pięknie do panien wiersze pisać, a grzybie! grzybie!...

— A no i pan hrabia nie o wiele młodszy, a przecież niedawno...

— *Plus quam perfectum!* panie Hołubowicz! Dawne dzieje! dawne dzieje!

— Dawne i niedawne — poderwał Hołubowicz, kontent że temat kłopotliwy zmienić może — Nieraz jak się człek zaduma, to mu się zdaje, że to wczoraj było, jakeśmy

sobie hulali, np. jakto mnie pan hrabia poznał i z zaścianku wydobył.

— Aha! kiedyśmy to Kamieńca dobywali! — zaśmiał się Gozdzi.

— Kiedyśmy to przez rankor na pana komendanta Kuczyńskiego azardowali się w ośmdziesiąt koni na 300 ludzi, na cały garnizon forteczny!

— A potem w łańcuskach siedzieli w kozie!

— Albo mospanie! — ciągnął rozpalając się Hołubowicz — kiedyśmy w wojnie pruskiej jednym patrolem z pułku Małachowskiego trzechset Austrjaków żywcem złapali!

— Za co potem król Fryc mało mnie nie powiesił, żem rozejm zakłócił! Ale milcz o tem wasze, wstyd mi, żem kiedyś w pruskim wojsku służył, pod tym rozbójnikiem, co potem kraju nam zdradnie nadszarpnął!

— Szelma luter!... Nie mówiłem ja już wtedy, że szelma! Albo potem we Lwowie za okupacji Kreczetnikowa? he? kiedy to kilkadziesiąt oficerów atakowało w nocy pana hrabiego. Pamiętam jak dzisiaj! Spię sobie w alkierzu, a tu naraz hurma oficerów nastaje na pana. Pan hrabia woła: „Zamknij drzwi!” i brzęk, szczęk na szable! Ja wybiegam z szerpentyną, wal! pal! i tałałajstwo w nogi!

Gozdzki uśmiechnął się na to wspomnienie; a po uśmiechu tym poznać było, że było mu miłe.

— A potem... potem!... Co też to się awantur nie narobiło, ale już pamięć nie dopisuje!

— Potem — dokończył Gozdski — staliśmy się *kaiserlikami*, przyszli Austriacy, i trzeba było szablę zanitować, i cicho siedzieć...

— O niech bo hrabia poczeka, a wojna z panem Kaniowskim? Kiedyśmy mu jego nieboszczkę żonę, a później naszą panią hrabinę, po dwakroć odbijali? A oblężenie Jaryczowa, kiedy to pan Potocki z armatkami na nas nadciągnął, a my się odsiekli i armatki zabrali? A bitwa z milicją Kaniowską pod Glinianami i traktat pokojowy w tem mieście z panem Potockim zawarty?

— *Infandum jubes renovare...* panie Dyzma! Dziś milicji nie ma, nie wolno, a coby to czarapary z harbajtlami powiedzieli?

-- Owa! bijaliśmy i czarapary, albośmy to z kretesem raz albo dwa razy zalali sadła Niemiaszkom? A jak pan dyrektora policji, tego Strassolda, co potem uciekł ze Lwowa, u samego gubernatora, kiedy panu przymówił, tak macnął po czerepie, że Niemiaszek aż za trzecie drzwi wyleciał! Chciał się mścić potem i nastawił zasadzkę w teatrze! Oj byłaż to łaźnia! Pan hrabia jednego Niemca kijem strzepał, a chwyciwszy drugiego za nogi, wywijał nim i obraniał się przed resztą!

— Ale potem z Galicji *fugas chrustas...*

— No, ale się wróciło i co nam zrobili?

Stary się rozsapał, rozpałił i przymilkł zadyszany.

— Widzisz że, widzisz, panie bratku — ozwał się Gozdski ze śmiechem — jacy to my zuchy byli! A teraz co? Ja stary grzyb, kaleka z krzesła ruszyć się nie mogę, a ty

łazisz jak óma, szurujesz łapami i kiepskie wiersze orficzne i obeliszki gryzmolisz!

Zachnął się pan Hołubowicz draśnięty najdotkliwiej tą przymówką i już miał wyjechać z jakimś argumentem na obronę swego poetyckiego kunsztu, kiedy nagle wszedł sługa w szarozielonej liberji. Porwał się marszałek z poważną miną z zapytaniem, i dowiedział się, że jakiś młody pan przybył ze Lwowa i chce się widzieć z panem Gozdzkim.

— Czy wpuścić zaraz? — zapytał Hołubowicz.

— Ale zaraz! natychmiast! Rad będę gościowi!

Wysunął się z pokoju Hołubowicz, szurając butami po posadzce, a za chwilę wszedł do komnaty gość zapowiedziany. Był to Tadeusz. Ukłonił się nisko i z uszanowaniem, a pan Gozdzki uprzejmie pochylił się z krzesła.

— Tadeusz Warski! — przedstawił się nasz bohater.

— Warski?... Warski... Tadeusz? — przypominał sobie hrabia — aha! już mam! Widziałem waćpana temu lat kilka wraz z panem Zakruckim! Byłeś wasze młokos jeszcze, a teraz jak widzę szlifa oficerska na mundurku! Witam waćpana i jesteru na rozkazy!

I podał uprzejmie Tadeuszowi dłonie.

Tadeusz uściśnął dłoń starca i wydobywszy list podał go Gozdzkiemu.

— Od pana Zakruckiego? A zdrów stary i wesoły? co? — i nie czekając odpowiedzi na zapytanie rozłamał pieczętkę i począł szybko list czytać.

Nagle porwał się z krzesła mimo nóg osłabionych i z rozpromienioną twarzą zawołał:

— Więc rzecz skończona! Więc pomścimy się krzywd naszym! *Alea jacta est!*

I szarpnąwszy ku sobie Tadeusza z uniesieniem go uściskał.

— Wiedziałem o tem dawniej, ale niedokładnie, a we Lwowie jakoś mi nie całkiem stanowczego powiedzieć nie umiano. Zwyczajnie człowiek stary, chory, to już ludzie o nim nie pamiętają, a jak mecenasa Dzierżkowskiego nie zastaniesz w mieście, to już nic się nie dowiesz...

I przebiegłszy raz jeszcze okiem list Zakruckiego mówił dalej:

— Frant Zakrucki! Mieszka za światem a już ztamtąd ma wiadomości i informacje, a ja choć bliżej ludzi, czekam i czekam na listy i instrukcje z Krakowa! Zuch obywatel, o ojczyźnie pamięta! No dzięki Bogu! już rzecz gotowa, już plan stanowczy! Waszmość wprost do Krakowa?

— Wprost i bez zwłoki!

— Piszcie stary o akcesie! Ależ ja wszystko dam na akces! Biercie cały mój majątek, bierzcie wszystko, wszystko! Krwi dać nie mogę, bo ledwie gdzieś jeszcze kropla jest w żyłach, co nie zastygła, a człowiek okaleczał z kretesem! Wiwat nasza! Wiwat pan Kościuszko!

I stary Gozdzki odmłodził, odżył, a radość twarz mu opromieniła.

I znowu uściskał Tadeusza.

— Byleby nie zwlekać, byleby ot zaraz i hajże na szelmów! My damy wszystko, mienie nasze, życie nasze! Lepiej paść z orężem w dłoni narodowi, niż niktzemnie hańbą się dodławić!

Tadeuszowi rozgorzało oko, jakby w odpowiedź na zapal starca.

— Waszmość u mnie do jutra będziesz łaskaw zostać?

— Nie wiem czy mogę zwlec tak wyjazd...

— Ale możesz, możesz! Już ku wieczorowi, daleko dziś nie dojedziesz. A ja chciałbym dać przez waćpana listy do Krakowa.

— I Zakruckiemu raczy hrabia odpisać...

— Natychmiast odpiszę i stawić się będę we Lwowie na termin. Uwagi jego aprobuje jako szlachetne, trzeba robić koniecznie tak jak on myśli, wszakże prowincja nasza choć przechrzczona, to przecież zawsze polska... Ale siadaj panie Tadeuszu, rozgość się, pogadamy.

Niebawem rozpoczęła się żywa pogadanka. Przedmiotem jej było bliskie powstanie narodu i jego nadzieje. Gozdzki rozmawiał z zapalem młodego, z wiarą i otuchą człowieka, którego nic złamać dotąd nie mogło.

Tak rozmawiali przez pewien czas gospodarz z gościem. gdy naraz zaskrzypły drzwi i ukazała się w progu chuda i długa figura pana marszałka Hołubowicza.

— A co tam stary bratku? Choć no wasze bliżej! — zawołał Gozdzki, którego rozmowa w dobry wprowadziła humor.

Hołubowicz był jakoś zmięszany i kręcił węzłem swego pasa.

— No cóż tam, gość nowy?

— A gość, ale bodajby... — mruknął p. Hołubowicz.

— Gadajże prędko!

— Pan hrabia sobie przypomina, że zakazał sobie pokazywać niemieckie pisma, które nadejdą z cyrkułu.

— Przypominam sobie — zawołał chmurząc czoło Gozdki — i jeszcze raz zakazuję, najostrożniej zakazuję, aby mi nigdy na oczy nie przyszło! To mnie irytuje i o chorobę przyprawia!

— Stało się wedle rozkazu. Było w tym miesiącu aż trzy pisma z krajshauptmanamtu, a ja żadnego nie pokazywałem...

— To nie pokazuj i czwartego, jeśli przyszło...

— Ale bo to nie czwarte pismo, ale sam urzędnik...

— Co, Niemiec przyjechał, dziś! teraz?

— Właśnie co zlaźł z wozu i chce się widzieć z hrabią...

— Nie będzie się widział do kroćset! Nie puszczać go!

I pan Gozdki uderzył silnie laską o podłogę. Wspomnienie Niemca skwaśiło go i rozgniewało.

Pan Hołubowicz kiwnął maleńką główką i wyszedł z pokoju. I my udamy się za nim, aby poznać niepożądanego gościa.

W przedpokoju przechadzała się krótkimi i szybkimi kroczkami figurka pocieszna. Był to jegomość z długim nosem, w ryżej peruczce z katagonem, w pończoszках, ciemnozielonych pluderkach i w długim fraku z ogromnymi guzikami. Był to krajshauptman, jeden z tych, którzy najzawzięciej nienawidzili Polaków i nieraz wbrew woli rządu przebierali miarę w swej arogancji i dokuczliwości.

— *Gemeldet?* — zapytał ten człowieczek ujrawszy powracającego Hołubowicza — *Bin der Kreisbeamter der Pratzel von Pudelpilz!*

Słowa te szybko zaszwargotał Niemiec, a Hołubowicz tymczasem zatknąwszy kończaste ręce za pas niebieski, spoglądał nań z góry zmarszczywszy do połowy oczy.

— Pratzel von Pudelpilz szeka, pul gożina szeka! Hołubowicz ciągle nań patrzył milcząc.

— *Kruzitörck! Potz Blitz!* Prowazić zaraz Polak багаż!

I posunął szybko ku drzwiom.

— Nie wolno! — mruknął flegmatycznie pan Hołubowicz i przymknął drzwi przed Niemcem.

— *Gut*, ja będę czekał, ale wasz *polnischer Graf*, i wasz багаż cały, będzie tego żałować! — odparł rozsznoby pan Pratzel von Pudelpilz.

I podniosłszy leżącą w kacie torebkę, wyciągnął z niej szlafmycę i fajkę. Włożył szlafmycę na głowę, potem nałożył porcelanową fajkę i zapalił.

— Tu nie wolno palić! — zaprotestował z indygnacją Hołubowicz.

— *Schweigen! Potz Blitz!* — zawołał na to p. Pudelpilz i potrząsając szlafmycą na głowie począł się z urzędową miną przechadzać po pokoju.

Hołubowicz wzruszył ramionami, rzucił niecierpliwe spojrzenie na Niemca i wyszedł do pokoju hrabiego. Po krótkiej chwili wybiegł, spojrzał z złośliwym uśmiechem na gościa i wysunął się drugimi drzwiami, jakby spieszył wykonać jaki rozkaz.

VI.

Pan Pratzel v. Pudelpilz w kłopotach.

Pan Pratzel von Pudelpilz zostawszy sam w pokoju zadarł jeszcze bundziuczniej szlafmycy, puścił olbrzymi kłęb dymu, a potem wyciągnąwszy plik urzędowych papierów, począł je przeglądać.

— *Potz Blitz! Kruzitörck!* — powiedział sam do siebie kiwając się na cienkich nóżkach — *Strafe, doppelte Strafe, Strafkosten, Kanzeleikosten, Executionskosten, Straf-einhebungs-executions-verzugs-commissions-reise-kosten!*

I począł z upodobaniem liczyć cyfry, kłać Polskę i Polaków.

Wtem nagle rozwarły się drzwi, któremi wyszedł był Hołubowicz, i do przedpokoju wcisnęła się cała zgraja dworskiej służby. Było ich około trzydziestu: kozaków, fagasów, kuchtów a każdy miał szlafmycę i fajkę w ustach!

Na czele szedł pan Hołubowicz w ogromnej szlafmycy na drobnej główce, i z fajką turecką, która go krztusiła, gdyż nigdy nie kurzył — za nim stapał gęsiego cały orszak, puszczając olbrzymie kłęby dymu...

— Kurzysz ty nam, zakurzymy my tobie! — mruknął pan Hołubowicz i dmuchnął panu Pudelpilzowi wprost w oczy spory kłęb dymu.

Pan Pratzel v. Pudelpilz zastraszonem okiem wypatrzył się na tę maszkaradę i cofnął się w drugi kąt pokoju, ale tuż za nim posunęła się cała czereda dworska, naśladując ruchy Niemca, potrząsając szlafmycami i okurzając go formalnemi chmurami dymu z fajek.

Pan Pudelpilz utonął w mgłach dymu i ledwie czubkiem szlafmycy wypływał od czasu do czasu na widok. Chwycił w obie ręce urzędowe papiery i machając niemi rozpaczliwie rozbijał kłęby dymu, aby się okazać w całej swej grozie przed dworskimi. Zmarszczył brwi okropnie, przybrał minę urzędową i zawołał:

— *Was ist das?!*

— *Wasizdas!* — powtórzył pan Hołubowicz.

— *Wasizdas!* — powtórzyła cała banda w szlafmycach.

— *Potz Blitz!* To kryminał! — wołał dalej pan Pudelpilz.

— *Poc Blic!* to kryminał! *Pocblic* to kryminał! — zawołała parodystycznym chórem banda w szlafmycach.

Pan Pudelpilz ciężko urażony w swej powadze począł ciskać okropne groźby i przekleństwa, ale odpowiadało mu zawsze echo dworzan, którzy przedrzeźniając powtarzali jego słowa i obsypywali je następnie grzmiącym śmiechem.

Pan Pudelpilz, doprowadzony do rozpacz, wziął torbę i kapelusz, rozpuścił ręce jak do pływania i wybiegł za drzwi. Za nim sznurkiem z fajkami i w szlafmycach pomknęli się dworsecy wśród śmiechu i hałasu na podwórze. Pan Pudelpilz tymczasem nie zatrzymując się na podwórzu pobiegł

ku miasteczku, skacząc swemi nóżkami w pończochach po błocie, rozgniewany i zastraszone, z aktami pod pachą, i szlafmycą na głowie. Oparł się dopiero w domu, oznaczonym godłem orła, gdzie znajdował się ferlag.

Wpadłszy do domu ferlegera, rzucił się pan Pratzel de Pudelpilz zadyszany na krzesło, odsapnął ciężko, spojrzał żałosnym wzrokiem na obłocone pończoszki, a potem zrywając się nagle, zawołał:

— *Polnische Canaille! Heda! Tinte, Feder, Papier! Potz Blitz! Zum abschreckenden Exempel!*

I zasiadłszy za stół począł z gorączkowym pospiechem pisać, strojąc okropne miny i klnąc bezustannie.

Był to mandat srogi, wydany do pana Gozdzkiego a nakazujący temuż stawić się natychmiast do domu ferlegera, do pana Pudelpilza. Gdyby się pan Gozdzki nie stawił natychmiast, wyznaczył pan Pratzel von Pudelpilz 25 dukatów za każdą godzinę zwłoki. Napisawszy ten mandat, zapieczętował go p. Pudelpilz, a wysławszy z nim ferlegera do dworu, zatarł ręce z ukontentowaniem.

We dworze tymczasem rychło zapomniano o Niemcu. Pan Gozdzki siedział z Tadeuszem przy oknie i zajęty był rozmową, gdy na podwórzu pojawił się ferleger z papierem w ręku. Wiedział on, że hrabia zakazał najsurowiej pokazywać sobie niemieckie mandaty, więc niósł cytację wprost do Hołubowicza. Tymczasem jakby na nieszczęście wyrzał pan Gozdzki przez okno i wpadł mu w oczy ferleger z papierem w ręku. Roztworzył więc okno i zawołał:

— Hola! Zkąd to? od kogo?

Biedny poseł zadrżał ze strachu — lecz nie widząc innego fortelu podał hrabiemu w milczeniu papier.

Gozdzki chwycił szybko za papier, zżymnął się z gniewu, skoro tylko z pierwszym *sintenmalen* się spotkał — a porwał się z najwyższą furją, skoro całą cytację odczytał.

— Do pioruna! — krzyknął — zobaczymy!

I podarłszy papier w kawałki, podeptał go nogą, a potem zawołał:

— Hołubowicz!

Stawił się natychmiast stary marszałek, a ujrzawszy kawałki podartego papieru, domyślił się wszystkiego i kłopotliwie poskrobał się w głowę.

— Patrz, ten warjat grozi, karę nakłada! Dam ja mu! — krzyczał pan Gozdski — oćwiczę, zabiję!

Pofołgowawszy pierwszemu uniesieniu dodał jednak spokojniej:

— Pisze, że za każdą godzinę zwłoki, skoro się u niego stawić nie będę, mam zapłacić 25 dukatów. Ja Gozdski u tego... tego...

— Pilcepudla... — poderwał Hołubowicz.

— Ja u Pratzelplica!...

— Pudelpracla! panie hrabio, o ile wykalkulowałem jego nazwisko... — poprawił Hołubowicz.

— Słuchajże! Pieniędzy nie poselać! Zobaczymy!

Urwała się rozmowa z Tadeuszem, mandat pana Pratzla v. Pudelpilz przerwał ją przykrym dysonansem. Pan hrabia Gozdski milczał, mrucząc podkręcał wąża, widocznie coś

rozmyślał i układał. Nagle jakby jakaś myśl szczęśliwa wpadła mu do głowy, wybuchł głośnym śmiechem i zawołał:

— Mam sposób! mam! Napatrzysz się panie Tadeuszu i będziesz rozповідаł potem, jak stary Gozdcki Niemiaszków rozumu uczy!

I zadzwonił znowu na Hołubowicza.

— Hołubowicz! — rzekł do przybywającego — kiedy mi przysłał mandat pan Pratzelplitz?

— Przed godziną.

— Poczekasz tedy jeszcze trzy kwadranse, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Potem weźmiesz pięćdziesiąt dukatów, jako grzywnę za dwie godziny zwłoki i zawieziesz temu Pradelputzlowi!

— Dobrze, panie hrabio.

— Czekajże jeszcze waszmość. *Secundo*: zaraz po odniesieniu pieniędzy obstawisz dom ferlegera, gdzie ten Niemcaszek siedzi, dokoła hajdukami, aby go strzegli, przez okna strasz yli i umknąć nie dali...

— *Fiat*, jak hrabia każe.

— *Tertio*: zawołasz do mnie zaraz żydka Berka.

Hołubowicz chciał odejść.

— Czekaj! Co się to wczoraj w pasiekach stało?

— Skradziono kilkanaście ulów...

— Wyszlesz tedy koniuszego z trzema kozakami, aby tam wartowali noc całą. Gdy im się nawinie jakie podejrzan e indywiduum, niech go odstawią do justycjarjusza.... Zresztą z koniuszym, nim się uda według dyspozycji, sam się chcę widzieć...

— Każe mu się stawić...

— A teraz nakoniec waszmość gotuj się do wyjazdu.... Przed ranem wyjedziesz, aby stanąć wraz z dniem we Lwowie. Weźmiesz z kasy jeden rulon z setką dukatów, drugi z pięćdziesięcioma, dalej dwie asygnacje na sto fur drzewa i sto korcy owsa. Dam ci także listy do gubernatora i do pana konsyljarza Milbachera... Oddasz wszystko gdzie należy, dodam ci konotatkę dla pamięci.

— Będę pamiętał.

— Więc zwiń się stary!

Rzucił się Hołubowicz do interesów, a w pół godziny był już u pana Pratzla v. Pudelpilz z pieniędzmi. Równocześnie stawiał się żydek Berko u pana hrabiego.

Berko był to typ sprytnego i dowcipnego żydka. Zawsze pełen konceptów, sposobów i fortelów, nieoceniony był do wszelkiego rodzaju spraw i sprawek, wymagających zręczności. Po krótkiej naradzie z p. Gozdzkim wybiegł Berko z izby z figlarnym uśmiechem na ustach, a wracając do miasteczka, umyślnie zmienił drogę, aby nie wiadano, że był u pana Gozdzkiego.

Tymczasem p. Pratzel von Pudelpilz ujrawszy u siebie p. Hołubowicza z dukatami nabrał ogromnego kontenansu.

— A co *Potz Blitz Krucitörck* trzeba wam tego było? — zawołał.

— Co komu posłuży, co komu posłuży — odpowiedział Hołubowicz.

— Już ja was nauczę szelmy Polaki! — srożył się dalej pan Pudelpilz.

Ale Hołubowicz nie słuchał dalej, złożył dukaty, spojrzał pogardliwie na Niemca i odszedł.

Pan Pratzel von Pudelpilz zasiadł zaraz do stołu, zapalił świecę, bo już ciemno było, wziął czysty arkusz papieru i napisał na wierzchu: *Bericht!* Potem wziął pióro do ust, położył się w krzesle i zmrużywszy oczy, myślał nad treścią dokumentu, który miał ułożyć. Nagle rzucił się ku papierowi i z wielkim zamachem zawinął piórem. Lecz jeszcze pierwszego nie napisał słowa, gdy naraz nagle uderzenie w okno i gwar głośny około domu obił się o jego uszy.

P. Pudelpilz porwał się na równe nogi i począł słuchać zastraszony...

Na dworze rozległ się gwar ogromny, jacyś ludzie bili kijami o drzwi i okna, i słyszać było wyraźnie:

— Dawaj go tu! dawaj go tu!

— Łapaj! dobywaj!

Panu Pudelpilzowi zadrżały łytki i skoczył w przerażeniu w najciemniejszy kąt pokoju. Wtem i drzwi się rozwarły a do pokoju wbiegł zastraszony ferleger.

— Żle, panie, przepadliśmy!

— *Was ist?!*

— Ludzie dworscy otoczyli dom do koła! Chcą pana konisarza żywcem lub trupem dostać w swe ręce.

— *Potz Blitz!...* — beknął w przerażeniu pan Pudelpilz i zatoczył się na nogach.

W izbie stała ogromna skrzynia czyli raczej paka drewniana bez wieka. Pan Pudelpilz zgasił świecę i jednym susem zanurzył się wraz z czubem w pace Ferleger strwo-

żony wybiegł z pokoju. Ciemność ogarnęła biednego więźnia — a na dworze słychać było wciąż krzyki i pogróżki...

Pan Pudelpilz stracił do reszty animusz, przykucnął w skrzyni i począł kłapać zębami. Tak siedział w trwodze godzinę całą, polecając się w opiekę wszystkim świętym. Ale krzyk na dworze nie ustawał i dworska czereda nie odstąpiła jak widać od domu.

Naraz drzwi zaskrzypnęły z lekka i do pokoju wsunęła się jakaś ciemna postać.

Pan Pudelpilz zerknął przez ścianę skrzyni, a ujrzawszy ciemnego gościa, dał nurka w kącik swej klatki, zwinął się w kłębek i zaparł oddech w sobie. Ciemna postać ogłędnęła się po izbie, dobyte krzesiwa i roztlivszy ogień zapaliła świecę.

Przy świetle poznajemy żydka Berka.

Żydek rozglądał się po pokoju i zaczął szeptać półgłosem:

— Wielmożny pan Pudelpilz! wielmożny pan Pudelpilz!

Ale wołany nie dawał żadnego znaku życia. Berko począł szukać z świecą po kątach izby i zaglądnął w końcu do skrzyni.

— Wielmożny pan Pudelpilz niech wyłazi! — szepnął dotykając Niemca.

Pan Pudelpilz jęknął i w śmiertelnej trwodze spojrzał na mówiącego. Lecz zaraz pierwszy rzut oka uspokoił go nieco. Zamiast jakiego wąsacza kozaka lub hajduka z szablą lub nahajem w ręku ujrzał brodę żydka.

Podniósł się tedy trochę i wystawiając nos z skrzyni zapytał drżącym głosem:

— Co tam się dzieje?

— Żle się dzieje, okropnie źle, wielmożny panie komisarzu! — odpowiedział Berko śmiejąc mu się w oczy.

— Ratuj mnie!

— Nu, jak ja to zrobię, jabym chciał...

— *Kruzitörck*... — mruknął omdlały pan Pudelpilz.

— Tu straszne będzie nieszczęście... — ciągnął żydek.

Pan Pudelpilz jęknął.

— Czy pan wie, że tam na dworze stoi z jakich sto hajduków...

— Wiem.

— Czy pan wie, że oni mają szablów, nożów, fuzjów, pistoletów, nahajów, po cztery na jednego...

P. Pudelpilz zrejterował z nosem napowrót do skrzyni.

— A czy pan wie, po co oni tam stoją?

— Nie... — szepnął głucho więzień.

— A wie pan gdzie jest studnia za miastem.. Pan ją widział, jak pan tu jechał...

— Widział!

— Otóż oni chcą zrobić coś strasznego, coś okrutnego, aj! aż mnie samego strach bierze...

— Co?... — zapytał zamarłym głosem pan Pudelpilz.

— Oni chcą najpierw uwiązać wielmożnemu panu wielki kamień do szyji...

Pan Pudelpilz jęknął w rozpacz.

— A potem chcą wielmożnego pana rzucić do studni...

Pan Pudelpilz padł z łoskotem w skrzynię i drygnał tylko cienkimi nóżkami.

— A potem... potem jeszcze oni studnię zasypią het do góry! Aj waj! okropna historia!

Pan Pudelpilz dobył ostatnich sił i rozpaczliwym rzutem wystawił nad skrzynię czubek szlafmycy.

— Ratuj mnie! — szepnął do żyda.

— Nu, jakże ja mam ratować! To daremna rzecz! Ja tylko tu przyszedł pana uprzedzić, bo mi się żal bardzo wielmożnego pana zrobiło!...

— Pokaż mi drogę, którądy by uciec! — błagał pan Pudelpilz zrozpaczonym głosem.

— A gdzież tu jest jaka droga, kiedy wszędzie hajducy? A zresztą, coby mi potem graf Gozdzki zrobił, on by mnie powiesił!

Wiezień zginął znów bez śladu w ciemnej czeluści skrzyni. Żyd myślał chwilę a potem rzekł znowu:

— Panie, panie, możebym ja co i zrobił...

Biała szlafmyca pojawiła się znowu na wierzchu.

— Ratuj, dam ci, co chcesz! Ratuj mi życie! — błagał p. Pudelpilz.

— Nu, ja tak z miłosierdzia możebym i co poradził. Ale ja biedny żyd! Jabył musiał potem uciekać przed panem grafem z Jaryczowa... Moja żona i dzieci z głodu by poginęły...

— Ja ci zapłacę!

— Nu, a wiele? Da wielmożny pan pięćdziesiąt dukatów?... Życie więcej warto... Niech już ze stratą zarobię...

Pan Pudelpilz porwał się z skrzyni. Miał w kieszeni 50 dukatów grzywny za zwłokę dwóch godzin, którą mu niedawno przyniósł był Hołubowicz. Wydobyl je i dał żydowi.

Żyd przeliczył powoli dukaty a potem rzekł:

— O północy oni mają pana utopić... Do północy jest jeszcze godzina...

— *Kruzitörck...* Uciekajmyż!

— Zaraz, zaraz, tu w tyle jest jeden wychód z domu, tam nie stoi żaden kozak!

Pan Pratzel von Pudelpilz wyskoczył teraz ze skrzyni i drżąc od strachu chwycił żyda za rękę.

Berko zgasił świecę, a potem pociągnął go za sobą. Wyszli do ciemnych sieni a pan Pudelpilz tak lekko i cichutko stapał po ziemi jak po kobiercu. Z sieni wyszli na tylne obejście i stanęli przed płotem. Z tej strony domu nie widać było istotnie żadnego hajduka. Berko pierwszy płot przelazł, a za nim w susie akrobatycznym mignęła biała szlafmyca.

Berko spieszył naprzód uliczką a pan Pudelpilz dreptał w jego ślady, oglądając się, czyli ich pogoń nie ściga. Noc była ciemna, a Niemiec co chwila potykał się i padał w jaryczowskie błoto.

— *Potz Blitz! Kruzitörck!* — kłął za każdym potknięciem się i za każdą kąpielą w kałuży pan Pudelpilz, ale Berko słusznie go pocieszał, że lepsze małe dolegliwości żywota nad studzienną topiel.

Tak spiesząc naprzód stanęli u jaryczowskiego młyna, gdzie od dalszej drogi dzieliła ich rzeka. Właśnie w tem

miejscu doleciał uciekających jakiś gwar z miasta. Pan Pudelpilz myślał że to pogoń, skoczył jak szalony w wodę, a trafiwszy nieszczęściem na miejsce głębokie dał nurka. Spłynęła biała szlafmyca a za nią i peruka po wierzchu, ale sam ich właściciel znikł na chwilę pod wodą.

Na szczęście uniosła woda nieszczęśliwego pana Pratzla pod kładkę, którą właśnie przechodził Berko. Woda tu była już płytsza i niebawem łysa głowa wydobyła się z topieli i dwoje rąk poczęło strzydz rozpaczliwie po nad wodą. Dopomógł Berko tonącemu i pan Pudelpilz zmoczony, wylękły, dzwoniąc zębami znalazł się na drugim brzegu rzeki.

Ztąd przeprowadził go Berko polem ku dworskim pasiekom. Ledwie się jednak do nich zbliżyli, gdy naraz ozwał się krzyk:

— Jest złodziej! Łapaj!

I kilku jeźdźców jakby wystąpiło z pod ziemi.

Berko zwinął się w kabłąk, skoczył bokiem i kocim susem zniknął gdzieś w cieniach nocy.

Pan Pratzel von Pudelpilz wydał okrzyk grozy i padł plackiem na ziemię...

Jeźdźcy poślazili z koni. Byli to kozacy dworsey!

— Wstawaj bratku! — zawołali podnosząc leżącego.

Pan Pudelpilz ledwie się trzymał na nogach i jęczał o łaskę.

— Coś ty za jeden? — zapytał jeden z kozaków.

— Co go się pytać, to pewno złodziej! — odezwał się drugi.

— To tyś bratku ukradł wczoraj ule?

Pan Pratzel nie był w stanie odpowiedzieć.

— Udało ci się wczoraj, to i dziś chciałeś próbować....
Ho, ho, nie udała się sztuka!

— Ja żaden szlōdzi, ja... ja... jest Pratzel v. Pudelpilz!...

— A patrzajże, jak szelma Niemca dobrze udaje!

— Ja *krajsbeamter*....

— Co, ty krajsbeamter? Pan krajsbeamter w dworze na komisji siedzi. Piękny mi *beamter*! Nie wykpisz się włóczego! dalej do aresztu! — zawołał koniuszy.

Wzięto pana Pudelpilza do środka i wkrótce odstawiono go do miejskiego kałauzu.

Na drugi dzień wyprowadzono pana Pudelpilza z aresztu. Justycjarjusz zrobił z nim protokół jako z włóczęgą i podejrzaniem indywiduum. Daremnie pan Pudelpilz gniewał się i zżymał, daremnie usiłował się tłumaczyć — justycjarjusz opierając się na jego ucieczce ku stronie pasieki, na stan, w jakim go znaleziono, upornie trwał przy podejrzeniach.

Wtem dano znać, że przyjechała komisja ze Lwowa. Ucieszył się p. Pudelpilz i zawołał:

— *Potz Blitz! Krucitörck!* Weźmiecie teraz za wasze!

Ale zawiódł się nieborak. Stawiono go przed komisją, której przewodniczył sam pan Milbacher. Począł pan Pudelpilz oskarżać i wyrzucać, odwołując się do gwałtów i krzywd, jakie mu wyrządzono.

— Pan nałożyłeś karę za zwłokę w stawieniu się hrabiego? — zapytała go komisja.

— *Ja.*

— Pan odebrałeś pięćdziesiąt dukatów za dwie godziny?

Pan Pudelpilz potwierdził lecz zmieszał się okropnie.

— Gdzież są te pieniądze? Proszę je złożyć...

— Nie mam... Żyd... *Dingsda*... — począł się jękać pan Pudelpilz — musiałem niemi ratować życie!

— Jak? co?

Pan Pudelpilz opowiedział swą przygodę. Rzucono się zaraz za żydem — lecz o Berku ani śladu nie było w Jaryczowie. Świadkowie zeznali, że Berka od kilku dni nie widziano w miasteczku.

Szanowny pan Pratzel v. Pudelpilz znalazł się w strasznym kłopotcie... Obrona jego wydała się tak dziwną i nieprawdopodobną, on sam był w tak podejrzany sposób zmieszany, że komisja musiała przypuszczać, iż szanowny człowieczek usiłował umknąć z zabraną grzywną. P. Pudelpilz znalazł się pod zarzutem przemieszczenia...

Kłopoty nie tak rychło się skończyły. P. Pratzel v. Pudelpilz został suspendowanym i byłby może gorszego jeszcze doznał losu, gdyby nie pan Gozdski, który wstawił się za nim. W skutek tej interwencji skończyło się na tem, że p. Pudelpilz przeniesiony został z Galicji znowu *nach draussen*.

Fungując później w Czechach, p. Pudelpilz opowiadał nieraz w kole swych przyjaciół i znajomych przy piwie swe przygody w Galicji, chętnie się swą ogromną odwagą i energją — a kończył swoje opowiadanie zazwyczaj taką wzmianką:

— *So wahr ich Pratzel von Pudelpilz bin! Pratzel von Pudelpilz to straszne imię dla Galicji! Potz Blitz! Die polnischen Grafen, die habe ich zu Paaren getrieben! Jest tam ein verflixter Canaillengraf Goschky, an dem habe ich ein schreckliches Exempel statuirt! Oni mnie tam popamiętają! Potz Blitz! Kruzitörck!*

VII.

L w ó w.

Ponieważ odtąd kreślone w tej powieści sceny odbywać się będą głównie we Lwowie, więc podamy tu, jakeśmy nieco wyżej przyrzekli, kilka rysów do charakterystyki ówczesnej fizjonomji tego miasta.

Od czasu zajęcia Galicji przez Austrię, Lwów zmienił się znacznie i ożywił się napływem nowych licznych władz i całej rzeszy obcych przybyszów. Już to samo zmieniało ogromnie jego postać, nadając jej od razu pewien wyraz cudzoziemski. Roiło się miasto najrozmaitszymi urzędnikami najrozmaitszych subselij, żołnierzami nowych rządów i niepospolitą mnogością przemysłowców, którzy spieszyli bogacić się w nowej prowincji. Ćma Niemców, nie mających w własnej ojczyźnie ani zajęcia ani chleba, spieszyła cywilizować biednych Polaków, przynosząc z sobą zmysł spekulacyjny i próżny żołądek, a szukając w zamian chleba i złota.

Siły żywotne polskiego mieszczaństwa były we Lwowie zanadto słabe, aby oprzeć się nawałowi obcych żywiołów, i ztąd też nie dziw, że miasto od razu prawie oblekło się w pewną barwę niemiecką, która dopiero zwolna i z trudnością zacierała się już w naszych oczach. Zresztą miasto

samo było wycieńczone ostatnimi burzami politycznymi, ucierpiało ono wiele podczas konfederacji barskiej, a okupacja przez wojska moskiewskie pod dowództwem generała Kreczetnikowa podkopała do reszty ład miasta i byt mieszkańców.

Jak już powiedzieliśmy, wzmógł się po zaprowadzeniu rządów austriackich znacznie ruch w mieście. Stało się to nie tylko napływem nowych władz i cudzoziemców, lecz i zmianą stanowiska miasta. Lwów, stawszy się siedzibą namiestnictwa, trybunału i wielu innych głównych urzędów, począł teraz koncentrować w sobie życie świeżo zadekretowanej Galicji. Szlachta zmuszona załatwiać mnóstwo własnych spraw, wywoływanych nagłą zmianą i zaprowadzeniem nowego ładu administracji, garnęła się licznie do stolicy nowej prowincji. Tu po raz pierwszy spotkały się z sobą dwa światy: świat polski i świat niemiecki.

Jakoż w krótkim czasie nie poznawali już prawie Lwowa podróżni przybywający z za kordonu. Znachodzili go i okazalszym i ludniejszym od dawnego prowincjonalnego miasta Rusi — ale znachodzili go także obcym, zniemczonym. Wrażenie, jakie sprawiał Lwów w tej nowej swej postaci, zachowała nam krótka wzmianka księdza biskupa Warmińskiego, który przejeżdżawszy tędy już w kilkanaście lat po rozbiorze, tak o stolicy galicyjskiej się wyraża:

I wspanialszy i ludniejszy,
Jednak przedtem, choć był mniejszy,
Choć mniej ludny, mniej kształtniejszy,
Że był swoim, był wdzięczniejszy!

W czasie naszego opowiadania Lwów był ludniejszy niż kiedykolwiek. Przedtem bardziej był izolowany od wolnej reszty polskiej, a nie tylko nikt nie miał ochoty przyjeżdżać doń z za kordonu, z wolnego i polskiego świata, ale nadto wiele jeszcze szlachty galicyjskiej wydalało się z kraju i zamiast we Lwowie spędzało pewną część roku w miastach pod ojczystem berłem pozostałych.

W ogóle w pierwszych latach panowania austriackiego w Galicji, mimo surowego prawa o emigracji, wydalało się wiele szlachty z stron rodzinnych, nie mogąc się pogodzić z nowym porządkiem rzeczy, uchylając się przed przykreimi wrażeniami nowej zmiany. W tem wydalaniu się z zakordonowanej prowincji, w tem rozpaczliwem dawaniu za wygraną nie wszystkimi jużciż powodowała taka pobudka, jaką przypisują pamiętniki n. p. Szczęsnemu Potockiemu, który dla tego tylko miał znienawidzić Galicję, iż uwięziwszy samowolnie jakiegoś żyda w Krystynopolu, musiał go puścić za następującym wyrokiem Józefa II: *Par super pari non habet potestatem, ergo Judaeus carceribus dimittatur!* To porównanie z żydem tak mocno obraziło smutnej pamięci magnata, że sprzedał wszystkie swe dobra galicyjskie: Krystynopol, Sokal, Bełz, Wąreż itd. i odtąd nigdy nie zaglądał do zakordonowanego kraju...

Emigracja z Galicji ustała jednak, gdy z czasem coraz mniejszym stawał się obszar wolnego przytułku. Drugi rozbiór Polski i wypadki Kościuszkowskiego powstania zmieniły rzeczy. Odtąd nie z Galicji ale do Galicji poczęły się cisnąć pojedyncze osoby i całe rodziny, niestety już nie

wolnej ojczystej ziemi, ale spokoju i chwilowej bodaj ochrony przed prześladowaniem wrogów szukając.

Takimi wygnańcami z różnych stron Polski, osobliwie z ziem zabranych przez Moskwę, zaludniał się Lwów — a ztąd przybywał mu ruch coraz większy i nowy pozór stołeczny. Mimo to jednak Lwów w czasie naszego opowiadania był jeszcze miastem dość małym, które nie mogłoby ani okazałością zewnętrzną, ani stołeczną fizjognomją, ani liczbą ludności wreszcie sprostać choćby połowie tylko Lwowa dzisiejszego.

Lwów liczył w czasie naszego opowiadania mało co więcej nad 40.000 mieszkańców, a obręb właściwego miasta nie rozszerzył się był jeszcze drugim niejako, nowem miastem ulic dalszych i przedmiejskich, mieścił się owszem skromnie prawie w tych samych ramach, które wyznaczyły mu główne bramy jeszcze za pradawnych lat jego istnienia. Przy braku dobrych komunalnych urządzeń nie wielki w nim panował porządek. Osobliwie owe tradycyjne, charakterystyczne błoto miast polskich było we Lwowie przedmiotem ciągłych narzekañ.

Kiedy cesarz Józef po raz pierwszy przybył oglądnąć stolicę swej nowej prowincji, powóz jego ugrzązł w rynku samym tak głęboko, że koła musiano formalnie windować na wierzch. Gdy w skutek tego wypadku nakazały nowe władze brukować miasto, okazało się, że nie tyle niedbałość polska co bezdennie błotnisty grunt, na którym stało miasto, był główną przyczyną złego. Gdy się bowiem wzięto do czyszczenia rynku i ulic, okazało się, że pod błotem

były aż trzy dawne bruki, każdy oczywiście pokryty wysoką warstwą błota.

Kiedy wkrótce uporano się z czwartym brukiem, nowy był kłopot i to arcypocieszny! Piesze elegantki lwowskie były wprawdzie zachwycone, ale za to pogniewały się na bruk nowy panie karetowe! Powozy bowiem trzęsły mocno po kamieniach, co się tak niepodobało niektórym magnatkom przebywającym we Lwowie, że jeśli można uwierzyć współczesnym zapiskom, wniosły petycję do namiestnika, aby nowego bruku zaniechać a zostawić miękkie i wygodne błoto !...

Przemysł i handel spoczywał wyłącznie prawie w ręku Niemców i żydów. Niemcy wszelkiego zawodu, którzy przybyli wraz z pierwszym żołnierzem austriackim do Galicji, w krótkim bardzo czasie przyszliz do majątku — a chleb polski i złoto szlacheckie służyły doskonale konstytucji niemieckiej. To też jednym z najmajętniejszych i najsłynniejszych kupców i bankierów lwowskich był Niemiec Preschel, który też znał się dobrze na pokupności towarów, bo już nawet po okupacji austriackiej przedawał z dobrym zyskiem ordery polskie, a osobiście order „Orła białego”. Przy całej ómie sklepów świeżo przybyłych Niemców, jak Fischera, Burgerów, Klotza, Koberweina itd., spotykamyzaledwie jeden wielki handel polski, Machowskiego, ale za to i dwa sławne podówczas składy handlowe dwóch polskich żydów: Cudyka i Bałabana.

Dwa wielkie hotele, jeden Georga Hofmanna, która to firma dotąd istnieje, drugi Hechta, mieściły w sobie licznych

przyjezdnych i podróżnych. W owym to hotelu Georga, który się zwał początkowo „pod trzema hakami”, był niedawno kelnerem ów sławny właśnie w czasie naszego opowiadania awanturnik Walecki.

Jakkolwiek z zamożnego szlacheckiego domu pochodząc, w tak smutnym znalazł się kłopotcie Walecki, że musiał przyjąć miejsce markiera w hotelu. Tak go zastał we Lwowie książę Franciszek S., pan dziwnych gustów, i sam rozlubowany w życiu awanturniczem, a poznawszy w biednym markierze niepospolity spryt i wyższe wykształcenie, wziął go z sobą. Wydobywszy się z nędzy przy pomocy dobroczynnego księcia, Walecki zasłynął później tajemniczą sławą Casanovy. Zostawszy hrabią i panem ogromnej fortuny, objeżdżał on Europę całą i zdumiewał wszędzie bezprzykładną wystawą, urokiem tajemniczości intrygował umysły, a blaskiem swego własnego zbioru klejnotów i kosztowności olśniewał oczy najwyższej nawet arystokracji.

Do najulubieńszych dla niemieckiej zwłaszcza publiczności lokalów publicznych, należały takzwane *Veteranische Höhle* i *Steinernes Wirthshaus*. Pierwsza, nosząca swe nazwisko na pamiątkę generała austriackiego Veterani i jego waleczności przy obronie jakiejś jaskini w czasie ostatniej wojny tureckiej, była w mieście, czyli biorąc miarę z obrębu ówczesnego Lwowa, już dobrze za miastem, bo na ulicy strzeleckiej; druga była w Zboiskach. Lokal tej *Veteranische Höhle*, czyli takzwanej krótko przez Polaków szeheli, istnieje dotychczas we Lwowie i dotychczas służy za restaurację i salę balową dla niższej warstwy lu-

dności miejskiej. Jest to znany szynk Tyrego — ścieśniony dziś i osłonięty nowymi kamienicami.

Steinernes Wirthshaus odgrywał także znaczną rolę w zabawach ówczesnej ludności lwowskiej, a bywał także i celem wycieczki polskiej jej części, w której Niemcy poczęli wzbudzać gust do ogródków. *Steinernes Wirthshaus* był atoli głównie zbiorowiskiem niemieckiej inteligencji, miał bowiem dla niej także pewien historyczny urok. Gospoda ta miała bowiem swój osobny relikwiarz, a w tym relikwiarzu była kula kręgielna, którą cesarz Józef potoczył, i kręgle, które własnoręcznie obalił. Cesarz będąc we Lwowie chciał zobaczyć ową sławną gospodę w Zboiskach, a zastawszy tam grono Niemców i Niemek grających w kręgle, wziął z rąk pani konsyljarzowej Albrecht kulę i obalił króla i siedm kręgla. Pan Vogetzer, właściciel zakładu kazał zaraz kulę i kręgle oprawić w srebro, i odtąd jego restauracja stała się niejako Mekką dla lwowskich Niemców.

Oprócz gospody w Zboiskach były jeszcze podówczas dwa inne ulubione cele przechadzki. Pierwszym był lasek Longchamps, drugim ogród przy pałacu Jabłonowskich, ogród, który także miał pewne historyczne znaczenie, a to z powodu pojednania matki z córką za pośrednictwem Józefa II. Matką czyli raczej macochą była kasztelanowa Konstancja Bilska, dama gwiazdzistego krzyża, córką Teofila. To pojednanie długą nienawiścią dzielonych od siebie matki i córki natchnęło nawet jakiegoś lwowskiego wierszopisa do szumnego wiersza w łacińskim i polskim języku, z którego

przytaczamy ustęp, malujący nam ów tak ulubiony dla Lwowian ogród Jabłonowskich. Poeta tak śpiewa:

Kędy leży przedmieście tuż przy górach blisko.
 Tam pałac Jabłonowskich z obszernym ogrodem,
 Gdzie ulicami chodzić w spieki można chłodem,
 Tam wzniosłe w niebo lipy wzywają słowiki,
 Tam nie daleko mruczą z opoki strumyki,
 Tam ogromne dźwigają góry w obłok karki,
 Zkąd Turek już gotował arkany na barki,
 Burzliwe z śmiercionośnej miecąc spiżu gromy,
 Czem się waliły wieże, świątynie i domy;
 Tu się z całego miasta liczne państwo schodzi,
 I chłodnemi wieczoryienne prace chłodzi. *)

Oprócz przechadzek dalszych lubione były także i wały, które staraniem konsyljarza Reizenheima urządzone, były miejscem schadzek w dnie pogodne, a odgrywały także wielką rolę w miłośnym świecie Lwowa, który w owych czasach nie bardzo moralnej używał sławy, o czem jeszcze w dalszym ciągu tych obrazków mówić będziemy mieli sposobność, jak w ogóle wprowadzonych tu pobieżnie rysów Lwowa dopełnimy w miarę, jak do tego później nastreczą nam sposobność opisywane sceny.

Ale otóż straciliśmy już znaczną część rozdziału na drobne i nie znaczące szczególiki — a dotąd nie wspomnieliśmy o ważniejszych. Ale nie piszemy też uporządko-

*) Opisanie proste i rzetelne z najchwalebniejszego dzieła etc. p. J. H. K. K. H. Lwów, 1783.

wanej monografii Lwowa z owego czasu, lecz charakteryzujemy go z powieściarską swobodą.

Wypada nam dotknąć i społeczeństwa lwowskiego. Było ono dziwne, mieszane, ruchliwe. W czasach, które nam służą za tło opowiadania, kiedy tyle wypadków i burz miało do gruntu całem społeczeństwem polkiem, duch ten gorączkowy, bezładny, który możnaby porównać do niepokoju więźnia, kiedy ostatnim rygłem zamykają go od świata, kiedy ostatnimi kratami odgradzają mu widok jasnego słońca — musiał i na fizjognomji Lwowa wybić swoje piętno. Jakoż był i Lwów jednym z ognisk tego ruchu — a mieszkańcy z dalszej i najdalszej Polski, bądź to w sprawach publicznych bądź prywatnych goszcząc w nim stale lub przelotnie, nadawali mu cechę czasom odpowiednią. Bawiło we Lwowie wówczas mnóstwo rodzin z rozmaitych części Polski, a w miarę jak wypadki wojenne za kordonem smutniejszy brały obrót, przypływ ten wzrastał się z dniem każdym. Było w tem wszystkim jednak coś niestałego, coś koczowniczego — osoby i rodziny jawiły się i znikwały, i widać było że przelotna potrzeba a nie zamiar stałego zamieszkania wiódł je do galicyjskiej stolicy.

Współcześnie naszemu opowiadaniu liczył jednak Lwów wiele znakomitych mieszkańców polskich, którzy stale już w nim osiedli. Oni to głównie reprezentowali życie polskie w stolicy przepełnionej Niemcami na urzędach i bez urzędów a ogołoconej z prawdziwie polskiego mieszczaństwa. Prowadzili domy otwarte, a w domach tych koncentrował się nie tylko ruch wyższego towarzystwa, ale zarazem i cały

świat polski tej prowincji z swemi usiłowaniami i nadziejami, z swym patriotycznym udziałem i uczuciem łączności, z całą ojczyzną.

Z domów polskich możniejszych wyliczymy n. p. domy pani Humieckiej, pani Kossakowskiej, która mieszkała w pokojach kanonickich przy cerkwi św. Jura, arcybiskupa Kieckiego, hr. Mierów, Baworowskich, Kazimierza Rzewuskiego, Michała Wielhorskiego. Nad całym towarzystwem wiedli rej ci dwaj ostatni. Zwłaszcza Michał Wielhorski, niegdyś poseł konfederacji barskiej w Paryżu, ojciec generała Józefa Wielhorskiego, druh Kościuszki, przyjaciel Jana Jakóba Rousseau, który za jego wpływem napisał swe uwagi nad Polską, zwolennik i osobisty towarzysz encyklopedystów, który sprowadził był jak wiadomo do Polski słynnego Mablego — był niejako mentorem wyższego lwowskiego towarzystwa.

Bawiło się zaś to towarzystwo także mniej lub więcej świeżem wspomnieniem gości, którzy tylko przelotnie Lwów odwiedzili. I tak niedawno, bo ledwo dwa lata temu, odwiedził był Lwów Kościuszko. Już wówczas sposób, w jaki go przyjmowała ludność Lwowa, był niejako wieszczem uznaniem przyszłej, niedalekiej wielkości tego nieśmiertelnego wodza ginącej Polski. Wiadomo, że już wtedy pobyt jego we Lwowie wzbudził niezmierne wrażenie na mieszkańcach. Ilekroć Kościuszko pojawił się na ulicy, towarzyszyły mu tłumy ludności, spozierając ze czcią na bohatera z pod Dubienki, i w hołdzie tym powodując się niejako przeczuciem wielkiej roli, jaką ostatnie dzieje Polski miały powierzyć

temu mężowi. Władze austriackie z tego powodu nakazały Kościuszcze opuścić Galicję.

Ale obok drogich wspomnieniu odwiedzin wielkich mężów, miewał Lwów także od czasu do czasu wizyty osób nie tyle sławnych co osławionych, które nadawały towarzystwu tego miasta choćby chwilowo pewnej niezwyklej barwności. Dość tu na przykład przytoczyć słynnego awanturnika Casanowę, który przywałesał się tu był za swym przyjacielem Strassoldem, dawniej dyrektorem policji lwowskiej, a który zagościł także do domu Potockich w Krystynopolu, lub awanturnicę Wittową, kochankę Szczęsnego Potockiego, tyle sławną swemi olśniewającemi wdziękami — lub w końcu także księcia de Nassau, znanego z oryginalności i burzliwych przygód życia.

Obok wyliczonych powyżej arystokratycznych domów, trzymali we Lwowie głównie berło inteligencji adwokaci. Nowa organizacja sądowa zaprowadzona przez rząd austriacki wywołała wielką ilość prawników i mecenasów, a że zazwyczaj co najzdolniejsi poświęcali się temu zawodowi, więc mecenas ci w towarzystwie lwowskiem i w dziedzinie umysłowego świata wielce ważną odgrywali rolę. Wyrodziła się była i w tym stanie osobna klasa, jakby tylko ku podsycaniu pieniactwa i ku demoralizowaniu sądów i sądzonych zorganizowana, jednakże w historję życia politycznego i społecznego Galicji a osobliwie Lwowa wpisały się także inniona poważne zasłużonych i sławnych prawników.

Wziętość i wpływy adwokatów lwowskich owego czasu przebiegały nieraz i miary zwykłości, byli oni pewną że tak powiemy

inteligencyjno-arystokratyczną potęgą. Obierając sobie niejako za wzór współczesnego belgijskiego Vanderburcha, adwokaci galicyjscy szybko dobijali się sławy i majątku. Najpoważniejszym i najbardziej wpływowym z prawników lwowskich owego czasu był Dzierkowski, najgłośniejszym i najruchliwszym Węgliński, znany także z swego wesołego życia właściciel Pohulanki, przy lasku, zwanym dotychczas jego imieniem. Stan adwokacki, jak wiele ściągnął na siebie żalów w owych czasach skandalicznej rabulistyki, kiedy to toczyły się gorszące procesa dzieci przeciw rodzicom, dochodzenia synowstwa u matek, wpieranie się synowstwa u bogatych ojców itp. — tak znowu wiele też chluby pozyskał patriotyczną i skuteczną pracą w sprawie powstania Kościuszki.

Ruchu umysłowego, o ile tenże publicznie się objawia, bardzo mało było w naszym mieście. Nie lepiej było też z środkami do oświaty. Oprócz akademji założonej przez Józefa, która to akademja jednak pod naukowym względem bardzo niski zajmowała stopień, były jeszcze szkoły średnie, tak jak je zostawili po sobie lwowscy Jezuici, i jedna szkoła niemiecka. Wiele młodzieży polskiej z stron dalszych i bliższych wychowywało się we Lwowie — a jedno z najlepszych miejsc zajmował między innemi dom edukacji młodzieży płci męskiej, założony i utrzymywany przez kanonika archikatedry ormiańskiej, księdza Minasowicza.

Dla akademji kazał cesarz Józef przywieźć z Wiednia zbiór książek Garellego, i zbiór ten stanowił zawiązek dzisiejszej biblioteki przy wszechnicy. Na pomnożenie tej bi-

bljoteki zabrano równocześnie także bibliotekę bernadyńską i niektóre inne zbiory klasztorne.

Istniała jednak we Lwowie obok biblioteki akademickiej także i inna biblioteka prywatna ale wszystkim przystępna. Była to biblioteka Rzewuskiego, o której bardzo pochwlebnie wspominają ówcześni turyści niemieccy.

Z pism publicznych wychodziło oprócz tak zwanego *Intelligenzblattu* urzędowego tylko jedno pismo polskie. Było to „Pismo uwiadamiające”, które zmieniło się w r. 1794 na „Dziennik patryotycznych polityków”, i wychodziło przez lat kilka w małej oktavce, podając wiadomości polityczne z Polski i z zagranicy, ale nie mając najmniejszej barwy lokalnej.

Z drukarni największą była drukarnia Pillera założona w r. 1772. Oprócz niej istniały wówczas także dwie inne drukarnie Pfaffa i Wichmana. Księgarń było trzy. Bogusław Pfaff założył swoją księgarnię w roku 1785, a właśnie w czasie naszego opowiadania przybyła także księgarnia Karola Wilda.

W czasie zjazdów obywatelskich t. j. w porze kontraktów lwowskich stawiano także na rynku budy drewniane, w których sprzedawano książki. Same kontrakty odbywały się corocznie od połowy stycznia do końca lutego. Sala, w której zbierała się szlachta przybyła na kontrakty, mieściła się w budynku istniejącym dotąd. Jest nim ów w kształcie dworku czy pałacyku zbudowany dom na przeciw ogrodu jezuickiego, tuż koło łazienek. Dom ten należał do Hechta, a salę w nim umieszczoną, używaną częściej jeszcze niż na

giełdę obywatelską na bale i zabawy karnawałowe, zwano pospolicie salą Hechta.

W porze kontraktów zastać było można w sali Hechta wielką bardzo liczbę szlachty nie tylko z Galicji ale i z najrozmaitszych innych stron Polski. Mianowicie zjeżdżało się w tę porę do Lwowa wiele szlachty kijowskiej i berdyczowskiej. Wstęp do sali Hechta, w którego domu było także kasyno, kosztował 15 krajcarów. Kielich i interes kolejno się tam zmieniały, były tam bowiem dwa obok siebie pokoje, w jednym szlachta załatwiała sprawę w drugim piła. Jak zapewniają głosy współczesne, ten drugi pokój był pełniejszy. Dyrektor niemieckiego teatru, Bulla, miał przywilej na urządzenie klubu w czasie kontraktów, a pan Hecht urządził już wówczas ogród jezuicki, w którym latem schadzano się na kawę.

W czasie naszego opowiadania istniały we Lwowie także dwie loże wolnomularskie, jedna francuzka, druga niemiecka. Wiele szlachty należało do „Wschodu lwowskiego”, któremu podobno przewodniczył bawiący właśnie we Lwowie Kazimierz Rzewuski. Loża niemiecka miała bardzo smutną sławę. Autorowie i turyści niemieccy, którzy w owych czasach pisali o Galicji, skarżą się gorzko na lożę niemiecką, do której wstęp sprzedawano za bezcen i dla spekulacji, a w której zorganizowała się była cała szajka rozmaitego rodzaju szalbierzy.

Ale czas już zakończyć te uwagi o Lwowie z owych czasów. Nie wyczerpaliśmy wszystkich jego rysów, bo jak już nadmieniliśmy wyżej, uzupełniać będziemy szczegóły

życia lwowskiego w dalszym ciągu naszych obrazków. I tak już sporej dopuściliśmy się dygressji, za którą bodaj czy nie przeproszać trzeba czytelnika! Jestto jednak ostatnie obszerniejsze zboczenie, a odtąd podążymy żwawiej w toku naszego opowiadania.

VIII.

Człowiek, który sam siebie kupił.

W jednej z kamienic rynkowych we Lwowie, na pierwszym piątrze, mieszkała od niejakiego czasu jakaś młoda jeszcze, nieznajoma dama, która wielce zaintrygowała cały świat wyższy lwowski. Niedawno przybyła ona do Galicji, a miesiąc zaledwie upływał, jak stale osiadła we Lwowie. Zaraz pierwszem swem zjawieniem się w stolicy zwróciła nieznajoma na siebie uwagę towarzystwa. Przybywała z Warszawy, z tego zaczarowanego przybytku modnego tonu i życia, z polskiego Paryża owych czasów, z stolicy wykwinności i blasków salonowych.

Była pierwszorzędną pięknością, olśniewała cały świat mężki powabem swych wdzięków. Uroda jej miała na sobie wszystkie cechy ówczesnych czasów zepsucia salonowego. Wdzięki jej wyzywały, wabiły, posiłkowały się całym przyborem rozkosznej gracji i kokietერი. Widać było w każdym jej ruchu, w każdym kroku, w każdym spojrzeniu i uśmiechu, że jest mistrzynią zalotności.

Zaledwie też pojawiła się w stolicy, sława jej wdzięków brzmiała w salonach lwowskich. Rój młodych i starych wielbicieli urody żeńskiej ścigał ją oczyma, kiedy prze-

jeździła się po ulicach Lwowa, garnął się do jej zalotnych spojrzeń i słówek, kiedy była gościem w którym z salonów. Zaraz w pierwszym miesiącu jej pobytu we Lwowie opowiadano sobie głośno lub na ucho, że stary hrabia Omega szaleje za nią resztkami namiętności i złota, że książę Alfa złożył jej wizytę i odtąd uwiązał w sieci jej wdzięków bez ratunku, że między panem Ypsilonem a Zetem krwawy odbył się pojedynek z powodu niewyraźnego adresu jej uśmiechu.

Nieznajoma rozwinęła przytem od razu wielki zbytek i przepych, żyła na pańską stopę i kazała się zwać hrabiną. Mieszkanie jej urządzone było z całą wystawnością magnackiego domu, służba lśniła kosztowną liberją, a ekwipaż jej z czterema pysznemi tarantowatemi końmi nie miał równego sobie we Lwowie. Do tych wszystkich uroków piękności i przepychu przybywał jeszcze urok pewnej tajemniczości. Starsze i poważniejsze damy lwowskie krzywiły się na jej postępowanie i uprzedzały się jej zagadkowością, mało kto znał jej nazwisko, a i o tem mówiono że jest przybrane, a nikt zgola nie znał ani jednego szczegółu z jej przeszłości.

Przeszłość ta jednak nie musiała być pospolitą, bo nieznajoma zdradzała nietylko wykształceniem i tonem salonowe antecedenje, ale nadto dowodziła w swych wzmiankach i rozmowach wielkiej znajomości wysokiego świata warszawskiego. Widać było od razu, że miała żywy i niepospolity udział w salonowym życiu warszawskim, że obracała się w kółku najsłynniejszych jego figur, że sam król

i otaczający go kwiat wykwintnego towarzystwa nie stali po za kresami jej znajomości.

Poco przybyła do Lwowa, to było mniejszej już wagi zagadnienie; wszakże w owych czasach rozbicia tyle nieznajomych i nowych figur pojawiało się wszędy — ale kto była właściwie, nad tem łamano sobie głowy. Mężatka? rozwódka? wdowa? Każdy na to odpowiadał inaczej.

Nie wdając się w zbieranie i rozstrzyganie rozmaitych pogłosek i domysłów, odwiedzimy zagadkową piękność w jej własnem mieszkaniu.

Przejdźmy przez pysznie urządzone pokoje do budoaru. Budoar ten był prawdziwym wzorem bogatej elegancji i wytworności. Wszystko, czegokolwiek zapragnąć by mogła najwykwintniejsza wybredność, złożyło się na urządzenie tego małego przybytku salonowej królowej. Wszystkie wymagania wypieszczonego smaku, wszystkie zachcenia i kaprysy wygody i elegancji znachodziły w nim najwytworniejsze zadośćuczynienie. Począwszy od drogich grubych tureckich ko-bierców, aż do ciężkich jedwabnych makat i firanek, od drogiemi materjami obitych mebli aż do małych cacek i drobiazgów strojących pyszny stolik toaletowy — świadczyło wszystko o wykwintnym guście i rozkosznych nawyczkach pani domu.

Rozpartą wygodnie w poręczowem krześle, z pewnym wyrazem znużenia na twarzy i w całej postaci, zastajemy nieznaną damę. Musiała właśnie powrócić z rannej wizyty, bo strój jej był bogaty i wystawny. Miała na sobie suknię z ciężkiego jedwabiu, na której tle jasnopapuziem

połyskiwał jaskrawy deseń złożony z kwiatów, ptaszków i motyli. Włosy falowały się na głowie w sztucznej fryzurze a spięte były u skroni koralową i złotą kotwicą. Twarz okryta modnie bielidłem oparta była na pięknej toczonej rączce, której śnieżną białosć po łokieć tylko okrywał szeroki a krótki rękaw sukni, strojny w przejrzystą sieć drogich koronek. Z pod sukni wyglądała wysunięta naprzód niedbale nóżka rzadkiej drobności i najwdzięczniejszych kształtów, tkwiąca w białym atlasowym trzewiczku z czerwonym korkiem.

Lwowskie towarzystwo salonowe miało słusznosc — kobieta ta była rzadkiej piękności. Wdzięki jej same przez się już były olśniewające, a cóż dopiero kiedy niemi przemawiała zalotność, uroku swego pewna! Nieznajoma nie była już w pierwszych latach młodości — mogła mieć już lat trzydzieści. Mimo to twarz jej pełna była powabu życia, a oko pełne jeszcze gorącego blasku.

I twarz ta nadobna, rozjaśniona stałym niejako uśmiechem kokieteryj, i to oko czarne, namiętne, pałające, nie są nam już nie znane. Twarz tę i oczy te spotkałimy już w naszej powieści. Pod uśmiechem tej powabnej twarzy i pod figlarnem spojrzeniem tych czarnych oczów widzieliśmy rumieniącego się i mieszającego Tadeusza, kiedy to uchodząc przed niemiecką pogonią, w tak dziwny sposób tak dziwną zrobił znajomość.

Nowa, nieznana gwiazda na horyzoncie salonowych piękności lwowskich, zagadkowa bogini serc tylu młodych

i starych wielbicieli — to znajoma i nieznajoma nam zarazem Laura.

Jakoż i we Lwowie, od czasu krótkiego jej pobytu w tem mieście, nie nazywano jej najczęściej inaczej, jak hrabiną Laurą, panią Laurą. Do imienia tego dodawano czasem i nazwisko Łotocka, które to nazwisko należeć miało nieznajomej po rodzicach.

Piękna pani Laura siedziała nieruchomie jakby w zamysleniu. Zamyślenie nie musiało być miłe, bo na czole jej zarysowały się lekkie zmarszczki jakby kłopotu, a z ust różowych znikł na chwilę uśmiech swobody i pustoty. W oczach przygasł wesoły ogień swawoli, a głowa pochyliła się na dół. Uważając jednak cały wyraz twarzy, poznać było można, że zaduma zaprzatająca głowę elegantki nie była ani głęboką ani smutną.

Było to widocznie tylko zakłopotanie, które więcej w niechęć i złość niżli w smutek wprowadzało, bo Laura od czasu do czasu ruszała się niecierpliwie na krześle i tupiała małą nóżką. Dość było spojrzeć na całą postać pięknej kobiety, dość było zastanowić się nad wymownymi rysami jej twarzy, aby przyjść do przekonania, że ona nie umie się martwić, że nie zna głębszego smutku. W całej tej nadobnej twarzy tyle się przebijało pustoty, tyle lekkomyślności — że nie można było przypuszczać, aby pod to czoło białe wgryzła się kiedy głębiej myśl poważna lub smutna, aby pod temi pierściami, co zdawały się wyzywać w zawody kształty wszystkich posągów cyteryjskiej bogini, było serce do bólu, a nie jedynie do uciechy i rozkoszy zdolne.

Znawca natury ludzkiej najlepiej podobno odgadnie charakter każdej kobiety, jeżeli ją podglądnie w chwili kiedy przestaje być aktorką a jest samą sobą. Wówczas, jeżeli ją znałeś przedtem, znajdziesz w wyrazie jej twarzy, w jej zajęciu się wskazówkę jej usposobienia, a przynajmniej komentarz do niejednego jej przymiotu, klucz do niejednej zagadki jej charakteru.

Gdyby tak podglądać, podsłuchać można każdą kobietę po jakiejś ważniejszej chwili jej życia, np. młodą dziewczynę po balu, po czułej rozmowie z kochankiem, po jakiejś scenie wybitniejszej niż codzienne drobnostki życia — podsłuchać w chwili, kiedy wrażenie lub uczucie prawdziwe drży dalej w jej duszy, a fałszywe zrzuca maskę przybraną — ileżby kobietom przybyło nowych czcicieli i obrońców, lecz o ileż pomnożyłaby się także liczba ich przeciwników!...

Laura wnet się uporała z ową drobną troską, która na chwilkę sfałdowała jej białe, gładkie czoło. Tupnęła żywiej nóżką, porwała się z krzesła, stanęła przy zwierciadle i znowu w oczach jej zamigotała pustota, usta zaśmiały się rozkosznym śmiechem swawoli, a z piersi wydobył się dźwięk jakiejś piosenki francuskiej. Piosenka była wesoła, mówiła coś o miłości i rozkoszy, a piękna kobieta nucąc ją półgłosem wtórzyła jej gorącym połyskiem swych czarnych oczu i przyspieszonym oddechem swej toczonej piersi. Potem raz jeszcze rzuciła okiem w zwierciadło, poprawiła koronki u obnażonego gorsu i uśmiechnęła się do siebie z wyrazem prawie epikurejskim, z wyrazem, którego je-

dyną treścią wesele życia, szal zabaw, igraszka szczęścia i rozkoszy...

Usiadła znowu na chwilę, a potem nie chcąc powstać do dzwonka, klasnęła kilka razy drobnymi dłońmi. Do pokoju wbiegła chyżo młoda, wystrojona garderobiana.

— Czy pani hrabina się przebierze? — zapytała.

— Pani Miżewska w domu?

— Nie ma, poszła do kościoła.

— Nieznośna baba! Cały dzień klepie tylko godzinki! Potrzeba się będzie postarać o inną towarzyszkę. Moja na-bożna duenna gotowa mnie do klasztoru namówić! — do-dała sama do siebie z uśmiechem.

— Antoni był u pana Żagwina?

— Był.

— I cóż powiedział?

— Pan Żagwin kazał oświadczyć, że przyjdzie zaraz.

— Dobrze, wpuścić go!

— A jakby kto inny przyszedł?

— Dopóki pan Żagwin będzie, nie ma mnie w domu.

Pokojówka wybiegła, ale zaledwie szum jej sukni ucichł w powietrzu, dały się słyszeć u drzwi głównych odgłos dzwonka a potem słowa rozmowy.

— Otóż i on pewnie! — rzekła sama do siebie piękna kobieta — ach! jakżeż się unudzę! Boże mój! te interesa, te interesa!

I rzuciła się z pewną kwaśną rezygnacją na sofę. Za chwilę ukazał się gość w budoarze.

— A, pan Żagwin! Witam! — zawołała Laura z uprzejmym uśmiechem i podała dłoń do powitania.

Gość pospieszył ucałować nadobną rączkę i zaproszony skinieniem usiadł na taburecie.

Nowoprzybyły pan Żagwin, był to mężczyzna około lat górą czterdziestu, miernego wzrostu, krępej i silnej budowy. Oczy miał małe, dość głęboko osadzone, piwne, niezmiernie ruchliwe. Oczy te były główną charakterystyką jego twarzy. Dziwne też były rozmaitością wyrazu, jakie przybierały wedle usposobienia Żagwina. Zazwyczaj malował się w nich spryt i chytryść — ale na tle tych dwóch głównych wyrazów odbijało się mnóstwo innych. Była tam i ponurość i jakieś jakby zaczajenie się, czyhanie i lisi dowcip i coś z połyску namiętności.

Nad temi oczyma wznosiło się czoło niskie ale wypukłe, w dwa garby podzielone, które nadawały twarzy charakter uparty, przekorny, i zdawały się zdradzać, że właściciel tego czoła gotów jest zawsze do upartej walki, do łamania przebojem trudności. Reszta twarzy uderzała regularnym ale kościstym składem, i nadawała twarzy wyrazu wytrwałości.

Pan Żagwin ubrany był starannie a nawet elegancko. Frak niebieski świeżej mody ujmował jego silne kształty, jedwabna chustka zgrabnie drapowała się u szyi, a cienkie żaboty były śnieżnej białości. Na długiej adamaszkowej kamizelce wisiał gruby łańcuch złoty od zegarka i mnóstwo przy nim kosztownych bryloków, a palce świeciły od pierścieni z pięknymi kamieniami. Poznać było od razu pewną

ostentację w tym zbytku złota u zegarka i na palcach. Właściciel snąc znaczną doń przypisywał wagę, bo przeglądając mu się od czasu do czasu z pewnem źle ukrytem upodobaniem.

Kto był pan Żagwin, o tem każdy ulicznik lwowski umiałby powiedzieć. Żagwin był sławnym w mieście rabulistą. Wszystkie nieczyste sprawy, wszystkie brudne procesa, których nie podejmowali się inni adwokaci, przyjmował on i prowadził ku wielkiemu zadowoleniu strony, której bronił. Posiadał niepospolite zdolności, niezwykłą wiadomość prawa i spryt ogromny — nie wzdragał się przed najbrudniejszą sprawą, przed forytowaniem najlichszej napaści pieniaczkiej, byleby zysk miał widoczny. Osławiony był z tego powodu, mecenasi inni pogardzali nim i usuwali się od niego na każdym kroku, a wszyscy w ogóle mieli go za człowieka bez serca i z czołem wytartem. On drwił z wszystkich, nie napychał się swoją osobą nigdy, a co dziwna, przy całym swym rabulistycznym cynizmie zachował pewną szorstką dumę i wyniosłość w stosunkach z ludźmi, o których wiedział, że go potępiają.

Niegdyś Żagwin miał być innym wcale człowiekiem, po którymby się nikt tak dwuznacznej nie był spodziewał kariery. Na dzisiejszego rabulistę wychowały go trudne życie i nieszczęśliwe stosunki. Żagwin był synem prostego chłopca, a więc z tego względu prawdziwie białym krukiem na owe na wskrós szlacheckie czasy. On się przemycił w życie inne, w stan wyższy, przedarł się gwałtem. Był kontrabandą. Już

to samo zwichnęło wielce szkodliwie jego charakter, z natury swej do złego skłonny.

Urodził się prawie na dwadzieścia lat przed pierwszym rozbiorem polskim. Za protekcją jakiegoś Ojca Jezuitę, brata proboszcza wsi, dostał się z pod nahaża ekonomów i hajduków, z pod bicia atamańskiego, do Lwowa. Tu czyścił buty Jezuitom i spełniał inne najniższe posługi w klasztorze. Jezuita mieli w swym ręku szkołę lwowską, która później współzawodniczyła z akademją zamojską. Przez protekcję swego dobrodzieja dostał się Żagwin do szkoły, nie jako uczeń, ale jako jakiś nikczemny rodzaj kałafaktora, jako zamiatacz izby i oprawca przy egzekucjach szkolnych.

Tak trudem niesłychanym, bezprzykładną wytrwałością, lisim sprytem i przebiegłością przemycił się przez klasy, uczył się z upartą, namiętną pilnością, uciekł Jezuitom, wśliznął się do palestry lubelskiej, pracował, marł z głodu — ale wyszedł na człowieka. A człowiekiem w jego rozumieniu był ów, kto miał porządny, cienki żupan na grzbiecie, kto miał sakwę pełną złota i sposobność obicia czasami kogoś niższego tak serdecznie, jak jego do niedawna obijano.

Będąc tak żywą kontrabandą, torując sobie drogę zamkniętą przemocą chytrłości i wybiegów, ciągłą pracą sprytu i przebiegłości, nieraz kosztem upokorzenia się i upodlenia tylokrotnie wyszturkiwany, wypychany jako intruz bezczelny, z natury nie bardzo surowy w wybieraniu środków a nadto, zarwawszy nieco jezuickiego wychowania — wyrobił

w sobie Żagwin charakter przewrotny. Do przewrotności tej przybyły gorycz, nienawiść, mściwość. Życie jego było ciągłym pasmem cierpień, niedostatków, walk, krzywd prawdziwych i urojonych, upokorzeń — trzeba było żelaznej wytrwałości, aby je przeżyć, trzeba było anielskiej dobroci duszy, aby nie upaść moralnie, nie zatruć serca jadami.

Żagwin nie miał tej anielskiej słodyczy — pragnął tylko, aby się jak wąż wygrzać na łonie tego społeczeństwa, które miał później kasać z całą rozkoszą zemsty. Mecenasem nie mógł zostać, bo mu zapierało do tego urzędu drogę mnóstwo przeszkód, a mianowicie urodzenie. Będąc jednak niesłychanie sprytnym i zdolnym prawnikiem, znalazł łatwo pomieszczenie u jednego z mecenasów lubelskich.

Pan mecenas pracował Żagwinem jak wołem, wygrywał jego bystrością i rozumem najtrudniejsze i najzawikłańsze spory, zasłynął, brał pieniądze grube i robił majątek. Tymczasem Żagwin od pryncypała swego brał tylko małą pensyjkę. Dla ozwyczajonego z nędzą biedaka wystarczała ona najzupełniej, ale człowieka z wielkimi zdolnościami, z poczuciem tych zdolności i ceny swej pracy, rozgoryczała jeszcze bardziej ku ludziom. Żagwin pragnął pieniędzy, bo czuł dobrze ich wszechmocną władzę — złoto tylko, złoto i jeszcze raz złoto mogło go wyrwać z jego niedoli i upokorzenia, mogło dać sposobność pohulania orgją zemsty dla duszy przejętej do głębi nienawiścią. Nie sypiał tedy nocami całemi, pracował ubocznie i zarabiał dużo.

W końcu, po kilku latach takiej żelaznej, niestrudzonej pracy, udało mu się zebrać znaczną stosunkowo fortunę.

Zdawało mu się teraz, że stanął u kresu swych życzeń, że będzie mógł odtąd swobodniej i samoistniej oglądać się po świecie. Umyślił opuścić tedy swego pryncypała, lecz chciał się wpierv zemścić na nim dotkliwie. Nadarzyła mu się do tego wyborna sposobność.

Szlachcic pewien przybył do pryncypała z jakąś sprawą bardzo dwuznaczną, rozpaczliwą, niezmiernie powikłaną, w wiekowem pieniactwie spleśniałą. Mecenas, bardzo słabą obdarzony głową, nawet głównej nici całego procesu dojść nie zdołał. Bał się przyjąć proces. Szlachcic, który daremnie szukał pomocy u innych mecenasów, prosił, błagał, ofiarował ogromne honorarjum. Mecenas poradził się z Żagwinem. Żagwin zamknął się na noc całą z stosem aktów, kondemnat, delacyj itd., przewartował wszystko, doszedł najzawikłańszych sieci i poradził przyjąć.

Pryncypał starym zwyczajem zagarnął sporą antycypację, a prowadzenie procesu powierzył Żagwinowi. Żagwin zwinął się tak zręcznie, że jeszcze przed limitami trybunalskich sądów uzyskał pierwszy wyrok pomyślny, nie rozstrzygający jeszcze, ale stawiający sprawę na najlepszej stopie. Szlachcic pieniacz uradował się niezmiernie, sypnął złotem i sławił zdolności swego mecenasa. Proces toczył się dalej, gdy naraz w stanowczej, krytycznej chwili, kiedy należało użyć całego sprytu i zręczności do odniesienia zwycięstwa, Żagwin porzucił mecenasa, głuchy na jego prośby i zakliwania.

Udał się do drugiego prawnika, który miał właśnie w opiece prawnej przeciwną stronę owego powikłanego procesu i

temu zaofiarował tajemnie swe usługi. Znając dokładnie proces cały i jego najsłabsze strony umożliwił od razu zwrot przeciwny w jego toku. Gdy przyszło do terminu, dawny pryncypał Żagwina nie tylko musiał uleść, ale skompromitował się najfatalniej. Proces dzięki sprytowi Żagwina przechylił się od razu na stronę przeciwną.

Skompromitowany dotkliwie mecenas, pozbawiony od razu nabytej sławy, nagabywany wyrzutami pieniacza szlachcica, umyślił się teraz zemścić na Żagwinie. Nieszczęśliwy dla Żagwina przypadek zdarzył, że ów szlachcic był bratem dziedzica włości, w której się urodził Żagwin. Zdradzony mecenas znał dobrze pochodzenie zdrajcy, wyjawiał rzecz całą szlachcicowi — i nagle porwano Żagwina i odstawiono go do wsi rodzinnej.

Pierwszy raz on tam był od czasu wyjazdu z Jezuitą. Przedtem nie zaglądał nigdy do wsi rodzinnej, choć miał tam ojca i matkę. Teraz dopiero poniewolnie odwiedził swych rodziców, konwojowany przez hajduków w upokarzający i nielitościwy zarówno sposób. Czekala go sroga zemsta — on jej umiał jednak zapobiedz. Dziedzic był w kłopotach pieniężnych, Żagwin ofiarował mu wykupno. Poświęcił na to całą swą oszczędzoną sumę, owoc krwawych trudów i nocy niespanych. Szlachcic zgodził się i wziął pieniądze, a ukontentowany z dobrego interesu dodał mu z własnego wspaniałomyślnego popędu starą matkę w dodatku. Ojciec bowiem Żagwina, unikając jakiegś chłosty dworskiej, umknął był już dawno ze wsi i znikł bez śladu w świecie.

Żagwin znalazł się znowu bez grosza, zaglądnął znowu w oczy nędzy, gotować musiał dłonie do nowej walki. Trzeba było zacząć na nowo! Dał wszystko co trudem i potem zdobył — aby kupić siebie. Dusza do gruntu rozburzyła mu się namiętną nienawiścią i zawołał ze zgrzytem zębów:

— Kupiłem siebie! Dobrze, ludzie! mnie sprzedaliście mnie samemu! Ale teraz już kwita z nami! Wykupiłem się od was — jestem wolny!

W obec tej burzy nienawiści jedno tylko szlachetniejsze uczucie nie ucichło mu w piersi. Matka jego, widząc go wiezionego pod strażą hajduków, w nieszczęściu, w nędzy, otuliła go swą miłością, ogrzała gorącemi łzami. Żagwin wziął matkę z sobą i udał się w świat bez celu. Właśnie w ową porę przypadł rozbiór Polski. Żagwin nie znał Polski, nie znał ojczyzny, jak jej znać nie mogli wszyscy heloci. A przecież coś naksztalt żalu owładnęło mu serce... To uczucie przywiązania do ziemi ojczystej w człowieku, który wytepił w sobie wszystko, co nie było żółcią i nienawiścią, było zagadką.

Zaraz po rozbiorze przeniósł się do Galicji i osiadł we Lwowie. Pod nowym rządem łatwo mu było uzyskać miejsce prawnika, zwłaszcza, że szybko nauczył się niemieckiego języka i niemieckie wystudjował prawa. Odtąd zaczęło mu się wieść dobrze. Już w zeszłym rozdziale nadmieniliśmy, jak kwitnęła podówczas rabulistyka w kraju. Żagwin znalazł w tym brudnym odmęcie skandalicznego pieniactwa złote źródło.

Nie było procesu najniesprawiedliwszego, przed którymby się usunął; nie było sprawy najpowikłańszej, którejby nie rozmotał, najjaśniejszej, którejby nie poplątał — według tego, jak mu było potrzeba. Sumienni koledzy stronili od niego, był wykluczany z grona uczciwych, ale on szydził z tego. Za to, gdy przyszło stanąć mu przed krótkami z innym mecenasem, wtedy wysilał spryt swój i chytrą całą, aby go pokonać i rozbroić. Nie była w tem sama tylko gorliwość rzemiosła — była tam i osobista nienawiść. Szydził, pastwił się z prawdziwą rozkoszą.

Krzyczano nań, skarżono się — on nie dawał się zbić z toru, bo mimo tych krzyków miał mnóstwo klientów. Ci sami, którzy najbardziej nań wołali, spieszyli w potrzebie o pomoc do niego. Tym sposobem w krótkim czasie zrobił sobie bardzo wielki majątek, nie tylko z procesów zwykłych, ale z rabulistycznych sprawek na własną rękę, o które tak łatwo mu było w owych czasach rozbicia fortun i zamętu stosunków krajowych.

Gdy mu kiedy kto w oczy zarzucał niesumienność lub obelgę w twarz cisnął, on śmiał się szyderczo i mawiał:

— Sprawiedliwości chcecie! Głupcy, alboż to sądy i my na to, aby sprawiedliwość była? Alboż to ja na to trzydzieści lat marłem z głodu, aby dziś żyć twoją sprawiedliwością? A gdzież sprawiedliwość na świecie? Gdzie? powiedz mi!

Razu jednego szedł po pod mieszkanie jednego magnata. Przed drzwiami stał mały, obdarty chłopczyzna i drżał

od mrozu, bo było to w zimie. Żagwin zatrzymał się, spojrział na chłopca i zapytał:

— Czego tu stoisz?

— Wypędzili mnie z kuchni lokaje! — zapłakał chłopczyzna.

— A pocóżes tam łaził?

— Bo tam służyła moja matka.

— Służyła. A teraz gdzie jest?

— W szpitalu.

Żagwin popatrzył się na chłopca uważnie, na ustach zagrał mu śmiech szyderski.

— Słuchaj! — rzekł — ja cię zrobię synem pana hrabiego! Ja cię zrobię paniczem, hrabiątkiem! Co, nie dobrze będzie?

Chłopiec patrzył nań osłupiałym wzrokiem.

— A prawda! ty nic nie masz, gałganie! nie miałbyś czem zapłacić! A ja nic darmo nie robię! A szkoda, byłby proces ładny!

A potem nagle, jakby mu się własna myśl podobała, chwycił chłopczynię za rękę i kazał się prowadzić do matki.

Za kilka dni rozpowiadano sobie o skandalicznym procesie, wytoczonym hrabiemu, który znany był z bojaźliwego zamiłowania spokoju. Hrabia był niewinny, napaść była najoczywistsza, najohydniejsza — ale chcąc uniknąć skandalu, wolął się okupić i posłał na ręce Żagwina rulon dukatów. Żagwin podzielił pieniądze na dwie połowy — jedną dał biednej chorej, a drugą zatrzymał sobie.

Takim był Żagwin. Gdyby był w owym czasie żył we Francji, byłaby rewolucja znalazła w nim jednego z najkrwawszych bohaterów politycznej namiętności, gdyby się był urodził o kilka dziesiątek lat później w Polsce, byłby może wykierował się na dobrego obywatela. Ale w swoim czasie był on anachronizmem, kontrabandą — choć stokroć więcej zapewne niż stosunki społeczne przyczynił się do rozwoju takiego charakteru ten nieszczęśliwy fatalizm, że w drodze żywota spotykał się tylko z ludźmi bez serca... Ale to już taka klątwa niedoli, taki los świata, że nim wyjdiesz pod błękit i jasność słońca, przejść musisz przez labirynt ciemności, a w tym labiryncie jakżeż łatwo zabłądzić, jeśli serce twe, twój anioł stróż, nie przyświeca ci pochodnią miłości!

Ale charakteryzując Żagwina jeszcze jednego rysu pominąć nie możemy, rysu, który usprawiedliwić ma poniekąd jego dalsze losy w tej powieści. Mimo to, że w zaślepieniu źródło krzywdy, którego powinien był szukać u jednostek, odnosił do całego społeczeństwa, mimo wylęgłą ztąd nienawiść, która była kamertonem jego duszy, świecił jeszcze w ciemności jego serca i jaśniejszy promyk... Nawet najzatwardziały zbrodniarz przechowuje jeszcze taki promyczek w piersi!... Stara to prawda, że ludzie ani doskonale złymi, ani doskonale dobrymi być nie potrafią. Jeżeli jedna zbłąkana gwiazdka na czarnem niebie światłem swem robi noc niezupełną — to i w piersi Żagwina była noc niezupełna.

Człowiek ten kochał swoją matkę — otaczał ją wszelkimi wygodami, opiekował się nią jak pieszczonem dzieckiem. Staruszka ta żyła dotąd, a syna, który otoczył ją taką troskliwością, który siebie i ją dźwignął z nędzy i niewoli, uważała za bóstwo rozumu i dobroci... Ale oprócz uczucia synowskiego miał ten przewrotny i ciemny charakter jeszcze inną jaśniejszą stronę...

Po długiej pracy przy biurze, po sofistycznym krętactwie przed kratkami sądu, zamykał się często Żagwin w osobnym pokoju i czytał z najgłębszem zajęciem, z rozkoszą prawdziwą książki treści sentymentalnej, poemata mrzonek miłosnych i idyllicznej słodyczy...

Człowiek, który właśnie co wstał od pracy nad wytożeniem brudnego, niesprawiedliwego procesu, który wysiłał się przed chwilą na zamęcenie zgody osób i rodzin — czytał po kilkakroć Heloizę Russa — człowiek, który nie znał dla świata i ludzi nic prócz nienawiści i bezczelnie chlubił się cynizmem niesumienności, z rozkosznem uniesieniem marzył z Karpińskim o Justynach, o sielankach miłości...

Niegdyś, będąc sługusem u Jezuitów we Lwowie, poznał tam Karpińskiego osobiście — a dziś pierwsze poezje tego czułego śpiewaka, które właśnie wyszły na świat we Lwowie, były najulubieńszym pokarmem jego wyobraźni w chwilach wolnych od rabulistyki. A wyobraźnia ta, rozmarzona słowem miłości i obrazem lubych scen pasterskich, wiodła duszę Żagwina do życzeń, których niktby się nie był spodziewał po tym człowieku bez serca...

Żagwin nie był żonaty... — ale mimo opóźnionego już dość wieku marzył o szczęściu miłości. Serce choć stwardło w kamień, choć zwęglone żarem nienawiści, nie zdołało się wyrzec tego rojenia. Żagwin chciał jedną — jedną tylko istotę wyjąć z pod swej nienawiści i przewrotności, i dla tej jedynej być człowiekiem innym. Tym jedynym i ostatnim wyjątkiem miała być jego żona...

Ale marzenie to dotąd pozostało marzeniem. Dotąd podsycały je nie oczy wybranej, ale zdarte i zbrudzone od ciągłego czytania karty Heloizy i tkliwych dziejów Justyny... Żagwin ciągle czekał i krył się z tą zagadką swej duszy przed światem. Nikt nie podejrział tej słabej jego strony. Była to jego najskrytsza tajemnica. Takim był Żagwin.

Cóż za stosunki mogła mieć z tym człowiekiem piękna Laura?...

IX.

Kto kogo oszuka?

Nim przystąpimy do skreślenia konferencji, która się odbyła między Żagwinem a panią Laurą, musimy po krótko wyjaśnić stosunek, jaki się wywiązał między sławnym rabulistą a zagadkową damą. W chwili, kiedy wprowadzamy na scenę obie te osoby razem, stosunek ten znajdował się poniekąd, że tak powiemy, w porze dojrzewania.

Pani Laura przybywszy do Galicji miała na celu załatwienie jakiejś sprawy, która, sądząc z całego postępowania warszawskiej damy, musiała mieć dla niej wielką bardzo wagę. Laura pierwsze dni pobytu w Galicji spędziła u swej dobrej znajomej z salonów warszawskich, jakiejś emerytki wielkiego świata, która strwoniwszy lata młodości i znaczną część majątku w wirze stołecznego życia, przeniosła się do swoich dóbr w Galicji i tu wśród odżywiania miłych wspomnień spędzała resztki życia.

Laura, nacieszywszy się z ex-lwica ówczesnych warszawskich salonów, złożywszy jej szczegółowe sprawozdanie z całej kroniki salonowych plotek, wypadeczek i skandalików, począwszy od balów królewskich i życia pod Blachą aż do szczegółowej historji pojedynczych bohaterów modnej i świe-

tnej teźyzny. — wypowiadała się z swych kłopotów i swych nadziei i za poradą starej przyjaciółki wybrała się do Lwowa.

Kłopoty te i nadzieje były zarówno wielkie. Nietylko polityczne zmiany i wypadki, które Baltazarową wróżbą zakłóciły wesołość i swobodę warszawskich salonów, ale i inne dotkliwsze jeszcze powody zmusiły naszą piękną znajomą do opuszczenia Warszawy. Pani Laura przebywała w Warszawie bez męża, o którego losach nikt bliższych nie znał szczegółów, a utrzymywała się w stolicy z dóbr swoich posagowych, o kilka mil od Warszawy odległych. Żyła wytwornem życiem ówczesnych dam salonowych, na stopie świetnej, wśród zbytku i niesłychanego przepychu.

Piękność i majątek nadawały jej prawo do wysokiej salonowej kariery, a karjera ta tem obszerniejsze miała granice, ile że pani Laura, będąc wdową czy rozwódką, nie znała żadnych obowiązków rodzinnych, któreby mogły ścieśniać jej swobodę. Przy braku takich obowiązków domowych i rodzinnych a wielkiem zwolnieniu obowiązków wyższych moralnych, którem celowało owego czasu społeczeństwo warszawskiego wielkiego świata — pani Laura mogła zasłynąć w krótkim czasie sławą pierwszej bohaterki salonów, królowej zabaw i uciech, bogini mody, tonu i zbytkowego przepychu.

Ale odgrywanie tak świetnej roli wkrótce wyczerpać musiało źródła majątkowe pięknej kobiety. Zbytek i brak wszelkiej pieczy nad dobrami rychło przyczyniły się do ruiny posagowej fortuny, a niebawem znalazła się pani Laura w konieczności przedania dóbr swych poniżej wszelkiej

wartości. Resztki uzyskanych złąd zasobów szybko się roz-
pływały wśród wystawnego, modnego życia. Nim się opa-
trzyć zdołała nasza salonowa bohaterka, środki jej pieniężne
wyczerpały się już ze szczętem.

Tymczasem i świeże wypadki polityczne rozbiły war-
szawskie towarzystwo. Wesołym salonom Warszawy zabrakło
swobody i spokoju — powietrze stało się dusznem. Pani
Laura widziała, że nie ma już co robić w stolicy. Opuściła
Warszawę i z ostatkami świetności przybyła do Galicji.
Wszakże i tu liczyć mogła na dalszy ciąg nudnej salonowej
karjery, wszakże i Lwów w owym czasie błyszczał przepy-
chem i świetnością swych kół salonowych i swego mo-
dnego tonu. Ale oprócz tych marzeń i widoków miała pani
Laura jeszcze inne, których spełnienie było jeszcze ważniej-
szem i konieczniejszym.

Piękna nasza znajoma miała jakieś pretensje do dóbr
położonych w Galicji. Dopóki była w dostatkach, dopóki
własny majątek wystarczał na pokrycie wszelkich potrzeb
modnej i pańskiej wytworności, nie przyszły pani Laurze
nigdy ani na myśl te pretensje i plan ich podniesienia; ale
kiedy ujrzała się ogołoconą z dalszych zasobów, kiedy obli-
czyć mogła naprzód dzień, w którym spotka się oko w oko
z niedostatkiem, zaświtała w jej sprytniej głowce myśl, któ-
rej wykonanie było jedną z najgłówniejszych przyczyn jej
przyjazdu do Galicji.

Jaka to była myśl i na jakich opierała się podstawach, o
tem dokładniej dowiemy się w ciągu bieżącego rozdziału —
tu tylko powiemy tyle, że myśl, której się uchwyciła zban-

krutowana dama, wcielić się miała w prawną pretensję, w wielki proces o znaczne bardzo dobra. W interesach tego procesu przebywała od niedawna pani Laura we Lwowie. Zamierzony proces nie musiał być bardzo pewny, podstawy jego nie musiały leżeć po za obrębem dwuznaczności, a samże przyszły rezultat nie musiał mieć dość pewnej rękojmi powodzenia, gdyż mimo nawet dość zdemoralizowanej i w zuchwały sposób przedsiębiorczej rabulistyki w młodej Galicji, trudno jakoś było o rzecznika dla podjętej sprawy.

Przedewszystkiem nie mogła go jakoś znaleźć pani Laura w gronie poważniejszych i sumienniejszych mecenasów lwowskich. Prawie wszystkim znaczniejszym adwokatom ofiarowała prowadzenie swego procesu, ale w żadnym nie znalazła ani ochoty do podjęcia się tej sprawy, ani otuchy, aby zamierzone zabiegi odnieść mogły pomyślny skutek. Pani Laura była w prawdziwej rozpacz. Jedyne prawie plan, który jej jeszcze pozostawał i który zdawał się rokować pomyślniejszą zmianę w materialnej sytuacji kobiety, przywykłej do ogromnych dóbr i zbytowej wystawy w życiu, zaczynał spełzać na niczem.

Wśród tak przykrego kłopotu obida się o uszy pani Laury smutna sława Żagwina. Niesłychany spryt tego prawnika, zuchwała śmiałość jego rabulistycznych pomysłów, w końcu bezwzględna obojętność na godziwość w wybieraniu środków do popierania spraw podjętych, wydały się dla pani Laury ostatnim ratunkiem. Nie myśląc wiele udała się do Żagwina. Żagwin wysłuchał całej sprawy, nie przyobiecał na pewno powodzenia, ale nie odstraszył swej pięknej kli-

entki i oświadczył gotowość do prowadzenia całego interesu. Ale proces ten wymagać miał wielkiego nakładu, wielkich kosztów zaraz u wstępu, a wierny swej naturze Żagwin kosztą te obliczał bardziej jeszcze według miary własnej chciwości, aniżeli według samej niezbędnej potrzeby.

Nowy tedy szkopał zagroził pani Laurze drogę do celu. Ale szkopał ten nie długo trwożył naszą piękną znajomą. Laura uciekła się do jedyne go prawie środka, który jej pozostawał. Tym środkiem była świetność jej wdzięków, mistrzostwo jej w sztuce uwodzenia. Chciała sobie ująć Żagwina, olśnić go swym widokiem, podbić go i swym niewolnikiem uczynić. Był to istotnie plan bardzo niepewny! Trafić do tego serca, co zachowawszy gdzieś w najgłębszym swym dnie iskrę uczucia, okryło się stałą oziębłości i szyderstwa, podbić bronią romansową człowieka, który stwardł i zardzewiał tak w życiu — było szalonym przedsięwzięciem!

Żagwin był kilka razy na konferencjach w domu pani Laury, a piękna gospodyni korzystała wybornie z tych kilku odwiedzin. Rozwinęła przed nim cały ów porywający czar swej postaci, otoczyła go całą siecią uroków. Laura była mistrzynią w swej sztuce. Zamach na Żagwina był zręcznie obmyślony, wysiliła się nań cała przebiegłość jenjalnej kobiety. Od początkowej obojętności i pewnej wyniosłej dumy aż do mimowoli niby rzuconych słówek, od spojrzeń i zapytań niby prostej ciekawości aż do subtelnie odegranej komedji współczucia — wszystko to było wpływem głębokiej rachuby.

Żagwin był w pierwszych swych spotkaniach z piękną awanturnicą samym sobą, był Żagwinem prawnikiem, a to wystarczyłoby mniej pewnej siebie kobiecie do zaprzestania takich zamiarów. W rozmowach swych z Laurą trzymał się Żagwin tylko interesu, mówił tonem szorstkim, niegrzecznym, odpychał cynizmem swego moralnego bezwstydu, zbywał wszystkie słowa i uwagi Laury, które nie miały styczności z procesem, szyderstwem lub wybuchem jadowitej goryczy. Ale to wszystko nie zniechęciło pani Laury.

Wiemy już o dziwnej właściwości charakteru Żagwina — o tajemnicy jego serca. Widok tej ślicznej kobiety, otaczającej się urokiem dziwnej słodyczy i uczucia uderzył właśnie w tę ukrytą strunę jego duszy. Z razu nie zważał Żagwin na te wrażenia i przedstawiał się Laurze w postaci, którą miał dla świata. Owego dziwnego zajęcia, które Laura okazywała dla jego osoby, nie spostrzegł, nie rozumiał, bo go nie przypuszczał. Ale po kilkokrotnem widzeniu się z swoją klientką w Żagwinie rubuliście, w Żagwinie szydery i mizantropie, począł się odzywać Żagwin marzyciel, Żagwin miłośnik Karpińskiego, Żagwin czytelnik Hełloizy.

Ten ukryty Żagwin marzyciel począł walczyć z Żagwinem prawnikiem. Kiedy prawnik słuchał z zimną, rzemieślniczą niejako uwagą wywodów klientki — marzyciel chwycił dźwięk jej głosu i pieścił się nim z rozkoszą; kiedy prawnik odpowiadał suchymi słowy pieniackiego krętacza — marzyciel patrzył w czarne oczy Laury. Ale trzeba było ok niesłychanej bystrości, trzeba było oka, któreby spojrzeniem

jak sondą wniknęło w samo najgłębsze dno serca, aby dostrzedz tego rozstroju w istocie zimnego prawnika, aby odgadnąć, że pod temi trzema skorupami nienawiści, moralnego cynizmu i oziębłości tleje iskierka innego uczucia, aby zmiarkować że ten drugi zgłuszony, stłumiony, skowany Żagwin wypowiada posłuszeństwo swemu panu.

Czy pani Laura była tak przenikliwą, czy tylko tak wytrwałą — dość że mimo jednostajnego na pozór zachowania się Żagwina nie traciła otuchy. Wkrótce też za to poczęły się pojawiać pewne nieznaczące ślady skuteczności zabiegów pięknej klientki.

Żagwin, który pierwszy raz krótko i oschle rozmawiał z Laurą, a ubrany był w codzienny strój wytarty; który krótko i rubasznie urywał rozmowę, gdy mu zegarek oznajmił upływ kilkunastu minut; który ledwie za trzykrotną prozbą przyszedł na prawniczą konsultację — przybywał po raz drugi, trzeci i czwarty już bez osobnych zaprosin, przybywał starannie ubrany i odświeżony, nie patrzył na zegarek, nie spieszył się, owszem przeciągał dyskurs i był mniej szorstki, mniej suchy, choć zawsze ściśle interesu się tylko trzymał.

Piękna Laura poczęła widocznie sprawiać wrażenie na osławionym prawniku. Jeżeli tego nie zdradzał wyraźniej przed Laurą, to za to gdyby go kto był podglądał w domu, byłby dostrzegł wymowniejszych wskazówek. Żagwin na dwakroć dłużej zamykał się w swym pokoju, podwójny czas spędzał nad ulubionemi książkami i na zadumie. Jakkolwiek nie zaniedbywał swych zatrudnień, to przecież wi-

dać było nieraz, że ta praca, która mu dawniej starczyła za rozrywkę, czasami go nudzi i niecierpliwi. W ogóle było widać w jego usposobieniu jakiś rozstrój, jakieś pasowanie się.

Ale dość już jasno skreśliliśmy ten dziwny stosunek Żagwina do Laury. Czas już teraz wrócić do samych osób. Zostawiliśmy je w poprzednim rozdziale właśnie przy scenie powitania.

Żagwin siedział na krześle w milczeniu. Oczy miał spuszczone ku ziemi, na czole zarysowały się fałdy, jakby w znak zamyślenia, a cała fizjonomia przybrała wyraz jakby stanowczego namysłu. Co chwila ruszał sobą niecierpliwie, i pocierał ręką po czole.

Laura spoglądała nań badawczo, a usta jej przebiegał uśmiech na pół wesoły na pół drwiący.

— Jakże ci rada jestem, panie mecenasie — dziś więc stanowczo pomówimy...

— O czym? — przerwał szorstko Żagwin i spojrzał nagle na Laurę.

Z ust pięknej kobiety znikł w jednej chwili uśmiech szyderczy, a osiadł słodki i wesoły.

— O mojej sprawie — odparła.

Żagwin ruszył się niecierpliwie na krześle.

— Miałeś się dobrze rozmyślić, panie Żagwin.

— Rozmyśliłem się.

— A rezultat?

— Krótki. Proces pani nie ma nadziei... Lepiej go nie rozpoczynać...

I rzekłszy te słowa szybko, stanowczo, Żagwin odetchnął, jakby tę odpowiedź okupił walką z samym sobą.

Laura rzuciła się niechętnie na krzesło i chmura osiadła jej na czole. Ale nagle przybrała minę łagodną.

— Tak, to dobrze... — rzekła spokojnie i z wyrazem na pół żalu na pół rezygnacji.

— Dobrze? — zapytał ze swojej strony Żagwin.

— Dobrze, bo ci ufam...

— Pani mi ufasz? — zawołał Żagwin — pani mi ufasz? Mnie, Żagwinowi, którego wszyscy mają za łotra, za pieniacza, oszusta, do których to trzech pięknych tytułów przez uczucie solidarności z ludźmi mam zaszczyt sam się przyznawać...

— Ufam... — odpowiedziała znowu spokojnym tonem Laura.

— Cha... cha! — zaśmiał się szyderczo Żagwin — a ja pani powiem, że mówisz mi — nieprawdę...

Słowo to wymówił z impertynencką prawie szorstkością.

Pani Laura udała, że w prostactwie upatruje tylko oryginalność i uśmiechnęła się z doskonale udanem zajęciem. Ale kurczowe nadeptnięcie trzewiczka na ziemię zdradzało, że wewnątrz inne było uczucie.

— Ufam panu — rzekła łagodnie — bo nie uważam pana za takiego, jakim się sam głosisz... Świat i życie ciężką są szkołą dla ludzi z silnem uczuciem... Znam pańskie koleje po trosze... Pojmuję pańską gorycz!...

Słowa te wymówiła piękna klientka głosem, w którym zdało ci się, brzmi całą skalą echo prawdziwego współczucia...

Żagwin bystro i badawczo spojrział w oczy pięknej kobiecie. Zastał je pełne smętnego współczucia...

— Dobrze! — zawołał — pani mi ufasz! Otóż nie ufaj mi pani, bo cię zwodzę, oszukuję!... Proces jest do wygrania....

— A! mecenasie! Czyż to się godziło tak żartować?...

— Pani mi znowu wierzysz! Mówię: nie z tego — wierzysz; mówię: wygramy! — wierzysz!... A to dalej pani uwierzysz, że masz do czynienia z pocziwym człowiekiem, a ja znów gotów uwierzyć, że mówię z...

Tu urwał Żagwin i wstał z krzesła.

— Ale wróćmy do interesu — począł mówić dalej — proces pani może być wygrany... Ale może go wygrać tylko Żagwin...

— Wiedziałam o tem, udając się do pana. Tylko Żagwina bystrość zdoła przechylić sprawę na stronę słuszności...

— Tylko Żagwina podłość może się podejmować procesów dwuznacznych, niesłusznych... Tylko Żagwin podejmie się tego, czego inni zacni ludzie dotknąć się nie chcieli!... — dokończył Żagwin.

I zaśmiał się z nielitościwym szyderstwem.

— Wiecznie ten sam! Niepoprawny! — zaśmiała się Laura i przygryzła wargi.

— Idźmy dalej — zaczął znowu Żagwin nie spuszczać z oczu swej klientki — pani zaczynasz proces z mężem. Zależy tedy pytanie, czy on żyje, czy nie żyje?

— Ależ według wszelkiego prawdopodobieństwa nie żyje..

— A jak żyje?

— To nie ze mną, a majątek mój... Ja go nigdy nie kochałam...

— Co tam miłość!... Miłość to kodeks serca; mówimy o procesach... Kodeks austriacki pozwala na procesa między mężami a żonami... Więc pani nie masz pewności, czy żyje czy nie żyje?

— Nie!

— To nie nie znaczy... Jeśli żyje, zastosujemy prawo na emigrantów, jeśli nie żyje, zastosujemy prawo spadku — w obu razach mamy słuszość.

— Bez niej nie rozpoczynałabym procesu...

— Z nią nie udawałabyś się pani do Żagwina... — zaśmiał się z cynicznym szyderstwem rabulista.

— Ale rekapitulujmy całą sprawę — ciągnął dalej — abym mógł stanowczo ułożyć plan kampanji. Dobra, o której chodzi, należały dawniej do pani...

— Do pani starościny Łotockiej, mojej stryjenki...

— Pani starościna Łotocka przeznaczyła te dobra dla pani...

— Dla mnie i dla mej córki...

— Córka ta żyje?

— Nie, umarła już dawno

— Pani Łotocka umierając zapomniała o testamencie? Nieprawdaż?

— Tak.

— Ale sam stopień jej pokrewieństwa z panią świadczy, że nikomu innemu tylko pani należy się scheda?

Laura skinęła na znak potwierdzenia.

— Chodzi tylko o to, czy nie ma jeszcze jakich innych, np. pisanych skazówek, że nieboszczka starościna nie mogła mieć innej ostatniej woli?...

— Skazówki te są. Mam listy od stryjenki...

— Proszę o nie...

Laura wstała i otworzyła szufladkę biórka. Szukała dłuższą chwilę. Żagwin, korzystając z tego czasu, począł połykać spojrzeniem jej wdzięczną postać. W wzroku jego malowało się namiętne uczucie, na twarz wystąpił wyraz upodobania.

Cała jego postać zmieniała się w tej chwili... Ustąpiła z niej i cyniczna buta przewrotnego pieniacza i wyraz przewrotności i cecha jadowitego uporu — wszystko to utonęło w jakimś uczuciu łagodnem, prawie rzewnem...

Tak musiał wyglądać Żagwin, kiedy na klucz zamknięty poił się czułem kwileniem swego ulubionego poety...

Widział się bezpiecznym i zdemaskował się na chwilę. Wszakże nikt go nie widział.

Żagwin mylił się. Laura widziała tę zmianę na jego twarzy w zwierciadle, które wisiało nad biurkiem... Usta jej przebiegł uśmiech zadowolenia i tryumfu.

— Oto są listy — rzekła — odwracając się do Żagwina i podając mu zwitek papierów. — Najgłówniejszym jest ten — dodała wskazując na list z samego wierzchu.

Żagwin, który tymczasem był już znowu samym sobą, rozwinał papier i począł czytać. List ten był pełny uczucia miłości i przywiązania. Starościna pisała go, przesyłając Laurze w przeddzień jej ślubu błogosławieństwo. W liście tym pochwałała stryjenka gorącymi wyrazami jej wybór, życzyła kochającem sercem szczęścia w pożyciu małżeńskim, dawała rady i przestrogi. Z listu wypływało, że Laura była pieszczoną faworytką bogatej stryjenki...

Żagwin odczytał głośno ten list, owiany serdecznem ciepłem macierzyńskiej życzliwości. Laura usiłowała zająć się czemś innem, biegała oczyma po budoarze, wstawiała i siadała, jakby tem chciała koniecznie roztargnąć uwagę i nie słyszeć osnowy listu, która widocznie przykre jakieś w niej budziła wspomnienie...

— Brawo! — zawołał Żagwin przeczytawszy list do końca — to nieoceniony dokument! Ale tak *in parenthesis* nie wolno spytać, czy życzenia stryjenki się spełniły?...

Laura westchnęła i rzekła:

— Nie! związek ten był poniewolny, a serce nigdy się z nim pogodzić nie mogło...

Żagwin zabrał się do czytania dalszych listów. Następny już list stryjenki był pełny smutku i żalu. Pisała swej bratanicy, że z bolem dowiaduje się o jej nieszczęśliwem pożyciu z mężem, o niesnaskach i o goryczy, którą młoda żona przepełniła serce męża. Stryjanka przestrzega młodą

meżatkę i zaklina, aby się obliczyła z sercem i sumieniem, a uzna, że po jej stronie winy: „Zygmunt to człowiek szlachetny i prawego serca, w którego sentymentów szczerość nigdy wątpić nie mogę. Droga Loreńku, kochane dziecię, zatrzymaj się na tej drodze, zaklinam cię, błagam! O! obym nie dożyła, abyś zatruliła serce człowieka, który zdolny jest zapewnić szczęście zupełne kobiecie, a który cię kocha do szaleństwa...”

Żagwin odrzucił ten list na bok a począł czytać inne. Od czasu do czasu ustęp jakiś przeczytał głośno.

— „Więc ty nie tęsknisz za Marysieńką, za twojem dzieckiem! — czytał Żagwin — Biedne niebożatko, toć matki swej nie pozna! Kobieto! ja się ciebie bać zaczynam! O! gdybyś wiedziała, jak Zygmunt, który ma wyjeżdżać, oblewa łzami maleńką, jak ciężkie mu będzie rozstanie... Loreńko, nie daj mi zwątpić o tobie, przyjedź, ujrysz twoją Marysię, jaka śliczna, jaka dobra!... Przyjedź — a ręczę ci — pogodzicie się z Zygmuntem, ja go na to przygotowuję, a gdy się to stanie, jakaż ja będę szczęśliwa! Umrę spokojnie i bez żalu.”

Żagwin przeczytawszy ten ustęp spojrzał bystro na Laurę. Laura miała u oczu koronkową chustkę. Żagwin żałował, że oko jego tkanki tej przedrzeć nie mogło.

— „Na miłosierdzie Boże — czytał ustęp z innego listu — matko wyrodna, nieludzka! Kamieniem twe serce chyba, potworem jesteś, nie matką...”

Laura porwała się z krzesła i wysunęła rękę, jakby chciała odebrać list Żagwinowi.

Żagwin cofnął list i spojrzał na nią przenikliwie.

— Czy nie wolno czytać? — zapytał.

— O czytaj pan, jeśli chcesz — ale ten zarzut okropny, niesłuszny, serce mi dziś jeszcze rozrywa!

— Marysia twa chora, śmiertelnie chora — czytał Żagwin dalej — ja trzy razy szłem do ciebie pocztą, a ty nie przybywasz! Więc nie złożysz nawet ostatniego całusa na skroni dziecięcia, nim zmartwieje i lodem śmierci się zetnie?... Kobieto! ja cię przeklnę, ja...

Tu Laura głośnym wybuchem płaczu przerwała czytanie Żagwinowi.

— To okropnie! — wołała szlochając — stryjenka nie-
liłościwie mnie osądziła. Właśnie w tym czasie ja sama
byłam śmiertelnie chorą, pasowałam się sama ze śmiercią;
Otaczające mnie osoby ukrywały listy przedemną, aby mnie
nie dobić! O czemuż ukrywały, byłabym wydarła się cho-
robie i spieszyła do dziecięcia, albo przynajmniej śmiercią
swą usprawiedliwiła nieobecność przy jego skonie!...

I piękna Laura wybuchła nowem spazmatycznym szlo-
chaniem.

Żagwin spojrzał na nią zimno, potem spokojnie złożył
list i rzekł:

— To brzydki list, bardzo brzydki list!... z prawniczego
względem oczywiście! Ten list zniszczyć trzeba, aby nawet
ślad zginął po takiej okoliczności, która mogłaby nam po-
krzyżować plan cały.

I przejrawszy raz jeszcze pobieżnie listy, złożył je i scho-
wał starannie do kieszeni.

Potem oparł się w krzesło i patrzył na płaczącą Laure. Widok jej był istotnie porywający.

Rzucona w fotel jakby w omdleniu, z białą piersią falującą w cichym płaczu, z drobnymi dłońmi przy ślicznej twarzy, w stroju modnym i wykwintnym, była pani Laura istotnie arcyprawym typem salonowej Nioby...

Adwokat milczał patrząc badawczo na rozżaloną, jakby śledził, ile w tym wybuchu bólesci prawdy, a ile udania. Skutek tego badania musiał wypaść na korzyść klientki, bo z oczu adwokata ustąpiły na chwilę szyderstwo i surowość.

Gdy się pani Laura trochę uspokoiła, zapytał ją pan Zagwin:

— Czy po tym liście nie było już innych?

— Był to ostatni.

— Czy o tem małem nieporozumieniu między panią a nieboszczką starościna wie kto jeszcze?

— Zapewne przyjaciel mego męża...

— Przyjaciel! wiem już kto... — powtórzył adwokat i zamyslił — a więc ten sam, w którym w całym procesie będziemy mieli głównego przeciwnika.... On to wystąpi jako zastępca strony przeciwnej....

— Czy pani mniema — dodał po chwili — że w ręku tego pana znajdują się jakie dokumenta i dowody przeciw nam?

— Nie wiem.

— Niezawodnie się znajdą — rzekł na to Żagwin — ten przyjaciel męża pani może nam być niebezpiecznym, bardzo niebezpiecznym!...

Żagwin wstał z krzesła i zadumany przeszedł się kilka razy po pokoju.

Nagle zatrzymał się, spojrzał na Laurę i rzekł:

— Więc dobrze, rzecz się rozpocznie! Ale posłuchaj pani! W najdwuznaczniejszych nawet procesach nie oglądałem się nigdy na to, czy klienci zgodzą się na wybór potrzebnych środków. Z panią robię wyjątek..... z panią pierwszą...

— Dziękuję panu — szepnęła piękna Laura i podała adwokatowi rączkę.

— Pytam panią, czy przyjmujesz solidarność w tej sprawie ze mną, i z tem wszystkim, co uczynić uznam za dobre! Zastanów się pani, rozmyśl, czy przyjmujesz solidarność z Żagwinem?

Laura rzuciła na Żagwina jedno z najpowabniejszych swych spojrzeń. W spojrzeniu tem przebijała się wdzięczność i ufność.

— Jestem sama na świecie — rzekła tonem pełnym uczucia — nie mam przyjaciół, nie mam obrońcy... Ty mnie broń, panie Żagwinie, tobie się powierzam... Odwołuję się nie tylko do bystrości prawnika, ale do serca człowieka...

Żagwin chwycił się za lewą pierś, jakby istotnie to serce odezwało mu się nagle, niespodziewanie, po raz pierwszy w życiu! I dziwna rzecz, na tę apelację do serca,

usta po raz pierwszy odmówiły Żagwinowi głosu szyderstwa i cynicznego śmiechu!

Laura dobrze poznała się na tem. Wstała z fotelu i przystępując do Żagwina ujęła swą rączką dłoń jego...

— Panie Żagwinie — rzekła tonem nadobnej szczerości — czy można mówić z tobą otwarcie...

Adwokat z szorstkiem zdziwieniem spojrzał na mówiącą, ale nie cofnął dłoni z jej ręki.

— Nie zawsze i nie wszyscy mogą — odpowiedział.

— Czy me zawiedziesz pan mego zaufania? — pytała dalej Laura słodkim, proszącym głosem.

— To trochę za późne pytanie...

— Późne bo trudne... Jakżeż mi ciężko bowiem wynurzyć się z prośbą, która może przekracza granice naszego prawniczego interesu...

I piękna kobieta spojrzała przeciągle na Żagwina. Żagwin stał nieruchomo, jakby na uwięzi tego spojrzenia i rzekł tylko:

— Słucham!

Laura zawahała się chwilkę, a potem zaczęła:

— Jestem w położeniu bardzo przykrem, bardzo trudnem... Mój majątek, który miałam za kordonem, padł ofiarą wypadków politycznych i bankructw bankierów warszawskich....

Żagwin z pewnem rozczarowaniem spojrzał na Laurę. Prolog zdawał mu się coś innego obiecywać.

— To, czem się zazwyczaj najmniej zajmowałam w życiu, co nie wchodziło w zakres mych trosk, dziś staje groźbą

przedemną. Moje majątkowe stosunki są w opłakanym stanie... Widzę się bez środków...

— Nie upominałem się przecież jeszcze o honorarium! — przerwał rubasznie Żagwin i chciał znowu wybuchnąć swym szyderczym śmiechem, ale spojrzawszy w oczy Laurze, umilkł prawie zmieszany.

Laura, jakby słów tych nie słyszała, ciągnęła dalej:

— Pan wiesz, jak przykre to położenie dla kobiety samej jednej, opuszczonej, jak ja! W obec takiego położenia, musiałabym może uleść okropnej konieczności i rozrządzić swym losem wbrew sercu... Musiałabym oddać rękę mą człowiekowi, którego nie kocham, zadać gwałt sercu i zatruć goryczą całe życie.... Panie Żagwinie, czy pan pojmuje, co to za straszny los dla kobiety, która tylko prawdziwem uczuciem kierować się zwykła?...

— Ależ pani, do czegoż to dąży?! — zawołał Żagwin.

— Zaczęłam, więc skończę — mówiła dalej Laura, odechnąwszy ciężko jakby od zmęczenia. — Proces powlecze się zapewne długo?

— Niezawodnie.

— Więc ratując wolność mego serca i niezawisłość całego życia, gotowa jestem do ofiary...

— Nie rozumiem — szepnął półgłosem Żagwin, patrząc na mówiącą.

— Gotowa jestem pozbyć się moich pretensyj na rzecz kogoś innego.... Kieruje mną więcej niż zaufanie, jeśli z tem udaję się do ciebie, panie Żagwinie.... Skończyłam.

I opuszczając dłoń Żagwina, Laura usiadła znużona w fotelu.

Żagwin z dziwnym wyrazem pomieszania i zdziwienia przeszedł się po budoarze.

Nagle przystanął i zapytał:

— Więc to znaczy, że pani mi chcesz sprzedać swoje pretensje?....

Laura odpowiedziała twierdzącem milczeniem.

— Ile warte są dobra, do których pani masz pretensję?....

— Najmniej pięćdziesiąt tysięcy dukatów....

— Ile pani żądasz za swe pretensje do nich?

— Mniej niż połowę.... dwadzieścia...

.... To cały mój majątek! Cały majątek! — zawołał Żagwin.

I milcząc począł chodzić spieszny krok po pokoju. Po twarzy jego widać było, że odbywa jakąś ważną naradę z myślami, że jakąś walkę stacza z samym sobą.

Potem stanął i rzekł:

— Rzecz cała zmienia się! Na taką propozycję nie byłem przygotowany. Potrzebuję namysłu i proszę o zwłokę do jutra!

I z dziwnym pospiechem chwycił za kapelusz, krótkim ukłonem pożegnał Laurę i wybiegł z budoaru. Gdy wychodził z kamienicy, ujrzał zajeżdżający właśnie bogaty powóz. Z powozu wysiadał stary książę N. Wizyta była zapewne przeznaczoną pani Laurze.

Żagwin, spojrzał szyderczo na księcia i z impertynencją zaśmiał mu się w oczy....

Potem spiesźnie pobiegł ku domowi.

Żagwin przybiegłszy do domu, zamknął się na klucz w swoim pokoju i padł w zamyśleniu na krzesło. Twarz jego to wykrzywiała się szyderstwem, to łagodniała na przemian. Bił się widocznie z myślami, pasował się sam z sobą. Nie wziął się już do czytania swych ulubionych książek — czytał w tej chwili w tajnikach swego serca, na jedynej jaśniejszej kartce tej czarnej księgi swych uczuć....

Twardy rabulista uczuł się dziwnie zmienionym. Pięknej jego klientce udała się kampanja... Małeńka, słaba iskierka uczucia, która tliła w duszy Żagwina, rozżarzyła się pod gorącym blaskiem oczu pięknej kobiety, pod tchem jej czarujących słówek, rozgorzała płomieniem, od którego zdawała się przyskać stal brutalności, topnieć lód cynicznego hartu... Żagwin utracił całą sprężystość woli, całą ową zimną trzeźwość myśli, która go dotąd nigdy nie opuszczała...

Kiedy przed kilku dniami wybierał się do swej klientki, czuł niebezpieczeństwo i postanowił był zerwać stosunki. Widzieliśmy te szorstkie zapędy i ich ostateczną płonność. Obecnie Żagwin nie znalazł już w sobie sił do odwrotu. Ta biedna, styranizowana gwałtem dusza, poczęła się dziwnie odzywać — to biedne serce, sycone dotąd tylko jadem, wypowiadało posłuszeństwo, domagało się swych praw!...

Żagwin porwał się z zamyślenia i zawołał sam do siebie:

— Ani błoto, w którym się tarzałem, ani całe piekło życia, w którym szukałem hartu, nie wystarczyły na za-

bicie tej głupiej strony mej duszy! Któraż to arterja serca, do której nie dostał się jad nienawiści, tętni dziś we mnie! Gdzie to głupie uczucie ukryło się tak w tej zbrudzonej piersi, że go wydrzeć nie mogę własnymi dłońmi, że go świat nie wydarł dotąd, jak tyle innych już wydarł dawno!...

Potem biegał znowu jakby w gorączkowym szale po pokoju — aż zszamotany, znużony szepnął z pewną rezygnacją:

— Dobrze! To uczucie zostało mi w piersi zapewne albo na karę za to, co przewiniłem, albo na nagrodę za to, co przecierpiałem! Albo mnie zgubi, albo uszczęśliwi!

W tonie, którym wyrzekł te ostatnie słowa, niktby nie dostrzegł głosu Zagwina, tyle w nim było drzenia, tyle uczucia i nadziei!

— Zgubi mnie, albo uszczęśliwi! *Va banque!* Jeśli zgubi, to zacznę na nowo!

I jakby stanowczo zdecydowany chwycił za kapelusz i wybiegł z swego pokoju. W drugiej izbie była jego matka. W miękkim fotelu drzemała siwa staruszka. Żagwin wstrzymał swój pęd, szedł dalej cichutko, na palcach, spojrzał na matkę łagodnym wzrokiem, nachylił się ku niej i szepnął:

— Spij mateńko, spij! Niech ci się wyśni moje szczęście! Niech ci się wyśni złocista pani, brylantowa hrabina! Mateńko, będziesz miała synową, synową śliczną i jasną jak z bajki! Spij mateńko!

I wysunął się za drzwi.

Staruszka zbudzona szeptem otworzyła oczy, ogłędnęła się zdziwiona po pokoju — ale nikogo w nim nie było.

Żagwin za chwilę był na mieście, za kwadrans już obiegał rozmaite miejsca. Odbywał narady z indywiduami różnego rodzaju, odwiedzał mieszkania żydowskich faktorów, zaglądał do kasyna Hechta, wstąpił do jednego i drugiego urzędu a wszędzie rozpytywał się o coś, badał, dochodził. W pytaniach i rozmowach jego usłyszeć można było często imię Zakruckiego.

Gdy późno w nocy powrócił, siedział długo przy świetle lampy, notował sobie coś na papierze i rozmawiał sam z sobą:

— Testamentu formalnego nie ma! Pewnych pisemnych kontr-dowodów żadnych! Ale jest Zakrucki! Zakrucki może sparaliżować plan cały, on jeden tylko stoi na zawadzie!

I zamyślił się głęboko.

— A więc precz z Zakruckim! Usunąć go! — zawołał.

— Ale jak? — dodał półgłosem.

I znowu zanurzył się w myślach. Twarz mu zdziczała, oczy namiętnie zabłysły. Naraz porwał się gwałtownie i zawołał:

— Środek niezawodny! Zakrucki spadnie mi z karku! Ależ czy ten środek godziwy? Cha, cha! Żagwin myśli o godziwości środków!!

I zaśmiał się jak szatan wcielony.

— A przecież — dodał z dziwnem pomieszaniem — kiedykolwiek używałem, kiedyś przed żadnym hanie

bnym fortelem nie zadrżał — ten jeden zawsze wstrętem mnie przejmował!

— I dla czegoż? — mówił dalej — Co za głupstwo! Ten człowiek mi przeszkadza do szczęścia, więc na bok z tym człowiekiem! Cóż, ztąd że z człowiekiem uderzam na ideję! Ideja jaka! szlachecka! Czy ją znam, czym jej co winien! Nic! A sobie? Wszystko. Głupi szkrupuł!

I długo jeszcze szamotał się w sieci dziwnych myśli i uczuć, aż w końcu sen uciszył wzburzone łono...

Na drugi dzień w południe udał się Żagwin do Laury. Postanowił jej otwarcie wyznać to, co się kryło w jego piersi! Konsultacja prawna miała się zmienić w oświadczenie miłości! Jakiż był skutek tych stanowczych odwiedzin, które decydowały o całym życiu jego? Czy na twarzy powracającego Żagwina ujrzymy nielitościwą zajadłość i zwyczajny śmiech szyderstwa?...

Wybiegł rozpromieniony, szczęśliwy, z blaskiem uczucia w oczach. Biegł ku domowi — a znajomi nie poznawali go po drodze, wruszali ramionami, tak się zmienił, tak wyjaśniał cały ten ponury człowiek!

Jeszcze tego samego dnia powtórzył wizytę Żagwin, a kieszenie jego obciążało złoto. Żagwin rzucił całą swą istotę, płód twardej walki życia — i cały swój majątek, owoc krwawych zabiegów, trudów i przewrotności na jedną kartę! Tą kartą było serce, które przez połowę żywota znał z imienia tylko!

Wieczór tego samego dnia, Żagwin okutany w płaszcz ciemny wysunął się z domu. Ktoby był śledził postać jego

w cieniach nocy, byłby dostrzegł, jak majaczyła ulicami ku Halickiemu przedmieściu i niknęła gdzieś pod znanym nam dworkiem...

I każdej nocy w dniach następnych powtarzała się ta zagadkowa przechadzka...

X.

Madej na nowem stanowisku.

Wrócimy teraz z kolei naszego opowiadania do Madeja, którego poznaliśmy zaraz w pierwszym rozdziale, a który od czasu wyjazdu Tadeusza znalazł się tak niespodziewanie na nowem stanowisku. Wkrótce po Tadeuszu odwiedził Lwów sam Łakrucki i uzupełnił instrukcję nowego klucznika dworku na Halickiem przedmieściu.

Pan Dederkało od czasu owej niefortunnej przygody w szeheli, nie domagał ciągle. Nie tyle poniesiony w ówczas szwank na zdrowiu, co późny wiek i skutki trudów wojaczki powaliły starego konfederata na łożo. Wstawał wprawdzie pan Dederkało często, nie chcąc kapitulować przed niemocą, ale zaledwie zawlókł się do kościoła O.O. Karmelitów i nazad, lub zaledwie przeszedł się chwiejnym krokiem po izbach i podwórzu dworu, a już stare kości nie dopisywały i wygrzewać je trzeba było pod pierzyną.

Tak chyrlając ciągle zachował pan Dederkało już tylko tytuł rezydenta, a właściwy nadzór nad całym dworkiem odstąpić musiał Madejowi. Dziad odpustowy wyrwany nagle z swego dotychczasowego trybu życia, dość długo nie mógł się oswoić z nowem swoim powołaniem. Za ciasno

mu było w czterech ścianach alkierza, za duszno w obrębie murów miejskich. Siedząc nieraz z założonemi rękami patrzył markotno na zawieszoną lirę i tęsknił w duszy za gwarem odpustów, za włóczęgą po wsiach i miasteczkach, za życiem tułaczem, dziadowskiem, ale swobodnem.

Aby rozerwać chwile nudów, grywał nieraz na swej lirze i spiewał dawne nuty dziadowskie a najczęściej pieśń pana Karpińskiego, która ogromnie się podobała także panu Dederkałemu. Stary konfederat żyjąc beczynnym w swej niemocy, często kazał ją sobie spiewać dziadowi, słuchał uważnie, potrzasał siwą głową, wzdychał i szarpał wąsem na znak wewnętrznego wzruszenia.

Innemi razy znowu kazał Madejowi opowiadać, co mu ślina na język przyniesie, a Madej też nie był od tego i prawić bywało szeroko i długo o swoich dziadowskich przygodach, o przyprawach z Niemcami za spiewanie pieśni im niemiłych, o cudach i łaskach wszystkich sławnych obrazów w całym kraju, o odpustach i o chatach i dworach, a gdy i ten temat się wyczerpał, wtedy uciekał się do całego niewyczerpanego zapasu klechd i baśni najrozmaitszych lub do uciесznych bajek, z których nieraz całą pierś śmiał się pan Dederkało.

W zamian zato Dederkało, kiedy był przy lepszym zdrowiu i lepszym humorze, opowiadał dziadowi przygody z swej wojaczki, gawędził o bitwach z Moskalami, o panach Puławskich, a najwięcej o księdzu Marku. Dziad słuchał z wyteżoną uwagą, wypytywał skwapliwie, ciągnął za język konfederata — a gdy się tak nasłuchiwał do woli, my-

ślał nieraz o tem, jak to, gdy się kiedyś wyrwie z miasta, będzie miał co opowiadać po chatach i temi ciekawemi historjami wypłacać się za strawę i za nocleg gościnny. Jak już bowiem powiedzieliśmy, Madej nie pożegnał się w duchu z swym dawniejszym zawodem, z którym zrósł się duszą i ciałem, gotów był każdej chwili poświęcić spokój i wygodę, aby chwycić znowu za kostur i lirę i puścić się w świat szeroki, a nieraz gdy przypadł jaki sławny odpust w Milatynie albo w Sokalu, albo na którejsz Kalwarji, dziad nasz staczał formalne walki z pokusą, aby się nie wymknąć z domu i nie puścić znanemi drogami.

Zdawało mu się bowiem, że odpust bez niego nie ma zupełnego waloru, że nie stawając w rzędzie swych kolegów u schodów cerkwi lub kościoła, przeniewierzy się niejako swemu obowiązkowi. Nieraz myślał i łomał sobie głowę nad tem, co tam mówią ludzie po odpustach, że Madeja nie ma, co prawią o tem inne dziady i jak się cieszą z tego, że im ubył tak niebezpieczny kolega i współzawodnik.

Zmienił się też dziadowina w nowym bycie. Na twarzy wyglądał gorzej niż przedtem, widać że jakoś ruch i chleb żebraczy służyły lepiej zdrowiu niż wygodą i maszczona kasza w miejskim dworze, że czerstwość oblicza, wędzonego wiatrami i pieczonego skwarem słońca, ulatywała jakoś w zaciszu czterech ścian ciepłych, przy ogniu kominka. I strój Madeja zmienił się całkiem, stare łatane łachy wraz z bezdennemi torbami poszły w ką, a natomiast ubierał się Madej według własnego wyboru i smaku w długą po

koszki sukmanę niebieską, na wzór miejskich dziadów kościelnych.

Z dziadami tymi przez uczucie koleżeństwa w dobrej żył komitywie, komunikując się z nimi w gawędzie codzien z rana, jednak lekcewał ich w duchu i uważał za partaczy rzemiosła, którego mistrzem się sądził. Bywało też wielce się gorszył brakiem tradycyjnych przymiotów i zdolności dziadowskiego cechu we Lwowie — a poznawszy tak cały świat dziadowski ze wszystkich krucht, babieńców kościelnych i bram cmentarnych, nieraz uczuwał w sobie silną pokusę, zasiąść pomiędzy nimi i wypalić po swojemu apostrofę do miłosiernych dobrodziei, aby fachowem zachowaniem się i kwiecistością dziadowskich formułek zapędzić w kąt lwowskich niedołęgów.

Z dawna czując pociąg do muzyki, służywszy nieraz w młodych latach za grajka w karczmie rodzinnej swej wioski, umyślił Madej przypomnieć sobie ten talent, który dotąd wyłącznie poświęcał swej lirze i kupił sobie jeszcze z dziadowskich zapasów skrzypki. Na tych skrzypcach wygrywał sobie z lubością, to wyciągając na nich rzewne tony, to tnąc kuranty od ucha — a muzyka i bajki uczyły go pożądanym gościem w domkach przedmiejskich i prawdziwym ulubieńcem dzieci z całego Halickiego przedmieścia, które niebawem w najlepsze poprzyjaźniły się z starym Madejem.

Ale niebawem obowiązki Madeja poczęły wymagać większej uwagi i więcej zabierały czasu. Pan Zakrucki, który wyjechał był ze Lwowa, wrócił niebawem napowrót i osiadł

na dłuższy czas we dworze Promnickiego, czyniąc tylko częste wycieczki do niedalekich od stolicy dworów szlacheckich. W samotnym i opuszczonym dawniej dworku powstało jakieś nowe, tajemnicze życie, jakiś ruch ukryty i zagadkowy. Znamy już instrukcję, jaką dał Madejowi Ta-deusz. Instrukcji tej dopełnił jeszcze sam Zakrucki, a Madej z tem trwożliwszą przestrzegał jej pilnością, ileże wszystko to osłaniało się przed jego okiem mgłą jakiejś dziwnej tajemnicy.

Bywało pan Zakrucki w nocy wyjeżdża i w nocy wraca, a przywozi z sobą jakichś nieznanych ludzi, zamyka się z nimi i mówi długo, a Madejowi każe pilnować domu. Nieraz świt już zabłyśnie na niebie, a narada trwa jeszcze. Innym razem znowu późną nocą zajeżdżają jakieś fury przed bramę dworku i słysząc głośne pukanie, a Madej bieży i pyta według nakazu o cedułkę, budzi pana Dederkałę lub gdy jest Zakrucki, to i jego samego, a gdy otrzyma nakaz wpuszczenia nocnych gości, otwiera bramę i wpuszcza fury na podwórze. I wówczas z tych fur dużych wyładowują nieznani ludzie jakieś ogromne ciężkie paki, jakieś beczułki i skrzynie, i przez całą resztę nocy składają przywiezione te tajemnicze transporta częścią do lochu, częścią do lamusu dworskiego.

Ostatniemi czasy powtarza się to prawie co nocy, a Madej z zaciśniętymi ustami i z miną prawie przelekłą, jakby się bał, aby mu się nie wyrwało mimowoli pytanie: z kąd ci ludzie i co z sobą przywożą, czuwa aż do świtu, pomaga w ładowaniu i wskazuje piwniczne i lamusowe kry-

jówki, zamyka je i klucze albo panu Zakruckiemu, albo Dederkałe odnosi. Ale ledwie się już ze wszystkiem uporano, aż tu zaraz w noc drugą przyjeżdżają znowu inne fury, próżne, i zabierają znowu to co wczoraj wypakowano, i co inni ludzie niewiedzieć zkąd i poco przywieźli, to znowu inni niewiedzieć dokąd i poco wywożą.

Niekiedy znowu nikt do bramy się nie dobija, ale za to zaraz z późnego wieczora słyhać gwar wielki za ścianą. Jestto ta sama ściana, na którą zwracał Tadeusz uwagę dziada i na której znajduje się owe czarne kółko. Madej wtenczas według nakazu siedzi przy ścianie i wyteęza czujnie stare uszy, lub od czasu do czasu wychodzi na podwórze i jak pies obieże całe obejście, a wróciwszy znowu siedzi lub stoi jak żuraw na straży.

Tymczasem za ścianą słyhać rozmaite głosy, gwar i rozmowy, jakby kilkunastu ludzi radziło. Madej uchem łowi gwar niezrozumiały, a oko ma wlepione w czarne kółko na ścianie i rękę ma wyciągniętą, aby według nakazu zaraz szarpnąć za kółko, gdyby słyszał jakiś podejrzaný ruch przed bramą....

Raz, kiedy pan Dederkało podczas tej straży Madejowej krzyknął coś przez sen w alkierzu, Madej z największą trwogą pociągnął za kółko, o którem nie wiedział dotąd, jakie ma znaczenie. Ledwie szarpnął za to, jak w duchu był mocno przekonany, zaczarowane kółko, gdy zaraz doleciał go zpoza ściany głośny dźwięk dzwonka i za chwilę wbiegł z drugiej strony sam pan Zakrucki, pytając co się dzieje. Dziad nieśmiało odpowiedzieć i milczał przerażony —

a gdy się po dokładnem opatrzeniu dziedzińca i ulicy przed dworkiem przekonano, że alarm był niepotrzebny, pan Zakrucki na pół w gniewie na pół ze śmiechem powrócił do swych nocnych gości i znowu słyhać było jak dawniej gwar za ścianą.

Na dziesięć alarmów Madeja było zawsze dziewięć fałszywych — zwłaszcza z początku, dopóki się nie oswoił z swym obowiązkiem i nie pozbył się trwogi przed odpowiedzialnością. Zkąd się brali ci ludzie, co rozmawiali za ścianą z panem Zakruckim i gdzie przepadali — długo nie wiedział Madej, aż raz zajrzał, jak ich po jednym z latarnią wyprowadzał sam pan Zakrucki tylnym wychodem i jak wszyscy przez furtkę ogrodową wymykali się szybko i wracali podzieleni różnemi drogami ku miastu...

Takie schadzki wieczorne i nocne odbyły się już po razy kilka — gdy jednego dnia zrana Zakrucki przywołał do siebie dziada i zapytał:

— Cóż, dziadu, pilnujesz chaty?

— Jak oka w głowie, jak duszy własnej! jasny panie!

— To dobrze, tylko nie strasz się stary i trzymaj język za zębami!

Madej zrobił ruch uroczystego zapewnienia.

— Nie będziesz tego żałował. Ale pamiętaj! Dziś i jutro trzeba baczność podwoić! Podczas gdy tam za ścianą będzie rozmowa, ty czuwać dobrze!

Naporaniawszy tak Zakrucki pożegnał Madeja uśmiechem. Miał do swego nowego klucznika zupełne zaufanie. Z początku, gdy przyjechawszy do Lwowa zastał pana Deder-

kałę złożonego niemocą, a zastępcę jego znalazł w jakimś starym włóczykiju ze świata, nie rad był bardzo z tak dziwnego i lekkomyślnego prawie wyboru Tadeusza, ale gdy wziął starego na konfessatę, gdy mu się bliżej przypatrzył, powziął o nim lepsze wyobrażenie i polubił go nawet. Zaufawszy tedy tak Madejowi, nie czuł potrzeby zaopatrzenia pustego domu w inną służbę i oprócz wyrostka do usługi, Madeja i Dederkały nie było przy nim nikogo więcej.

Madej, wysłuchawszy napomnienia Zakruckiego, pokrzątawszy się jeszcze czas jakiś po izbach dworku, poszedł swoim zwyczajem na mszę poranną do katedry, do której miał szczególną predylekcję, a to z powodu że przedsionek tego kościoła był jednym z głównych zbiorowisk dziadów lwowskich, a Madej jak wiemy, kochał formalnie dawny swój zawód.

Ale w kościele zdarzył się Madejowi dziwny i zagadkowy przypadek....

Kiedy msza się już skończyła i nabożni poczęli wychodzić z kościoła, Madej stał u wchodu i przypatrywał się wychodzącym. Nagle jakby coś szczególnie zajęło jego uwagę, wysunął się naprzód, wyteżył wzrok i z pomkniętą naprzód nogą jakby skamieniał w miejscu....

W tłumie osób opuszczających świątynię, znalazła się snąc jedna, której widok dziwne na Madeju sprawił wrażenie.... Wrażenie to musiało być gwałtowne, uderzające, bo Madeja oczy stanęły w słup z zdziwienia, usta rozwarły się, a cała postać jego drżała na miejscu....

Tak stał chwilę małą, aż nagle, jakby się ocknął z odrętwienia, porwał się szybko z miejsca i wybiegł z kościoła. Stanąwszy na placu, począł rozglądać się na wszystkie strony z gorączkowem zajęciem, jakby chciał szukać kogoś... Szukana osoba musiała mu gdzieś zniknąć z oczu, bo podbiegał z rozmaitych stron na plac i ulicę, wyteżał oko, dopędzał idące gromadki, zaglądał w twarze i jakby jeszcze nie znalazł, biegł dalej...

W końcu Madej sam musiał uznać płonność swego poszukiwania, bo wrócił zamyślony i z spuszczoną głową.

— W imię Ojca i Syna i Ducha! — przeżegnał się ex-dziad trzy razy z ruska i splunął z zdumieniem.

— A toć mi się przywidują niesłychane, niewidziane rzeczy! — szepnął dalej do siebie. — A gdzieżby to być mogło! Tfu! Urok na stare oczy i kwita!...

I znowu przeżegnał się i splunął stary Madej.

— Ale bo ja taki widziałem! na żywe oczy widziałem! Wszakże to jasny dzień a oczy nie zasły mi blachmanem! Dziw! dziw! niesłychany!

I z największem zdumieniem na twarzy, z spuszczoną głową i przecierając oczy, jakby się chciał przekonać o ich zdrowiu, wracał Madej do dworu.

Gdy stanął w alkierzu pana Dederkały, był blady jak ściana i prawie nieprzytomny, dawał na zapytania odpowiedzi bez związku, wałęsał się jak Marek po piekle i widocznie nie mógł znaleźć spokoju.

— Trzydzieści lat! Całych trzydzieści! Hm! jakby to być mogło? Tfu! to chyba oman, dur albo czary jakie!...

I tak mając sam z sobą cały już dzień jakby nie swój był Madej, chociaż służbę swą pełnił troskliwie i wieczór trzymał czujnie straż zwyczajną.

Tymczasem w sali za ścianą odbywały się tego dnia jeszcze jakieś głośniejsze narady, a o uszy Madeja gwarniejsze jeszcze niż co dzień obijały się głosy. A gdy już późno było w nocy, Madej naliczył więcej niż zwykle ciemnych postaci, co się przesuwwały z dworku przez ogród, słyszał częstsze skrzypnięcie żelaznej furtki i gęściejsze ujadania psów przedmiejskich...

Na drugi dzień z rana Madej wcześniej niż zwykle porwał się z pościeli i wcześniej niż zwykle wysunął się na miasto. Kroki jego zdążyły wprost ku katedrze, a przybywszy tu nie powitał się nawet z dziadami, nie rzekł do żadnego ani słowa, ale patrzył na wchodzących. Nagle znowu aż zadrżał cały i znowu zdrętwiał z zdumienia... Potem opamiętawszy się nieco wysunął się naprzód w głąb kościoła, oparł się o ścianę i oczy nieruchomo wtopił w punkt jeden... Na twarzy jego malowało się prawie przerażenie, oczy ani na chwilę nie drgnęły, nie zwróciły na bok spojrzenia...

Tak stał przez mszę całą... Gdy już ludzie poczęli wychodzić z kościoła, on stanął na straży i czekał. Nagle rzucił się w tłum i dał się szybko na ulicę. Tu właśnie niektórzy wsiadali do powozów i odjeżdżali do domu. Między powozami była i mała kryta bryczka, do której właśnie wsiadł ktoś przed chwilą. Madej podbiegł do bryczki, wpa-trzył się w nią, jakby ją okiem chciał zatrzymać, a gdy bryczka ruszyła z miejsca puścił się za nią pędem...

Bryczka sporym ruchem oddaliła się z miejsca i skrzyła boczna ulicą. Dziad Madej utopił w niej wzrok, aby nie stracić jej z oczu, lub nie pomieniać z inną i pędził za nią co siły. Naraz tchu zabrakło staremu, nogi słabnąć mu poczęły, i został znacznie w tyle. Bryczka skrzyła na bok i zniknęła z oczu.

Madej dobył sił ostatnich i podążył za nią dalej. Szczęściem dość wcześnie stanął na skrycie ulicy aby ujrzeć jeszcze kierunek bryczki. Na jednej z główniejszych ulic miasta bryczka zatrzymała się. Madej z rozpaczliwym wysileniem przyspieszył kroku, aby czempredzej stanąć przy niej. Gdy się z nią zrównał, była już próżna. Madej rzuciwszy wzrokiem na nią wpadł wprost do kamienicy. Właśnie w tej chwili zamknęły się drzwi, jakby ktoś dopiero co wszedł do swego pomieszkania.

— Tu! — szepnął do siebie Madej i odetchnął ciężko, jakby chciał zaczerpnąć powietrza do strudzonej piersi.

I postawszy chwilę na odpocznienie począł rozglądać się po kamienicy. Nad drzwiami, które się w oczach jego przymknęły, była biała tablica a na niej jakieś czarne duże litery. Madej wpatrzył się w te znaki... Nie umiał czytać a zdawało mu się, że z tych czarnych, zagadkowych hieroglifów mógłby wszystkiego się dowiedzieć...

Nie oglądał się jednak za nikim, ktoby mu mógł pomóc w odcyfrowaniu czarnych znaków, ale wyszedł na ulicę. Pomieszkanie, do którego drzwi przed chwilą przymknięto, było frontowe i dolne. Madej przybliżył się do szyb i począł się wpatrywać wewnątrz. Wyteżył wzrok swój,

że aż łzy pociekły mu z oczu, ale światło łamało się w podwójnych szybach i Madej długo nic nie widział... Gdy mu się w końcu udało uchwycić obraz wnętrza, ujrzał pokój piękny i bogaty, ale w pokoju nie było nikogo...

Byłby patrzył dłużej, ale usłyszał groźny głos za sobą i ktoś silnie szarpnął go za ramię... Madej oglądając się i ujrzał twarz surową jakiegoś mężczyzny... Sroga mina nieznanomego pana zmieszła Madeja. Przestraszył się sam swej własnej zuchwałości, że śmiał zaglądać w szyby do pańskiej komnaty, uchylił się kornie i z pośpiechem oddalił się z miejsca. Ów pan z srogą miną pogroził mu laską i wszedł do kamienicy.

Madej gdy wpadł do domu, był jeszcze bledszy i bardziej pomieszany niż wczoraj. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, oczy mu osłupiały i był prawie nieprzytomny. Nie jadł, nie mówił jeno siedział i myślał głęboko, mruczając od czasu do czasu jakieś niezrozumiałe wyrazy. Ledwie się zdobył na tyle, że zabrał się do spełnienia swych obowiązków bezprzytomnie i machinalnie.

Gdy wieczorem dał się słyszeć gwar za ścianą, Madej ledwie go zauważał — a zamiast zwykłej czujności widać było na jego twarzy zamyślenie. Gdy po chwili wyszedł na podwórze, spoglądając mimowoli na okiennice, co osłaniały okna sali, z której wychodziły owe tajemnicze szepty i gwary. W okiennicach były otwory w kształcie serca. Z otworów tych bił jasny promień światła na podwórze.

Dział podsunął się ku okiennicom i spojrzał przez otwór. Widział całą salę i wszystkie osoby, które w niej były, a

twarz każda najwyraźniej przedstawiała się jego oczom. Kiedy indziej byłby widok ten zajął wyłącznie uwagę Madeja, tym razem jednak wzbudził w nim myśl całkiem inną.

Uderzył się z ukontentowaniem po czole i zawołał sam do siebie:

— To i tam teraz będzie tak dobrze widać!

Potem zawahał się jakby staczał walkę sam z sobą i w końcu zawołał:

— Pójdę! na chwileczkę pójdę! Toż to i chwilki nie zabawi, a tu cóż się tymczasem stać może?

I bez czapki, jak stał na podwórzu podsunął się chyłkiem ku bramie, rozemknął ją cichutko, zamknął znowu i wysunął się spiesźnie w ciemną noc na ulicę. Biegł szybko i nie zatrzymał się prędzej, aż stanął przed owem pomieszkaniem, do którego okien zaglądał tak uporczywie z rana.

Okna zakryte były okiennicami, ale przez otwory okiennic można było zaglądać w głąb pokojów. Madej przyłożył twarz do małego otworu i popatrzył do środka.

— Przemienienie pańskie! — zawołał nagle i aż odskoczył od okna.

Przeżegnał się, przetarł oczy i znowu począł wpatrywać się przez otwór okiennicy. Przy promyczku światła, który wymykał się z tego otworu, widzieć można było twarz Madeja bladą, rozrzuwnioną. Usta mu drżały — a z oczu spływały łzy... I jakby przykutym do miejsca stał nieruchomo i nie mógł oderwać wzroku od okna...

Tymczasem zegar na wieży uderzył godzinę. Dźwięk tonu obudził Madeja, wstrząsł się, odstąpił od okna i szepnął sam do siebie.

— Czas wracać do domu! Cóżby to pan powiedział, że dziad nie pilnuje dworu!

I jakby na pożegnanie zbliżył się raz jeszcze do okna i eheiwie zapuścił wzrok w głąb pokoju. Ale snąć jakaś nieprzewyciężona siła trzymała Madeja na uwieży, bo zamiast tylko chwilki jednej, stał jeszcze długo, długo, i patrzył.

Dzwon zegara znowu przerwał Madejowi. Znowu się poruszył, znowu odstąpił — ale po krótkim zawahaniu się rzekł rozrzuwionym głosem:

— Jeszcze maleńką chwilkę, jeszcze bodaj raz zerknę!

— Choć to mara może — mówił sam do siebie dalej wpatrując się przez otwór okiennicy — choć to może blachman zastąpił mi oczy, ale niech się dziad jeszcze napatrzy! Tylko chwilkę jedyną, króciutką!...

Tymczasem ucichło na ulicach, tylko z daleka tętniły jeszcze głucho kroki spóźnionych przechodniów. Madej stał ciągle na miejscu. Naraz światło w pokoju zgasło i z otworu okiennic zniknął jasny promyczek.

Madej otrząsł się jakby po śnie jakim i porwał się z miejsca. Gdy się opamiętał i pomyślał, jak długo tu stoi, mrowie go przeszło i jakby pędzony przestachem począł biec szybko ku Halickiemu przedmieściu...

Na ulicach było już ciemno i głucho — i tylko jedna czarna postać Madeja majaczyła po pustej drodze... Kiedy już Madej zbliżał się ku dworowi, ujrzał z daleka na po-

dwórze migotające się światła jakby latarnie. Światła te poruszały się po podwórzu a potem poczęły otaczać wieńcem dom cały...

Strach jeszcze większy przejął Madeja, przyspieszył kroku i niebawem zobaczył się w pobliżu bramy. Brama, jak to o kilkanaście kroków spostrzegł, była otwartą. Madej rzucił się jednym skokiem ku bramie, gdy w tejże chwili potracił o jakiegoś człowieka.

Była to ciemna, krępa postać, otulona w płaszcz szeroki, w naciśniętym na uszy kapeluszu. Potrąciwszy Madeja postać ta jakby spłoszona skoczyła na bok i wsunęła się pod parkan.

— Kto tu?! — zawołał Madej.

I rzucił się ku nieznanemu.

— Kto jesteś? — zapytał raz jeszcze — do kogo?

Ciemna postać usunęła się w milczeniu na bok.

Madej rzucił się ku nieznanemu człowiekowi i chwycił go silnie za piersi.

Nieznajomy opuścił płaszcz z ramion i silnie uderzywszy Madeja, powalił go na ziemię.

— Czego chcesz łotrze! — zawołał i zwrócił się spiesznie ku odejściu.

Madej upadłszy spojrzał raz jeszcze na nieznanego. Opuszczony płaszcz zsunął się z twarzy. Była to ta sama twarz sroga i surowa, co Madeja rano odpędziła od okien, do których tak chciwie zaglądał...

Nim Madej podnieść się zdołał, ów nieznajomy z srogą twarzą zniknął w cieniach nocy. Madej szybko porwał się

z ziemi, wpadł na podwórze i nie patrząc nawet na jakichś ludzi z latarniami, których prawie potrącał, wpadł do pokoju, w którym zazwyczaj czuwał na straży, i uchwycił za czarne kółko na ścianie.

Właśnie w chwili kiedy głos dzwonka zadrżał w przybocznej sali, chwycił ktoś Madeja silnie za kołnierz i wyciągnął na środek pokoju.

Madej ogłędnał się przelekle i ujrzał przed sobą żołnierzy w białych kubrakach i z karabinami w ręku...

XI.

Oktawa racławicka.

Czytelnik domyślał się już z poprzedniego rozdziału, że w dworku Promnickiego na halickiem przedmieściu zająć musiał jakiś niespodziewany i ważny wypadek. Nim jednak zaspokoimy dalszą ciekawość czytelnika, musimy tu rzucić kilka słów o porze, z której się ta część naszej powieści datuje.

Opowiadanie nasze rozpoczęliśmy u schyłku r. 1793 — obecnie jesteśmy już wśród wiosny roku następującego.

Wiosna to wiekopomna w dziejach Polski.

Upadającej ojczyźnie po raz ostatni zajaśniał promień ratunku. Zapał narodu rozgorzał blaskiem, co miał być zwiaśtunem zwycięstwa, a niestety był tylko wspaniałą łuną pożaru, której jasność wkrótce ustąpić musiała strasznym ciemnościom klęsk, zagłady i zgłiszczów.

Ostatni akt narodowej tragedji odgrywał się na rozszarpanej już ziemi polskiej... Losy narodu dopełnić się miały...

Nim się atoli dopełniły — jeszcze raz zawrzeć miała walka bohaterska, walka ostatnia w owej porze upadku Polski... Powstanie wybuchło już w Krakowie a na czele narodu idącego w śmiertelne zapasy, stanął Tadeusz Kościuszko.

Zerwanie się do walki, jak w sercach wszystkich Polaków rozbudziło iskrę nadziei i zapal poświęcenia, tak i w Galicji znalazło odgłos szlachetny i silny.

Galicja mimo przebytego już całego szeregu lat podległości nie przestała być polską, nie przestała się wiązać serdeczną nicią miłości z całą ojczyzną... Łączność Galicji z Polską nie zerwała się mimo dążących ku temu kroków i surowych środków rządu...

W pierwszych latach zmienionej doli tej prowincji już nie tylko uczucie patriotyzmu i polskości, ale i sama siła zwyczaju wiązała ją z resztą ojczyzestego organizmu. Dziwnem było z tego powodu nieraz położenie szlachty polskiej w Galicji, a osobliwie tej, która za czasów zupełnej niepodległości piastowała urząd i wyższe godności w Polsce.

Jeszcze w kilka lat po pierwszym podziale i po oderwaniu Galicji znajdujemy wszędzie urzędowe nawet dowody tej łączności. Zdawało się, jakoby dwa rządy istniały wówczas w Galicji: jeden faktyczny, obcy, drugi ojczysty, siłą samego zwyczaju rozciągający się na utraconą ziemię.

Zdarzyło nam się w papierach nowych poddanych austriackich znachodzić nakazy władz obcych i komunikacje kancelarji warszawskiej króla pod jedną i tą samą datą. Ci którzy piastując dawniej godność kasztelanów, stracili oczywiście znaczenie swej władzy i jej nazwę nawet pod nowym rządem, otrzymywali jeszcze z kancelarji króla posłania lub cyrkularze.

W papierach takich niedawnych kasztelanów polskich a dziś poddanych austriackich spotykamy takie listy królew-

skie tuż obok jakiegoś urzędowego nakazu z austriackiego namiestnictwa we Lwowie, a w zapiskach pamiętnikowych znajdujemy obok siebie także kopje odpowiedzi na jedno i drugie.

I obok poddańczej relacji do gubernjum znajdujemy raport do króla Jegomości, w którym mu ex-poddany słowami boleści i żalu przypomina, że dziś już niestety nie może brać otwartego i prawnego udziału w sprawach ojczyzny.

Pisma takie wychodziły z kancelarji królewskiej zapewne tylko z powodu mylnego zachowania dawnego rejestru dostojników, z powodu ozwyczajenia się teź kancelarji — spotkawszy się jednak tak w jednym ręku z nakazem obcej faktycznej władzy, wywoływały niezawodnie dziwny i przykry kontrast...

Na jedno z takich pism królewskich odpisuje pan kasztelan bełzki, Kuropatnicki: „Miłoby mi było osobiście być skutecznym wykonywaczem woli, myśli i ułożeń WKM. i PMM. i choć w częścce mieć udział czynności w usłudzeniu pieczołowitości WKM. Lecz gdy los nieszczęśliwy zakordonowania mnie zakordonowanemu senatorowi tej szczęśliwości nie dozwala, niech tę mam korzyść, abym i siebie i współbraci zakordonowanych złożył u podnóżek tronu WKM. z prośbą, abyś nam, lubo wydartym pod inne panowanie, zawsze był Ojcem i Panem, jakośmy Cię raz Miłościwy Królu obrali wolnemi głosami i szczerze przywiązaniem sercem za ojca, króla i pana, i o losie szczęścia naszego nie zapominał...”

To uczucie łączności z całą ojczyzną, ze stanowiska nowych władz jako nielojalne ścigane, znachodziło tem żywsze i dobitniejsze objawy, im ważniejsze i głośniejsze wypadki polityczne poruszały wolną resztą Polski. Echo takich wypadków wstrząsało zazwyczaj silnie nową Galicją i nie uchodziło uwadze austriackich rządów. W czasie wielkiego sejmku, kiedy Polska czyniła wspaniałe usiłowania, aby zakwitnąć na wskrós nowem życiem, umysły w Galicji były tak gorączkowo rozbudzone, a udział dla tego co się działo za kordonem, tak silny i wybitny, że w skutek relacji namiestnika, hr. Brygido, rząd cofnął zamierzone właśnie podwyższenie podatków.

W czasie, na którym właśnie stanęliśmy teraz w naszym opowiadaniu, panował także ruch patriotyczny w Galicji. Powstanie Kościuszkowskie znalazło w sercach galicyjskich Polaków głęboki odgłos. Szlachta rzuciła się do ofiar, do niesienia pomocy. Duch poświęcenia ogarnął wszystkich, starsi składali na ołtarzu wolności mienie, młodszy nieśli jej krew swą, garnąc się licznie do szeregów ojczystych.

Szlachta zbierała się w kółka i wspólnie przedsięwzięła kroki do wspierania powstania, młódz gromadami opuszczała Galicję i zbierała się w Radziwiłłowskich lasach, a we Lwowie zawiązał się osobny liczny komitet, który szeroko i gorliwie rozwinął swą czynność. W komitecie tym główną odgrywali rolę adwokaci lwowscy, o których znakomitem podówczas stanowisku już przedtem wspominaliśmy. Na czele komitetu mającego na celu wspieranie Kościuszki stał hr.

Dzieduszycki; mecenasi Dzierzkowski, Węgliński, Strzałkowski, i hr. Leszczyński byli głównymi doradcami.

Oprócz nich wielu innych gorliwych patrijotów, którzy tymczasowo przebywali we Lwowie, krzątało się około sprawy walczącego narodu. Krieger utrzymywał stosunki między lwowskim komitetem a Warszawą, generał Rymkiewicz prowadził korespondencję z Stambułem, Wegetynowski i senator Ogiński z Włochami i Francją, Prozor z Litwą, Kozieł z Wenecją.

Uwijał się także po Galicji Drzewiecki, który zamianowany przez Kościuszkę pułkownikiem wołyńskiej milicji, w Galicji zajął się przygotowaniem do jej organizacji. Komunikował on się z komitetem lwowskim i zbierał składki pieniężne od obywateli.

Rząd austriacki przybrał zrazu wobec tego ruchu całkiem neutralne, owszem na pół przychylne stanowisko. Władze patrzyły przez palce na stosunki obywateli z powstaniem, nigdzie nie stawiono energicznych przeszkód pomocy. Tak dalece też ufano temu sympatycznemu na pozór stanowisku rządu, że gdy Drzewiecki stanął we Lwowie, komitet radził mu, aby swych zamiarów uzbrajania Wołynia nie krył przed rządem, ale właśnie skomunikował się z władzami.

Drzewiecki udał się też do generała komenderującego w Galicji, Arnkura, który go dobrze przyjął a wysłuchawszy jego zwierzeń, pochwalił jego otwartość i zapewnił, że dopóki czynności patrijotyczne nie będą naruszały spokoju Galicji, rząd nie przeciw nim mieć nie będzie. Generał Arnkur był nawet tyle łaskaw, że nie ograniczył się na tem zape-

wnieniu, ale nawet dawał życzliwe rady Drzewieckiemu, aby zakupione siodła i kosy wysłał na Brody, jako przedmiot prostego handlu, a broń zbierał potajemnie, w czym nie będą mu wcale przeszkadzać władze cesarskie.

Takąż samą życzliwość znalazł Drzewiecki u gubernatora Galicji Kalemberga, który nadto dodał jeszcze następujące, charakterystyczne słowa:

— Może Waćpan zabierzesz z sobą tulejszą na bruku wojującą młodzież, która nam tylko niepokoju przymnaża!

Ale nie długo trwało takie stanowisko rządu. Zmieniło się ono rychło, a władze zaczęły występować surowo przeciw patriotom, niosącym pomoc Kościuszce.

Jakoż wkrótce tego samego Drzewieckiego, tak łaskawie przyjętego przez generała Arnkura i gubernatora Kalemberga, zaaresztowano w Brodach i złożono nań sąd wojenny pod przewodnictwem generała Sznajdauera, tego samego Sznajdauera, który później srogim wytępieniem rozbitków polskiego wojska tak smutny dał wyraz zmianie polityki swego rządu. Drzewieckiego zamknięto wraz z innymi w więzieniu lwowskim i dopiero później na pisemne dopominanie się Kościuszki wydano go za granicę państwa.

Wprawdzie był potem jeszcze raz Drzewiecki we Lwowie w misji rewolucyjnej, ale już nie spieszył się przedstawiać dostojnikom rządowym, lecz przemyczał się w stroju lokajskim po mieście i kraju.

Tyle do sytuacji ówczesnej Galicji — a teraz czas nam wrócić do naszej powieści i jej osób.

Znana już jest naszym czytelnikom z jednego z poprzednich rozdziałów postać Zakruckiego — a właśnie kilka kartek wstecz mówiliśmy o tajemniczym ruchu, który panował w dworku Promnickiego. Zakrucki utonął całą duszą i sercem całem w wypadkach politycznych. Powstanie Kościuszkowskie rozbudziło w starcu tym nowe życie, podwoiło jego siły, rozgrzało zapalem umysł.

Zakrucki odmłodził nadzieją i pracą około jej spełnienia. Był on duszą wszystkich prawie usiłowań, które zdążyły do poparcia walki zakordonowej braci. Wtajemniczony w sprawy powstania, jeszcze kiedy one były mniej więcej tajnym zamiarem, pospieszył zaraz na pierwszą wieść o gotujących się wypadkach z ofiarą mienia, a dziś niósł ofiarę niezmordowanych usiłowań i trudów.

Komitet istniejący we Lwowie, nie mógł objąć agitacją od razu całego kraju, Zakrucki więc był pośrednikiem między nim a większą częścią galicyjskiej szlachty. Znając szlachtę tę doskonale, z każdym jej prawie członkiem zaprzyjaźniony osobiście, od wszystkich czczony i szanowany, mógł stary konfederat z wielką skutecznością spełniać swe polityczne zadanie.

Jakoż w pracy patriotycznej, która podówczas przypadła Galicji, był Zakrucki wzorem poświęcenia. Zjechał na stałe mieszkanie do Lwowa i w dworze swego nieobecnego przyjaciela Promnickiego na halickiem przedmieściu zgromadzał szlachtę przybywającą do stolicy, pouczał ją o ważności chwili i zagrzewał do ofiar. W dworze tym był zarazem główny skład broni i przyborów wojennych, które groma-

dzono dla wojska polskiego — a co kilka dni piwnice starego domostwa na przemian to wypróżniały się z nagromadzonych zapasów, to wypełniały się nowemi.

W dniu, kiedy to Madej po raz wtóry wrócił do domu pełen dziwnego zdumienia i przerażenia, Zakrucki więcej był czynnym niż kiedykolwiek. Głowę jego zaprzętać musiały jakieś ważne plany, bo głębokie zamyślenie osiadało mu na twarzy i tylko połysk oczu, które się od czasu do czasu roziskrzyły zapałem, wskazywał że to nie smutna troska, ale myśl jakiegoś stanowczego czynu zajmowała umysł starca konfederata.

Nie było też jeszcze w owej porze powodu do smutnych trosk i obaw. Ruch zbrojny był podówczas w samej pełni swego rozwoju, zapal narodu na szczycie, nadzieja przyszłości w rozkwicie samym. Do tego dodać jeszcze serce polskie, tak skore do wiary, do otuchy — a wyobrazić sobie można, jakim szczęściem drzeć musiały umysły patryotów polskich w pierwszych chwilach boju!..

Zakrucki przed południem pospieszył do kasyna Hechta. We Lwowie przebywało właśnie bardzo wiele szlachty, chciwej wieści o odgrywających się wypadkach a z tego powodu garnącej się do stolicy. Przybywszy zaś do stolicy, gdzież łatwiej zejść się ze znajomymi, spotkać z nowinami, jak nie w kasynie pana Hechta, dokąd spieszyli wszyscy już z samej nawyczki kontraktowej? Ludno tedy i dość gwarno było w domu naprzeciw ogrodu jezuickiego.

W sali piętrowej, obszernej i porządnie urządzonej, było mnogo szlachty z wszystkich stron kraju. Obecni podzieleni

byli na większe i mniejsze kółka, w każdym kółku toczyła się na pół głośno na pół szeptem rozmowa, a w każdej rozmowie dosłyszałeś imienia Kościuszki. W niektórych kółkach podawano sobie z rąk do rąk lub czytano głośno „Dziennik patryjotycznych polityków” i gniewano się, że tak mało w nim wiadomości.

I nie dziwić się tej gorączkowej ciekawości, wszakże wczoraj dopiero przybyła wieść o bitwie Racławickiej, przybyła w tydzień po samem zwycięztwie — a podbudzone tą wieścią wyobraźnie łaknęły nowin i szczegółów!

Na licach zebranych gości promieniły się szczęście i radość. Pod napływem tych radośnych uczuć zapomniano o ostrożności i o panu Streicherze, dyrektorze policji, który stojąc w framudze okna i rozmawiając z samym gospodarzem p. Hechtem, od czasu do czasu wytyężał uwagę i przenikliwie spoglądał po rozmawiających.

Nowo przybywający, którzy nie wiedzieli jeszcze nic o radośnej wieści, witali ją okrzykiem wydobywającym się z przepełnionego serca, inni rzucali się znajomym w objęcia, oznajmiając niemym uściskiem uniesienia, że wiedzą już o dobrem poselstwie.

Zakrucki wszedłszy do kasyna witał wszystkich serdecznym uśmiechem, dzielił się z wszystkimi swem uniesieniem, a przytem z każdym miał krótszą lub dłuższą rozmowę szeptem. Rozmowy te kończyły się słowami:

— Dziś wieczorem u mnie! Zgromadzimy się licznie! Nie zapomnij panie bracie!

— Stanę na apel panie cześniku! (lub panie rotmistrzu! — bo Zakrucki miał ten tytuł jeszcze z konfederacji barskiej).

I uściśnieniem jedynej lewej ręki rotmistrza utwierdzał każdy umowę.

Wkrótce też wszedł do kasyna i pan mecenas Dzierżkowski, figura okazała, pełnej tuszy, z twarzą wyrazistą, dużą i ogoloną a z nim razem i hrabia Leszczyński, jeden z najgorliwszych członków komitetu. Rzuciła się szlachta do mecenasa, który tak znakomite zajmował we Lwowie stanowisko i koncentrował w swym salonie nie tylko ruch towarzyski ale i polityczny, i wszyscy poczęli go dopytywać o szczegóły zwycięstwa i dalsze wieści. Tak przez jakiś czas rozmawiano w kasynie o wrażeniach chwili — ale wkrótce poczęto się wynosić, aby się przenieść na ustronniejsze i bezpieczniejsze miejsce pogadanek, do znajomych kątów przyjaciół, bo kasyno pana Hechta było zawsze trochę niewygodnem dla ożywionej dobremi wieściami szlachty, a pan dyrektor Sztrajcher jakoś kwasiał humor i wesołość.

Zrobiło się niebawem pusto w kasynie, tylko w pobocznych pokojach panował gwar jakiś głośny. Ale był to gwar wcale innego rodzaju, a patriotyczne hasła nie brzmiały jakoś w ustach rozmawiających. Zakrucki, który został jeszcze w sali, zmierzył ku gwarowi.

W ubocznym pokoju było towarzystwo odmienne od tego, któreśmy dopiero co pobieżnie naszkicowali.

Jakież to było towarzystwo? Polskie — nie polskie; szlacheckie? — nie szlacheckie; niemieckie? — nie niemieckie? Jakież tedy?...

Było to towarzystwo galicyjskie.

A trzeba wiedzieć, że jak dziś jeszcze po części, tak i wówczas byli w Galicji Polacy i Galicjanie. Jakżeż bo zresztą istnieć mogła Galicja bez Galicjan? Byli tedy i Galicjanie, naród świeżo z pod igły — ci *echt*-Galicjanie krwi czystej, którzy tak pięknie rozślawili ideę swej galicyjskości, praszczurowie naszych Galicjan, którzy i ideę i sławę odziedziczyli po nich w spuściznie.

Z kogoż składało się to grono galicyjskie? Oto byli tam i świeżo upieczeni grafowie, szlachta nie z Niesieckiego, nie z Paprockiego, ani Okolskiego, ale jak to mówiono wówczas z galicyjskiego kalendarza. A ileż to ten pocziwy kalendarz galicyjski ukanonizował podówczas głupców, ilu to dzisiajszym magnacikom przysporzył antenatów, ileż to nie pochłonał dukacików, zarobionych gorzko na ekonomskich kruczkach, administratorskich szacherkach, a bodaj czy nie na jakiej uczciwej arendzie!

Bawiło się tedy to grono galicyjskie wesoło na osobności. Gdy Zakrucki wszedł do pokoju, śmiech ustał jakoś w jednej chwili. Siwy starzec z bliznami na twarzy, z jedną tylko ręką, zakrawał coś na grobowego gościa przy uczcie Makbeta. Pokrzywili się niektórzy Galicjanie, niejednen rad był szorstko odprawić starego — ale jakoś nie uchodziło.

— Do licha trzeba się witać grzecznie — pomyślał sobie jeden, który był świeżutkim szambelanem — stary żył długo, musi pamiętać mego ojca, co był końskim faktorem u pana starosty machnickiego!

— Tego nam tu potrzeba — pomedytował drugi, co się jakoś gładko wywiódł z szlachestwa a teraz aplikował do dziewięciu pałeczek i złotego kluczyka — gdyby nie miał takiego języka, zrobiłbym minę szlachcicowi! Anuż wspomni coś o nahajce, co....

I jeden i drugi powstał zaraz z krzesła i uprzejmie się uśmiechnęli:

— A, pan rotmistrz dobrodziej! Całuję nóżie... te... tego... — poprawił się szybko pierwszy kłac stare przyzwyczajenie.

— Jaśnie pan... te... tego... — zakrztusił się drugi i pokrył kaszlem frazes antecedenyjnny — ot pan rotmistrz szanowny!

Zakrucki skłonił się im grzecznie ale nie bez sarkastycznego uśmiechu na ustach i zbliżył się do stołu.

Ale przy stole nie siedziała tylko młodziutka szlachta nad kielichami starego wina — byli tam i inni, którzy jeśli nie w sercu to w swych tradycjach rodowych mogli byli znaleźć wstręt do galicyjskiej godności. Byli to odrodni wnukowie mężnych dziadów, pigmejczy cy duszy, pełzający po śmiecis ku próżnostek i marnostek świata galicyjskiego.

Oto wstał jeden i wita się właśnie z Zakruckim. Kupił sobie order u Preschla za 40 dukatów, a w Wiedniu tytułik, jakby mu nie dość było na pocziwem imieniu i sławie przodków swoich. Bawi się teraz w magnację galicyjskie i jest wielkim dyplomata. Agituje niezmordowanie, układa adresa do rządu, myśli ciągle o deputacjach do Wiednia, bazgrze memorjały — a wszystko dla tego, aby rząd zniósł urbarjum, które zaprowadził. Urbarjum, regulujące stosunki poddańcze biednego chłopka do pana, jest

dla niego okropną zgrozą, uciskiem, krzywdą, istnem *horrendum*! Urbarjum nieszczęśne stało się u niego osiłą dyplomatyczną i adresową kołowacizny — biedny panek choruje na urbarjum!

— Agituję nad zniesieniem urbarjum — prawi wszędzie i wszystkim zagrzewając do pomocy. — Okropne czasy! Regulują i biorą w obronę poddaństwo dusz, buntują chłopstwo!

— No i cóż, wiesz waszmość o najświeższej nowinie radośnej? — pyta go stary Zakrucki.

— Radośna nowina! Jaka? Urbarjum znieśli! A gadajże, gadaj! rotmistrzowi to moja pewnie zasługa!

— Człowieku! Bitwę wygraliśmy! bitwę!

— Co za bitwę?

— Kościuszkowi pobił Moskali pod Racławicami!

— Co to nam z tego zwycięstwa! Gdyby urbarjum!... — westchnął żałośnie Galicjanin.

— O Galicjanie! Galicjanie! — odrzekł Zakrucki i pierwszy raz tego dnia uśmiech usta wykrzywił mu goryczą — tam chłopcy biły, armaty brały kosami, a ty o urbarjum mówisz!

Cofnął się skrzywiony dyplomata i utopił nos w szklownicy wina.

Inny z siedzących przy stole wstał właśnie i z rozpromienioną twarzą, gołą jak kolano, przystąpił do Zakruckiego:

— Cześniku dobrodzieju, podzielę się z tobą dobrą nowiną! — zawołał z uśmiechem szczęścia na ustach.

— Jak to, wiesz już?

— Jakże nie mam wiedzieć, kiedy to mnie się tyczy. Legitymacja wybornie mi idzie! Gubernator zapewnił mnie dzisiaj, dopiero co przed chwilą, że hrabiowski tytuł lada dzień przyjdzie dla mnie z Wiednia! Bodaj to sprawiedliwe rządy!

Zakrucki z odrazą na bok się odwrócił.

— Ale, ale łaskawy panie rotmistrzu! Mam prośbę wielką do ciebie! Znasz pana Rzewuskiego, wstaw się tam za mną! Chciałbym być przyjętym do wolnych mularzów! Ale do gabinetu Salamona!

Zakrucki wzruszył ramionami i począł się cofać, ale człowieczek wołał za nim dalej:

— Ale tylko do gabinetu Salamona! Niższego stopnia nie przyjmę! Powiedz mu, że lada dzień hrabią zostanie!

Stary konfederat aż splunął z indygnacji i opuścił grono galicyjskie. Wychodząc z kasyna Hechta, spotkał się we drzwiach z jakimś człowiekiem, który jakby oparzony rzucił się na bok, skoro go zobaczył.

Był to Żagwin. Zakrucki spojrzał nań swoim zwyczajnym, otwartym i pocziwym wzrokiem — ale Żagwin spuścił oczy i szybko minął go na schodach. Gdy Zakrucki już był na ostatnich schodach, Żagwin spojrzał za nim, próbował się uśmiechnąć po swojemu, ale twarz tylko wykrzywił usiłowaniem, mruknął jakieś niezrozumiałe wyrazy i znikł w kasynie.

Za chwilę widzieć go można było z panem Sztrajcherem na ulicy...

Wieczór tego samego dnia po tajnej sali dworu na Hallickiem przedmieściu przechadzał się samotny starzec. Był to Zakrucki. Przypatrzmy się teraz bliżej jego postaci. Stary już był i wynędzniały, ale dość krzepko się jeszcze trzymał, a w żylastej postaci wiele było jędrnej elastyczności. Piękna jego twarz, której rysów starość nie zdołała wypaczyć, okryta była kilku głębokimi szramami. Oko niebieskie, jasne, robiłoby wrażenie prawie niemęskiej łagodności, gdyby nie siwa krzaczasta brew, która dodawała mu marsu i pewnej surowości. Czuprynę miał starym zwyczajem podgoloną, a wąs krótko ostrzyżony. Ubrany był w lisią kurtę pokrytą szaraczkowem suknem, przepasaną czarnym rzemieniem.

Sala, po której się Zakrucki przechadzał, była duża i prawie pusta. Kilka stołków staroświeckich, stojących po kątach, kilka ław twardych przy ścianach, duży ciemny sekretarz, na którym stał krucyfiks, i wielki stół stanowiły prawie całe jej umeblowanie. Wyglądała też sala nietylko pusto ale posepnie. Mimo obfitego ognia gorejącego w kominie z ciemnego marmuru i kilku świec na stole i sekretarzu, cień nocy dziwnie majaczył na ponurych, czarną sztukaturą okrytych ścianach i osłaniał duże portrety olejne, przedstawiające postacie męskie w zbrojach i żeńskie w zakonnych szatach.

Wszystkie te obrazy ponurego kolorytu i ponurych lub poważnych twarzy zdawały się pochłaniać do reszty oświetlenie sali, i jeden tylko owalny portret, uwieszony nad se-

kretażem bliżej komina, świecił barwniejszym kolorytem i złożonemi ramami.

Był to mały, piękny obraz, wybornego pędzla i uroczego kolorytu. Przedstawiał młodziutką kobietę, dziewczę jeszcze prawie. Twarzyczka owalna, śliczna, miała rysy niewysłowionej nadobności, oczy duże, czarne, zdawały się pałać na płótnie — a karmin wdzięcznych ustek zdawał się drzeć pod uśmiechem.

Tuż obok tego cacka, ale już nieco w cieniu, wisiał drugi także mniejszych rozmiarów. Był to portret mężczyzny, mogącego mieć już około lat czterdziestu, z czarnym gęstym włosiem, z wysokim i szerokim czołem, czarnym bujnym wąsem i pewnym namiętym wyrazem twarzy.

Zakrucki przechodząc się po sali stanął na chwilę przy obu portretach, ale nie spojrzał na obraz kobiety, lecz utkwiał wzrok w obrazie mężczyzny. Patrząc na ten portret oko starca zaszło jakby łąą rozrzewnienia i żalu, a z piersi mimowolnie wydobyło mu się westchnienie.

Po chwili takiego spoglądania na portret mężczyzny, rzucił Zakrucki jakby pomimowoli spojrzenie na portret pięknej, młodziutkiej damy, a twarz schmurzyła mu się dziwnie, jakby portret ten zrobił na nim przykre wrażenie. I jakby nie mógł patrzeć na tę śliczną twarzyczkę, chwycił portret i przewrócił go ku ścianie. Potem siadł w poręczowem krześle przy kominie i spoglądał w ciemne szyby drzwi szklanych, które prowadziły do ogrodu, jakby kogoś wyglądał.

Istotnie też niebawem dało się słyszeć skrzypienie jakby otwieranej bramy lub furtki i w ogrodzie dały się słyszeć kroki kilku osób razem. Zakrucki porwał się z krzesła i pośpieszył na powitanie. Do sali weszło kilku szlachty i poczęli się serdecznie witać z gospodarzem. Za nimi przybywali coraz inni, a wkrótce cała sala przepelnioną była gośćmi.

Zgromadzeni byli to obywatele wiejscy, którzy pod ową porę bawili we Lwowie. Nie wszystkich znał dobrze osobiście Zakrucki, ale tym razem przyjaźniła z nim wszystkich myśl zebrania. Większa część gości ubrana była po polsku lub z polska przynajmniej, lecz było także wielu takich, którzy mieli na sobie strój modniejszy, francuski.

Zakrucki powitawszy każdego z kolei, zaprosił do zajęcia krzeseł, a gdy wszyscy usiedli, Zakrucki powiódł wzrokiem po zgromadzeniu i rzekł:

— Jesteśmy tedy wszyscy prawie!

— Stawimy się na apel, jak przystało, panie rotmistrzu! — odezwał się jakiś zamaszysty szlachcic w zielonej bekieszy.

— Brakuje, jeszcze tylko pan hrabia Gozdcki — dodał Zakrucki.

— Pono i ten przybywa — odezwały się głosy — bo słysząc jakiś turkot na drodze.

Istotnie zajechał ktoś przed bramę, a Zakrucki wybiegł z sali i po niejakej chwili wprowadził gościa od ogrodu. Był to znany nam już pan graf z Jaryczowa. Jedną ręką opierał się na lasce, drugą na swym nieodstępny towa-

rzyszu, panu marszałku Hołubowiczu. Pan Gozdcki pokłonił się po bratersku szlachcie i zaraz zabrał miejsce, nie mogąc się utrzymać na chorych nogach.

Gdy tak wszyscy już zasiedli i nieco się uciszyło w sali, ozwał się Zakrucki:

— Niech mi wolno będzie zabrać głos!

— Prosimy, cześniku! Prosimy, panie rotmistrzu.

— Panowie bracia i drodzy przyjaciele! Najpierw winieniem złożyć wam podziękowanie, żeście zaufaniem i łaską swą obdarzyli waszego niegodnego sługę, racząc przychylić się do jego próśby i zgromadzić się tak licznie w jego progach! Nie przypisuję ja atoli tego tyle łaskawym względom ku mojej osobie, jakkolwiek miło mi wierzyć niezachwianie w życzliwe a niezasłużone przezemnie afekta Waszmości panów braci moich, co sprawie tej i myśli tej świętej, której wszyscy służyć do śmierci pragniemy!

— Wszyscy! Wszyscy! *Usque ad finem!* Do trumny naszej! — zawołali chórem zebrani.

Zakrucki ciągnął dalej:

— Panowie bracia! Nie wszyscy, ale wielu z nas dziś tu zgromadzonych schadzało się stale i przez nie mały czas do tej izby i wspólnie radzili nad środkami popierania sprawy narodu podjętej za kordonem. Bóg łaskawie użył nam otuchy w naszej pracy, bo oto wieść radośną odbieramy o zwycięstwie nad wrogiem pod Racławicami!

— Niech żyje pan Kościuszko! — zawołał pan Gozdcki.

— Niech żyje! — zawołało z zapalem zgromadzenie.

— Kiedy nasi bracia podnieśli oręż przeciw gwałcicielom wolności Rzeczypospolitej — prawil dalej Zakrucki — godziło się nam prawym synom ojczyzny, matki naszej umiłowanej, dać dowód, żeśmy nie ze wszystkiem Galicjanie, że zostali między nami rozbitkami i Polacy! Czyniliśmy tedy, na co słabym siłom stało. Mienie starców i krew młodzi wysyłaliśmy i szlemy jeszcze za kordon, aby poprzeć to, co nie wygaśnie nigdy w sercach naszych, a co niechajby jaknajprędzej ciałem się stało!

— Amen! — zawołali przytomni.

— Oby to słowo i Bóg wyrzekł wraz z nami w niebiosach! — dodał wzruszonym głosem pan Gozdzi.

— Dowód ten atoli wydaje mi się jeszcze niedostatecznym — mruknął Zakrucki. — Wydaje mi się koniecznym obowiązkiem patriotycznym, abyśmy, sieroty po wolności, dali uczuciom naszym wyraz wymowny i uroczysty! Pano wie bracia! Świąćimy dziś oktawę zwycięstwa pod Racławicami! Na uczczenie tej radośnej chwili, ku zamanifestowaniu naszych życzeń i uczuć, proponuję, aby wystosować adres do pana Tadeusza Kościuszki, jako naczelnika narodu polskiego!

— Zgoda! Zgoda panie rotmistrzu! — zawołali zgromadzeni.

— W adresie tym — zabrał głos dalej Zakrucki — wyrazimy najpierw hołd zwycięzcy, a potem przypomniemy się ojczyźnie, przypomniemy walczącym braciom, że my mimo obecnych naszych stosunków nie przestali być Po-

lakami i jako tacy pamięci zwycięzców siebie i nasze życzenia polecamy!

— Z serca nam mówisz, rotmistrzu! — zawołano — O tak! powiedzmy, czego chcemy, powiedzmy że.... — i sala zapełniła się gwarem i okrzykami uniesionej zapałem szlachty.

— Panowie bracia! — ozwał się pan Gozdzki — pan rotmistrz Zakrucki wyraził myśl, którą z nas każdy miał w głowie i sercu zaraz od pierwszego szczęku oręża polskiego! Myśli tej dziś wyraz dać mamy! Darujcież mi że wspomnę, iż właśnie w tej myśli napisałem świeżo list do pana Kościuszki, który dotąd jednak nie został wysłanym. List ten jest wyrazem moich osobistych uczuć, które jednak, jak myślę, wszyscy podzielacie! Niechaj mi wolno będzie dać go odczytać, a może przyda się zamiarom, które tak żywo wszyscy pochwalamy...

— Prosimy! — zawołali obecni.

Gozdzki wydobył z zanadru pismo i wręczył je Hołubowiczowi, który uzbroiwszy czempredzej oczy w okulary, stanął przy kominie i zabrał się do czytania.

Cisza zaległa salę a Hołubowicz odchrząknawszy począł czytać donośnym głosem:

„Waleczny ojczyzny naszej Mścicielu!

„Obyś uiścił nadzieje narodu, obyś rozszarpane obszerne królestwa połączył członki; sześćdziesiątletni kaleka zasała gorące do nieba modły! Przyjm proszę tę szczupłą ofiarę, na jaką tym czasem i pogotowiu z reszty dóbr swoich zdobyć się mogłem! A gdy się najwyższy naczelniku przedrzesz

i dostaniesz w ten kraj ziemskim rajem będący, Podole, który teraz wrogi nasze zajęły, odbierzesz tam dobra moje przez Moskali zabrane. Tych się zupełnie wyrzekam dla Ojczyzny, władać niemi jak własnością publiczną: będę najszczęśliwszym, gdy cały swój majątek wraz z resztą dni życia mego poświęcę na usługi ojczyzny!

•Polacy w rozpaczey ostatniej powołali cię do tak wielkiego czynu, wręczyli ci losy całego narodu, oby waleczne dzieła Twoje odpowiadały temu zaufaniu!

•Bądź ufnym w Boga, który w tak dobrej sprawie błogosławić będzie orężowi Waszemu. Lecz stojąc pod Warszawą miej się na baczności, tam jest stek wyrodków i zdrajców ojczyzny! Pod mitrą i w fioletach czarne znajdziesz dusze!

•Strzeż się podejścia i zastawionych sideł i zdrad, albowiem świat dzisiejszy polityką je zowie. Naśladujmy Francuzów, a dojdziemy do zamierzonego celu; Warszawa nie jest narodem, podzielone po kraju oddziały wszędzie się zastępując zrobią utrudnienie nieprzyjacielowi, którego małemi podjazdami osłabiać i utrudzać będziecie.

•Pomnij także, iż Galicja wydartą z wnętrzości jednej matki, że w przechrzczonych Galicjanach polska krew jeszcze płynie..... Uwolniona z więzów ręka jeszcze staropolskim mężnie władać potrafi bułatem!

•Bądź więcej u nas, niż był Czarnecki za Jana Kazimierza! Jesteś wystawiony na czoło narodu, Europa zwrócone ma na Ciebie oczy, Amerykanie ciekawi są słyszeć o swoim współziomku, Francja pochwała Wasz zapach, naród cały wy-

gląda swego wybawienia, a potomność dzieła two słać będzie!.... *)

Hołubowicz skończył.

— Wdzięczni jesteśmy panu Gozdzkiemu — ozwał się Zakrucki — że nam list swój odczytać raczył. Proponuję, aby wyrażone w tym liście myśli wziąć za podstawę naszego adresu!

— Zgoda! — zawołali obecni.

— A z dokumentem tym dziś jeszcze się uporajmy. Im prędzej tem lepiej! — dorzucił pan Gozdzki.

Zakrucki i dwóch innych zajęli się zaraz zredagowaniem adresu. W dwie godziny był gotów w czystym odpisie. Podczas tego czasu zgromadzeni prowadzili półgłosną rozmowę.

Po wygotowaniu pisma, Zakrucki odczytał je szlachcie. W adresie wyrażone były wymownemi słowy uczucia solidarności galicyjskich obywateli z narodem i jego walką obecną, a ustęp z listu pana Gozdzkiego o Galicji znalazł w nim bardzo dobitną i wyraźną formę...

Zgromadzeni zgodzili się od razu na osnowę adresu i poczęli wołać:

— Podpisujemy!

— Pan Zakrucki pierwszy! Prosimy rotmistrza jako najstarszego wiekiem!

Folgując głosom, Zakrucki podpisał pierwszy swoje nazwisko.

*) List autentyczny.

Za nim poczęła podpisywać reszta zgromadzonych. Gdy już wszyscy podpisali, była już dość spóźniona godzina. Szlachta poczęła się wynosić, a Zakrucki żegnając ich, prosił każdego z osobna, aby wszystkim znajomym obywatelom ogłosił rzecz całą i umożliwił im tym sposobem zapisania swych nazwisk w poczet wiernych synów ojczyzny.

Niebawem wypróżniła się całkiem sala i Zakrucki został sam. Wziął spisany adres do ręki i jeszcze raz go odczytywał. Zajęty tem czytaniem, czy też zamysłony pod wrażeniem dokonanego aktu, nie słyszał stary konfederat, że po podwórzu rozległ się skrzyp gwałtownie wypartej bramy, i że wkrótce po tym odgłosie zamajaczyło światło w ogrodzie i pod szybami szklanych drzwi sali...

Ocknął się dopiero, gdy drzwi od sali z trzaskiem się rozwarły i w progu przy świetle latarni ukazały się białe postacie z długimi flintami. Na ich czele był jakiś niemiecki urzędnik w uniformie...

Zakrucki porwał się zdumiony z krzesła, a ujrzawszy nieproszonych gości osłupiał prawie...

Przypomniawszy sobie jednak natychmiast adres trzymany w ręku... Ustępy tego adresu były zanadto stanowcze, aby nie miały uchodzić za zbrodnię polityczną w oczach rządu... Wszyscy podpisani uledezby mogli utracie wolności i mienia.

Zakrucki bez namysłu posunął się z papierem ku ogniu, palącemu się na kominku. Ale w tej samej chwili jegomość w cywilnym uniformie chwycił go jedną ręką silnie za ramię, drugą szarpnął za papier... Zakrucki wolną ręką usiłował wyrzucić papier. Udało mu się udrzeć sporą część

papieru. Zwinął ją w jednej chwili i rzucił w gorejący płomień...

W tejże chwili ujrzał się otoczony do koła żołnierzami, a lufy karabinów zabłysły mu w oczach. Urzędnik, który resztę papieru zatrzymał w dłoni, podbiegł szybko wraz z oficerem ku kominkowi, aby wydobyć resztę... Było to już za późno, papier wrzucony już spłonął i iskrzył się garścią pyłu.

Urzędnik rozwinął część papieru, która mu została w dłoni i począł ją czytać... Osnowa cała adresu nie została uszkodzoną... Ale część na której były podpisy, z wyjątkiem jednego imienia, była oddartą. To imię stało tuż pod datą i nie było wcale naruszone. Imię to wypisane było czytelnie i opiewało: Michał Zakrucki rotmistrz... Reszty tytułu już nie było.

Urzędnik złożył starannie papier i schował go do kieszeni.

— I dla nas jeszcze coś zostało! *Mein Herr Rebelle!* — rzekł z uśmiechem.

W kilka minut eskorta odprowadziła Zakruckiego do miasta. Część zaś żołnierzy z oficerem została jeszcze do północy w dworku i przeszukiwała wszystkie sprzęty i kąty...

Tej samej jeszcze nocy otwarły się przed Zakruckim bramy więzienia...

XII.

Komedjanci.

Porzucamy na chwilę znajome nam już osoby powieści, a wprowadzamy czytelnika w nowe koło. Wchodzimy w świat czyli raczej w światek trochę odmienny od tego, który już poznaliśmy, w światek ludzi, którym tytuł tego rozdziału dał nazwę komedjantów, a którym nazwa ta w owym czasie ustępujących dopiero przesądów ciężyla więcej niż słowem samem...

Było to w pierwszych miesiącach roku 1795. W obszernym drugopiętrowym pokoju w jednym z domów na dykasterjalnej ulicy zebrało się małe grono osób. Pokój był skromnie umeblowany, ale zarzucony za to mnóstwem pak, skrzyń i tłumoków. Paki te i skrzynie dziwnemi napełnione były przedmiotami. Jedna już otwarta obejmowała ogromną ilość książek i najrozmaitszych papierów, z drugiej wyglądały dziwne przybory, bronie, hełmy i pancerze, z trzeciej połyskiwały szczy, galony i jaskrawej barwy materje.

Widocznie mamy przed sobą skład teatralnej biblioteki i garderoby, ową błyskotliwą puszkę Pandory, z której światek Melpomeny czerpie strój i formy widome dla efektów swej uludy.

Około obszernego stoła pokrytego stosami książek, seksternów i zadrukowanych kartek rozsiadło się całe grono mężczyzn.

Jeden z nich jest to mężczyzna liczący około lat czterdzieści. Twarz jego gładko ogolona pełna jest ujmującego i szlachetnego wyrazu. Nad okiem dużem, wyrazistym i jasnym wznosi się otwarte wysokie czoło, na które spada włos ciemny, nie pudrowany i nie fryzowany, lecz swobodnie spływający na skronie. Nos podłużny poprawnie zarysowany harmonjuje z ściągłą, więcej chudą niż pełną twarzą, której w wysokim stopniu wyrobione rysy pociągają ku sobie powagą i godnością.

Mężczyzna ten, choć ubrany bez pretensji i wyszukanej elegancji, ma przecież coś w całej swej zewnętrznej postaci, co świadczy o pewnej wytworności tonu i gustu, i należy do tych osób, których indywidualność uderza od razu niepospolitością i od razu zniewala do szacunku.

Jestto Wojciech Bogusławski, mąż, którego imię uwiecznione historyczną sławą, znane jest dziś każdemu.

W chwili, kiedy Bogusławskiego wprowadzamy w naszą powieść, był on w pełni męskiego wieku i właśnie w połowie swego zawodu, pełnego trudów i przeszkód najrozmaitszych, zawodu połączonego z nieustannem tułactwem, z igraszką złych i dobrych losów.

Znaczną już część życia, pełnego ofiar i poświęceń miał wtedy Bogusławski za sobą, choć drugie tyle trudu i pracy czekało go jeszcze na przyszłość w obranym zawodzie, nim miał swobodniej spocząć na owocach swej niezłomnej wy-

trwałości i cieszyć się stalszym przybytkiem tej sztuki ojczystej, którą tak umiłował całą duszą, którą jak drugi Eneasze wyratował z gruzów narodowej klęski...

Właśnie kończył siedemnasty rok swego artystycznego zawodu, kiedy go zastajemy we Lwowie. Wygnany wraz z sztuką swą z Warszawy, wydanej na pastwę wrogom, przybył do Lwowa, szukając nowego przytułku dla siebie i dla sceny narodowej. Przybył sam jeden, ale on sam jeden z swym zapałem i potęgą swego talentu był całym legjonem, on, aktor, autor, tłumacz i dyrektor zarazem, co według słów jednego z późniejszych poetów

Krzywdzące myśl ojczystą mniemanie umorzył —

Pisał, grał i grających na czas późny stworzył.

Jakoż mimo najprzykrzejszych trudności, stawianych mu zaraz u wstępu, Bogusławski w krótkim czasie stanął silniejszą stopą we Lwowie i zgromadził około siebie bardzo świetne grono artystów.

Jednym z pierwszych a właściwie najpierwszych między nimi jest mężczyzna, który tuż niedaleko siedzi przy Bogusławskim. Jestto Kazimierz Owiński, jeniałny artysta, stojący w swym czasie na równi z niemieckim Schröderem, porównywany ze sławnym Garrikiem i Talną.

Jestto mężczyzna, starszy prawie o całą dziesiątkę lat od Bogusławskiego, średniego, smukłego wzrostu. Twarz jego podłużna, ożywiona wesołem i wyrazistym okiem niebieskim, dziwną była tą ruchliwą grą wyrazu, po której w Owińskim od razu poznać było można aktora z długą praktyką teatralną. Na twarzy tej widzieć można było, że każdy prawie jej

muszkuł przebył osobną swą szkołę, a dziś jest posłusznym niewolnikiem każdej myśli i każdego uczucia.

Ubrany był starannie, surdut miał modny i świeży, żaboty i koronki na piersi śnieżnej białości, a włosy troskliwie były ufryzowane i upudrowane.

Owsiński był wraz z swym dyrektorem, Bogusławskim, ciekawym dowodem, jak w owych czasach przejścia i szybkiego przejmowania zwyczajów zachodu, nawskróś nawet szlachecka natura umiała się nagiąć do nowego, wrzekomo całkiem przeciwnego sobie zawodu, jak umiała wżyć się w powołanie, które nie tak dawno jeszcze od czasu naszego opowiadania było wyłącznym udziałem cudzoziemskich spekulantów, żaków i paziów, lub co najwięcej rozrywką amatorską lekkomyślniejszych dworzan.

Tak Bogusławski jak i Owsiński z szlacheckiego stanu się wywodząc, wprawiali się zrazu starym zwyczajem do korda i obaj służyli wojskowo. Pierwszy był porucznikiem w gwardji litewskiej, drugi bijał się z Moskalami w szeregach konfederacji barskiej — a obaj obrawszy sobie później zawód przy nowo wzrastającej scenie, która wcale nie była na owe czasy polem dla kariery szlacheckiej, całą duszą zrosli się z tym zawodem i wkrótce do mistrzostwa się w niej posunęli.

Owsiński zachował nawet w nowym swym zawodzie cały swój dawniejszy charakter szlachecki. Był jowialny i rozmowny, lubił pogadanki, umiał mnóstwo fraszek staroszlacheckich, figlików i żarcików w dawnym stylu. Przytem nabrał jednak wiele prawdziwie artystycznego poloru i przy-

swoił sobie wiele wiadomości. Pod tym względem było życie szkołą dla niego. Będąc, po skończonym zawodzie wojskowym, dworzaninem u prymasa królestwa Polskiego, arcybiskupa Podoskiego, odbywał z nim podróże zagraniczne, zwiedził Niemcy i Francję, nauczył się języków obu tych krajów, a co przedewszystkiem posłużyło mu, a może nawet dało podietę do przyszłego zawodu, poznał na zagranicznych scenach najsłynniejszych swego czasu artystów dramatycznych, jak n. p. Schrödera w Hamburgu, Bruckmanna w Wiedniu, *Lekain'a* w Paryżu.

Po śmierci prymasa wstąpił Owiński w roku 1774 do teatru królewskiego w Warszawie i odtąd pozostał wierny nowemu powołaniu. Osiągnął też w niem wysoki stopień, zasłynąwszy jako najznakomitszy aktor polski. Owiński próbował się w najrozmaitszych działach ról dramatycznych, a we wszystkich talent jego święcił tryumfy niesłychane. Był mistrzem zarówno w *Hamlecie* jak w lekkiej komedji *Destouche'a* lub w jakiej farsie włoskiej.

Dalej około stołu siedzieli inni aktorowie, Baranowski, Każyński, Nowicki, Rutkowski.

Bogusławski trzymał w ręku spory zeszyt manuskryptu, na którego wierzchniej karcie stał napis: *Spazmy morderne*. Był to jego własny, najnowszy utwór. Widać, że odczytywał komedję tę swym towarzyszom, bo spoglądał po ich zasłuchanych minach, jakby badał wrażenie sprawione odczytem.

— Jakżeż sądzicie o tej pracy? — zapytał Bogusławski po chwili milczenia.

— Bardzo wesoła i zabawna — odpowiedział Owsiniński — a choć się białogłowom może nie podoba, publika z pewnością śmiać się będzie do syta. Ale ktoż odegra główną rolę?

— W tem moja zagadka! — odparł Bogusławski z uśmiechem. — Dojdźcież dla kogo rola ta pisaną?

— Może Pierożyńska? — odezwały się głosy — ale to rola za lekka dla niej!

— Otoż nie zgadliście i nie zgadniecie nigdy! Słuchajcież dla kogo: dla panny Maleckiej!

— Co, dla panny Maleckiej? — zaśmiał się Owsiniński — ależ to gąska na scenie, choć sobie hoża i ładna po za nią. Dyrektorze, chyba żartujesz! Ta dziewczynka nie ma za grosz talentu, popsuje ci sztukę!

— I ja tak myślałem zawsze, ale od kilku tygodni zmieniłem zdanie. Z niej będzie kiedyś doskonała artystka, a osobiwie w rolach takich spazmatyczek!

— Bo każda białogłowa umie to doskonale!

— Ale panna Malecka najlepiej. Wystaw sobie, Kazimierz, straciłem już wszelką nadzieję, aby z tej miluchnej dziewczynki była choćby jaka taka aktorka. Ale oto właśnie przed kilku tygodniami wszedłem raz niespodziewanie do jej pomieszkania. Zastaję tam jej narzeczonego, przepraszającego ją na klęczkach, a ona filutka tak nieporównanie po mistrzowsku udaje konwulsyjne drżenie serca, że kamień by się wzruszył...

— A to chyba nie udawała? — wtrącił z uśmiechem Owsiniński.

— Gdzie tam! Jak tylko usłyszała kogoś wchodzącego, porwała się szybko i w zupełnem zdrowiu, a ujrawszy mnie spiekła raka i nie mogła się wstrzymać od uśmiechu. Ta scena podała mi plan do całej komedji, a główną jej rolę przeznaczam dla filutki Maleckiej...

— Cha! cha! — zaśmiał się Owsieński — dyrektor umiesz wybornie odkrywać talenta!

— Rzecz to wprawdzie śmieszna — mówił dalej Bogusławski — ale ma także swoją poważną stronę. Może ona służyć za naukę każdemu dyrektorowi teatru. Nigdy sam siebie początkujący artysta słusznie nie oceni i nigdy nie odgadnie w sobie prawdziwej właściwości swego talentu.

— Tak, coś jak nasz poczciwy Swierzawski, co zawsze chciał grywać role patetyczne!

— A tymczasem tylko w komice był wybornym! Otoż dla tego właśnie uważać należy na początkujących, podchwytywać ich w codziennem życiu i tak z nienacka wyraźnie podkraść im tajemnicę ich właściwych zdolności. Prawie zapewnić mogę, że to nigdy nie myli! Będziecie widzieli, że Malecka wybornie będzie grała rolę spazmatyki!

— Prorokował rabin pińczowski: *de futuris rebus non datur scientia!* — zaśmiał się Owsieński, w którym odezwała się stara żyłka facecjonisty.

— Tobie zawsze dykteryjka na ustach — odparł z uśmiechem łagodnym Bogusławski — ale posłuchaj, co ci jeszcze powiem. Byłem niedawno temu dwa razy u mecenasa Dzierkowskiego, raz gdy mi *Zollamt* moich teatralnych gratów

wydać nie chciał, a potem kiedy miałem tę przeprawę z Bullą. Otóż zastałem tam aplikanta młodzieutkiego, któremu na twarzy i całej postaci napisano, że może być wybornym komikiem. Zapoznał się ze mną, a nawet już kilka razy do mnie przybiegał. Młodzieniec tai się z tem, ale widać to z całego jego zapału do sceny, że pragnie gorąco zostać aktorem.

— Jeżeli nie chce się zgubić, niechaj tego nie czyni! — zawołał Owsieński szybko i namiętnie prawie.

— Dla czego? — zapytał Bogusławski patrząc z niepokojem na artystę.

— Bo zawód aktora, to piekło, to klątwa u nas! Męcz się dla nich krwawo, serce wyczerp do dna, duszę rozepnij na tortury, zrób się echem bólów i śmiechu ludzkiego, baw ich, rozczulaj, śmiej się kiedyś smutku pełen, psuj płaczem rzadką chwilę własnego wesela, pożeraj sam siebie w przybranej namiętności, zszarp się zapałem, zużyj trudem, sponiewieraj duszę i ciało — a oni za to na równi cie postawią z Szwabkiem, co psy i małpy produkuje, a gdy bezsilny już ducha wyzioniesz, jak psa po za murami święconej ziemi pogrzebią!

Owsieński mówiąc to uniósł się, twarz jego zawsze tak swobodna i jowialna po za sceną, przybrała wyraz prawie straszny, a słowa napiętnowane były namiętnością, pełną najgłębszej goryczy.

— Coż to nie pamiętasz?! — wołał dalej. — Dawnoż temu, kiedy Skurczyńskiej nie chciano pogrzebać na cmentarzu? Ileż to prośb i zabiegów a nawet wstawiań się sa-

mego króla potrzeba było, nim zwłokom komedjantki udzielono kilka stóp święconej ziemi?

— Prawda, pamiętam — odpowiedział Bogusławski łagodnym ale wzruszonym głosem, bo skarga Owsińskiego wygłoszona była z przerażającą siłą — ale wierz mi, drogi Kazimierzu, naszym kościom święconego grobu nie odmówią. Nam pierwszym i nam ostatnim przypadł jeszcze los zapoznania, ale za to przypadła nam także większa zasługa! Już dziś praca nasza i zawód nasz znajdują u ludzi bez przesądów uznanie, już dziś może skarga jest niesłuszną! Czyż nie widzisz, z jakim współczuciem przyjęto nas we Lwowie, jak cała ludność od najwyższych do najniższych klas serdecznie nam sprzyja! Nie to jest zresztą miarą szczytności zawodu, jak go ludzie pojmują, ale to jak go my pojmujemy. Powiedz stary, czy ty dla chleba tylko, dla zysku tylko obrałeś sobie ten ciężki zawód? Jeżeli tylko dla zysku, ubogi jesteś dotąd, czemuż go nie porzuciłeś?

— Bo nie potrafię! — westchnął uspokojony nieco Owsiński.

— A widzisz bracie! Nie możesz! I ja także nie mogę. Czyż to ja nie nacierpiałem się przez tych lat siedmnaście spędzonych na ciągłym tułactwie bez kąta i ogniska, czym nie opłakał tyle razy mego zawodu, czy nie zdarzało mi się nieraz, zamienić go na inny, wygodny, a nie mogłem! Nie możemy, bo ukochaliśmy sztukę, bo zrośliśmy się z nią duszą i ciałem!

Owsiński nie nie odpowiedział, ale z łzą w oku rzucił się Bogusławskiemu w objęcia. Reszta aktorów z rozrzwieniem patrzyła na obu mistrzów.

W tej chwili otwarły się drzwi i weszła do pokoju nowa osoba.

Był to młodziutki jeszcze mężczyzna. Mógł mieć lat dwadzieścia dopiero. Był miernego wzrostu, twarz miał okrągłą, pełną, nosek trochę zadarty i kędzierzawe włosy. Oczy jego śmiały się wesołą pustotą, około ust igrał uśmiech jowjalny i humorystyczny. Wszedł szybko i rezolutnie do pokoju, lecz gdy ujrzał w nim całe towarzystwo, trochę się zmieszał i zakłopotał.

— A pan Żółkowski! — zawołał Bogusławski — prosimy, prosimy!

Młody człowiek skłonił się grzecznie na wszystkie strony i powitał z uszanowaniem Bogusławskiego.

— Jakże się masz panie Alojzy? — zapytał Bogusławski — Ale muszę cię pierwszej przedstawić moim towarzyszom i przyjaciołom. Panowie, rekomenduję wam pana Żółkowskiego, tamtego roku jeszcze żołnierza z armji pana Kościuszki, dziś aplikanta w biurze pana mecenasa Dzierzkowskiego!

— Cieszę się serdecznie — ozwał się Owsiński, spoglądając ciekawie na młodego człowieka.

— Jakże tam na zamianie waćpan wyszedłeś? Jak tam po szabli przy kodeksie?

— Wszystko jedno, panie dobrodzieju — odparł Żółkowski z zwykłym jowialnym uśmiechem. — Jedna to i ta sama komenda!

— A to jak?

— I tu i tam komenderują: „Prawo w tył”, skoro sprawa źle idzie!

— *Bene piperatum!* — zaśmiał się Owsieński.

— A z kąd to waćpan wracasz i z jakimi nowinami? bo masz ich zawsze podostatkiem.

— Od świętego Jura.

— Od kogo, czy może od pani kasztelanowej?

— Tak jest, od pani kasztelanowej Kamińskiej z obiadu. Coż to panowie nie wiecie, że dziś piątek, dzień postny? Otoż pani kasztelanowa, widząc że Niemcy staropolskie zwyczaje psują i od postu odwodzą, daje co piątku postne obiady u siebie, na które każdemu przyjść wolno.

— Więc pani kasztelanowa taka żarliwa skrupulatka co do postu?

— Pani kasztelanowa całe życie z postem — odparł z uśmiechem Żółkowski — bo ma olej w głowie!

— W Hiszpanji jeszcze większy skrupuł panuje, bo tam w poście świec łożowych nie palą! — zaśmiał się Owsieński, w którym wesołość młodego gościa podrażniła nałóg jowialisty.

— Byłeś waćpan wczoraj w teatrze na Axurze? — zapytał Bogusławski.

— Aby się otwarcie przyznać, panie dyrektorze — odparł Żółkowski — teatralna zasłona była dla mnie za słona, bo ceny były podwyższone.

Zgromadzeni parsknęli śmiechem.

— Za to zajmowałem się wczoraj rybołówstwem. Chodziłem na summy, ale nie nie złapałem, bo wszystkie sadzawki zamknięte!

— Widzisz Kazimierzu — rzekł Bogusławski do Owsieńskiego — coby to dla ciebie był za wesoły towarzysz?

— Istotnie kawaler dobrze ma w głowie! — zauważał z uśmiechem Owsieński.

— Broń Boże! — odciął Żółkowski — dziś aby mieć dobrze w głowie, nie chodzi się na naukę, ale na wino do Wartanowicza!

— Właśnie wybieram się do waszego mecenasa — ozwał się Bogusławski — mam mu podziękować za pomoc w mojej sprawie. Układ z Bullą już ukończyłem. Ale przedtem co miałem kłopotu z Bullą i niemieckimi konsyljarzami! Przychodzą kiedyś do mnie i chcą mi imponować, ja imponycji nie lubię i ostro do Niemców, a moi panowie konsyljarze wnet zmiękli i zgrzeczniali! Kazimierzu, tyś jeszcze jednego u mnie nawet zastał...

— A zastałem i na jego widok przypomniałem sobie dawny wierszyk, opisujący starego Niemca:

Loki na buńczuk baszy tureckiego,

Czoło jaszczur do noża porucznika jego,

Oczy dla starej mniszki dać na okulary,

Z nosa Węgrzyni zrobić dwie głośne fujary!

Owsiński z tak komicznym naciskiem wygłosił ten wierszyk, że wszyscy obecni głośnym zanieśli się śmiechem.

— Chwała Bogu! — odezwał się Bogusławski — Owsiński się rozweselił, a niedawno na los rozpaczał! A czemuż to wtenczas, kiedy za ciebie ktoś z parteru chciał płacić długi, gdyś grał Beverleya, nie przyjął propozycji? Beverleya długi byłyby pokryły potrzeby skromnego Owsińskiego. Ta chwila powinna ci być pamiętną! Widzę cię ciągle i słyszę, jak z rozpaczą w oku, z twarzą śmiertelnie bladą wygłaszasz te wyrazy roli: „Nadeszła już ostatnia moja godzina!... Wydałem wyrok przeciw sobie samemu... a tym wyrokiem jest śmierć!...”. Włosy stanęły widzom na głowie, a wtem ktoś zawoła z parteru: „Puście go moi panowie! Ja za niego długi zapłacę! Połowę pieniędzy mam przy sobie, drugą połowę w domu wyliczę!”. A ten tryumf, Kazimierzu, czy nie wart sam jeden całego dziesiątka lat biedy i poniewierki aktorskiej?...

Uśmiechnął się Owsiński; wspomnienie tryumfu rozpodziło jeszcze bardziej twarz jego.

Wpadł w dawny szlachecki nałóg, począł sypać jak z rękawa figliki, żarciki i fraszki, przeplatając je deklamacją wierszów komicznych i podnosząc ich efekt wyborną mimiką.

Młody aplikant, Żółkowski, nabrał przy Owsińskim jeszcze żywszego humoru, począł mu dopomagać w żartach, szedł z nim o lepsze w conceptach, i niewyczerpanym swym dowcipem bawił wspólnie z Owsińskim towarzystwo.

Owsiński nagle zamilkł, wstał cicho i wysunął się na palcach do przedpokoju. Po chwili wszedł znowu ale w postaci, którą grzmiącym śmiechem powitali zgromadzeni. Owsiński przepasał sobie serwetę, owinał głowę w białą chustkę, jakby w szlafmycę, zawinał rękawy od koszuli, i począł naśladować niemieckiego oberzystę.

Była to sztuczka humorystyczna, z którą występował nieraz w towarzystwach. Największy hipochondryk musiał się pobratać z bożkiem Momusem, gdy widział w tem przebraniu Owsińskiego. Wszyscy obecni trzymali się za boki od śmiechu, Żółkowski aż posiniał i zakrzusił się — a Owsiński tymczasem z porywającą komicznością krzątał się po pokoju, szwargocząc z niemiecka.

Jeszcze grzmiał śmiech szalony w pokoju, kiedy naraz drzwi się otwarły i wszedł do izby wysoki, barczysty mężczyzna, jasnobłondyn, sztywny i prosty, z flegmatycznym spokojem na twarzy. Ujrawszy Owsińskiego zaśmiał się serdecznie, ale po chwili twarz jego znowu ścięła się powagą i flegmatycznym spokojem.

Był to Jorsten, kasjer niemieckiego dyrektora Bulli, który teraz spełniał tę funkcję i przy Bogusławskim. Szwed z urodzenia, niegdyś majtek okrętowy, zachował wszystkie cechy swego marynarskiego charakteru i dziwnie wyglądał między wesołym ludkiem aktorów, z którymi połączyły go losy.

Jorsten zbliżył się odmierzoną krokiem do Bogusławskiego, podał mu rachunek i rzekł z flegmą:

— *Herr Director, es ist Cassarest!*

Bogusławski przejrzał papier i wesoła mina wnet na twarzy jego ustąpiła zakłopotaniu. Zauważali to obecni, i zaraz ucichło w pokoju. Owiński zrzucił z siebie serwetę i począł się przypatrywać olbrzymiemu Szwedowi. Tymczasem inni poczęli wychodzić, a Żółkowski także chwycił za kapelusz, pożegnał się z gospodarzem i poskoczył na ulicę, aby tą samą drogą, którą wyszedł, także i wrócić do biura bez wiedzy surowego pryncypała, to jest przez okno.

Szwed kasjer spełniwszy swój obowiązek, nagiął także trochę grubego karku i ciężkim krokiem wyszedł z pokoju. Zostali tylko Bogusławski i Owiński.

— Żle koleżko! nie ma pieniędzy! — rzekł Bogusławski z smutnym uśmiechem.

— Jakto, już nie ma? a przecież w ostatnim czasie dość dobre mieliśmy dochody?

— Mój drogi! Dowiedziona to prawda, że antreprenerkie zbiory są owemi w czasie dżdżu bańkami na wodzie, których im więcej gwałtowna zlewa nawalność, tem prędzej jedna o drugą się rozbija!

Owiński pokiwał głową w milczeniu.

— Na wydatki bieżące starczyłoby jeszcze, ale cięży na mnie inny obowiązek, którego się koniecznie pozbyć muszę, bo mi już przykrym się staje — mówił dalej Bogusławski.

— Cóż takiego? — zapytał Owiński.

— Wiesz że pan graf Rzewuski pożyczył mi znaczną sumę. Chciałbym ją oddać jak najprędzej.

— Jak to pan graf niecierpliwi się?

— Broń Boże! On zapomniał może. Ale ja się niecierpliwię i nie zapominam!

— Z jakiegoż powodu?

— Łaska pańska podobnego rodzaju, jest śmiertelnym ciosem dla godności artysty! Nie chcę i nie dopuszczę, aby to co tylko pożyczką wziąłem, miało się stać jałmużną! My biedni artyści, już i tak na śliskim gruncie wśród społeczeństwa postawieni, powinniśmy czuwać nad czystością własnego stanowiska! Powiadam ci, kolego, że stokroć bardziej trapię się tym długiem, niż pożyczką od najstraszniejszego lichwiarza.

— Z dwojga złego wybiera się mniej gorsze....

— I ja też tak wybrać zamyslałam. Wolę stracić, niż uczynić uszczerbek delikatności uczuć, które skarbem największym jest dla każdego, a cóż dopiero dla ludzi na publicznym stanowisku!

Owsiński zasępił czoło, ścisnął dłoń dyrektora i w skwaszonym humorze wyszedł z pokoju.

Bogusławski ubrał się także i wyszedł z domu, a kroki jego zmierzały na Krakowskie, i zatrzymały się przed pomieszkaniem znanego nam już żyda Naftala.

Pan Naftal był już uprzedzonym o interesie Bogusławskiego — a cała sprawa już poprzednio została była ułożoną. Chodziło tylko o spisanie i wyliczenie pożyczanej sumy.

Grzecznie podskoczył Naftal od stoła, przy którym coś liczył czy zapisywał, gdy ujrzał pana Bogusławskiego.

— Panie Naftal — rzekł dyrektor — nasz interes?

— Już gotów — odparł żyd — tylko jedna jeszcze bagatelka. Pan dyrektor napisze mi oblig.

— Mam go z sobą.

— Jaby'm prosił, aby pan dyrektor napisał inny, tak według mego zdania. To bagatela, ale niech wszystko będzie w porządku. Ja tu mam inny oblig, niech pan podług niego i swój napisze.

I poszukawszy chwilę w stoliku między kwitami i papierami wyciągnął jakiś rewers na formularz. Był to rewers pana Zakruckiego.

Naftal położył go na stoliku, zakrył papierem podpis Zakruckiego i zażądał, aby Bogusławski według tego formularza napisał oblig. Bogusławski usiadł i rzuciwszy wzrok na leżący przed sobą rewers, westchnął.

— Czy mam pisać co do słowa?

— Co do słowa, panie dyrektorze, ja nie skąpię dukatów, niech pan słów nie skąpi.

— Ależ opisujesz mnie tu w warunki i formułki jak Belzebub w swym cyrografie Twardowskiego!

— Co to panu dyrektorowi szkodzi! A przecież Twardowski wykreślił się Belzebubowi! To bagatela!

— Twój cyrograf za to jeszcze sroższy, panie Naftal! Belzebubowi chodziło tylko o duszę — a tobie o pieniądzu! — zaśmiał się Bogusławski i odpisał według formularza oblig.

Naftal przejrzał go uważnie, przeczytał dwa razy, a potem schował i wyliczył pieniądze.

XIII.

Tysiąc butelek szampana !

We Lwowie było w roku 1795 wesoło, bardzo wesoło...

Kiedy na polach raclawickich i szczekocińskich odbywały się ostatnie zapasy upadającego narodu z przemocą, we Lwowie hulano i szalano — zapewne z patriotyzmu....

Kiedy pobojuwisko pod Maciejowicami oblało się najsłachetniejszą krwią narodu, we Lwowie bawiono się jeszcze ochoczo — zapewne dla podtrzymania ducha...

Kiedy wolność Polski utonęła w krwi okropną rzezią Pragi przelanej, kiedy legła pod mogiłą gruzów, pod stosem trupów ostatnich wojowników i niewinnych ofiar najśroźszego w dziejach okrucieństwa — we Lwowie jeszcze się bawiono — zapewne z rozpacz...

I nie inaczej, jak tylko jakimś szalem rozpaczliwym, jakimś zdzieniem uczuć, jakimś zwarzowaniem serc i umysłów można sobie wytłumaczyć tę stypę, jaka się w niektórych miejscach i w niektórych kołach odbywała na grobie ojczyzny...

Nie możnaby tego nazwać podłą obojętnością, bo młodeż ta, co hulała dziś szalenie, zwodziła wczoraj jeszcze z całym zapalem śmiertelny taniec z wrogami; nie mo-

żnaby tego nazwać wyzuciem się z uczuć dla losu ojczyzny, bo wielu z tych, co dziś rzucili się w odmęt zabaw, wczoraj jeszcze odczuwało całym sercem wszystkie perypecje ostatniej walki....

Była to wesołość obłąkania, tego samego obłąkania, które na twarzach swych ofiar zmienia nagle kurcz boleści w spazmatyczny śmiech jakiejś dzikiej radości... Śmiech taki straszniejszy, niż najpotworniejsze piętno cierpienia i rozpacz...

Takim śmiechem zanosiło się już nieraz społeczeństwo polskie w chwilach świeżo przebytej, strasznej klęski.

Jestto niezawodnie także demoralizacja, ale demoralizacja osobnego rodzaju. Jestto demoralizacja z własnej klęski poniesionej w sprawie, która miała prawo do tryumfu — demoralizacja z obcego zwycięstwa, pogwałcającego prawdę, zadającego kłam sprawiedliwości Bożej...

Po akcji zapału — nastąpiła reakcja zwątpienia. Ogłuszające wrażenie ostatecznej klęski, musiało w parze z demoralizującym poczuciem niemocy wywołać dziwną rezygnację. Aby osłodzić sobie tę rezygnację, aby łatwiej pogodzić się z hańbiącymi warunkami życia, rzucono się do zabaw, tak jak lud włoski podczas moru rzucał się w odmęt rozkoszy i rozpasania...

Tak by sobie można tłumaczyć ten namiętny szal zabaw zaraz w pierwszych chwilach okropnej klęski. Jestto jednak jeszcze jaśniejsza strona powodów. Niestety nie brakło i na innych pobudkach, do których nawet powyższy komentarz nie dał się zastosować. Pobudkami takimi była niesłychana, aż do podłości posunięta płochość i wyzucie się z wszel-

kiej narodowej i moralnej nawet godności. Na wesołość ówczesną Lwowa składały się może przeważnie te smutne pobudki.

Słynnym był Lwów w owym czasie z swej namiętności do uciech i rozkoszy, z wyuzdanej swawoli, z odrażającej demoralizacji prawie wszystkich klas swego towarzystwa. Zarody tej moralnej choroby spoczywały już w samym organizmie lwowskiego społeczeństwa. Społeczeństwo to przez cały czas ostatnich konwulsyjnych ruchów Polski było mętne, koczownicze, pomieszane. Lwów sam do wielkiego hotelu, do przepelnionej oberży był podobnym. Zresztą po zaborze Galicji przepelniał się Lwów funkcjonariuszami nowego rządu, a między tymi funkcjonariuszami, a zwłaszcza w ich drugo i trzeciorzędnej klasie, znajdowało się bardzo wielu, którzy nie zważając zbyt ściśle na zasady moralności, najgorszy wywierali wpływ na ludność.

Demoralizacja niższych urzędników austriackich, Niemców świeżo do kraju przybyłych, była ogromną — niektórzy z nich posuwali się do publicznej, gorszącej ohydy. Dowiadujemy się o tem z pamfletów pisanych w pierwszych latach po zaborze Galicji przez turystów i samychże urzędników niemieckich, a więc z źródeł pod tym względem z pewnością wiarygodnych. Autorowie ci bowiem obrzucali wszystko błotem najnikczemniejszej potwarzy, co było tylko polskie, a przecież nie mogli pominąć demoralizacji, którą stoczona była pewna część biurokracji austriackiej. Dość tu wspomnieć tylko o owym ohydny handlu własnymi żonami, o których pisze autor osławionych listów o Galicji.

Lwów tedy był w czasie naszego opowiadania siedliskiem wszelkiej swawoli i zepsucia. Pamiętniki współczesne zostały nam o tem wiele smutnych szczegółów. Ale co najsmutniejsza, to niezawodnie to, że temu zepsuciu, tej rozigranej swawoli służyć musiał nieraz za płaszczyk — patriotyzm!

Tak jest! Lwów hulał z patriotyzmu!

Za najświetniejszą kometą wlecze się mglisty ogon, nad najczystszym płomieniem kłębi się brudny dym. Patriotyzm, jak każde inne wzniosłe uczucie, dla jednych jest treścią duszy, dla drugich maską. W czasie każdego wielkiego ruchu narodowego stoi obok prawdziwego bohatera Falstaff, obok apostoła szalbierz, obok patrioty oszust, obok walecznego żołnierza maroder...

W takich to razach patriotyzm służyć musi za pokrywkę najlekko-myślniejszej swawoli. Wtedy to wstyd dziewiczy idzie na ołtarz „patriotyzmu”, wtedy to żony łomią przysięgę małżeńską i oddają się rozpuście „z patriotyzmu”.... Taki to też był patriotyzm w popsutych klasach towarzystwa lwowskiego, tacy to i jego wyznawcy!

Jeden z pamiętnikarzy współczesnych wyraża się też nawińnie, że lwowskie damy „romansowały z patriotyzmu”. Szkoda, że wielka ich część romansowała nie podług *Bernardin’a*, nie podług *Rousseau’a*, ale podług *Faublas’a* i *Greccourt’a*. Wszyscy ci pisarze byli wówczas w modzie, jedni i drudzy mieli zapalonych miłośników — ale ci dwaj ostatni podobno liczyli ich więcej!...

Lwów był ludniejszym wówczas niż kiedykolwiek. Zdało się, że wszystkie prowincje dały sobie *rendez-vous* w galicyjskiej stolicy. A z każdej prowincji ci przede wszystkim spieszyli pod cienie skrzydeł dwugłowego orła, którym niewygodnie było pod szumem białych piór orła innego, co skrwawionem skrzydłem unosił się po nad pobojowiskami.... Byli wprawdzie i wygnańcy, ale byli i zbiegi.

Sub umbra alarum neutralnego ptaka, można się było bawić swobodnie. Korzystano z tej wygody.

Świat niewieści rzucił się w odmet szalonej swawoli. Damy przyjmowały i odprawiały kochanków jak lokajów. Mężowie szukali odwetu i znachodzili go z wielką łatwością. Rozpusta doszła do tego stopnia, że miłość w wyższych i najwyższych kołach towarzystwa, stała się artykułem targowym, zatrudnieniem, któremu mężczyźni zawdzięczali utrzymanie i jaką taką fortunę na starość. Dość było być młodym i przystojnym chłopcem, aby znaleźć szczęście we Lwowie...

Jeden z uczestników tego wesołego życia lwowskiego opowiada sam o sobie z nadobną otwartością, że przybywszy do Lwowa bez niczego, dorobił się grą i miłością w przeciągu trzech tygodni własnej karety z parą pięknych koni, ślicznego wierzchowego rumaka, konia pod masztalerza, kamerdynera, stangreta, i domu na najprzypoitszej stopie!

Codzień bawiono się po swojemu w domach lub publicznie. W zapusty codzień był *birgelbal* (*Bürgerball*), codzień piknik, w kontrakty codzień reduta. W domach prywatnych hulano swoją drogą — a hulanki te już nie były wybry-

kiem serdecznej ochoty, ale bachanaljami, orgjami rozputy. Być Laidą, było dla każdej lekkomyślniejszej kobiety paragrafem mody. Nie mieć jak tylko jednego kochanka, to było upośledzenie — nie mieć żadnego, to sromota!

Bez pamięci na to co się stało, bez względu na to co się dzieje, bez troski o jutro, rzucono się w odmęt zabaw i rozkoszy. Zepsucie klas wyższych udzieliło się warstwom niższym i najniższym. W co opływała hrabina, tego niebawem nie mogła sobie odmówić szewcowa. Jakoż wkrótce i żona rzemieślnika nie mogła się na „birgelbalu” lub w *Veteranische Höhle* albo na romansowej przechadzce po wałach pokazać bez cyczbea.

W zapusty bawiono się głośno — w wielki post po cichu. Właściwie zmieniano tylko lokal i orkiestrę. Zamiast posadzki salonowej kamienne płyty kościelne, zamiast skrzypek organy i spiewy chóru. W wielki tydzień zamykały się na pozór prywatne domy, ustawały zabawy, ale zato zepsucie przenosiło się gdzieindziej. Taka była ohyda moralna jednej części towarzystwa, że świątyn nawet nie uszanowała w swej swawoli. Schadzano się w kościele, aby się znaleźć po za kościołem. Panie wychodząc z progów kościelnych, zapraszały na postne wieczorki. Posługując się głośną i osławioną wówczas formułką lwowską — zapraszały na grzanki....

Ale rzućmy zasłonę na ten zdrożny szal zepsucia! Był on cechą ówczesnego modnego społeczeństwa, wychowanego pod rządami Stanisława Augusta. Aby rzucić choć jeden promień światła na te cienie lwowskiego życia, wspo-

mniej musimy także o zabiegach, dążących do tamowania powszechnej rozpusty. Kilka matron poważnych, z dawnego rodu niewiast polskich, posiłkowanych lepszą częścią lwowskiego towarzystwa, usiłowało przywieść do upamiętania rozhułaną rzeszę.

Bawiące wówczas we Lwowie domy wysokiego stanowiska, jak np. pani Kossakowska, kasztelanowa kamińska; pani miecznikowa Humniecka, pani wojewodzina bełzka i wiele innych zawarły sojusz z sobą i z arcybiskupem Kikim celem cnotliwego wpływu na obyczaje, i czyniły w swym szlachetnym celu niezmordowane usiłowania. Ale usiłowania te były najzupełniej daremne i płonnością swą przyczyniały się tylko do tem jaskrawszej charakterystyki czasów. Jedno słabe światło nie rozświeca nocy, przeciwnie, tem czarniejszym robi jej kontrast.

Smutną dygresją rozpoczęliśmy ten rozdział. Dla pewnej, a osobliwie dla pięknej części czytających tę powieść, będzie ona nie miłą — tak jak nie miłą była dla samego autora. Mimo to z dygresji tej ani się uniewinniać ani za nią przepraszać nie możemy. Spełniliśmy obowiązek, jaki na nas włożyła charakterystyka czasów, w których odbywają się opisywane przez nas wypadki. Przeszłość winna, nie jej kopista — a przeszłość nie przeprasza....

A teraz wracamy do dalszego opowiadania.

Było to w południe, w jasny wiosenny dzień. Około ogrodu jezuickiego panuje ruch ogromny. Przed kasynem Hechta zgromadziła się cała éma gawiedzi i przypatruje się widowisku. Widowiskiem tem są przyjeżdżające bez końca

pojazdy i ekwipaże. Ekwipaże te zajeżdżają przed kasyno Hechta, a wysiadają z nich panowie i panie. Na ekwipażach, panach i służących lśni przepych i złoto. Przepyszne ciężkie koczki, lśniące od ozdób i srebrnych kutasów i antab bastardy, piękne i zgrabne jak cacka soliterki zajęły cały plac wolny przed kasynem. Przy nich parskają dzielne konie, tarantowate albo angлизowane, i kręci się służba w suto galonowanych liberjach.

Lokaje z francuska ubrani, w pończochach i upudrowanych perukach, paziowie w strojach hiszpańskich, laufry w czarnych kaszkietach z kitami z piór strusich, pajuki w deljach z srebrnymi pętlcami i w szpiczastych czapkach, z cudacka wystrojeni hajducy z kosą z tyłu i z pejsami po skroniach, w okrągłych kapeluszach z szerokimi kresami, w obcisłych czekczerach i czarnych ciżemkach, i wiele innych rodzajów galonowej hałastry kręcą się i biegają, torując wolną drogę przez tłum ciekawych, wysadzając z powozów strojnych panów i strójniejsze jeszcze damy, i nawołując na forysiów i nawzajem na siebie.

Panowie i panie wysiadłszy z powozów spieszą do kamienicy Hechta, dążąc schodami na pierwsze piętro — cały kwiat towarzystwa lwowskiego snąć wyznaczył tu sobie schadzkę. Między znanymi członkami arystokracji widać jakichś nieznanomych ludzi z ogorzałymi twarzami, z minami żołnierskimi, w całych lub półuniformach polskiej barwy.

Cóż to za zgromadzenie, czy uroczystość, czy festyn odbywać się ma w kasynie Hechta?...

Cały Lwów wie o tem, cały Lwów mówi o tem. Głośny to wypadek i zajmujący — i poruszył też umysły i ciekawość wszystkich. Wśród tłumu i w pojedynczych gromadkach widzów słyhać szepty i głośne rozmowy, a z szeptów i rozmów tych wybija wszędzie imię: księżę Poniński.

— Ma się tłumaczyć! Ciekawość, jak też to wypadnie?

— Jak też się skończy sąd na Ponińskiego?!

Takie zewsząd słyhać w tłumie zapytania.

Na boku od zgiełku przy ogromnym kasztanie stoi osobne grono widzów, złożone z kilku średniej ubogiej szlachty i jakiegoś starego wásacza bez ręki.

— Co tu sądzić? Po co grać komedje? — woła wásacz strojąc do marsa czoło — winien i kwita!

— Więc myślicie panie Tomaszu, że była zdrada? Bo mówią, że nie... — pyta go najbliższy sąsiad.

— Jużciż ja tam byłem i ręka tam mi została, to wiem najlepiej! Oj gdyby nie on, nie tak by było z nami!

— Bylibyśmy zwyciężyli pod Maciejowicami! — zakonkludował inny szlachcic.

— Jak amen w pacierzu, mospanie — zawołał wásacz — trzymaliśmy się jak lwy i gdyby Poniński był spełnił rozkaz i nadszedł w pomoc i stanął pod Tyrzynem, byłoby inaczej z Moskałami!

— A może już nie mógł?

— Jak to nie mógł, co nie mógł? Nie mógł, bo w karty grał! A czemuż dopiero w dziesięć godzin po rozkazie stanął pod Tyrzynem! Oj te pany, szelmy te pany! Powiadam wam, panowie, zdrada i zdrada wszędzie, bo gdyby

nie zdrada, czyby i dziesięciu Suwarowów było pokonało pana Kościuszkę?

— Nigdy, nigdy! — zawołało całe grono — ho! ho! tylko zdradą zginęliśmy!

— Bo też to i ta Warszawa winna — odezwał się ktoś z tyłu — kiedy zaczęła wieszać zdrajców, niech że by była już wywieszała do nogi!

— Jest racja, mospanie, jest racja! A oni tam teraz sądzą i tłumaczą się! Tfu! — splunął wąsacz — a co tu tłumaczyć! Na hak!!

— Hm... — ośmielił się ktoś powątpiewać — anuż niewinny?...

Siwy wąsacz zmarszczył czoło, popatrzył groźnie na powątpiewającego, a potem schwycił grubą laskę, którą się podpierał, począł nią szybko kreślić zygzaki po błocie i ostrem jej okuciem znaczyć linje i kąty, wołając:

— Tu mospanie Okrzeja, tu Wieprz, tu Tyrzyn! Tu mospanie Fersen, tu Maciejowice, a tu generał Denisow! Tędy mospanie idzie Kościuszko, owędy Sierakowski, Książewicz tamtędy... Tu my, tam oni, tu Okrzeja, a tu Bobrownik, a tam Maciejowice, tu Poniński...

I wygłosiwszy to szybko z namiętnym pospiechem i jednym tchem, podniósł laskę do góry, uderzył ostrem okuciem w sam środek zygzaków, zawiercił niem w ziemi i zawołał z naciskiem:

— A tu bitwa!

— I jestże tu zdrada, czy nie ma! Jest, czy nie ma? Ha? — zapytał surowo i groźnie spojrzawszy na obecnych.

— Oczywiście, jasna! — pospieszył przytwardzić najbliższy sąsiad, choć biedak jak tabaka w rogu nie rozumiał nic a nic z tych zygzaków porysowanych na ziemi przez wąża.

— A no! Więc po co tłumaczyć do kroćset gromów! Zdrada i kwita!

Te i tym podobne rozmowy toczyły się w tłumie. Mało było głosów za księciem — większość dyszała przeciw niemu oburzeniem. Sąd ludu straszny jest swą surowością. Gdyby obwiniony ksiązę nie w sali Hechta ale przed tym stawał trybunałem, kto wie, jakby był wypadł wyrok, kto wie, jakaby nastąpiła kara!...

Wiemy już tedy po części, jaki był powód dzisiejszego zgromadzenia w sali Hechta.

Podsłuchane wiadomości dość będzie uzupełnić kilku szczegółami.

Ksiązę Adam Poniński, generał wojska polskiego, przybył wraz z innymi oficerami do Lwowa w roku 1795. Przybył pod zarzutem zdrady, który to wyrok rzuciła nań ówczesna opinia narodu z powodu jego zachowania się taktycznego przed maciejowicką klęską. Jakkolwiek zarzut ten z straszną stanowczością był mu czyniony, faktem jest, że gdy na rozkaz rządu narodowego aresztowano księcia i pod sąd wojenny oddano, sąd ten na mocy dokumentów i ordynansów samego Naczelnika uwolnił go od zarzutu zdrady.

Fatalna sprawa księcia generała dotąd nie została wyjaśnioną o tyle, aby czyniony mu zarzut mógł mieć wszystkie warunki istotnego dowodu. Istnieją przeciwnie powody

do utrzymywania, że książę ten nie był tyle ofiarą własnego występku, co raczej ofiarą strasznej klątwy, którą dlań była świeża jeszcze pamięć ojca. Niektórzy najnowsi historycy powstania Kościuszkowskiego usiłują dowieść na podstawie urzędowych i pamiętnikowych źródeł, że wielce lekko-myślny ten zresztą książę był niewinnym.

Ale zaciekanie się w tę sprawę nie należy do naszego przedmiotu.

Otóż gdy książę jenerał przybył do Lwowa, poczuł dotkliwie, że podejrzenia już go tu uprzedziły. Publiczność lwowska przyjęła go nienawistnie — a wyższe towarzystwo z odtrącającą obojętnością. Domy zamknęły się przed nim, młodzież stroniła od niego.

Tak trwało czas jakiś, aż przewodzczy lwowskiego towarzystwa Michał Wielhorski i Kazimierz Rzewuski, nie wiadomo czy na prośby Ponińskiego, czyli też z własnego popędu, podnieśli projekt, aby obwiniony wytłumaczył się z czynionych mu zarzutów przed sądem, złożonym z bawiących we Lwowie Kościuszkowskich oficerów. Książę jenerał przystał na to z wszelką gotowością i zażądał nawet, aby sąd ten odbył się publicznie.

Wyznaczono tedy dzień sądu i miejsce, gdzie się ma odbyć. Miejscem tem była ogromna sala Hechta. I tu jest właśnie powód owego zgiełku przed kasynem Hechta i owego nadzwyczajnego zjazdu wszystkich znakomitości lwowskich.

Przypatrzywszy się temu widowisku z ulicy, przypatrzmy mu się i z pobliża.

Ogromna sala Hechta była przepełniona. Ścisk był niezmierny. Nietylko sama sala ale podwórze i korytarze pierwszego piętra jak nabite były głowami widzów. W sali samej znajdowali się arbitrowie — a galerję wyznaczono dla dam. Piękny świat bowiem był także ciekaw tak niezwykłego widowiska. Galerje sali Hechta mieściły tedy w sobie całą florę lwowską. Widzieć tu można było wszystkie znakomite piękności i wszystkie głośne salonowe lwice. Na pięknych i mniej pięknych licach widać było ciekawość i chęć podbojów — a stroje jaśniały całym blaskiem modnego przepychu i salonowej elegancji.

W sali stał długi stół zielonem suknem okryty. Na stole leżały rozmaite papiery a w około zasiadło blisko dwudziestu sędziów. Byli to sami wyżsi oficerowie polscy. Przed stołem stało pyszne krzesło poręczowe, przeznaczone dla obwinionego.

W sali panował gwar głośny. Sąd jeszcze się nie rozpoczął, a zgromadzona publiczność skracala sobie czas oczekiwania rozmową. Mężczyźni zainteresowani sprawą żywo ją roztrząsali i komentowali, wpadając niekiedy w sprzeczki i żwawe dysputy, na galerjach dam rozlegały się także szepty i wesołe chichotania. Z góry na dół i z dołu do góry, tj. od mężczyzn do pięknych dam i odwrotnie latały spojrzenia, migi, uśmiechy. Przyglądając się tej na pół niemej korespondencji można było odgadnąć tajemnicę nie jednych relacyj sercowych lub przynajmniej sympatycznych, bo mimo liczego zgromadzenia swoboda była wielka, a adresa ogni-

stych spojrzeń i wymownych uśmiechów były niekiedy bardzo wyraźne...

Nagle ukazał się na swoim miejscu książę jenerał i zaraz głośny i rozerwany szmer zlał się w jeden chór uwag o jego osobie. Prezydent sądu zadzwonił i cisza zaległa salę.

— Książę jenerał ma głos! — zawołali arbitrowie.

Jenerał skłonił się pięknej galerji i sędziom i zabrał głos w swej obronie. Wśród głębokiego milczenia począł książę wywodzić sprawę swoją. Mówił długo i dobitnie. Przedstawiał obszernie cały stan rzeczy, tłumaczył cały plan ostatnich operacyj wojennych, wykladał swoją sytuację przed Maciejowicką bitwą i cytował rozmaite rozkazy, polecenia z głównej kwatery, ordynanse i kontr-ordynanse. Gdy wreszcie skończył polecając honor swój wojskowy sądowi — poczęli sędziowie rozważać jego wywody i porównywać przedłożone dokumenta.

Po dość długiej naradzie ozwał się znowu dzwonek i zawezwano publiczność do spokoju. Prezydujący arbiter zabrał głos w celu ogłoszenia wyroku.

Wyrok ten był uniewinniający.

Decyzja sądu głosiła, że jenerał Poniński sprawił się we wszystkim według rozkazów Naczelnika, i w niczem nie był winien, że owszem zachował całkiem nieposzlakowany honor wojskowy.

Ledwie przebrzmiały słowa wyroku, gdy w sali wszczął się hałas nie do opisania. Pierwszy wyraz wrażenia zabrzmiał na galerjach. Piękne królowe lwowskiego świata

poczęły dawać brawa i mnóstwo małych rączek poruszyło się do klaskania.

Mężczyźni pospieszyli za przykładem swych bogiń i wśród hucznych oklasków rozległ się w sali okrzyk:

— Winszujemy! Winszujemy!

Tak się sąd skończył.

Teraz nastąpiło ogólne zadowolenie między zgromadzoną publiką — a zadowolenie to urosło w wielką wesołość, gdy zrehabilitowany tym sposobem generał kazał wnieść kosze szampana!

Stół sędziowski w sali i wszystkie stoły w przyległych pokojach kasyna okryły się niezliczonymi butelkami szampana. Rzucono się do kielichów i poczęła się pijatyka olbrzymia...

W potokach szampana utopiono wszystkie te wspomnienia świeżej i krwawej klęski, które wzbudzić musiał sam akt sądu...

Utopiono w nich pamięć na narodowe nieszczęścia, na nędzę ojczyzny, na świeżo donitowane młotem moskiewskim kajdany!...

Tysiąc butelek szampana wypito!

Jakżeż mogło być inaczej! Galicyjski sąd musiał zapisać sprawę!

W obfitych strugach drogiego płynu utonęła w tej chwili ta cześć obywatelska i godność patryotyczna, której wyrazem miał być akt sądu!...

Nie było to wówczas po raz pierwszy — nie było niestety i po raz ostatni!

Strzelały korki, szumiały kielichy szlachetną pianą, grzmiały wiwaty i zdrowia, aż szyby brzęczały w kasynie pana Hechta.

Tysiąc butelek szampana wypito!

A na ulicy, na dole, pod kasztanem stał jeszcze siwy wąsacz bez ręki, i kopał łaską ziemię i spoglądał w okno kasyna...

Dumał może w tej chwili o Maciejowicach, o swej wiernej prawej dłoni, co wraz z szablą została na skrwawionem polu, i biedził się może, co jeść będzie i gdzie starą głowę skłoni...

Porysowane przezeń zygzaki na ziemi poplątały się w istny labirynt, a tak samo plątały się myśli biednego żołnierza...

Głupi stary! Czego się trapisz? Wieczór niedaleko, spotka cię patrol wałęsającego się po ciemnych ulicach, odwiedzie cię na odwach i przepisz się smacznie na gościnnej przyczaj austriackiej!...

Tysiąc butelek szampana wypito...

XIV.

Gry, wino i kobiety.

Opisaliśmy w zeszłym rozdziele sąd odbyty w kasynie Hechta. Przedstawiliśmy go czytelnikom ze strony obywatelskiej i publicznej. Obecnie wrócić nam wypada znowu do tego zgromadzenia, aby poprowadzić dalej wątek naszej powieści.

Miedzy niezliczonym tłumem, który wypełniał ogromną salę, spotykamy znajomą nam już osobę.

W pobliżu wychodu, otoczony do koła cisnącymi się naprzód widzami, stał młody mężczyzna z wzrokiem zwróconym ciekawie na zielony stół arbitrow. Strój jego był dość zaniedbany i raczej do obozu niż do świetnego zgromadzenia stosowny. Istotnie też był to strój obozowy i żołnierski. Młody człowiek miał na sobie szarą burkę, spiętą u ramienia srebrną klamrą, pod burką niebieską kurtkę z pasem rzemiennym, a wysokie jego sztylpy odbijały dziwnie od jedwabnych pończoszek i zgrabnych trzewików na nogach stołecznej młodzieży.

W tak z żołnierska ustrojonym młodzianie poznajemy Tadeusza Warskiego.

Od czasu kiedy go po raz ostatni widzieliśmy, Tadeusz nie tyle zmienił się, co dojrzał i zmężniał. Poznać można było po nim od razu, że właśnie co przeżył kampanję.

Zyskała też wielce na tem zmężnieniu cała postać Tadeusza.

Kiedy po raz pierwszy przedstawiliśmy go czytelnikowi, był to młodzieniec zaledwie dorosły, z pewnym chłopięcym jeszcze wyrazem — dziś widzimy w nim mężczyznę w całej pełni rozwoju i fizycznej okazałości. Dawniejszy młodziutki oficer z brygady generał-majora Kościuszki, jakkolwiek już żołnierz, był jeszcze widocznie uczniem wojennego rzemiosła, teraz zaś przedstawia się jako skończony towarzysz, który odbył już swój ostateczny popis wśród szeregów broni i huku strzałów działowych.

Twarz Tadeusza, nie utraciwszy nic z swego wyrazu zdrowia i młodzieńczej świeżości, nabrała cechy wybitniejszej i uderzała większą energją rysów. Poznać to można było od razu po marsie i pewnej szorstkiej, ale ujmującej powadze, że twarz to ogorzała wśród marszów, pod gołym niebem, na placówce, lub pod płótnem wojennego obozu. Zdawało się, że na tej twarzy pozostał jeszcze ślad sadzy z armatniego dymu — i to jej dodawało pewnego pięknego, imponującego uroku.

Wzrok jego, do niedawna jeszcze zanadto uśmiechnięty, zanadto nieśmiały, zda się urosł w sokoła. Wykształciła go szkoła boju — śledząc szlaków nieprzyjacielskich po dalekiem błoniu nabrał orlej bystrości, zaglądając w oczy wroga i lufy dział jego nabrał siły i niczem nie ustraszonej śmia-

łości. Zgoła cała postać Tadeusza miała w sobie tyle siły, hartu i prawdziwie męskiego wdzięku, że mogłaby być posłużyć za typ żołnierza, powracającego właśnie z walki.

Jak już powiedzieliśmy, Tadeusz stanął sobie skromnie w pobliży wychodu z sali i patrzył ciekawem okiem na widowisko, które było dla niego zupełnie nowem. Wybrał sobie umyślnie miejsce najgłębszego zgiełku, aby nie być uważanym przez obecnych, od których tak dalece różnił się i postacią i strojem. Zamiar Tadeusza nie udał się jednak — spoglądali nań z pewną ciekawością stołeczni eleganci, a z drugiego końca sali, gdzie całą gromadką zajęli miejsce oficerowie Kościuszkowscy, dolatywały go koleżeńskie spojrzenia nieznajomych lub powitania znajomych towarzyszy.

Ale oprócz kolegów i niedawnych towarzyszków broni jeszcze ktoś inny spostrzegł Tadeusza od razu i z wielkiem zajęciem mu się przypatrywał. Spoczywało w tej chwili na naszym bohaterze spojrzenie, którego pozazdrościła by mu z pewnością cała młodzież elegancka, która przepełniała salę Hechta.

Na galerji siedziała strojna, uroczą damą i przypatrywała się uważnie Tadeuszowi. Była to pani Laura. Piękna kobieta wychyliła się całą swą wdzięczną postacią po nad poręczę galerji i z pochyłą na dół twarzą patrzyła przez oprawne w złoto szkiełko na młodego żołnierza. Spojrzenie to było tak przeciągłe, tak uporczywe, że połowa salonowych lwów stołecznych, zgromadzonych na sądzie, uczuła się tem mocno dotkniętą i obrażoną.

Do ślicznej pani Laury zwracały się w tej chwili całe tuziny ocz oszklonych i nieoszklonych, zdążyły ku niej całe seciny spojrzeń to tęsknych, to namiętnych — a ona na żadne z nich nie zwracała uwagi, na żadne z nich nie odpowiadała ani swem zwykłym powabnym spojrzeniem, ani swym czarownym uśmiechem, za którym tak uganiali bohaterowie lwowskich salonów!...

Księżę Alfa stłukł ze złości swą kosztowną, kamieniami sadzoną lorynetkę, hrabia Beta potargał drogie koronki u żabotów z nieukontentowania, a stary emigrant markiz Gama z złorzeczeniem na ustach i gniewem w zakochanem sercu opuścił salę, tak go zaniepokoiło, iż ktoś zmonopolizował uwagę i urocze spojrzenia ślicznej kobiety! Szczęściem czy też niestety, nie zważała pani Laura na te wyrazy nieukontentowania! Twarzyczka jej zawsze jeszcze była pochylona w stronę Tadeusza — a choć lornetka spuszczała się nieraz na dół wraz z omdlałą dłonią, spojrzenia stale tkwiły na Warskim.

I nie dziw też, że Tadeusz zwrócił na siebie tak wyłącznie uwagę pani Laury! Oprócz tytułu dawniejszej, tak zabawnie zawiązanej znajomości, miała piękna kobieta jeszcze inne do tego powody...

Postać Tadeusza zanadto odbijała od innych figur zgromadzenia, aby nie zwrócić na siebie od razu uwagi. Laura z upodobaniem śledziła tę różnicę.

Ogorzała twarz Tadeusza, uderzająca dzielnym wyrazem siły i męskiego marsu, przewyższała wszystkie zalotne lica lwowskich salonowców, które przy niej jeszcze bardziej

bladły i powszedniały, postać jego górowała nad nikłemi i sznurowanemi figurami najbardziej nawet reputowanych *Lo-velace'ów* — a strój jego, choć zaniedbany, nie modny i niewykwintny, ale doskonale licujący z całą niezwykle postacią, już samą swoją oryginalnością, jeżeli nie malowniczym pozorem, odbijał od modnych aksamitnych fraków *à la Pompadour*, lub modniejszych czarnych z świecącemi guzami, od tych długich szpecących figurę westek haftowanych złotem, od racymorowych spodenek i białych pończoszek!

Wśród takiego towarzystwa modnego, jakim było ówczesne lwowskie, wśród towarzystwa które i w zewnętrznych swych formach okazywało wyczerpanie się, przesyć i miękkość, młody nasz przyjaciel musiał być zjawiskiem, które pociągało wyrazem pełnego życia i swobodnej siły, musiał odbijać korzystnie od reszty eleganckiej młodzieży i niemłodzieży, z której każdy świetny był i lekki jak francuski komplement — ale zarazem jak francuski komplement czczy i nienaturalny.

Ciągłe przyglądanie się pani Laury Tadeuszowi sprawiło, że zniecierpliwiona uwaga jej adoratorów zwróciła się teraz na młodego żołnierza... Ci, którzy daremnie czekali spojrzenia czarnych oczu, zwrócili teraz wzrok i lornetki na Tadeusza... Poczuli się ciekawie przypatrywać Tadeuszowi, a jeden i drugi poruszony zazdrością silił się na sarkastyczne uwagi.

Tadeusz spostrzegł niebawem, że zwrócił na siebie uwagę. Zdziwił się tem i zmieszał, myśląc, że pierwszą tego przyczyną był strój jego niezwykle. Cofnął się jeszcze bardziej

w tył, lecz widząc że kilku z salonowej młodzieży nie zwraca z niego oczów, zniecierpliwił się i surowo spojrzał elegantom w oczy. Kilku z nich spuściło natychmiast oczy na dół, inni z znaczącym uśmiechem spoglądnęli na galerję.

Tadeusz mimowoli poszedł za ich spojrzeniem i zwrócił wzrok ku damom. Spojrzał i uśmiechnął się z zdziwieniem. Lornetka pięknej pani Laury skierowaną była ku niemu.

Laura spostrzegłszy, że ją Tadeusz ujrzał i poznał, opuściła szkło na dół i przesłała mu uprzejme i figlarne spojrzenie swych czarnych oczów. Tadeusz skłonił się grzecznie, a piękna jego znajoma poczęła nawzajem kiwać doń poufale główką, śmiejąc się i skinienia dając dłonią. Tadeusz widząc, że Laura oczów od niego nie odwraca, uważał to poniekąd za obowiązek galanterji, nie spuszczać z niej także spojrzenia...

Wzrok jego przylgnął tedy do oczów Laury, a czarne te oczy, wesołe swawolną pustotą a płonące zarazem jakimś demonicznym, namiętym ogniem — owinęły go siecią swych promieni... W spojrzeniu Laury malowało się tyle uprzejmej życzliwości, tyle poufatego uczucia, że Tadeusz aż mięsząc się począł, przypominając sobie, że stoi między licznem zgromadzeniem, pod oczyma mnóstwa widzów...

Powszechny ruch w sali oswobodził go z tego kłopotu. Było to już właśnie po ogłoszeniu wyroku. Grzmot oklasków i chór braw i powinszowań zaległ salę. Gwar ten odwrócił uwagę Laury, a Tadeusz rozporządzał już sobą. Nie było zresztą i czasu spoglądać na piękną znajomą, bo zgromadzeni, którzy dotąd stali spokojnie na swoich miej-

seach, poczęli teraz ruszać się i posuwać w rozmaite strony, a Tadeusz potrącany i posuwany ze wszystkich stron chcąc nie chcąc musiał iść za falą natłoku...

Chwilę trwał gwar i krzyk nie do opisania, aż nagle z rozmaitych stron sali równocześnie dały się słyszeć tubalne wołania:

— Panowie! Do kielicha!

— Szampan czeka! — krzyczano po bokach.

— Wypijmy zdrowie sędziów i księcia jenerała!

Natychmiast uciszył się gwar, a na tak ponętne zaproszenie mnóstwo ozwało się głosów:

— Wypijmy! Wiwat księżę jenerała!!

Zaraz też gdzieś jakby z tajemniczych kryjówek wysypał się cały rój galonowanych sługusów, którzy rzucili się na rozmaite strony między zgromadzonych i poczęli prosić wszystkich do pobocznych sal i pokojów.

Podczas gdy dalej stojący cisnęli się naprzód, poczęli już przy zielonym stole arbitrow i w pobocznych pokojach strzelać korki nie przerwaną, gęstą kanonadą. Tymczasem i na galerji dam powstał ruch i cała piękna publiczność poczęła się wynosić, widząc się zmuszoną odstąpić na jakiś czas berło nad męzkim światem szampanowi...

Tadeusz nie spieszył się do kielichów, lecz wydobywszy się z zgiełku wysunął się na korytarz, aby opuścić kasyno. Właśnie kiedy do drzwi się zbliżał, stanął przed nim jakiś wyrostek w gustowną liberję ubrany i z niskim ukłonem zagadnął pytająco:

— Jaśnie wielmożny pan Tadeusz Warski?...

Tadeusz skinął głową patrząc ciekawie na pytającego.

— Pani hrabina Łotocka prosi...

... Hrabina Łotocka?... — powtórzył Tadeusz nieznane sobie nazwisko.

— Jaśnie pan raczy pójść za mną — skłonił się z wzorową elegancją sługus i otworzył drzwi przed Tadeuszem.

Tadeusz wyszedł i znalazł się na korytarzu wśród mnóstwa dam strojnych, wychodzących z kasyna. Ustupując się damom z drogi rozglądał się do koła i ujrzał schodzącą właśnie ze schodów galerji Laureę.

Domyślając się kto go woła, nie pytał już teraz Tadeusz dalej posłańca ale podążył na spotkanie Laury. Piękna kobieta ujrawszy go przyspieszyła kroku i z twarzą powabnie uśmiechniętą szła naprzeciw Warskiego. Kiedy ten właśnie układał w głowie jakiś frazes kurtoazji i powitania, laura zbliżyła się doń i podając mu drobną rączkę zawołała z zwykłym swoim wdzięcznym uśmiechem:

— A! witam, witam! panie oficerze! Nieprawdaż, jaką mam dobrą pamięć!

Tadeusz uściśnął i ucałował podaną rączkę.

— Przepraszam, żem tak obcesowo zawezwała, abyś się stawił na powitanie dawnej znajomej... — trzepała dalej pani Laura nie spuszczać oka z Tadeusza.

— Gdyby nie tajemnica nazwiska — odpowiedział Tadeusz — którą pani przy naszym pierwszym spotkaniu mimo mej prośby zachowałaś, byłbym się pierwszy ośmielił przypomnieć towarzyszcze podróży...

— Otóż teraz tajemnica przestała być tajemnicą... Może to źle dla mnie, bo wy tak lubicie zagadki...

— Bo hołdujemy kobietom...

— Ej, ej! panie oficerze — pogroziła Laura drobnym paluszkiem — zaczynasz być satyrycznym... Czy i mnie pan masz za zagadkę?...

— O tyle przynajmniej, o ile nią jest szczęśliwy los, który mi pozwolił spotkać się z panią...

— Dziękuję, panie oficerze... Ale zagadki bywają ciekawe i nieciekawe... O tem dasz mi sposobność przekonać się jutro... Będę czekała...

Przyszła kolej na Tadeusza podziękować za to zaproszenie.

— Czy długo pan zabawisz we Lwowie?...

— Dłużej niż kiedykolwiek...

— Biorę cię tedy w opiekę panie Tadeuszu... A będzie ci potrzebną, bardzo potrzebną! Bawimy się tu wesoło, miłym nam będziesz gościem... Trzeba tylko zapomnieć o Moskalach, o wojnie, i spocząć na wawrzynach...

— Na smutnych — dodał z przykrem uczuciem Tadeusz.

— My w nie wpleciemy róże, smutny bohaterze!... — zaśmiała się pustym śmiechem Laura.

A wykrećiwszy się zgrabnie na stopach dodała:

— Do widzenia!...

I skinąwszy rączką na pożegnanie zwróciła się ku schodom.

Tadeusz chciał pospieszyć za nią, aby ją odprowadzić do powozu, gdy w tem ciężka jakaś dłoń spadła mu na ramię i ozwał mu się tuż nad uchem głos gruby i donośny:

— Mam cię ptaku! *Post arma* w piękne oczy zaglądać poczynasz!

— Jak się masz Józefie! — powitał Tadeusz spojrzawszy na mówiącego.

Był to także były oficer z armji polskiej, na wojnie rębacz zawołany, ale w czasie pokoju zawoławszy jeszcze gracz i hulaka... Była to jedna z tych licznych lekkomyślnych natur żołnierskich — dobrych do korda, ale bez zbytich skrupułów w zasadach i bez wszelkiego głębszego charakteru.

— A ty dokąd Józefie? — zapytał Tadeusz kolegi.

— Do kasyna.

— Ależ tam po wszystkiemu!

— Jak to po wszystkiemu?

— Sąd się skończył — teraz już tylko piją.

— A to w sam czas! Pal djabli sąd! Ale szampan i karty!....

— Dobrej zabawy!

— Jakto, nie idziesz?

— Nie.

— A szampan?

— Nie piję.

— A karty?

— Nie gram!

— To popatrzeć...

— Nie ciekawym...

— Mruk wasan jesteś... Inszym byłeś w obozie...

— Tam co innego!

— Jakto co innego! Koledzy ciż sami! Chodźże, nie marudź... Chodź! chodź!... Dalibóg, jeśli ci o to chodzi, to jak cię kocham chłopcze, ani grać ani pić nie będę, bylebym z tobą pogadał!

Ex-rębacz istotnie kochał Tadeusza, a obaj będąc w jednym szwadronie, niejedną sobie wyświadczyli usługę w obozie i boju. Tadeusz wyrębał pod Szczekocinami kolegę z pomiędzy kozaków — on zaś w bitwie maciejowskiej rozplątał łeb sałdatowi, który przywalonemu ubitym koniem Tadeuszowi gotował się wypalić w same piersi z karabinu.

Nie mógł się tedy obronić Tadeusz, gdy go Józef na siłę ciągnął nazad do Hechta, i ujęty silnem ramieniem kolegi, chcąc niechcąc wracał ku drzwiom.

— Smutny jesteś — powiedział mu tenże przez drogę — wziął nam bies wolność, no to i mnie ją wziął tak jak i tobie!... Wiem, wiem, stryjaszek czy wujaszek, czy ktoś tam z twoich w kozie, no to cóż, muru łbem nie przetłuczesz... Chodź, rozweselimy się!

Tak, sam nie wiedząc kiedy, znalazł się Tadeusz znowu w kasynowych salach.

Było to już pod wieczór. Główna sala i poboczne pokoje były rzęsiście oświetlone. Tadeusz zdumiał się, widząc, jak się nagle cała widownia i jej aktorowie zmienili.

Z sali sądowej zrobiło się miejsce gry i hulanki. Na dużym stole arbitrów stały rzędami niezliczonemi butelki szampanu, po kątach stały ogromne kosze z tym samym ko-

sztownym płynem, a w rękach gości wznosiły się szumiące kielichy...

Hałas i wrzask w sali były nie do opisania — a wszyscy, z maluczkim wyjątkiem, pełni byli serdeczności, wesela i — wina.... W sali i w pobocznych pokojach porozstawiane były stoliki, a na każdym stoliku były kostki i karty, około których cisnęły się całe gromady graczy....

Szulerstwo bowiem było także jednym z pięknych przymiotów modnego towarzystwa w ówczesnym Lwowie.... Grano wszędzie i zawsze, grano w najszańsze gry i po najbajeczniejszych cenach... Namietność szulerska dochodziła niekiedy do strasznego szału... Ci ludzie, którzy w owych okropnych czasach byli sami igrzyskiem losu, rzucali całe swe mienie, wszystkie warunki bytu na traf ślepego przypadku....

Azardowano się z bezczelną lekkomyślnością. Honor obywateli, miłość żon, ziemia uświęcona grobami dziadów, łzy sierót, krwawy trud kmiotków — wszystko to szło na pastwę zielonego stolika. Mnóstwo fortun starych upadało — mnóstwo nowych wzrastało....

Jako małą próbkę rozmiarów tej namietności do gier hazardownych, wspomniemy tu tylko, że sam gospodarz dzisiejszego festynu, książę generał Poniński, w przeciągu krótkiego swego pobytu we Lwowie miał 94,000 dukatów wygranych. Chował je w osobnym kufrze i mawiał, że dopóty grać nie przestanie, dopóki nie będzie miał okrągłej sumki stu tysięcy dukatów. Omylił się jednak w nadziejach! Im dłużej grał, tem coraz więcej brakło mu do owej ostatecznej cyfry!

Tadeusz znalazłszy się w sali, został odurzony tym widokiem i hałasem! Brzęk złota, głośne wywoływanie stawek, przekleństwa i cała cygańsko-kosmopolityczna terminologia krzyczących szulerów, wiwaty, dzwonienie kielichów i wybuchy wesołości zmieszały się razem w tak chaotyczny wir hałasów, że oprzeć mu się nie mogły najsilniejsze nawet nerwy.

— Brawo! — zawołał towarzysz Tadeusza — bawia się chłopcy! To lubię!

I uczuwszy się w swoim żywiole, rzucił się z serdeczną ochotą naprzód, nie wypuszczając jednak z swej dłoni ramienia ociągającego się młodego kolegi.

W jednej chwili zdobył cały kosz szampana i trzymając go w lewej dłoni, potrząsał nim z tryumfem. Przytem wprawnem okiem rzucił po zielonych stolikach i zawołał:

— Doskonale! Gra wysoka! Jest wszystko, czego zapragniesz? Co umiesz grać Tadku?

— Masz do wyboru! — krzyczał dalej birbant — tu grają wszystko: *Makao, trenta, passa-dieci, lansquenet, farao, biribis, bassette, oka!*... Masz, co chcesz! Można wybierać!

Odurzony Tadeusz nie mógł się wyrwać nieszczęsnemu przyjacielowi, nie mógł nawet jeszcze odpowiedzieć, gdy go już obkoczyło kilku byłych oficerów. Wszyscy to byli koledzy Tadeusza — a każdy z podwójną witał go dziś serdecznością.

Tadeusz był bardzo lubionym przez swych kolegów, a obozowe życie zjednało mu bardzo dużo przyjaciół między

towarzyszami. W sali Hechta spotkał kilku z tych współtowarzyszy — a ci już ani mu dali pomyśleć o odwrocie. Wepchano mu gwałtem prawie kielich do ręki, zmuszono do spełniania wnoszonych toastów.

Z początku wzbraniał się i wypraszał Tadeusz, ale w miarę im częściej ulegał koleżeńskiemu przymusowi, tem słabszym stawał się opór. W końcu pod wpływem kilku kielichów szampana uczuł się Tadeusz zupełnie zmienionym. Zagrała w nim krew wzburzona, odleciał go wstręt od hulanki. Lekkomysłnym szalem zrównał się teraz z swoimi towarzyszami.

W takiej chwili zaproponował barczysty Józef swym grubym, szorstkim głosem:

— Panowie koledzy! Może się poumizgamy do mamy fortuny!

— Brawo! Do zielonego stolika, do mamy fortuny! — odpowiedział mu cały chór głosów.

— Patrzcie! — zawołał Józef — tam jeszcze stół do połowy próżny! Hrabia Dziękowski trzyma bank! Może być gra wyśmienita!

Rzucili się na zawezwanie Józefa na pół pijani ex-officerowie a za nimi pospieszył i Tadeusz.

Nie grał jeszcze nigdy w swoim życiu — zielony stolik uśmiechnął mu się ciekawą, powabną nowością. Przy stoliku, do którego zbliżyli się Tadeusz i jego znajomi, było tylko kilka osób. Bank trzymał siwy hrabia, chudy i jak pergamin żółkły na twarzy, ale z oczyma połyskującymi

namiętnie. Koło niego leżała ogromna kupa złota a ręce żywo rzucały kartami.

Miedzy stawiającymi był także jakiś młody człowiek w uniformie austriackiego rotmistrza od dragonów. Był to wysoki, smukły mężczyzna o jasnych włosach i niebieskich oczach. Twarz jego nazwaćby można piękną i ujmującą, gdyby w tej chwili nie była tak nerwowo wyteżoną i nie drgała namiętnem poruszeniem. Młody rotmistrz zda się utonął całą swą istotą w grze, a twarz jego gorączkowo pałająca dziwnie odbijała od zimnej, nieruchomej twarzy hrabiego.

Rotmistrz przegrywał szalenie. Karta szydziła z jego usiłowań — hrabia z uśmiechem zagartywał złoto i srebro. Za przybyciem Tadeusza i jego towarzyszy gra się znacznie ożywiła. Tadeusz wziął w niej żywy udział — szampan zrobił zeń w jednej chwili lekkomyślnego gracza. Karta sprzyjała mu nadzwyczajnie — a nie bardzo spora kieska dukatów naszego bohatera urosła niebawem w czwórnasób. Zachęcany tem stawiał dalej szalenie i pomnażał co chwila wygrane pieniądze. Wkrótce stał się właścicielem bardzo wielkiej sumy wygranej. Towarzysze jego mniej protegowani przez szczęście czynili zazdrośne uwagi nad jego powodzeniem. Jeden tylko Józef radował się tem szczerze, porwał nawet Tadeusza w ramiona i zawołał:

— A bodajże cię chłopaczku! A widzisz, jak to nie trza opierać się kolegom! Tobie tylko grać i grać całe życie. Fortuna to kobieta a tyś gładki chłopak, jak cię kocham!

Kiedy tak barczysty birbant winszował powodzenia naszemu nowiejuszowi, rotmistrz austriacki znalazł się w fatalnej sytuacji.

Leżące przed nim złoto zmniejszało się co chwila — aż w końcu zniknęło całkiem w chudych dłoniach hrabiego. Rotmistrz porwał się z krzesła lecz napowrót rzucił się nań jakby omdlały. Czoło jego zbladło i okryło się dużemi kroplami potu, oczy iskrzyły się strasznie...

— Kawalerze von Stahlen! Co stawisz na nową talję?... — zapytał hrabia rotmistrza patrząc z sarkastycznym uśmiechem na opróżniony z złota róg stolika.

Rotmistrz drgnął cały ale milczał.

— Moi panowie, ciągnę! Więc nie nie stawisz, panie rotmistrzu?

Młody von Stahlen odbywał widocznie walkę. Usta mu drżały kurczowo, kilka razy zrobił ruch nagły, jakby usiłował powstać i oderwać się od zielonego stolika, ale za każdym razem usiadał znowu na krześle... Widać było, że był przykuty do tego fatalnego stołu... Nie długo jednak szamotał się tak ze sobą. Stanowczym ruchem sięgnął ręką w kieszeń piersiową.

Hrabia zmieszał karty.

Von Stahlen dobył kilka dużych rulonów i rzucił je na stół. Snać dużo kosztowała go ta decyzja, bo zbladł jak kreda a pot jeszcze gęściej okrył mu skronie.

— Jakto? Wszystko to stawisz? — zapytał hrabia.

— Wszystko — odparł bezdźwięcznym głosem po polsku młody rotmistrz.

— Ile tam?

— Dwieście dukatów!

Hrabia wyrzucił kartę.

— Trzymasz?

— Trzymam.

Hrabia rozdał karty reszcie. Potem położył swoją i odkrył.

Rotmistrz przegrał.... Fatalne to odkrycie jakby gromem go raziło.... Padł wtył na poręcz krzesła bezsilny, spojrzenie jego było złamane...

Tadeusz, który już znacznie się wytrzeźwił, uważał stan młodego rotmistrza. Straszny jego widok wywiódł go jeszcze bardziej z upojenia. Patrzył z współczuciem na nieszczęśliwego gracza.

Rotmistrz von Stahlen ocknął się nagle z strętwienia, i zaczerpnąwszy powietrza rzucił się naprzód.

— Jeszcze! — zawołał dziwnym głosem, który przeraził prawie wszystkich.

— Ile? — zapytał hrabia.

— Tyle co pierwaj. Dwieście!

Hrabia w odpowiedź spoglądał na próżne już teraz miejsce, gdzie dawniej leżała stawka rotmistrza, i złożył karty na stole.

— Proszę! — przypomniał rotmistrz.

Hrabia Dżwoński odrzekł z flegmą:

— Stawka?

— Stoi!

— Nie widzę jej...

— Mój panie!... — zgrzytnął rotmistrz i porwał się z krzesła.

— Gramy w gotówkę — odparł z flegmą hrabia.

Rotmistrz kureczowo ścisnął dłonie, i zatoczył się, jakby mu ściemniało w oczach. Cała jego postać wyglądała w tej chwili jak posąg rozpacz i gniewu...

Tadeusz spojrzał nań z przerażeniem. W sercu jego odezwała się wrodzona szlachetność.

— Ja ręczę! — zawołał zwracając się ku hrabiemu.

— Ręczyć... hm... lepiej wyręczyć...

— Więc wyręczę! — zawołał Tadeusz i położył kilka rulonów na stół.

Rotmistrz popatrzył się z zdziwieniem na Tadeusza — zawahał się — lecz nagle dał znak hrabiemu, że się zgadza.

Hrabia wziął nową talję i z flegmą pomieszał, rotmistrz stał przez ten cały czas nieruchomo i w dziwnym osłupieniu. Oddech zaparł w sobie, a rozpłomienione oczy aż wystąpiły z swej osady.

Padły karty...

Hrabia tym razem przegrał....

Rotmistrz von Stahlen odetchnął głęboko. Otarł drżącą dłonią czoło potem oblane i spoczął znużony na krześle.

— Wygrałem... — szepnął świeższym już i dźwięczniejszym głosem.

Potem wygraną sumę zagarnął chciwie i schował do kieszeni. Stawkę zaś odsunął Tadeuszowi — i jakby wysilony gwałtownem wzburzeniem, nie ruszał się z krzesła....

Tadeusz tymczasem zabierał się do wyjścia. Hulanka nocna zmęczyła go. W głowie i uszach szumiał mu teraz nieznośnie hałas, w którym do niedawna brał udział. Skłonił się zlekka i zimno hrabiemu, pożegnał towarzyszy i spiesźnie opuścił salę. Był już na dole i mijał już drzewa ogrodu jezuickiego, które fantastycznie majaczyły w półświecie księżycowym, gdy naraz szybki chód usłyszał za sobą. Ktoś uchwycił go za ramię i ścisnął je silnie. Tadeusz obrócił się i ujrzał przed sobą rotmistrza von Stahlen.

— Panie! Dziękuję ci! — zawołał rotmistrz drżącym jeszcze od wzburzenia głosem, i ścisnął dłoń Tadeusza.

— Drobną usługą, o której mówić nie warto... — odparł Tadeusz.

— Panie! Nie mów tego.... Na tę ostatnią kartę rzucony był mój honor, moje życie i szczęście mego ojca... Nie tylko pańskie dukaty leżały na niej; leżała tam ciężka, ostatnia stawka — kula ołowiana...

Tadeusz milcząc spoglądał na rotmistrza.

— Masz prawo wiedzieć wszystko — mówił dalej von Stahlen — ostatnie rulony, które stawilem i przegrałem, nie były moje.... Były to pieniądze pułkowe, których jutro rano zażądano by odemnie... Gdybym ich był nie odzyskał za twoją, panie, pomocą, samobójczą ręką byłbym ukarał własną lekkomyślność....

Tadeusz z współczuciem uściśnął dłoń rotmistrza.

— Procentem do twojej pożyczki nie będzie tylko wdzięczność, jest nim moje życie... Tyś je wygrał, do ciebie

należy... Masz prawo strzelić mi w łeb, kiedy ci się podobać będzie!... Herman von Stahlen jest twoją własnością....

Rotmistrz mówił to wszystko w gwałtownem, gorączkowem wzburzeniu.

— Jak się nazywasz, panie?

Tadeusz wygłosił swoje nazwisko.

Rotmistrz sięgnął do kieszeni swego białego płaszcza, i wydobyl zeń piękny, bogato ozdobny pistolet....

— Panie Warski! Weź ten pistolet odemnie. Pochodzi on z polskich rąk. Darował mi go niegdyś brat mej matki, która była Polką.... Niech ci on będzie pamiątką dzisiejszego wieczora. Ten pistolet jest nabity.... Kula, która w nim siedzi, miała dziś w nocy ugrząźć w mojej czaszce. Nie wydobywaj tej kuli... To zastaw mego życia, które do ciebie należy....

Tadeusz nie mógł odmówić. Schował pistolet i szedł dalej z rotmistrzem.

Von Stahlen milczał przez drogę, wzruszenia wieczorne widocznie go znużyły. Przy wałach rotmistrz ścisnął raz jeszcze dłoń Tadeusza i podążył w inną stronę. — — — —

Na drugi dzień Tadeusz ubrany starannie, udał się z wizytą do pani hrabiny Łotockiej. Wizyta trwała bardzo długo. Piękna Laura snąć cały czas południowy poświęciła wyłącznie swemu gościowi, bo kilka innych osób, które pragnęły tego dnia widzieć się z hrabiną, dostały odprawę...

Miedzy niemi znajdował się i Żagwin.

Trzy razy wpadał on do kamienicy, w której mieszkała Laura, i trzy razy powracał. Za trzecim razem dzwonek

urwał się w jego żylastej dłoni, a na czole osiadła mu groźna chmura...

Gdy mu lokaj oświadczył, że pani nie ma w domu, odkrzyknął mu prawie z wściekłością:

— Kłamiesz! — i zacisnąwszy kapelusz na czoło, odwrócił się z mrukiem gwałtownie tłumionego gniewu...

XV.

Szatan i anioł.

Mineło kilka tygodni od scen opisanych. We Lwowie i w jego kołach wesołych nic się nie zmieniło — ten sam szal lekkomyślny, tażsama swawola dawały hasło towarzyskiemu życiu.

W większych i mniejszych salonach szły dalej swoim trybem zabawy i hulanki. Zabawom tym przybył nowy towarzysz. Piękna pani Laura wprowadziła w modny świat lwowski nieznanego tam dotąd młodziana, który z całą zapamiętałością młodej głowy i młodej krwi rzucił się w odmet salonowej wesołości.

Młody ten prozelita był najznacniejszą, protegowaną gwiazdą w plejadzie wielbicieli Laury, i pod jej to osobliwszą opieką rozpoczynał szczęśliwie swą karierę...

Był to Tadeusz.

Młody nasz bohater zmienił się w przeciągu swego krótkiego pobytu we Lwowie do niepoznania.

Z oficera kościuszkowskiego, w którym przed kilku tygodniami jeszcze podziwialiśmy pewną surową nawet powagę i hartowny mars żołnierza, powracającego świeżo

z boju, stał się elegancki, wyświeżony i lekkomyślny towarzysz salonowego życia.

Z nieśmiałego na gładkiej posadzce młodzieńca, zmuszonego niedawno tylko koleżeńskim gwałtem do chwilowego udziału w hucznym bankiecie, który go w duszy tak mocno gorszył, zrobił się szalony zwolennik pustego, swawolnego życia, który z całym zaślepieniem młodej i żywej natury rzucił się w wir zabaw i rozkoszy.

Z wstydliwego kochanka, któremu tylko tęskne i tajone marzenia były niegdyś powiernikiem miłości, któremu wydłuzone przez Laurę wspomnienie o córce Zakruckiego wy-ciskało rumieńce na lica, a w duszy wywoływało wyrzuty lekkomyślności, stał się otwarty i głośny wielbiciel naj-lekkomyślniejszej z bohaterek lwowskich salonów, kochanek właśnie tej samej pani Laury....

Ostatni szczegół nowego charakteru Tadeusza podaje nam klucz do całej zagadki jego metamorfozy...

Tadeusz uwiśł w powabnej sieci, którą go osnuła piękna kokietka... Za tem nowem uczuciem poszła w ślad cała opisana powyżej zmiana....

Mamyż tłumaczyć obszernie, jak się to stało?... Zdaje nam się, że całą historję tryumfu pięknej pani Laury nad Tadeuszem ograniczyć możemy na kilku krótkich uwagach. Walka podobna, jaką stoczyła chciwa podboju Laura z Tadeuszem, zawsze trwać może tylko bardzo krótko. Siły bywają tu bowiem nie równe.

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne słowa, które wyrzekła niegdyś Laura do swego młodego towarzysza po-

dróży, kiedy to z pewnem szyderstwem powątpiewała o jego uczuciach, z których niebaczny młodzian mimowolnie przed nią się wypowiadał. Ona, doświadczona znawczyni sere meżkich, adeptka romansowych tajemnic warszawskiego świata, przebiegła mistrzyni całej sztuki zalotności, którą własne koleje i ton czasów nauczyły zapewne skeptycyzmu i szyderstwa, słuchała wówczas z uśmiechem mimowolnych zwierzeń Tadeusza o stosunkach z młodą córką Zakruckiego, jak się słucha naiwnych zdań dziecka, wiosennych marzeń pacholęcia, które oprócz własnego wewnętrznego, nie zna jeszcze innego świata....

Wtedy to drocząc się z swym młodym towarzyszem, powątpiewając z taką pustotą o wierności jego uczuć, rzekła mu te słowa:

— Jeżeli się raz jeszcze spotkamy w życiu, zobaczysz, żem słusznie nie wierzyła...

Tadeusz podjął wówczas z całą pewnością zakochanego młodzieńca rękawicę — lecz dziś, gdyby był sobie przypomniał tę rozmowę i jej znaczenie, musiałby był zadrzeć przed tą kobietą i przed samym sobą....

Ale Tadeusz nie zdawał już sobie sprawy z metamorfozy swych uczuć, przy obecnym bowiem sposobie jego życia, brakowało mu do tego trzeźwości. Piękna pani Laura widziała go niewolnikiem u stóp swoich....

Dziwić by to mogło, dla czego Laura, nawykła do nieustannych hołdów całej meżkiej połowy wielkiego świata, królowa tylu wielbicieli, której podczas pobytu we Lwowie nadarzała się już nieraz sposobność uwieńczenia ro-

mansowych tryumfów najkorzystniejszym stosunkiem małżeńskim, która ręką swą uszczęśliwić mogła nie jedną znakomitość lwowskiego towarzystwa — dla czego ta Laura tyle wagi przykładła do pozyskania serca Tadeusza...

Byłaż to prosta nawyczka kokieteryj lub może miłość prawdziwa?...

I jedno i drugie kierowało w tym względzie Laurą.

Znamy już tę kobietę po części z jej stosunku do Żagwina. Znajomość zabrana z nią przy tej sposobności nie w najjaśniejszem świetle przedstawiła nam jej charakter. Wiemy, że w celu polepszenia swych materialnych stosunków, bez czego jako obca zupełnie we Lwowie nie mogłaby była stanąć pewniejszą stopą na gruncie salonowego towarzystwa, weszła w dziwny stosunek do Żagwina, nie wahała się nawet upozorować swej intrygi uczuciem.

Dziś kiedy niepospolite jej wdzięki, podniesione złotem rabulisty, otoczone przepychem wystawy i pozornego bogactwa, uścieliły jej drogę do tryumfów i zjednały tylu wielbicieli, gotowych kosztem ręki i imienia dobić się stałych względów pięknej wietrznicy — czemuż nie korzystała z tak pomyślnej sytuacji a poprzestała raczej na młodym człowieku bez imienia, bez majątku i pozycji?...

Powiedzieliśmy już, że na ten krok złożyły się tak nawyczka kokieteryj jak i miłość. Ale i zalotność i miłość nabrały u tej kobiety cech całkiem odrębnych i niezwykłych...

Nie była to ta zwykła zalotność kobieca, która wypływając bądź to z lekkomyślności, bądź z dziecinnego nie-

jako upodobania, nie przekracza granic bezmyślnej nawyczki lub pustej igraszki — była to dziwna, prawdziwie demoniczna namiętność. Laura liczyła to do swych rozkoszy, wdziierać się między serca już połączone miłością, rozrywać siłą swych zalotnych wdzięków związane już wzajemnem uczuciem dusze. Gdziekolwiek tylko widziała szczęście miłości, spieszyła je zburzyć lub zakłócić. Nie zalety mężczyzny, którego zhołdować usiłowała, ale cierpienia innego kobiecego serca, które przy tej sposobności zakrwawić i rozgoryczyć się miało, było dla niej miarą większego lub mniejszego tryumfu...

Uważano, że zalotność jej nie wybierała sobie nigdy za przedmiot ludzi swobodnych i wolnego serca — lecz przeciwnie z prawdziwie szatańską konsekwencją wikłała w sieci swego niezrównanego uroku mężczyzn, do których wiązały się serdeczne marzenia a częstokroć szczęście całego życia innych kobiet... Rozkochanych narzeczonych, młodych mężów, upojonych miłością swych żon, ścięgała z niezmordowaną, namiętną wytrwałością...

Jeszcze kiedy była w Warszawie stała się tym sposobem przyczyną wielu najtragiczniejszych katastrof, które wdzięki jej okryły prawie straszną sławą. Ta zalotność posunięta do namiętności, z okrutnym celem i piekielną konsekwencją robiły z tej pięknej kobiety szatana...

Usidlenie Tadeusza nie było więc kaprysem prostej zalotności. Nie było ono także tryumfem istotnej miłości.

Z tego, co dotąd powiedzieliśmy o Laurze, czytelnik mógł się już po części domysleć, jak się kobieta ta zapa-

trywała na miłość. Pod tym względem była Laura wychowaną swych czasów i warszawskiego towarzystwa, w którym zepsucie tych czasów znalazło najsmutniejszy swój wyraz.

W kołach, w których Laura była boginią, epikureizm był hasłem życia... Miłość była wówczas nazwą dla prostej rozkoszy...

Nigdy może nie wybujały do tak wysokiego stopnia sielankowa słodycz słówek, sentymentalna tęskność tonu, wykwintna galanterja i kurtoazja romansowych formułek, jak w owym wieku Nowej Heloizy — ale nigdy taka wytworna i delikatna aż do ekliwkości forma nie była obłudniejszem kłamstwem, nigdy pod taką szwalerją nie kryła się wyuzdańska swawola, nigdy taki kwiecisty i trubadurowy przybór stosunków z światem niewieścim nie był maską cyniczniejszej rozputy, jak wówczas...

Laura nie różniła się w niczem od innych pokrewnych sobie zalotnic swego czasu — ale przewyższała je namiętnością. Jeżeli w takim znaczeniu pojęta miłość godną jest jeszcze nazwy miłości, w takim razie powiedziećbyśmy musieli, że Laura kochała Tadeusza.

Taki był stosunek Laury do Tadeusza.

A Tadeusz, jakże on pojmował swe uczucie dla Laury?... Nie zastanawiał się nad niem. Był to szalł namiętny, który w wirze swym pochłonał całą jego istotę — upojenie, które nie dozwalało mu ani na chwilę wniknąć trzeźwiejszą myślą w ten odmet tak nowego i niezwykłego życia. Pod wodzą swej pięknej mistrzyni i opiekunki, otwarły się dla naszego

młodego bohatera po raz pierwszy w życiu bramy czarodziejskiego świata — świata, który pełny swobody, rozkoszy i wesela, zdawał się zamykać w sobie wszystko, o czem tylko marzyć mogła młoda dusza...

Laura była mu doskonałą przewodniczką na tej powabnej drodze... Wprowadziła go od razu w huczny świat salonów — a Tadeusz przygnał do tego świata i rozlubował się w jego nieprzerwanych zabawach i uciechach. Nie było też odtąd żadnego balu, żadnego pikniku, żadnej maszkary, aby na niej nie był Tadeusz i aby nie brał szalonego udziału w hulance, do której nieodstępne prawie towarzystwo Laury jeszcze bardziej go podniecało...

Wróce to ognisko wesołego szału, namiętności do zabaw i rozkoszy, jakim było ówczesne towarzystwo lwowskie, pochłonęło w sobie Tadeusza. W upojenie takie wszystkie młode natury popadają z największą łatwością; a choć są silne, opamiętują się późno, gdy są słabsze, już za późno — a gdy całkiem płytkie i lekkomyślne, nigdy!...

Do którego z tych trzech rodzajów przyjdzie nam zaliczyć Tadeusza, obaczymy w dalszym ciągu tej powieści, tu jeszcze tylko kilka szczegółów rzucić musimy co do zmiany, której tak rychło uległo jego usposobienie.

Jak wiemy Tadeusz, wychowany przez Zakruckiego, kochał go prawdziwie synowską miłością. Zakrucki jęczał obecnie w więzieniu — czyli więc pamięć na kochanego starca nie mogła powstrzymać Tadeusza od rzucenia się w wir tego karnawału życia?...

Gdyby nie zalotność Laury, gdyby nie demoniczny wpływ jej na młody i pełen wiosennej swobody umysł, Tadeusz nie znalazłby nigdy w samym sobie podniety do lwowskich bachanaljów. Podniętą tą były dlań czarne, namiętne oczy Laury, magnetyczny powab jej wdzięków, któremi jakby nieprzełamany czarem trzymała go w tej atmosferze, którą sama była otoczona.

Gdyby nie ta fatalna przemoc pięknej kobiety, nie potrzeba było dla szlachetnego serca Tadeusza nawet pamięci na swego opiekuna, ale samego wspomnienia nieszczęsnej walki, z której właśnie co powrócił — aby nie stawić stopy na balowej posadzce tego karnawału, który był okropną stypą nad zwłokami ojczyzny.

Tadeusz, jak wiemy, kochał Zosię pierwszym, dziewiczym uczuciem swej duszy... Czy uczucie to zgasło wśród tego szalonego życia, czy uleciało całkiem z piersi, która przestała być dlań godną i czystą świątynią?...

Gdyby Tadeusz był lepszym znawcą własnego serca, gdyby czar pięknej czarodziejki, która go trzymała na uwieży, nie był tak gwałtownie udużył całej jego istoty, byłby może odgadł, że owa niewytłumaczona niby tęsknota, owe dziwne nieokreślane wyrzuty, owe uczucia znużenia i przesytu, które nim chwilowo i przelotnie owładaly, nie były niczem innem, jak tylko stłumionym protestem serca, które upojone było tylko, a nie zadowolone nowym pokarmem...

Oprócz tych mimowolnych uczuć tęsknoty i niezadowolenia, które nachodziły czasami Tadeusza, a które w takich razach bywają rękojmią przyszłego nawrotu, jeżeli ich zu-

pełnie nie stłumi namietność i nie zagłuszy gwar świata, miało obecne życie Tadeusza jeszcze inną jaśniejszą stronę. Był nią stosunek przyjaźni z młodym rotmistrzem v. Stahlen.

Znamy historję tej znajomości. Tadeusz uczyniwszy rotmistrzowi przysługę, której znaczeniu tak małą przypisywał wagę — nie byłby niezawodnie korzystał z podanej tym sposobem okazji do bliższych osobistych stosunków. Już sam przeciwny obóz, do którego należał rotmistrz, sam białą jego mundur byłby przegrodą nie do usunięcia. Ale sposób, w jaki rotmistrz von Stahlen wyraził wdzięczność swą Tadeuszowi, a następnie bliższe poznanie charakteru tego człowieka, utorowało drogę do ściślejszych stosunków.

Młody von Stahlen, zaraz po owej scenie w kasynie Hechta, wyszukał Tadeusza w jego pomieszkaniu i tu zaraz przedstawił mu się w sposób, który musiał wzbudzać prawdziwą sympatję. Von Stahlen posiadał charakter niezwykły i szlachetny — ale główną charakteru tego cechą był pewien bolesny rozstrój uczuć i przekonań, który wywołać w nim musiało jego wyjątkowe położenie, a który dodawało usposobieniu jego wiele goryczy....

Czystą polsczyzną, którą mówił, przedstawił się Stahlen Tadeuszowi jeszcze owego wieczoru jako Polak — później wyznał sam, że matka jego była Polką. Ojciec jego natomiast był Niemcem i to w całym tem znaczeniu, jakie się w owych czasach wiązało w Galicji do tej nazwy....

Matka Stahlena była córką polskiego szlachcica, marszałka na dworze pana Wojny, posła Rzeczypospolitej w Wiedniu. Tam poznał ją ojciec Stahlena i po usunięciu

wielu przeszkód, które stawily mu niechęć i uprzedzenie szlachcica polskiego, pojał ją za żonę. Z małżeństwa tego miał syna, właśnie znanego nam Hermana, dzisiejszego rotmistrza.

Dzieci takich małżeństw idą zwykle za narodowością matki.... Młody Herman wychował się w polskiej atmosferze.... Już kołysanka jego była polską, a później pierwsze wrażenia modlitwy, pierwsze słodczye pieśczętliwych słów macierzyńskich, przelewały się w jego serce mową polską... Przytem ojciec jego matki i jej siostry, między którymi najczęściej przebywał, przyczynily się do jego polskiego wychowania...

Ztąd poszło, że ku wielkiemu niezadowoleniu ojca, mały Hermanek do trzynastego roku życia umiał i mówił tylko po polsku. Od tego jednak czasu przeszedł pod wychowanie ojca, który pragnął mieć w nim Niemca. Gdy nadto i matka jego w tym czasie zesła ze świata, wychowanie to, pozostawione samemu ojcu, było już wyłącznie niemieckie.

Ale wpływ matki, wywarty na młodocianym umyśle Hermana, nie dał się zatrzeć. Von Stahlen był dziś jeszcze więcej Polakiem niż Niemcem. Po pierwszym rozbiórce Polski i po zajęciu Galicji przez Austriję, ojciec Stahlena, który służył rządowi, posłanym został do nowej prowincji w stopniu wysokiego urzędnika. Tymczasem ożenił się po raz drugi. Herman przybywszy z ojcem do Galicji, znalazł się jakby w ojczyźnie. Znał on Polskę tylko z opowiadań swej matki, a dziś kraj, który po raz pierwszy oglądał, wydał

mu się dobrym znajomym, światem opromienionym pamięcią ukochanej matki, wspomnieniem opowiadań słyszanych z jej ust w dniach dzieciństwa...

Ale jakkolwiek drogą była Hermanowi ta druga narodowość, odziedziczona po matce, jakkolwiek wiązały się z nią wspomnienia ukochanej nieboszczki, niemniej przeto była ona źródłem owego rozstroju w jego charakterze, powodem goryczy i wielu cierpień. Ojciec Hermana był niemieckim biurokratą w całym znaczeniu tego słowa. Dla kraju, do którego przybył jako jeden z reprezentantów nowej władzy, przyniósł z sobą tylko zasadniczą niechęć, tylko surową bezwzględność, tylko wrogą wzgardę....

Wkrótce też dopracował się stary von Stahlen nienawistnej sławy czyli niesławy u Polaków. Zasłynął jako jeden z najzawziętszych przeciwników narodowości polskiej, jako jeden z najbezwzględniejszych zwolenników surowego, exterminacyjnego systemu, który tak dotkliwie czuli nieraz nowi poddani nowego rządu....

Nic dziwnego tedy, że młody Herman w przykrem znalazł się położeniu. Między sympatją do kraju, wiążącą się z najdroższymi wspomnieniami dni dziecińczych a przykrem znaczeniem, jakiego imię jego w kraju tym nabrało — powstał kontrast bolesny... Serce polskie stanęło w opozycji do niemieckiego pochodzenia, miłość zmarłej matki weszła w kolizję z miłością żyjącego ojca. Charakter młodego Niemca-Polaka wpadł w dziwny rozstrój i przybrał goryczy....

Kontrast ten tem boleśniejším musiał być dla Hermana, mimowolna opozycja uczucia przeciw ojcu musiała tem więcej dręczyć jego umysł, ile że ojciec kochał go nad wyraz wszelki. Ta miłość ojcowska była wśród takich stosunków nieraz prawdziwą męką dla Hermana.

Tyle co do osoby młodego rotmistrza. Znajomość jego z Tadeuszem zbliżała się coraz bardziej do przyjaźni. Tadeusz już z wrodzonego pociągu duszy łatwy był do współczucia i przyjaźni — Herman szukał tego współczucia i tej przyjaźni spragnionem sercem. Przywiązał się wkrótce do Tadeusza i stosunek obu młodych towarzyszy dojrzewał coraz piękniej, gdy naraz pułk, w którym służył Herman, otrzymał nakaz wyruszenia. Po kilkutygodniowej zaledwie znajomości musiał młody rotmistrz pożegnać Tadeusza.

Skreśliwszy tak zmianę w usposobieniu Tadeusza i nowy sposób jego życia, opuścimy go na chwilę a zwrócimy uwagę czytelnika na inne osoby. Zagłędniemy teraz do dworku Promnickiego na Halickiem przedmieściu.

Opuściliśmy go wraz z Zakruckim, prowadzonym pod wojskową eskortą do więzienia. Zobaczmyż, co się tam działo dalej po opisanej katastrofie. Zaczniemy od obu starych rezydentów dworku, od dziada i konfederata. Na obu przygoda owego wieczora wręcz przeciwnie wywarła skutki. Pan Dederkało, przerażony aresztowaniem Zakruckiego, prawie jakby cudem nabrał sił i ozdrowiał. Wstrząsające wrażenie, jakie na nim sprawił cały wypadek, było mu lekarzem. Opuścił łóżę, i choć blady i wynędzniały, uczuł w sobie dawne czerstwe siły.

Dziad Madej przeciwnie nie oparł się moralnym skutkom swych dziwnych przygód. Owe tajemnicze odkrycie, które tak dziwne na nim sprawiło wrażenie, a w dodatku scena, którą zastał w domu powróciwszy z nocnej wycieczki, zachwiały nim moralnie i fizycznie. Nie mógł przetrwać przestachu i zdumienia — głowa jego rozgorzała gwałtowną gorączką

Podczas całej rewizji, którą odbywał oficer we dworze, Madej trzymał się jeszcze na nogach, a nawet miarkując, że szukano najbardziej za papierami, rzucił się do jakiegoś klecznika starego, stojącego w jednej z opuszczonych izdebek, i wydobywszy z tamtąd jakiś zwitek żółtkłego papieru, co prędzej ukrył go w swojej torbie dziadowskiej. Papier wszelki, choćby czysty a cóż dopiero zapisany, miał dla Madeja zawsze jakieś złowrogie znaczenie. Widział w nim jakiś kabalistyczny instrument, z którego Bóg wie co za nieszczęście niespodziewanym gromem spaść może na niepiśmiennego człowieka!... Gdy tedy widział oficera przeglądającego uważnie każdy najdrobniejszy papier, skorzystał z niestrzeżonej chwili i ukrył ów zwitek leżący w kleczniku...

Kiedy żołnierze odeszli i cisza znów zaległa dwór samotny, Madej padł w gorączce na posłanie a na drugi dzień obudził się bez przytomności.... Chorował przez kilka miesięcy ciężko. Jak dawniej on Dederkałę, tak teraz Dederkało jego pilnował troskliwie, choć sam był strapiony i zgryziony i całymi dniami ciężko wzdychał i na losy narzekał. W samotnym dworze mieszkać nikt im nie wzbra-

niał, a choć pan Zakrucki był w więzieniu, dosyłano im ze wsi żywność jak dawniej.

Tadeusz, gdy powrócił z wojny, odwiedził zaraz dworek, gdzie nawet jakiś czas mieszkał — ale niebawem ku wielkiemu zasmuceniu Madeja i Dederkały przeprowadził się do miasta i już odtąd nigdy ich nie odwiedzał, i tylko nieraz opowiadał konfederat dziadowi, jak wracając od Karmelitów widział Tadeusza w kusym modnym stroju, jadącego w pysznej karecie z jakąś panią piękną i młodą.

Pewnego dnia po takim spotkaniu, Dederkało wróciwszy z nieszpor do domu, usiadł chmurny na stołku i motał w milczeniu siwy wąs na palec.

Madej, który już był nieco pozdrowiał i przechadzał się po alkierzu, zapytał Dederkałę:

— Cośście pomarkotnieli, panie Krzysztofie... Czy, broń Chryste, co niedobrego?...

— Jest - ho czego być markotnym — odpowiedział pan Dederkało. — Dziś znowu spotkałem pana Tadeusza, a nawet na człeka nie spojrzał! Jechał znowu wycackany jak firecyk z tą jakąś lafiryndą. Ukłoniłem mu się, ale nawet nie popatrzył na mnie! Toż to ja z jego ojcem wałęsałem się lat kilka po świecie, a jego samego na własnych prawie rękach wychowałem, a teraz ot co!

I stary splunął z indygnacją.

— At, może wam się tak tylko przywidziało — odezwał się Madej — to nie musiał być nasz panicz! Gdyby on to był w mieście, gdzieżby tu do nas nie zaglądnął, taka miłosierna dusza!

— Mnie się nic nie przywiduje — odparł Dederkało — mam stare oczy ale dobre!

— Wam się nic nie przywiduje... — powtórzył półgłosem Madej i zamyślił się czegoś na chwilę.

— Proszę też was panie Krzysztofie — rzekł znowu po chwili — mam się was o coś zapytać...

— O coż to naprzykład?

— Powiedźcie mi, panie Krzysztofie — pytał dziad Madej nieśmiało i ciekawie spozierał na Dederkałę — czy to może być, aby jeden człowiek do drugiego był tak podobny, żeby ich nawet rozróżnić nie było można...

— Hm... bywają czasem ludzie bardzo podobni z twarzy...

— Ale czy mogą być tak podobni, jak dwie krople wody, tak, że ani rusz rozpoznać ich w żaden sposób? — pytał Madej dalej.

— Takich ja nigdy nie widziałem... — odparł Dederkało — ale czemuż ty o to pytasz?...

— Bo to widzicie, panie Krzysztofie — mówił Madej nieśmiało — mnie się taka dziwna historja przywidziała, ale to taka dziwna, że do tego czasu jeszcze mi się w głowie przewraca...

— At, to może to w gorączce było, kiedyś był chory...

— Ale nie, to jeszcze przed chorobą było... Przez dwa dni przed tem nieszczęściem, które naszego pana trafiło, że go Niemcy do turmy wzięli, widziałem w kościele farnym bardzo bogatą panią... Ledwom ją ujrzał, zaraz mnie mrowie aż przeszło! Bo czy uwierzycie panie Krzysztofie, ta bo-

gata pani — cud cudów, oman prawdziwy! — podobnusięńka była, aż dziw...

— Do kogo?

— Nie śmiecie się ze mnie, panie Dederkało, była podobnusięńka do mojej kobiety...

— Jak to do twojej żony? — zapytał z uśmiechem zdziwienia Dederkało.

— Kubek w kubek ona, mógłbym być przysiadz, że ona!...

— Albo ty masz żonę?

— Miałem żonę, ale już trzydzieści lat całych jak jej nie widziałem... Trzydzieści lat, jak uciekłem z mego sioła i ją zostawiłem, i od tego czasu jej nie widziałem. Myślałem, że pewno gdzieś biedna pomała już dawno, a tu ja ją widzę jakby hrabinę jaką we farze!...

— Ot pleciesz stary! — odezwał się Dederkało — alboż to ona była!

— Ba, posłuchajcie dalej! — prawił Madej — ja pobiegłem za tą panią aż do kamienicy i patrzyłem przez okno, i widziałem ją, jak siedziała na dużym krześle w pańskiej komnacie. I oto, jak mnie tu widzicie żywego, tak ja widział na moje własne oczy, że to moja żona!... Jak to być może? To chyba jaka nieczysta sztuka djabelska...

— A czemużeś się nie wypytał, nie doszedł prawdy? — zagadnął rozciekawiony Dederkało.

— Tego samego wieczora jeszcze ją przez szyby widziałem, kiedy to nieszczęście spadło na nas, a potem jak wiecie, gorączka ciężka mnie zmogła. Ale dziś zaraz pójde

znowu wypatrywać i pytać, bo już jako tako łązić po świecie mogę...

Dederkało pokiwał głową, zamyślił się, potem popatrzył z niedowierzaniem na Madeja, jakoby jego zmysłom nie ufał, i urwał rozmowę. Madej także umilkł i siedział w zamyśleniu.

Zaraz pod wieczór wymknął się Madej niecierpliwie z domu i wysunął się na miasto. Biegł spiesznie, o ile mu na to osłabienie pozwalało, na znaną już sobie ulicę, stanął przed owymi oknami i rzucił spojrzenie wewnątrz...

Po chwili odstąpił od okna i począł oglądać kamienicę, jakby chciał się przekonać, czyli się nie omylił. Były to te same okna i ta sama kamienica... Ale w izbie, w której przedtem pokazało mu się owe widziadło, były już zupełnie inne sprzęty niż przedtem i inne w niej siedziały osoby... Owej pani nie było...

Z przykrem uczuciem zawodu stał Madej chwilę przed kamienicą i chciał już odchodzić, gdy ktoś ze służby wyszedł z sieni. Madej zebrał się na potrzebną odwagę i zapytał o panią, która w pokojach tych przed tem mieszkała. Dowiedział się, że już od miesiąca w kamienicy tej nie mieszka, i że nie wiadomo dokąd się wyprowadziła.

Z spuszczoną głową i w smutnem zamyśleniu wrócił Madej do domu. Opowiedział Dederkało o skutku swojej wyprawy, a ten daremnie usiłował mu wyperswadować, że się mylił tylko, i że zapewne sen gorączkowy bierze za prawdę. Każdego następnego dnia wyprawiał się Madej na miasto, ale zawsze bez skutku.

Nie długo trwało to jednostajne, samotne życie obu rezydentów. Do cichego dworu przybył niespodzianie gość nowy...

Pewnego dnia, kiedy pan Dederkało wyszedł na ganek pogrzać się trochę na pierwszych cieplejszych promieniach wiosennego słońca — zajechał jakiś powóz na dziedziniec. Dederkało porwał się z miejsca, wyteżył wzrok i biegnąc naprzeciw począł wołać z całej piersi:

— Panienka! panienka!

W powozie podróżnym siedziały dwie panie, jedna już w poważnym wieku matrony, druga w rozkwicie pierwszej młodości. Była to Zosia, córka Zakruckiego, i jej ciotka.

Stary Dederkało prawie na klęczkach i ze łzami witał Zosię — ona też nie bez rozrzewnienia i pociechy spoglądała na starego przyjaciela swego ojca... Ale ukontentowanie to było tylko chwilowe, a po wyschłej twarzy konfederata i po nadobnych licach Zosi spłynęła niebawem łza smutku...

Wszakże Zakrucki nie był przytomny tej scenie!... Dla niego nie świeciło piękne słońce wiosny, chłód i cienie murów więziennych otaczały go w tej chwili, nie mógł rozradować się w objęciu powracającej córki, nie mógł przytulić do piersi ukochanego dziecięcia, tej ostatniej gwiazdki na wieczornem niebie swego życia...

Zosia wiedziała już o losie swego ojca...

Widok rozczulonego pana Krzysztofa rozbudził w niej gwałtownie boleść, którą w części udało się już było ukoić troskliwej ciotce... Piers jej zaniosła się głosem łkaniem

i omdlała zaniecono ją do pokojów... Biedne dziewczę już od roku rwało się z Warszawy do ukochanego ojca... Ale wybuch wojny i połączone z nią niebezpieczeństwa były powodem, że ciotka Zosi wstrzymała tę podróż, w której wychowanicy towarzyszyć miała. Zmuszona wolą swej ciotki, Zosia zostać musiała w Warszawie, zkąd dopiero tuż przed samem wkroczeniem Moskali wyjechała do dóbr swej opiekunki, aby ztamtąd po nowej i poniewolnej a tęsknej zwłoce spieszyc wręście do ojca...

Skrzydłami tęsknoty wyprzedzała leniwy tok podróży, wybiegała naprzód myślą, aby nią już z góry powitać ojca i popieścić się przy jego piersi po długiem niewidzeniu!.. Jakżeż srogim był zawód, gdy nikt nie wyszedł witać jej u progów, gdy w wiejskim dworku zastała pustki i tyle okropną dla niej wiadomość, że ojciec w więzieniu...

Po ukojeniu pierwszego wybuchu boleści, musiała ciotka na żądanie Zosi natychmiast udać się z nią do Lwowa. Taka była historia niespodziewanych gości.

Korzystając z tych odwiedzin, poznajmy się bliżej z Zosią.

Mogła mieć najwięcej lat ośmnaście. Twarzyczka jej choć blada i smutkiem owiana, pełna była nadobności i cichego, anielskiego uroku. W twarzy tej przebijało się tyle słodyczy, tyle jasnego wyrazu uczucia, że zdało się, iż cała światłość pięknej, promiennej duszy rozlała się po tem białem czole, że świeciła z tych szafirowych jak błękit Boży oczów....

Ubrana była w ten sam strój, w jakim opuściła Warszawę. Miała na sobie sukienkę z szarego płótna z czarnym

fartuszkami i takież kaftaniki z długimi rękawkami, a na białych rączkach żelazne esklaważki — godło niewoli... Z pod szyi spływały długie, bujne warkocze...

Strój ten miał już teraz tylko smutne, historyczne znaczenie. Przed zdobyciem Warszawy przyoblekały się w ten strój kobiety, które szły sypać szanice około zagrożonego miasta. Wiadomo, że w sypaniu szaniców brała wówczas udział cała ludność warszawska. Garnęły się do tej pracy wszystkie klasy, od najwyższych do najniższych. Niejako dla symboliki patriotyzmu, który zrównać miał wszystkie klasy i połączyć je w jedno wielkie ognisko miłości ojczyzny, szły sypać ziemię najznakomitsze damy obok ubogich wyrobnic i rzemieślniczek, poważne matrony obok młodych dziewcząt.

Dla wielu elegantek warszawskich stało się niebawem to zajęcie igraszką mody — toż przyoblekały się w szary strój robotniczy jedynie dla nowości. Dla takich pań patriotyzm o tyle jest obowiązującym, o ile jest artykułem mody... Ale Zosia pojmowała to zajęcie z całą szczerością swego serca, dla którego nic nie było pozorem, a wszystko treścią uczucia i zapału... Ledwie brzask dzienny zajaśniał, spieszyła Zosia z swoją towarzyszką na szanice warszawskie i drobniemi, białemi rączkami sypała ziemię. Czyniła to z naiwną gorliwością, z pełną, dziecięcą wiarą, jakby istotnie tych kilka garści ziemi, które trudem sił swoich, wszystkich dorzucała do wału, przyczynić się miało do ratunku stolicy...

Współtowarzyszki Zosi, i te, które jedynie moda i pusta chęć rozrywki wiodła między tłum robotników i robotnic na szanicach, i te, które zajęcie swe pojmowały szla-

chętniej, bo jako zachętę i przykład dla reszty ludności — uśmiechały się nieraz na widok naiwnej gorliwości, z jaką Zosia posuwała się aż do fizycznych wysiłen. Pierwsze uśmiechały się szyderczo i złośliwie — drugie z pewnem upodobaniem, jakby na widok naiwnego dziecka — ale jeden i drugi uśmiech przynieść mógł tylko zaszczyt młodej, nadobnej pracowniczce...

Ta naiwna szczerość uczucia, ta wiara pełna ewangelicznej prostoty najlepiej charakteryzowały Zosię. Wśród chwastów i zielsk warszawskiego modnego życia wyrosła ona jak wonny fjołek, wypielegnowany przeczystą rosą i jasnym promieniem słońca...

Zosia zaledwie przyszła nieco do siebie po wznowionym wybuchu żalu i bólu — zaraz ze łzami nagle poczęła ciotkę, aby udała się z nią do więzień lwowskich, do ojca. Dederkało służył za przewodnika, i tak wszyscy razem udali się do więzienia... Ale nie tak łatwo można się było wówczas widzieć z politycznym więźniem. Potrzeba było do tego różnych zezwoleń, uwiadomień, formalności. Nie pomogły ani łzy, ani błagania — mury więzienia nie otwały się przed stęsknionem dziewczęciem. Zosia musiała odejść bez pewnej nadziei nawet, że będzie się mogła wkrótce widzieć z ojcem. Może jutro, może pojutrze, może w tym tygodniu — takie były szorstkie odpowiedzi na jej prośby. Jutro! pojutrze! — jakże to daleko!

Kiedy zalana łzami, opierając się na ramionach ciotki i pana Krzysztofa wracała Zosia do domu, minęła ich jakąś modna, błyszcząca kolasa. W kolasie siedział młody czło-

wiek obok pięknej i strojnej damy, zapatrzony w jej oczach, zasłuchany w jej słówkach.

Zosia poznała w nim Tadeusza. Przystaneła nagle i wydała lekki stłumiony wykrzyk... Uczucie pociechy wystąpiło jej na twarzyczkę zapłakaną — rzuciła na powóz wzrok radośnego zdziwienia.... Ale Tadeusz nie uważał przechodzących — nie widział on nikogo dookoła, tylko swoją piękną towarzyszkę, Laure. Za to Laura rzuciła okiem na Zosię, a po wyrazie jej twarzy widać było, że ją poznała. Szybko jednak odwróciła od niej spojrzenie, utopiła je w oczach Tadeusza i nachyliła się ku niemu bliżej, jakby chciała w tej chwili całą uwagę jego zwrócić tylko na siebie...

Spojrzenie to, które zwrócone na Zosię było prawie szydercze, zaświeciło teraz namiętnym połyskiem i zdawało się mówić do Tadeusza:

— Tyś mój, mój wyłącznie!... Nie wydrą mi ciebie inne oczy, choćby to były szafirowe oczy anioła! Tyś mój na zawsze!...

XVI.

Złowrogi gość.

Podczas gdy piękna Laura przy boku swego wybranego i zdobytego towarzysza lekką stopą jak skrzydłem motyla przesuwając się po różach wesołego życia, i upojona swym namiętnym szalem, olśniona całą tęczą powodzeń i tryumfów, dnie liczy na coraz nowe powaby i rozkosze — obaczmy co się dzieje z człowiekiem, któremu po raz pierwszy w życiu odezwało się serce, aby się stać ofiarą jej igraszki i rachuby...

Dawno już nie mówiliśmy o Żagwinie. Powracamy obecnie do tego człowieka, aby poznać koleje, jakie przechodził od czasu zawiązania tak ścisłych stosunków z panią Laurą.

Wiemy już, jak nowa i ważna epoka rozpoczęła się w życiu Żagwina od jego poznania się z uroczą zalotnicą. Znamy już jego charakter i wiemy, co przygotowało tę epokę. Ta słaba isierka uczucia, która krasila mu ciemny żywot, oświecając go niejako promyczkiem sentymentalnego marzenia, rozgorzała teraz płomieniem.

Żagwin namiętnem uczuciem pokochał swą piękną klientkę... Kobieta ta stanęła przed nim jako urocze wcielenie

wszystkich tajonych marzeń, jako powabne rozwiązanie tej zagadki jego serca, nad którą się tylekroć sam zastanawiał. Zdawało mu się, że po burzy życia rozślania mu ona cichy, pogodny błękit, pod którym wypocznie stargana nienawiścią i walką dusza!...

Kiedy myślą kołysał się rozkosznie w tych marzeniach, zdaniem jego tak bliskich rzeczywistości, wołał sam do siebie radośnie:

— Karmiony nienawiścią, pojony żółcią przez całe życie, ja nędzny, wzgardzony szubrawiec, mam prawo do tego szczęścia! Spełniłem do dna kielich goryczy, nie mam-że prawa do pułhara rozkoszy? Pieniałem się z losem, pieniałem się z niebem i światem — otoż wygrałem w końcu sprawę! Ten dług mi się należał, i musi być spłacony...

Biedny Żagwin, jakże się mylił! Jakże się mylił przewrotny piniacz, podnosząc swe prawa przed kratkami losu!...

Proces jego był przegrany — a anioł tej miłości, do której rwało się dziś jego serce, dawno już wyrok ogłosił! Jemu się już nic nie należało... Rachunek już był skończony. Skończył go on sam zemstą i odwetem... On światu gorycz odpłacił goryczą, jad jadem... Namietną zemstą sam sobie wymierzył sprawiedliwość, więc nie dla niego już nagroda cierpiących!...

On, co całym swym żywotem zadawał kłam sercu, żądał od serca nagrody! On co był zawsze wyznawcą nienawiści, spocząć chciał pod białym skrzydłem miłości!...

Ale Żagwin nie ważył tak na szali swego żywota... W przewrotności swej, w nienawiści, w cynizmie swym nie czuł się nigdy istotnie szczęśliwym i dla tego myślał, że cynizm i nienawiść ta nie grzechem były lecz zasługą. A zresztą, czyż szczęście, za którym tęsknił, nie uśmiechało mu się już z pobliza, czy nie witało go z pięknych oczów Laury?...

Tak mu się przynajmniej zdawało. Żagwin był pewny miłości Laury. On, wielki nowicjusz uczucia, widział uczucie to w każdym spojrzeniu, w każdym słówku zalotnej kobiety. Ale nie dość na tem. On mówił wyraźnie z Laurą — a ona odpowiedziała mu w sposób, który zdawał się być najpewniejszą rękojmią jej wzajemności... Kiedy niby zapłonią, zakłopotana, półsłówkami odpowiedziała na wyznanie jego uczuć, z jakimże uniesieniem rzucił u jej stóp cały swój majątek, rozsypując przed nią swe złoto, to krwawe złoto, zebrane chciwą dłonią rabulisty, zapracowane trudem przewrotności!

Od owego dnia, który Żagwin uważał za niezawodną zapowiedź swego szczęścia, całe jego usposobienie się zmieniło. Kto widział dawniej jego twarz ponurą, groźną, czasem tylko śmiechem szyderstwa i cynizmu wykrzywioną, dziwić się musiał, spotykając teraz na niej często wyraz wesela i młodocianej swobody...

Żagwin odmłodził. Bywały przelotne chwile, w których zacięta jego energia stawała się naturalną sprężystością, twardy, złośliwy upór wydawał się być tylko wytrwałością człowieka, który świadomy i pewny jest dobrego celu, a

dawniejsza skrzętność, podobna podjazdowej walce, pełnej ustawicznych zasadzek, przybierała cechę prawie spokojnej pracy... Czasem stawał się rozmownym, a nieraz, choć bardzo rzadko, wymykała mu się z ust nawet jakaś filantropijna uwaga.

Ale były to tylko chwilowe przebliski. Zmiana nie była gruntowną, bo i nie mogła być od razu. Czarnego piętna, które na charakterze takich ludzi wyciska całe życie, nie zetrze kilka dni nowego, szlachetniejszego uczucia! W Zagwinie poczęły się tylko nieraz zaokrąglać te ostre, kończaste formy, którei, jak jeź psom, nadstawiał się ludziom. Nie uważał on swej pracy za skończoną, a wiemy już jak pracę tę pojmował. Dopiero ostateczne uwienczenie starań miało przeszłość jego odciąć od nowego życia...

Jeżeli kiedy istota Zagwina wyjaśniała nieco przed światem, to tylko przyblyskiem tej przyszłości, do której dążył. Podobny był do wędrowca, który kroczy w ciemnościach ku migającemu z dala światłu jakiegoś domowego ogniska... Droga jego ciemną jest i postać jego czarna, chyba że jaki promyczek z owego ogniska oświeci ją przelotnie...

Zagwin mimo tych chwilowych, kontrastujących znamion jakiegoś dziwnego przeobrażającego wpływu, pozostał Zagwinem. Nadzieja jego i te uczucia, które zapanowały teraz jego piersią, pozostały tajemnicą dla świata. Hasłem całego jego życia była skrytość i chytre zasadzanie się. Uważał świat cały za swego wroga, jak wroga go nienawidził i jak przed wrogiem krył się przed nim z każdą nadzieją i z każdym uczuciem.

Pracował dalej niezmordowanie jak przedtem, pieniał się z dawną zaciekłością, gryzł się z ludźmi i brudził się jak za najlepszych czasów... Cały swój plan, oparty na namyślnem uczuciu, dążący do wymarzonego szczęścia w życiu, uważał za wielki szalbierczy figiel, który spleta ludziom i światu, za oszustwo, które jest dopiero w trakcie, którego więc niczem zdradzać nie należy...

Do tak wysokiego stopnia znarowiły tego człowieka ciężkie koleje losu, że choć dziś sam jak wilk czyhał na ludzi i ich szczęście, zawsze był tego przekonania, że ci ludzie wilczą paszczą zieją ku niemu, wilczem ślepiem śledzą jego plan każdy, życzenie i uczucie każde!... Nie rozumiał, jak można przyjsć do jakiego szczęścia na ziemi, jeżeli go się nie ukradnie światu! Co więcej, według gustu Żagwina potrzebnem było nieodzownie do przyszłej rozkoszy powodzenia, do należytej pełni tryumfu, aby cała jego sprawa miała wszelkie cechy chytrego oszustwa! Bez tego szczęście, jakim miało być poślubienie Laury, nie miałoby dlań dostatecznego uroku!

Im bliższym mniemał być celu, tem częściej odzywała się tajemna radość z niespodzianki, jaką cichaczem wyprawi ludziom!

Nieraz rozmyślając wieczorną dobą nad swemi planami, zrywał się, uderzał w dłonie i wołał sam do siebie:

— Jak się ten świat zdziwi, jak się zdziwi! Cha! cha! Ludzie w głowę zajdą! Żagwin szuja, Żagwin oszust, ożeni się nagle z cudną kobietą, z hrabiną! Tego psa Żagwina, tego wyrzutka, kocha najśliczniejsza we Lwowie dama, dla

niego płoną najczarowniejsze oczy, dla niego kwitnie najśladzszy uśmiech!

I zacisnął ręce z szatańską radością.

— Żagwin pan! Żagwin obsypał złotem swoją narzeczoną! Dwadzieścia tysięcy dukatów wyścielił pod jej cudne nóżki!... Piękna pani się stroi, z księżniami o lepsze idzie, a to wszystko Żagwina pieniądze! Ale na tem nie koniec! Wyprocesuję dobra dla Laury, ogromne dobra, a gdy stanę z nią przed ołtarzem, toż to się świat zdziwi! Cha, cha, cha!

I śmiał się do rozpuku i przed oczyma stawał mu wróg jego, świat, jak patrząc na nadobną Laurę u jego boku, szeroko roztworzył gębę i wyszczerzył oczy z wielkiego zdziwienia, a on mu, jak niegdyś w szkole jeszcze, przesyła szyderstwo palcami przy nosie!...

Skoro już Żagwin nabył pretensje prawne pani Laury do owych dóbr obszernych galicyjskich — rzucił się zaraz z całą swą energją do prowadzenia sprawy. Wiemy już od jakich machinacyj kroki swe rozpoczął. Uważał Zakruckiego za niebezpiecznego przeciwnika w podjętym procesie, jak to zaraz na naradzie z Laurą oświadczył. Dziś Zakrucki, którego proces ten najmocniej obchodził, znajdował się w więzieniu, a Żagwin mógł swobodnie i po swojemu poforytować sprawę.

Proces szedł wprawdzie zrazu oporem, ale przy talencie i chytrym sprycie Żagwina rzecz zmieniła się wkrótce. Żagwin wysilał się cały, aby wypieniać jaknajrychlej dobra Laury. Z procesem tym wiązało się wszystko, co mu miało

przynieść szczęście na świecie: jego złoto i jego uczucia. Marzył sobie, że tak jak niedawno złoto, tak teraz ogromne dobra złoży u nóg swojej królowej — a potem z rąk jej upragnione szczęście uzyska...

O osobistych swych stosunkach z piękną hrabiną miał zawsze najpomysłniejsze wyobrażenie. Rzecz cała zdawała się być skończoną. Zachowanie się Laury nie odbierało mu też tej uludy. Bywał u niej bardzo często, a przy każdych odwiedzinach, czytał z jej oczu i domyślał się z jej słówek, że ta cudna kobieta chce być i będzie jego... Wkrótce też stracił Żagwin w stosunkach do Laury całą swą ostrożność i podejrzliwość... Chytry i zaczajony w obec innych, dla niej był pełen dziecinnej prawie ufności. Dla niej jednej zaparł się Żagwin swego charakteru, kłamał swym przewrotnym zasadom....

Tak trwało dość długo. W obec świata cały ten stosunek do Laury został tajemnicą. Laura, korzystając ze złota rabulisty, świeciła swą urodą i swym przepychem w stolicy, otoczyła się wirami zabaw i uciech wielkiego świata. Żagwin tak pewny był tej kobiety, że ani zalotność Laury ani hołdy, składane jej obficie przez cały świat mężki arystokratyczny, nie zaniepokoiły go nawet na chwilę. Patrząc, jak ta kobieta trwoni jego pieniądze, jak pyszne jej apartamenta roją się nieraz książętami i hrabiami, uśmiechał się i mówił:

— Dobrze! Niech się bawi! Niech świeci złotem i wdziękami, niech zwodzi i do szaleństwa przyprawia jasnych panów! Im więcej teraz narobi hałasu w stolicy, tem wię-

kszym będzie mój tryumf! Co to za niespodzianka będzie, gdy z tą królową wielkiego świata stanie nagle przed ołtarzem Żagwin, cham prosty i oszust osławiony! Popekają ze złości!...

Przy takim usposobieniu Żagwina dla Laury, nie trudną była tej kobiecie przybrana rola. Odgrywać ją mogła, dopóki chciała — odgrywała ją jednak tylko, dopóki jej tego było potrzeba. Dziś stosunki jej zmieniły się całkiem. Pomoc Żagwina, która za jej przyjazdem do Lwowa była nieodzowną, stawała się dziś zbyteczną. Żagwin dał jej złoty klucz do wielkiego świata — a dziś świat ten nie tylko stał jej otworem, ale owszem czekał tylko na skinienie jej główki, aby dać jej stały i najświetniejszy przytułek....

Żagwin stawał się coraz wstrętniejszym dla Laury. Wkrótce też coraz rzadziej i coraz zimniej go przyjmowała. Nieraz tracił Żagwin całe tygodnie na zabiegach, nim się zdołał obaczyć z tą, którą za swoją na wieki uważał. Długo nie wzbudzało to podejrzania w Żagwinie. Ale w końcu odezwała się w nim dawna podejrzliwość... Pierwsza myśl, że Laura go tylko haniebnie zwiodła, była dla niego straszną. Na tę myśl zadrżały wszystkie struny jego duszy, całe piekło zgrzytnęło w niej dzikim chórem...

Odtąd podejrzania te nie dały mu spokoju. Odbierały mu całą energję, odpędzały sen, zatrzymywały życie. W dzień straszną groźbą trapiły mu myśli, w bezsennych nocach upiorem stawały u jego łoża, ciężką, ołowianą zmorą przywalały piersi... Żagwin odpychał te podejrzania od siebie,

wylaamywał się gwałtem z myśli i przypuszczeń, które go nachodziły, czepiał się dawnej ufności, jak konający ostatniej nadziei życia.

Ale było to daremnem. Nieufność coraz bardziej wzrastała, coraz większem cierpieniem ścisłała twardą pierś piniacza. I tak się miały rzeczy, gdy Laura naraz połączyła się najściślejszym węzłem namiętności z Tadeuszem. Teraz z oczu Żagwina powinna była spaść ostatnia łuska. Cały świat wiedział i mówił o romansie Laury z Tadeuszem, Żagwin sam mógł się o nim najmocniej przekonać, ile razy tylko na ulicy widział ją z młodym wielbicielem. Drzwi Laury były dlań teraz prawie zawsze zamknięte.

Jak szpieg trzymał on straż u tych drzwi, i przekonywał się, że tylko dla niego jej nie było. Nieraz odprawiony suchą odpowiedzią służby, że pani wyjechała, czekał przez kilka godzin na dole i widział wychodzącego Tadeusza. Nieraz mu towarzyszyła sama pani. Wtedy arszenikowym wzrokiem przeszywał parę, a w piersi jego odzywała się straszna namiętność...

Długo nie mógł się zdobyć Żagwin na spokojniejsze rozważenie sprawy, od której już teraz całe życie jego było zawisłem. Każda myśl o Laurze i o jej codziennym gościu i nieodstępny towarzysz, Warskim, kończyła się wybuchem namiętności lub gwałtownem odepchnięciem podejrzeń, które tak uporczywie się nasuwały. Ale razu pewnego, odprawiony zwyczajnym sposobem z pod drzwi pięknej zalotnicy, zamknął się w swym pokoju i wymusił tyle

spokoju na sobie, że począł z adwokacką bystrością roztrząsać sytuację, w jakiej się znajdował w obec Laury.

Przywołał najpierw na myśl wszystkie te słowa i wynurzenia Laury, na których opierał swe pewne już nadzieje. Ale choć słowa te i wynurzenia wiele i nie zarazem nie mówiły, przecież zdało mu się, że i przy najostrożniejszej rozwadze uważać je było można za zachętę, nawet za wyraźną rękojmię wzajemności. Jeżeli więc zachowanie się Laury tak mocno się teraz zmieniło, jeżeli po dawniejszem współczuciu nastąpiła dziś obojętność a nawet wstręt do jego osoby — czyż nie było to dawniejsze postępowanie tej kobiety zdradą, fałszem, okropnem kłamstwem! Żagwin wstrząsł się na tę myśl przykrą. On, co życie całe przebył fałszem, którego działanie całe było zdradą, po raz pierwszy uczuł dotkliwie szkaradę tych środków!

Porwał się namiętnie z zadumy, i zawołał sam do siebie rozsrożonym głosem:

— Tak, to zdrada była, oszustwo, haniebne oszustwo! Jej złota się chciało, nie mego serca i imienia! Szalony, nie widziałem tego! Ja i Laura! Ona się mną brzydzi, ona kocha innego!

I ten inny, w całym blasku swej urody i młodości stanął mu przed oczyma...

Żagwin zgrzytnął zębami i jak szalony począł biegać po pokoju. Krok jego wstrzymał się instynktowo przed dużym zwierciadłem. Zobaczył w niem swoją postać, i pierwszy raz dokładnie przypatrywać jej się począł...

Z zwierciadła patrzył na niego człowiek podstarzały, z piersią bandyty, z barkami karjatydy, z twarzą łotrowską... Człowiek brzydki, wstrętny....

Włosy pomierzwione zwieszały się w nieładzie na garbate czoło, pomarszczone wiekiem, schmurzone nieczystą pracą myśli... Oczy małe, świdrowate, jak ostrzami szyletów świeciły z pod ciemnych brwi, nie jaśniał w nich uśmiech młodości, wdzięk swobody, ale chytry, namiętny odbłysek nieszlachetnej, brutalnej duszy....

— Potworze, strachu obrzydły! — zawołał sam na siebie Żagwin, spoglądając do zwierciadła. — Tyś chciał stanąć obok tej kobiety! Czyż ta kobieta przegierzem jest lub szubienicą, żeś chciał brylować przy niej!

I wybuchł sam głośnym, szyderczym śmiechem. Ale nie było to dawne zimne szyderstwo. W śmiechu tym była gorycz i namiętność i ból! Żagwin zapożno szydził!

Śmiech ten wykrzywił mu twarz szkaradnie i zrobił z niej fantasmagoryczną maskę. Maska ta patrzyła nań z zwierciadła i zdawała się mu przedrzeźniać, szydzić zeń okropnie!...

Żagwin pięścią uderzył w zwierciadło — a szkło z przeraźliwym zgrzytem rozsypało się po ziemi...

I znowu biegał jak szalony po pokoju, aż nagle chwycił za kapelusz i wybiegł na ulicę.

— Pewności najpierw, pewności! Nie chcę się dłużej łudzić! — mruczał do siebie przez drogę i biegł wprost do pomieszkania Laury.

Gdy zszamotany i zmęczony stanął u drzwi, począł zacierpywać powietrza, jakby chciał wytehnąć. Potem schwycił gwałtownie za rękojeść dzwonka, lecz powstrzymał rękę w zapędzie i z lekka, łagodnie tylko zadzwonił. Drzwi się otwarły ale w przedpokoju zastąpił Żagwinowi drogę lokaj w bogatej liberji.

— Hrabina w domu? — szepnął Żagwin.

Sługa wzruszył ramionami i mruknął:

— Nie ma, wyjechała!

— Kłamstwo! Hrabina jest w domu!

Lokaj ziewnął najspokojniej w świecie.

— Przekonam się drabie! Puść mnie! — syknął Żagwin stłumionym głosem i postąpił naprzód.

— Nie można! — zaprotestował sługa i rozkrzyżował się przy drzwiach do pokojów.

— Zobaczymy! — szepnął Żagwin i oczy roziskrzyły mu się dziko.

W jednej chwili chwycił silnie jedną ręką lokaja za gardło i ścisnął je tak mocno, że biedny zacharczał tylko z cicha. Potem drugą ręką, jakby kleszczem żelaznym ujął go w pól i jak piórko wyrzucił za drzwi...

Teraz Żagwin zamknął drzwi na klucz, jakby się chciał ubezpieczyć od dalszej przeszkody lokaja i posunął się naprzód.

Stąpił cichym, przyczajonym krokiem po pokojach... Pokoje były puste... Ale w ostatnim, w budoarze, słychać było głos jakiś.

Żagwin stłumił w sobie oddech i ostrożnie podsunął się naprzód... Od budoaru drzwi były zlekka odchylone. Żagwin zatrzymał się, stanął z boku i rzucił wzrokiem do środka..

W budoarze, który promienie słońca, odbite od czerwonych adamaszkowych kotar, różowem wypełniały światłem, na aksamitnej sofie siedziała Laura... U nóg jej klęczał na bogatym tureckim kobiercu Tadeusz...

Laura, spoglądając figlarnie zadąsanym wzrokiem na klęczącego, wciągała i ściagała na przemian z swych drobnych rąk rękawiczki... Wybierała się snąć na jakąś zabawę, miała bowiem na sobie strój wykwintny i ekscentrycznie modny. Mówimy ekscentrycznie modny, bo nawet w owych czasach tylko najodważniejsze z dam salonowych pokazywały się w takim stroju. Dla Laury strój ten był ulubiony, bo nadarzał jej sposobność olśniewania całym zasobem swych wdzięków.

Miała na sobie suknię z jedwabno-ażurowej materji błękitnego koloru. Suknia ta przejrzysta i lekka wcale nie była zazdrośną... Nie sięgając prawie do gorsa odbijała swym bławatem od śnieżnej bieli obnażonych zupełnie piersi, utoczonych w kształty cyteryjskiego powabu. Jakby dla zachowania w zupełności tych greckich reminiscencyj, suknia ta dzieliła się z prawego boku w draperję... Podpięta była girlandą wyżej kolana i odsłaniała prześliczną nóżkę... Stopy elegantki były na pół bose i tkwiły w rodzaju sandałów czy trepek, od których wiły się białe wstążeczki po cielistej pończoszcze. Na palcach u nóg świeciły pierścienie złote, drogiemi kamieniami sadzone...

Taki był strój pięknej zalotnicy... Co tylko wymyślić zdołał bezwstyd mody, wszystko się tu łączyło, aby z Laury zrobić model hetery...

U nóg Aspazji klęczał Alecybiades.

Klęczał i patrząc w czarne jej oczy usiłował małą dłoń ująć do pocałunku...

— Gniewam się... Nie pojedę... — mówiła Laura uderzając Tadeusza z lekka rękawiczką po twarzy...

Tadeusz chciał powtórnie uchwycić białą rączkę.

— Przepróż... bo zostanę w domu, albo pojedę, a wiesz gdzie?... Tam gdzie będzie hrabia Robert, a wiesz, że w hrabi Robercie masz rywala, niebezpiecznego rywala..

— Okrutna, przepraszam!... — mówił Tadeusz nachylając się z uśmiechem ku pięknej kobiecie.

— Co, uśmieciesz się, nie wierzysz!... Na prawdę ja uważam, że pan Tadeusz lekceważy sobie groźbę... Tadeusz nie zazdrośny...

— Tadeusz cię kocha!...

— Kocha, ale więcej niż w własną, w moją ufa miłość... — odrzekła Laura i palającem okiem spojrzała w twarz Tadeusza.

— Kocham cię do namiętności, do szaleństwa!..

— Dziecko! Czy ty wiesz jeszcze, co to namiętność?... Nie wspominaj tego słowa! Ja cię spalę jednym promieniem tej namiętności, tym jednym, który w oczach moich płonie... Ty nie wiesz, co to namiętność kobiety — namiętność bez dna, bez granic, bez wytchnienia! Ty mi niesiesz tylko miłość młodą, ja cię namiętnością kocham!

— Pani ty moja!

— Paziu ty mój drogi! Masz królowę, której królestwo jest płomienne! Temi płomieniami oddychać musi pierś twoja jak powietrzem, jeżeli chcesz być wiernym twojej pani... Masz srogą panię, okrutną panię... Ta pani chce być władczynią nawet ostatniego tętna twego serca... Ta pani, mogła być tysiąc razy królową najświetniejszych wazalów, a wybrała ciebie, paziu, dziecię!...

Tadeusz ucałował z uniesieniem jej pierś bijącą.

Laura objęła rękami głowę jego i tuląc ją do siebie okryła namiętnie pocałunkami...

W tej chwili ktoś z głuchym stukiem rozwarł drzwi...

— Brawo paziu, brawo królowo! — zawołał głos jakiś ochrypły i drżący.

Głos ten padł szkaradnym zgrzytem w harmonijny szept kochanków...

Tadeusz i Laura porwali się z miejsca i z przerażeniem prawie spojrzeli przed siebie...

W progu do budoaru stał Żagwin...

Strasznie wyglądał on w tej chwili. Na twarzy bladej nabiegły mu żyły sinemi pręgami, jak od wściekłego gniewu — a usta zmuszały się do szyderskiego śmiechu, drżąc i zwijając się jak gad raniony...

Z wzrokiem, który chciał zabić, z wzburzonymi włosami, z rękami zaciśniętymi w pięści — stanął przed zdumioną i przerażoną zarazem parą...

Laura zadrżała na pierwszy widok Żagwina i chwyciła za ramię Tadeusza, jakby wzywała jego obrony. Tadeusz nie pojmował wcale tej sceny...

Ale niebawem odzyskała Laura spokój i odwagę. Wysunęła się naprzód i spoglądając dumnie i karcącym spojrzeniem na nieproszonego gościa zapytała:

— Jak pan tu wszedłeś?

— Tak jak ten pazik... — zaśmiał się Żagwin, wskazując na Tadeusza.

Tadeusz z oburzeniem postąpił naprzód i groźnie spoglądał na dziwnego człowieka.

— Służba musiała panu powiedzieć, że nie przyjmuję...

— Nawet pieniędzy?... — zadrwił cynicznie Żagwin — służba mi tego nie mówiła i nie miała czasu...

Laura w najwyższym zmieszaniu przygryzła wargi.

— Po co się tu pan wcisnąłeś? — pytała dalej z wymuszonym spokojem i z groźnym naciskiem. — Po pieniądze? Ja panu żadnych pieniędzy nie winnam. W interesie? Ja interes z panem skończyłam... Wygotowałam skrypt sprzedaży moich pretensyj, oto go masz!

I wydobywszy z biórka papier podała go Żagwinowi.

Żagwin stał niemy, nieruchomy, i nie wyciągnął ręki po papier.

— Bierz pan i opuść mój dom natychmiast!...

I nie czekając odpowiedzi rzuciła mu papier pod nogi.

Żagwina twarz posiniała. Ruszał wargami, jakby daremnie usiłował słowo wydobyć z siebie. Potem nachylił się, pod-

jął papier, zdusił go w garści i zrobił ruch, jakby cisnąć go chciał w oczy Laurze.

Tadeusz chwycił Żagwina za ramię i zawołał:

— Bezczelny!...

Żagwin jednym wstrząśnieniem muskularnego ramienia uwolnił swą rękę. Nie spoglądając nawet na Tadeusza postąpił ku Laurze i z szyderskim spokojem, pod którym wrzała wściekłość prawdziwa, zawołał:

— Piękna pani! Ja twoich pretensyj nie kupowałem! Ja twój uśmiech kupiłem, twoje wdzięki! Ty nic innego nie masz do zbycia! Jak ty się tanio sprzedawałaś, kobieto, że dotąd nie masz milionów! Bądź droższą, piękna Lauro, bądź droższą, poki czas jeszcze!

Laura zadzwoniła na służbę. Tadeusz w najwyższym gniewie pochwycił Żagwina za ramię i krzyknął:

— Bezwstydy niktzemniku, uchodź!

I tak silnie go odtrącił, że Żagwin kilka kroków w tył się zatoczył.

— Młokosie! — zgrzytnął do Tadeusza — poczekaj chwilę, i z tobą pomówię! Ale daj mi skończyć! Ty nie wiesz chłopcze, co ty za skarb posiadasz w tej kobiecie! To jeniealna.... przyjaciółka! Wiesz ty, że ona oszukała największego oszusta, mnie! Żagwin świat cały oszukał, a ona Żagwina!...

— Zwolna, zwolna, wróbelku! — ciągnął dalej, mierzając swem jadowitem spojrzeniem nieposiadającego się w gniewie Tadeusza — jesteśmy w porządnym towarzystwie! To bardzo porządna królowa, a ty paż bardzo porządny! Pa-

nie Tadeuszu Warski, ty się wybornie bawić możesz z twoją jedyną... Ona taka uczynna, taka miłosierna, że nawet mąż jej się wyrzekł dla publicznego dobra! Ona taka wesoła, że jęk konającego jedynego dziecka nie trafił do tych piersi, choć ot nagie są, jak widzisz, młodziku!....

Tadeusz patrzył ze zgrozą na Żagwina.

— Nie wierzysz? — mówił tenże dalej z szatańskim szyderstwem — Nie róbże jej krzywdy! Ty się gorszysz, ty co białe te piersi wolisz, niż biały włos starca, który cię wychował!

— Łotrze! Nie mieszaj tej siwej głowy w twe plugawe słowa! — zawołał drżąc z gniewu i oburzenia Tadeusz.

— Bodaj ci się ona trupa czaszką mieszała w twe rozkosze, pite z tego gościnnego kielicha słodocy! — zawołał Żagwin wskazując na Laurę. — Coż, ty nie wierzysz może, że ona wrzuciła do więzienia starca, aby pozyskać ciebie młodego?...

Laura, na której dzwonięcie nikt nie przybywał, rzuciła się ku pokojom.

Żagwin stanął we drzwiach, jakby się wmurował w ich otwór swemi szerokimi piersiami, i mówił dalej:

— Tylko cierpliwie! Jeszcze chwilka tylko! Ty panie Warski udajesz, że niby nie wiesz! Aby sobie ciebie, gaszka gładkiego, kupić, potrzebowała pani Laura pieniędzy, aby dostać pieniędzy, trzeba było pozyskać Żagwina, aby Żagwina tem łatwiej pozyskać, trzeba było zgodzić się, aby Zakrucki spoczął sobie na starość w więzieniu...

— To prawda! wszystko prawda! Nie rób takiej miny, panie Warski! Ta kobieta chciała wydrzeć majątek najlepszemu przyjacielowi Zakruckiego. Ten przyjaciel jest jej mężem, co tyle dla niej znaczy, co rękawiczka... Mnie ten proces sprzedała, ja więc za jej zgodą zadenuncjowałem tego starca, ja!

Tadeusz z przerażeniem patrzył na Żagwina.

Laura, która siedziała jak na torturach, zawołała na Tadeusza drżącym od gniewu głosem:

— Panie Tadeuszu! Usuń mi z oczu tę gadzinę, on szalony, pijany!...

— Nie, piękna pani — odparł Żagwin kłaniając się grzecznie — ja właśnie co wytrzeźwiałem! Panie Tadeuszu, raczej usuń ty sobie z oczu siwą głowę Zakruckiego, który z twojej przyczyny jeśli nie zgnije w niemieckim lochu, to umrze żebrakiem u płotu... Usuń ty sobie z oczu jego córkę, która z twojej przyczyny wodzić go będzie, jak drugiego Belizara, chyba że wypędzona z rodzinnej wioski, pójdzie może z potrzeby za przykładem tej... pani Laury!

— Ja ci opowiem historyjkę, panie Warski! — ciągnął dalej syczącym głosem — Był jeden młody człowiek, który bardzo kochał swego opiekuna i swoją ojczyznę. O bardzo! tak namiętnie, jak ciebie pani Laura! Otoż raz zapotrzebował ten ukochany opiekun dla tej ukochanej ojczyzny czego? pieniędzy, bez których tak ojczyzna jak i pani Laura się nie obejdzie! Wysłał w tym interesie owego tak kochającego młodzieńca. Młodzieniec sprawił się dobrze, pożyczył pie-

niądze i dał, gdzie należało. Ale oto opiekuna zapakowano do kozy, a ów żyd, dobrodziej ojczyzny, co pieniędzy pożyczyl, zaskarżył. I oto, gdy uwięzionemu udzielono pozw pokazało się, że ów kochający młodzieniec użył sobie zaufania kochanego opiekuna i pożyczyl pięć razy tyle, aby i ojczyzna i on mogli się tem podzielić. Ojczyzna, stara, mniej wzięła niż młodzieniec, bo młody ma większe wydatki. Kochana ojczyzna, kochany opiekun, oboje teraz w kozie, a kochający młodzieniec hula sobie po Lwowie...

Tadeusz jak lew rzucił się z miejsca.

Żagwin założył ręce na piersi i mówił dalej, zmuszając się do spokoju:

— Zajeła cię historia! *Nomina sunt odiosa!* Ale ja ci i imiona powiem... Ten kochany opiekun, to pan Zakrucki, ten kochający młodzieniec, to pan Tadeusz Warski, żydek Naftal się zowie, a jego obrońca prawny — Żagwin do usług...

I sięgnąwszy do kieszeni surduta wydobył z niej jakiś papier.

— Oto w tym małym świstku kryje się grom na siwą głowę starca, z tego świstku szczyrzy się nędza, wyglądają łachmany... To sądowy dekret zatradowania ostatniej wioski Zakruckiego... Wyrobiłem go dla mego klienta, dziś właśnie doręczono mi ten dyplom na śmierć pod płotem!... Chcesz może tego papieru, zawiniesz weń może karmelki dla pięknej Laury?...

Tadeusz drżał jak liść...

— A teraz już nie chcę dalej wam przeszkadzać! Kończcie, jakżeście zaczęli!... Żegnaj cię, piękna pani, nie na zawsze jednak, do widzenia, do miłego! *Adieu* rycerzu! Dobrej zabawy!...

I Żagwin jak szalony wybiegł z budoaru...

XVII.

Shylockowe sprawy.

Wrócimy teraz na chwilę do Bogusławskiego, z którym niedawno zapoznaliśmy czytelnika. Koleje naszego dyrektora-artysty różne były i zmienne we Lwowie. Oto kilka chwil z jego pobytu w galicyjskiej stolicy.

O wiosennej porze spieszyły całe gromady Lwowian za miasto... Panowie i panie, studenci i rzemieślnicy, wiedzeni ciekawością opuszczali każdego pogodniejszego dnia mury miasta, aby oglądać nadzwyczajne, nowe, nigdy jeszcze nie widziane widowisko...

Miejscem tych widowisk był ogród Jabłonowskich. Pod olbrzymiemi lipami, o których mawiano, że sadzone były jeszcze za Jana III, kiedy wracając z wyprawy wiedeńskiej, przez Lwów przejeżdżał, gromadziła się licznie publiczność i z najwyższem zajęciem przypatrywała się widowisku.

Widowiskiem tem była budowa amfiteatru. Bogusławski budował letni gmach teatralny w ulubionym ogrodzie, a gmach ten zajął do najwyższego stopnia uwagę całej prawie ludności Lwowa. Już sama budowa niezwykłego teatru budziła ciekawość powszechną, a coż dopiero przepowiednia tego, co gmach ten wypełnić miało swą treścią, ożywić

duchem! W nowym amfiteatrze miała poznać publiczność nowy utwór polski, narodowy, który nie dawno, bo przed wybuchem powstania, tak niezmiernie entuzjazmował całą Warszawę...

W nowym amfiteatrze mieli Lwowianie ujrzeć po raz pierwszy „Krakowiaków i Górali”... Rozpowiadano sobie o tem, podawano z ust do ust jako najmiłą wiadomość, radowano się z góry widowiskiem. Władze austriackie po niejakich korowodach i po wymazaniu kilku ustępów przedłożyły sztukę tę rewizorjum generalnej cenzury w Wiedniu, a gubernator Kalenberg przyrzekł Bogusławskiemu, że nie dozna przeszkód w odegraniu tego narodowego utworu...

Nim atoli przyszło do skutku to upragnione widowisko, przypatrywano się z ciekawością budowie samego gmachu. Nowy amfiteatr zasługiwał też na takie zajęcie Lwowian. W jednym z ośmiu ogromnych czworoboków ogrodu Jabłonowskich splantowano ziemię na trzy, coraz wyższe siedzenia, z których jak niegdyś w Rzymie, miała oglądać publiczność dramatyczne widowiska. Na wykopanych tym sposobem podwyższeniach urządzono parter, nieco wyżej tak zwaną galerję dam, a najwyżej raj dla biednych amatorów sztuki, paradyż.

Amfiteatr był ogromnych rozmiarów. Ściany jego drewniane pomalowane były według starożytnych reminiscencyj. Wewnątrz przedstawiały te malowidła posągi i płaskorzeźby, a zewnątrz połamaniami kolumnami i upadłemi kapitelami naśladowały ruiny starożytnego gmachu. Nowy amfiteatr

nie był pokryty. Jak lud ateński miała publiczność lwowska pod jasnym błękitem nieba przyglądać się idealnym kraikom i wypadkom sztuki...

Tymczasem przypatrywała się wzrastającemu gmachowi. Ile na przyszłość mieli artyści mieć widzów, tyle ich, a nawet daleko więcej mieli budownicy. Wielkie gromady ciekawych przypatrywały się budowie. Ale ciekawość ta doszła do najwyższego stopnia, gdy między wzniesione już ściany amfiteatru miano wpuszczać proscenium. Proscenium to budowało się z osobna i dopiero po ukończeniu miało stanąć na swoim miejscu. Wyobrażało ono rozwaliny starożytnej świątyni, dźwiganej przez szesnaście kolumn, a ocienionej koronami drzew zielonych.

Gdy proscenium już całkiem było gotowe, oznaczono dzień jego ustawienia. Architekt, pan Maraino, znaglony gwałtownem dopytywaniem się Lwowian, ogłosił dzień i godzinę publicznie. Gdy nadszedł upragniony termin, niemal Lwów cały wysypał się na murawę ogrodu Jabłonowskich. Coż to dopiero za widowisko było dla zgromadzonej publiczności, gdy to proscenium o szesnastu kolumnach, uchwycone dwunastu olbrzymiemi linami, dźwigane przez sześć kół ogromnych poczęło się wznosić ku obłokom, aby ztamtąd jak z Olimpu spuścić się między ściany amfiteatru!

Nigdy Lwów nie miał ciekawszego widowiska! Zgromadzone tłumy okrzykami towarzyszyły tej robocie, wznosiły grzmiące wiwaty na cześć architektury Maraino i Bogusławskiego! Na drugi dzień cały Lwów rozprawiał o wrażeniach widowiska. Odtąd zaś uwaga i ciekawość publiczności prze-

niosła się z gmachu na samą sztukę. Wyglądano niecierpliwie dnia, w którym ujrzeć miano upragnionych „Krakowiaków i Górali” — a im leniwszem okazywało się wiedeńskie rewizorium jeneralnej cenzury, tem niecierpliwszą stawała się publiczność.

W końcu nadeszło pozwolenie na odegranie „Krakowiaków”. Z całego prawie kraju zjeżdżały się rodziny do Lwowa na ten festyn, którym miała być pierwsza reprezentacja. Staczano formalne walki o bilety. Z jakimże dopiero zapalem powitano upragniony utwór, jaka burza oklasków i okrzyków zatrzęsła całym gmachem, gdy ujrzano narodowe stroje na scenie i usłyszano ochocze piosnki polskiego ludu! I smak, znudzony sztywnym, wiecznie na szczudłach kroczącym pseudoklasycyzmem, i uczucie narodowe tłumione niemiecką atmosferą, w którą stolica osłonić się musiała — znalazły w tym utworze nowy, żywy źródło wrażeń, które krzepiły i unosiły!...

Nazajutrz po przedstawieniu rozległo się po Lwowie echo nowej sztuki. Piosnki przechodziły od razu w usta ludności, nucono je sobie po ulicach, śpiewano po domach, a w kilka dni już każdy ulicznik powtarzał sobie zwrotkę:

Gdzie się w niewoli żyje,
Tam nie ma wzajemności —
Pies na powrozie wyje,
Każdy pragnie wolności!...

Tryumf, jaki odnieśli „Krakowiacy i Górale” musiał być słodką nagrodą dla Bogusławskiego. Była to jedna z rzadkich chwil prawdziwego szczęścia dla artysty, którego ży-

cie prawie całe było jedną ciężką, tułaczą pielgrzymką, jedną walką z losem i przykreimi stosunkami kraju. Czystem słowem polskiem, żywym uczuciem narodowym, krzepiącą nutą ojczystej pieśni, nakarmił on dusze i serca ludności galicyjskiej stolicy, tej biednej ludności, która w polskiem swem życiu ograniczona na zacisze domowych kątów, łaknęła żywszych, narodowych wrażeń....

Ale podejrzliwa cenzura nie dozwalała Bogusławskiemu, jak zamyslał, wystąpić z drugim jakim, podobnież na wskrós narodowym utworem. Myśl i uczucie polskie ukrywać się musiały w owych czasach pod zasłoną alegorji... Czytano wówczas we Lwowie i w całej zresztą Polsce z uniesieniem *Historję zawojowania miasta Peru w Ameryce*. W niszczonych okrutną ręką hiszpańskich zdobywców świątyniach, w mordowanych wodzach podbitego plemienia, upatrywano podobieństwo do smutnych losów własnej ojczyzny.... Była to najpatriotyczniejsza książka w tych czasach; polskie serce czytało w niej bolesne dzieje własnego narodu...

Bogusławski na podstawie tej historii amerykańskiego plemienia napisał melodramat: *Izkahar, król Guaxary*. Melodramat ten odegrany został w nowym amfiteatrze z bezprzykładnym prawie przedtem i potem w historii sceny lwowskiej przepychem wystawy. Oprócz całego towarzystwa dramatycznego i wielkiej liczby młodzieży szkolnej, która przebierała się chętnie za figurantów, występowało na scenie kilkuset żołnierzy austriackich, ubranych w stroje hiszpańskie, w szyku bojowym. Arsenale lwowskie dostarczyły

najrozmaitszych zbroi i kilkunastu dział, z których część ustawioną była na scenie, a druga część grzmiała podczas odgrywanej bitwy po za sceną. Dekoracje i maszynerje były niezmiernie efektowne.

Ale stokroć większym efektem niż dekoracje i maszynerje przysłużył się artystom i widzom dziwny przypadek. Z powodu długich przygotowań, potrzebnych do odegrania tak wystawnego melodramatu, przedstawienie spóźniło się i przewlekło przez całą noc aż do brzasku dnia... I oto w ostatnim akcie ujrzała publiczność prawdziwy wschód słońca, które okazało się właśnie nad proscenium, ozłacając promieniami swemi drzewa rosnące w pobliżu.... „Izka-har“ zaczął się sztucznym wschodem słońca, a zakończył prawdziwym, wspaniałym... Uradowana publiczność wracała do Lwowa przy jasnym brzasku wiosennego poranku...

Były to szczęśliwe chwile dla Bogusławskiego. Ale niestety chwile te już do wspomnień tylko należały!.. Wkrótce zmienił się stan rzeczy. Publiczność ochłódła z owego zapалу do sceny polskiej, a na tym samym parterze amfiteatru, który tak niedawno kłębił się morzem głów, dziś zaledwie pięciu samotników przyglądało się odgrywanej sztuce!... Narzucony układ z sceną niemiecką, narażał Bogusławskiego na nowe, coraz dotkliwsze straty; niektórzy artyści, zatrwożeni już zaraz początkiem niepowodzenia, opuścili go i wyjechali ze Lwowa, a biedny dyrektor znalazł się znowu w smutnej sytuacji, nie nowej wprawdzie dla niego, ale tem przykrzejszej, ileż następowała nagle po najpiękniejszych chwilach powodzenia...

Zapewne nad temi zmiennemi kolejami rozmyślał Bogusławski, kiedy siedząc przy swem biurku oparł głowę na ramieniu i oddał się smutnemu dumaniu. Tak go zastajemy w jego pomieszkaniu, w którym już raz widzieliśmy dyrektora wśród wesołego grona swych przyjaciół i towarzyszy....

Po chwili takiego dumania Bogusławski westchnął, uśmiechnął się z goryczą i szepnął sam do siebie:

— Sztuka i życie! O jakże dziwnie płaczą się na świecie te dwie drogi! Czemuż tak rzadko pogodzić się dadzą! Kiedy sztuka umiła mi życie, czemuż życie zatruwa mi sztukę?... Sztuka każe sobie poświęcić życie, życie każe się wyrzec sztuki...

I zajęty takimi myślami wstał z krzesła i począł się przechadzać po pokoju. Wśród tej przechadzki wzrok jego padł na duży stół z papierami. Na samym wierzchu tych papierów leżał zeszyt a na białej jego karcie stał napis: „Hamlet”. Był to przekład polski pióra Bogusławskiego. Ukończył go niedawno, a obecnie zajęty był przygotowaniami, aby tragedję tę poraz pierwszy przedstawić we Lwowie. Miało to być pierwsze przedstawienie Hamleta w Polsce.

Bogusławski wszystkie wolne chwile poświęcał rozmyślaniu nad odpowiedniem odegraniem tego dzieła. Była to myśl jego ulubiona, a im bliższą stawała się swego wykonania, tem bardziej go zajmowała. Zobaczywszy na stole przekład, wziął go Bogusławski do rąk i począł przeglądać. Umyślił skorzystać z wolniejszej chwili i przeczytać go raz jeszcze z piórem w ręku. Usiadł tedy przy biurku i czytał

z początku cicho później głośno, jakby chciał ocenić uchem, czyli proza, którą w przekładzie zastąpił wiersz oryginału, jest dość dźwięczną i silną.

W ciągu czytania przejmował się coraz bardziej utworem, a recytacja stała się deklamacją.... Zapomniał teraz o tem życiu, na którego przykrości skarżył się niedawno — sztuka zakryła je zasłoną swej poezji... Ale nie trwało to długo. Zwykle, codzienne życie spieszyło przypomnieć się artyście....

Bogusławski czytał właśnie czwartą scenę pierwszego aktu, w której duch pojawia się Hamletowi.

— Patrz! patrz, królewicu, oto idzie ku nam! — czytał — Wielki Boże i wy zastępy nieba! ratujcie nas! Jakimkolwiek ty jesteś, dobrym czy złym duchem... czy ciebie niebieskie czy piekielne otacza powietrze, w złym albo dobrym pojawiaasz się na świat zamiarze, ta postać, którą sobie przybrałeś....

— Kłaniam panu dyrektorowi! — odrzekł zapytany duch żydowskim akcentem.

Duch przybrał sobie tym razem postać małego rumianego żydka, który stał przy drzwiach i kłaniał się niżej.

Bogusławski spoglądał na witającego i głośny śmiech wyrwał mu się z piersi. Odłożył na bok manuskrypt i rzekł:

— To ty duchu! Coż mi powiesz Dawidku! Bodaj cię, przerwałeś mi niespodzianie, musiałeś gdzieś z pod ziemi wyrosnąć!

— Nie, ja drzwiami przyszedł, panie dyrektor — odpowiedział Dawidek — ja przepraszam bardzo, ale ja mam pilne, bardzo pilne interesa...

Dawidek był to jenerałny faktor teatralny, służebny duch dyrekcji i aktorów — przywiązany nietylko interesem ale nawet pewną sympatją do teatru, którego mniemał być ważnym członkiem... Dawidek nigdy nie mówił inaczej o towarzystwie dramatycznem, tylko „my“, a teatr nazywał zawsze „naszym“.

— Coż tam — zapytał Bogusławski — może co złego dla naszego teatru?

— Uchowaj Boże, nie — odparł Dawidek — w naszym teatrze już i tak dosyć źle, bez obrazy pana dyrektora. No, ale nam będzie lepiej, tak pod zimę, jak my zagramy piękne bardzo komedje, to będzie u nas znowu pełno! Ale ja mam inny interes do samej osoby pana dyrektora...

— Do mojej osoby... Masz ją tu, tylko spraw się prędko!...

— Ja pana dyrektora przyszedł przestrzedz, panu dyrektorowi coś złego chcą zrobić...

— Kto? za co?

— Nu ja nie wiem... Ale ja się bardzo przeląkł. Ach! co tu było rano, kiedy pana dyrektora nie było!

— Mówże do licha, co się stało?

— Bogu dzięki nic jeszcze. Ale może się coś stać! Ja tu był rano u pana dyrektora, ale pana nie zastałem w domu. Ja miałem interes o to płótno, co mamy kupić na nowe morze, więc myślę sobie, zaczekam pod drzwiami. Wtem nagle nadlatuje jakiś młody pan, jakiś szalony gwał-

townik, i tak strasznie puka do drzwi, że mało ich nie wyłamał! Ja mu mówię, że pana nie ma, on na to krzyczy, że nieprawda, że pan się schował przed nim! A taki był straszny, ach! oczy mu się tak świeciły, że od samych oczu małom nie zemdlał...

Bogusławski na pół z uśmiechem, na pół z zdziwieniem słuchał opowiadania.

— Jakto, pan się śmieje! — zawołał Dawidek. — To coś będzie strasznego, tu się nie ma co śmiać. Kiedy ten gwałtownik już wybiegł, to ja za nim cichaczem poszedłem, o sto kroków w tyle. On pobiegł do teatru i tam szukał pana i krzyczał jak szalony, i mówił że pana z pod samego piekła dostanie, jeżeli się pan chowa przed nim!...

— Głupi jesteś Dawidku, uroiło ci się! Dobrze, dobrze, dowiem ja się, kto się tak ze mną widzieć życzy. Coż mi więcej powiesz?...

— Nu więcej, to więcej, że tu był także Naftal z rana... On także gwałtem chciał się widzieć z panem dyrektorem...

Bogusławski zaglądnął do swych notatek i mruknął:

— Termin wypłaty!...

— On się bardzo mocno dopytywał o pana dyrektora i czekał długo... ale jak się na schodach pokazał ten szalony pan, tak on jak przed dzikim zwierzem uciekł przed nim na drugie piętro...

— Dziwne mi historie opowiadasz Dawidku — ozwał się z uśmiechem Bogusławski patrząc na twarz żydka, która wśród opowiadania nabrała wyrazu trwogi.

Wtem nagle szybki krok dał się słyszeć w przedpokoju.

— To on, pewnie on, ten szalony pan! — zawołał z przestachem Dawidek i rzucił się w drugi kąt pokoju.

Ale zamiast owego groźnego gwałtownika wszedł do pokoju Naftal.

Znamy już tego słynnego lwowskiego Shylocka. Postać jego zawsze przykre sprawiała wrażenie, ale w tej chwili była jeszcze dziesięćkroć wstrętniejszą niż zazwyczaj. Był blady i zmęczony, ale małe przenikliwe oczy świeciły się jakby w gorączkowym rozdrażnieniu.*)

Wszedłszy do pokoju rozglądał się dokoła ostrożnie, a ujrawszy Dawidka zwrócił się z znaczącem spojrzeniem do Bogusławskiego i rzekł półgłosem:

— Ja mam ważny interes do pana dyrektora!

Ale Dawidek nie czekając na zawezwanie, uklonił się nisko Bogusławskiemu i wysunął się za drzwi. Naftal ujrawszy się sam na sam z dyrektorem odezwał się:

— Przecież raz pana dyrektora zastałem...

— Szukałeś mnie niedawno daremnie.

— Byłem tu dwa razy.

— A teraz mnie zastałeś daremnie... — uśmiechnął się Bogusławski.

Naftal uśmiechnął się także i odpowiedział:

— Niech pan będzie spokojnym, ja nie w tym interesie przyszedłem do pana. Czy możemy być pewni, że nam nikt nie przeszkodzi? — dodał oglądając się na drzwi.

*) Wplecione w naszą powieść zajścia między Bogusławskim a lwowskim lichwiarzem są autentyczne. Zdarzenie to opowiada Bogusławski w Dziejach teatru.

— Nie spodziewam się nikogo — odparł Bogusławski.

Żyd mimo tej odpowiedzi zasunął drzwi ze środka. Potem spojrzawszy swemi małemi oczkami badawczo na Bogusławskiego i począł:

— Panie dyrektorze! Pan jesteś honorowy i sumienny człowiek, pan mi nie odmówisz pomocy?

— Ależ panie Naftal — odparł z zdziwieniem Bogusławski — ja nie wiem o co chodzi, tłumacz się wyraźniej!

— Posłuchaj pan. Przed kilku laty jeden pan pożyczył u mnie trzysta tysięcy dukatów. Pożyczyłem bez obawy, bo ufałem mu bardzo. Tymczasem minął długi czas, a dług nie został mi zapłacony. Coż mi pozostawało innego, jak zaskarżyć? Uczyniłem to, i oto przekonałem się, że nikomu w świecie ufać nie można. Panie łaskawy! mnie chcą oszukać, zrabować, okraść! Pan mi jeden dopomódz możesz!

Naftal mówił to wszystko tonem dotkniętego pocziwca, z miną niewinnej ofiary — ale małe jego, chytre oczko zdradzały dość wyraźnie obłudę słów...

— Nie rozumiem cię człowiecze! Przecież mnie nie masz za prawnika?

— Zaskarżyłem dłużnika, a oto on wyparł się, jakoby pożyczył u mnie taką sumę i przyznał tylko, że winien trzy tysiące dukatów, utrzymując, iż przez dopisanie jedyńki sfałszowałem wydany mi przez trzecią osobę oblig...

— Ależ, kochany panie Naftal, co to mnie obchodzi? — przerwał Bogusławski.

— Pan pamiętasz, jak u mnie pożyczaleś dla siebie pieniądze? — zapytał Naftal w odpowiedź.

— Pamiętam i nie zapomnę! — westchnął z uśmiechem Bogusławski.

— Pan w mojem pomieszkaniu pisałeś oblig?

— Tak jest.

— Pan go pisałeś według formularza, który panu przedłożyłem.

— Tak, ale coż ztąd wypływa?

— Tym formularzem był właśnie ów kwit, o którym mój dłużnik mówi, że go sfałszował.

— A zatem?

— A zatem pan widziałeś, że ten oblig wystawiony był na 13 tysięcy dukatów...

Bogusławski chciał przerwać, ale Naftal mówił szybko dalej:

— A zatem pan widziałeś, że na tym kwicie podpisany był pan Zakrucki... Pan to wszystko widziałeś i zaświadczysz o tem przed sądem...

Słowa te wymówił Naftal na pół proszącym na pół stanowczym głosem i spojrzał bystro na dyrektora.

Bogusławski cofnął się na krok w tył i patrząc z zdumieniem na żyda, rzekł:

— Panie Naftal mylisz się! Ja nie nie widziałem!

Żyd gwałtownie rzucił się na miejscu.

— Jak to pan nie widziałeś! Pan przepisywałeś oblig a nie widziałeś go! Pan żartujesz!

— Przepisywałem oblig, ale sumy jego nie pamiętam, bo mnie nie obchodziła. Co się tyczy nazwiska, tyś go umyślnie przykrył osobnym papierem...

Żyd rzucił na Bogusławskiego jadowite spojrzenie.

— Pan tylko żartuje! Pan tylko żartuje! — zawołał — pan widziałeś!

— Kłamiesz! — zawołał zniecierpliwiony dyrektor.

Żyd cofnął się w tył przestraszony.

— Niech się pan nie gniewa! — rzekł drżącym głosem — niech pan pozwoli mówić z sobą spokojnie... Panie, ja byłem dziś o tę sprawę w sądzie...

— Coż mnie to obchodzi?

— Ja przed sądem powołałem się na pana! Powiedziałem, żeś pan oblig widział i że poświadczysz w moim procesie...

Bogusławskiemu żyły krwią nabiegły na czole...

— Bezczelny szalbierzu, kto cię do tego upoważnił? — krzyknął z oburzeniem.

— Czy pan myślisz, że ja na prawdę sfalszowałem oblig? — zapytał Naftal dziwnym głosem.

— Gdyby ci to zarzucono, nie miałbym powodu nie wierzyć.

— Dobrze! — zawołał żyd — jeżeli nie sfalszował, to muszę wytrwać, aby nie stracić moich pieniędzy; jeżeli sfalszował, to muszę wytrwać, aby nie pójść do kryminału... Dla tego zostawmy to na boku! Jeżeli pan zaprzeczysz przed sądem memu zeznaniu, i ja i moje pieniądze pójdziemy do licha!

— Ratuj się jak możesz, ale nie tykaj mojej osoby.

— Ja się chcę ratować, ale za pańską pomocą. Łaskawy panie, pan mi jesteś winien dwieście dukatów...

— Tak jest.

— Dobrze! pan mi teraz nic nie winien!

Bogusławski schmurzył groźnie czoło.

— Pan mi nic już nie winien! Nie! Ja jeszcze panu winien! Ja panu winienem sto dukatów! Wypląć je zaraz gotówką!

— Łotrze! — zawołał w największym oburzeniu Bogusławski — ruszaj!!

Żyd pobladł okropnie i rzucił się ku drzwiom. Ale naraz stanął, i spokojny już choć blady zwrócił się do Bogusławskiego.

— Wyjdę zaraz — rzekł patrząc zjadliwie na dyrektora — ale przedtem muszę panu przypomnąć, że dziś termin...

— Wiem o tem...

— Jutro pan będziesz zawezwanym przez sąd w sprawie, o której pan nie wiedzieć nie chcesz! Ja się jutro po wszystkim zgłoszę...

— Coż ty grozisz mi, szalbierzu! — zawołał Bogusławski wskazując na drzwi.

W tej chwili usłyszał gwałtowne pukanie. Ktoś dobywał się z przedpokoju do drzwi i trząsał niemi silnie.

Żyd odskoczył przerażony. Zbladł i trząść się począł jak liść osikowy.

— Panie! To on! to on! — zawołał załamując ręce — on jest warjat! on mnie zabije, jak mnie tu zastanie! Ratuj mnie pan, nie opuszczaj!

— Kto?!

— On mnie szukał w domu, ja się przed nim kryć muszę! Gwałtu, on mnie zabije!

Wyrzekłszy to rzucił się Naftal ku drzwiom drugiego pokoju. Z drugiego pokoju wyjść można było drugim bokiem na schody.

— Niech pan nie otwiera, aż mnie nie będzie! Zmiłuj się pan!

I wołając tak znikł w drugim pokoju a ztamtąd wysunął się szybko na schody.

Podczas gdy Bogusławski z gniewem i zdziwieniem ściagał oczyma uciekającego żyda, pukanie stawało się coraz gwałtowniejsze.

Bogusławski pośpieszył otworzyć.

Ledwie odsunął rygiel, drzwi rozwarły się nagle i szeroko, a do pokoju wleciał jakiś człowiek blady, wzburzony, zadyszany.

Był to Warski.

Rzucił iskrzące spojrzenie na Bogusławskiego i zbliżył się do niego z namiętną żywością. Bogusławski spojrzał na nieznanego z zdziwieniem ale spokojnie.

— Pan jesteś Bogusławski? — zapytał Tadeusz głosem zmienionym od rozdrażnienia.

— Kto pan jesteś?... — odparł spokojnie Bogusławski, i karcącym wzrokiem zmierzył Tadeusza.

— Gdy się pan dowiesz — odparł żywo Tadeusz — nie będziesz mi patrzył tak spokojnie w oczy! Jestem Tadeusz Warski...

— Pierwszy raz słyszę imię tego straszego rycerza — odpowiedział dyrektor — i proszę go, aby mówił grzeczniej i spokojniej, czego żąda!...

— Pan dobrym jesteś aktorem, panie Bogusławski! — zawołał Tadeusz — ale ja nie mówię do aktora! Pan byłeś oficerem.. Ja mówię do oficera, jeżeli nie zapomniał jeszcze o honorze... Panie!, ja jestem ten, który w imieniu Zakruckiego wystawiłem ów oblig Naftalowi...

— Czy to wszystko, co ma usprawiedliwić pańskie ubliżające najście?

— Czy potrzeba mi czego więcej aby jak należy rozprawić się z człowiekiem, który...

— Panie! Miarkuj się!...

— Który podał rękę do niegodnego czynu!

— Milcz pan! proszę, jeżeli nie chcesz, abym skorzystał z praw gospodarza!

— Pan mi grozisz! Pan, który dopomagasz fałszerzowi, który świadectwem swem sprowadzasz nędzę na starca, hańbę na mnie!

Tadeusz mówił to w najwyższym wzburzeniu, głos mu drżał, oczy namiętnie się iskrzyły.

— Na Boga! Nie doprowadzaj mnie do własnego stanu! — zawołał Bogusławski — mów pan, czego żądasz odemnie!

— Pan świadczyłeś w sądzie za zeznaniem Naftala!

— To kłamstwo!

— Więc pan chcesz świadczyć! Naftal odwołał się do pana!

— Gdyby się był odwołał do ciebie samego młodzieńcze, czy zniósłbyś z tego powodu zarzuty, które mnie czynisz?!

— Gdyby na mnie się powołał, mówiłbym prawdę!

— Ktoż ci dał prawo myśleć inaczej o mnie?

— Dobrze, panie! Więc pamiętaj, że idzie tu o spokój ostatnich dni życia starca, który obecnie jęczy w więzieniu, o los jego rodziny, pamiętaj, że to kwestja życia lub śmierci człowieka, który stoi przed tobą!...

— Ty mi, mój młody panie, nauki nie dawaj! Ja jej nie potrzebuję!

— Więc powiesz przed sądem, że to fałszerstwo ohydne!

— Powiem, co mi sumienie powiedzieć każe!...

— Pan wymijasz moje zapytania!

— Takie pytania są obelgą! Dosyć tego!

— Dosyć tego! — zawołał namiętnie Tadeusz — tak! dosyć tego! Ale pamiętaj, że za słowa twoje odpowiesz mi wszystkim, co masz tylko człowiecze! Odpowiesz mi za nie twoją czią, twoją głową! Na Boga, pamiętaj o tem, bo ja ci to strasznie przypomnę!

I wyrzekłszy te słowa głosem prawie niezrozumiałym od namiętnego uniesienia Tadeusz wybiegł z pokoju...

Bogusławski znużony i rozdrażniony rzucił się na krzesło.

XVIII.

Kto kocha ojczyznę, niech idzie na Wołoszczyznę.

Opuścimy teraz Bogusławskiego, a zwrócimy naszą uwagę na Tadeusza...

Tadeusz mocno się zmienił od czasu owego zajścia z Żagwinem u Laury. Twarz jego zbladła i wychudła a wyraz młodzieńczej swobody, który przedtem tak krasił jego lica, ustąpił przed posępną chmurą troski i cierpienia...

Opisane w przedostatnim rozdziele sceny sprawiły na nim ogromne wrażenie... Kiedy Żagwin jak upiór zniknął już z budoaru, on stał przez chwilę jeszcze nieporuszony, skamieniały, aż nagle wybiegł, nie pożegnawszy się nawet z Laurą. Żagwin szyderstwem swem okropnem jak rozpalonem żelazem rozranił mu duszę, a słowami swemi rozbudził wszystko, co uspione rozkoszą i pieśzcotami Laury zamilkło już było w sercu...

Tadeusz zbudził się z wesołego snu... Wszedł w siebie i sądził swe postępowanie. Myśl, że Laura istotnie stała się winną intrygi, której ofiarą padł Zakrucki, i że on sam poniekąd tej intrygi był współwinowajcą, usiadła mu ciężką, duszącą zmorą na piersiach.

Ale nie to jedno tylko rozpieło cały umysł Tadeusza na tortury.

Żagwin uczynił mu zarzut okropny, zarzut haniebnego podłości... Tadeusz czuł się niewinnym, ale to nie zdołało ukoić jego rozpacz. Przypominał sobie wszystkie szczegóły pożyczki, którą, jak to sobie zapewne czytelnik przypomni, zaciągnął u Naftala dla Zakruckiego, a myśl, że może lekkomyślną nieostrożnością stał się przyczyną klęski, która miała ugodzić w uwięzionego starca, przyprowadzała go o szaleństwo!...

Mógł wprawdzie Tadeusz uczuć się wyższym nad haniebnego zarzut Żagwina, ale nie mógł być pewnym, czy Zakrucki także przeświadczonym jest o jego niewinności. I teraz dopiero z goryczą uznał, że Zakrucki mógłby w teraźniejszym jego życiu znaleźć dostateczny powód do tak okropnego podejrzenia! Nie podobna, aby starego rotmistrza nawet w więzieniu nie doszły wieści o jego życiu lekkomyślnem i swawolnem...

Tadeusz ani razu nie odwiedził Zakruckiego w więzieniu, ani razu nie dał mu dowodu dawnego współczucia i przywiązania. Raz tylko, i to bezpośrednio po powrocie, usiłował widzieć się z Zakruckim, ale nie uzyskał pozwolenia. Później, gdy już utonął w wirze szalonego życia, nie czynił nawet dalszych zabiegów... Ta obojętność Tadeusza mogła wyglądać w oczach Zakruckiego tylko na niewdzięczność, ale mogła też uchodzić za dowód złego sumienia, które odbierało winowajcy odwagę spojrzenia śmiało w oczy pokrzywdzonemu...

Była to straszna myśl dla Tadeusza — umysł jego upadł pod jej brzemieniem...

Tadeusz zaledwie zdobył się w pierwszych chwilach na to, aby zasięgnąć wiadomości o skardze Naftala. Przekonał się, że Żagwin nie kłamał. Naftal wytoczył pozew o trzyście tysięcy dukatów. Zakrucki, któremu skargę przedłożono w więzieniu, wystąpił przeciw niej z zaprzeczeniem. Pozwolono mu porozumieć się z jednym z adwokatów lwowskich.

Obronca prawny, który po oglądnięciu złożonego w sądzie obłigu był jak najmocniejszego przekonania, że oblig ten był sfałszowanym, wystąpił z zarzutem fałszerstwa. Na skrypcie liczba była wypisaną cyframi, a wyglądała tak, jakby pierwotnie oznaczała była tylko trzy tysiące, a dopiero przez dodanie jedyńki powiększoną została na trzysta tysięcy. Ślady tego sfałszowania były dość widoczne, a obrońca po otrzymanem zapewnieniu Zakruckiego, że nigdy takiej sumy nie pożyczał, wytoczył Naftalowi proces o fałszerstwo...

Wiadomości te, zebrane przez Tadeusza, trochę go uspokoiły. Ale niebawem nowe przypuszczenia trapić go poczęły.

Dowiedział się Tadeusz, iż Zakrucki był przekonany, że oblig sfałszowano. Ale Zakrucki skryptu osobiście nie wystawiał, powierzył to Tadeuszowi. Mógł go więc pofałszować albo Naftal — albo Tadeusz... Na kim ciążyło podejrzenie?...

Tadeusz chciał się zobaczyć z Zakruckim, ale brakło mu do tego odwagi. Za to porozumiał się z obrońcą prawnym,

który go zaraz na drugi dzień po owem zajściu z Żagwinem zawezwał do siebie... Tu się dowiedział Tadeusz, że Naftal opierał dowody autentyczności skryptu także na spodziewanem świadectwie Bogusławskiego. Za instrukcją adwokata przedsięwziął Tadeusz u sądów wszystkie kroki, jakie poczynić wypadało. Złożył zeznanie, że tylko trzy tysiące wypożyczył i na takąż tylko sumę oblig wystawił, wypisując tę sumę przez pospiech i nieświadomość tylko cyframi. Zeznanie to zaprzysiągł, a następnie stawał przed kratkami w obec Naftala. Na tem udział jego się skończył. Sąd nie potrzebował już dalszych zeznań z jego strony, miał tylko przesłuchać Bogusławskiego, którego świadectwo miało poniekąd rozstrzygnąć sprawę.

Tego samego dnia, kiedy Tadeusz z tak namiętnemi wyrzutami wpadł do Bogusławskiego, doszła go była wieść, że Bogusławski złożył już świadectwo na korzyść Naftala. Gdyby się Tadeusz nie był uprzedził tą mylną wieścią i nie dał się unieść gwałtownemu wzburzeniu, byłby może wracał do domu uspokojony odpowiedzią Bogusławskiego, tak zaś wywołał scenę, która nie mogła przynieść mu otuchy.

Tadeusz powróciwszy do domu znajdował się długo w stanie febrycznym. Gdy wreszcie udało mu się nieco uspokoić, począł myśleć dalej o swoim stanie. Szybko powziął decyzję. Umyślił opuścić Lwów, kraj — i szukać uspokojenia gdzieś daleko od drogiej osób, w obec których widział się dziś okryty hańbą podejrzenia... Przedtem jednak postanowił całem swoim mieniem zasłonić Zakruckiego od

klęski, jeżeliby proces wziął obrót niekorzystny. Jak już dawniej nadmieniliśmy, pozostała Tadeuszowi po ojcu mała wioska, którą zarządzał Zakrucki. Tadeusz był już pełnoletnim i mógł dysponować swym majątkiem. Udał się tedy do adwokata, któremu powierzona została obrona Zakruckiego, i tu spisał akt prawny, mocą którego rzekł się całej swej własności na rzecz Zakruckiego. Wioska Tadeusza była bardzo małą, dorównywała zaledwie dobremu folwarkowi, wartość jej jednakże, dzięki gospodarczym zabiegom Zakruckiego, była dość znaczną, aby pokryć prawie całą dofałszowaną część długu.

Zrobiwszy krok ten, Tadeusz uczuł ulgę. Mógł być przynajmniej pewnym, że ów opłakany los niedostatku, który tak okropnemi słowy odmalował Zagwin, nie zagrozi Zakruckiemu i jego córce. Następnie napisał Tadeusz list do Zakruckiego.

Pisał mu, że czuje całą niegodziwość swej lekkomyślności, że nie może wzniesć czoła od wstydu, że w chwili, kiedy dobrodziej jego i opiekun, druh najukochańszy jego ojca, ugodzony ciosem publicznej i osobistej klęski znajdował się w więzieniu, że w chwili, która mu jako niedobitkowi zwyciężonej sprawy powinna była smutkiem i grozą przeżywać duszę, dał się upoić życiem szalonym, rozpustnym, i zapomniał o obowiązkach, które mu najdroższymi być powinny.

Pisał dalej, że oskarżając się sam otwarcie o tak niegodne postępowanie, największą zań ponosi karę w niepewności, czyli nie upadł tak nisko w opinji Zakruckiego,

izby aż odpierać potrzebował podejrzenie udziału w haniebnej sprawie Naftala. Pewność, że przed Zakruckim nawet obrony nie potrzebuje, byłaby dlań końcem prawdziwej męki, wiadomość, że stała się mu ona już potrzebną — wyrokiem śmierci. Atoli ani w pierwszym ani w drugim razie duma i niewinność bronić mu się nie pozwalają. W końcu nadmienił Tadeusz, że rola, jaką w procesie odegrał, będzie Zakruckiemu znaną z aktów sądowych, i przyłączył prośbę, pełną najserdeczniejszego uczucia, aby przez litość samą nie odmówiono przyjęcia ofiary, którą zrobił w celu odwrócenia możliwej klęski...

List był długi i oddawał wiernie stan Tadeusza. Znalazły w nim wyraz wszystkie uczucia skruszonej a zarazem ciężko dotkniętej duszy...

Napisawszy list ten, pomyślał Tadeusz o sposobie, w jaki najprędzej otrzymaćby go mógł Zakrucki. Domyślał się, że rezydent dworku Promnickiego, Dederkało, utrzymywać musi pewne stosunki z więźniem. Po długiej tedy przerwie postanowił odwiedzić znowu opuszczony dworek i jego starych mieszkańców. Krok ten był mu bardzo trudnym — a trudność ta wydała mu się najlepszym wyrokiem potępienia, wydanym na ostatnie czasy jego życia... Zdawało mu się, że z pochylonem czołem winowajcy stanąć będzie musiał przed panem Dederkałą, że nawet przed dziadem Madejem nie będzie mógł śmiało podnieść oczu!

Było to już pod wieczór, kiedy Tadeusz wybrał się na halickie przedmieście. Dawno już nie szedł tą drogą. Wprawdzie na przechadzkach swych z Laurą przelatywał nieraz

w powozie tą ulicą, ale jakżeż innym był wtedy, jak obce mu były te wspomnienia, które teraz tem bardziej go wzruszały, im bliżej był dworku!...

Tyle się zmieniło od czasu, kiedy po raz ostatni zmierzzał do tego szarego niskiego domostwa, i w kraju, i w duszy jego... Zdawało mu się, że z zmian tych wyszedł nędznym wietrznikiem, że wraca nikczemnym włóczęgą do progów dworku, nie pewny, czy go tam przyjmą i jak go tam przyjmą!.. Gdy już stanął przed żelazną kratą, zatrzymał się na chwilę, jakby nie miał odwagi iść dalej... Dziedziniec zastał pustym i cichym. Wszedł do sieni, a z tamtąd nie widziany jeszcze przez nikogo, roztworzył z cicha drzwi do pokojów.

W pierwszym pokoju siedział przy oknie Dederkało; przez duże okulary czytał jakąś poszarpaną książkę — i śnać głęboko był zajęty, bo nie uważał nawet wchodzącego Tadeusza. Tadeusz zbliżył się do niego z cicha i kładąc mu rękę na ramieniu rzekł:

— Panie Krzysztofie!

Dederkało porwał się z krzesła i ujrawszy Tadeusza opuścił książkę w zdziwieniu.

— Nie poznajesz mnie już panie Krzysztofie! Prawda, miałeś czas mnie zapomnieć!

— Pan Tadeusz! — zawołał Dederkało, ściskając serdecznie podaną rękę — jabym miał pana zapomnąć! Przecież, przecież raz przypominałeś nas sobie!

— A wy mieliście prawo zapomnieć o mnie!... Tak długo tu nie byłem! Tak długo!... — westchnął Tadeusz, rozglądając się po pokoju.

— Rok cały blisko! Ale to już nie, skoro tylko widzę tu pana teraz! — wołał Dederkało z twarzą ucieszoną. — O teraz cię nie puścimy, panie Tadeuszu! Teraz już nas sam nie opuścisz — dodał z znaczącym uśmiechem — zostaniesz tu pewnie z nami!

— Za długom tu nie był — za późno przyszedłem, abym miał prawo dłużej tu zostać... — odparł Tadeusz.

— Mój Boże! — rzekł Dederkało patrząc z współczuciem na Tadeusza — co się panu stało? Bładyś i nędzny, jakby po ciężkiej chorobie! Pewnieś pan chorował, a my o niczem nie wiedzieli! Czy to się godzi? A pan Zakrucki z więzienia dopytuje się o pana!

Tadeusz zadrżał mimowolnie.

— Czy widzisz się, panie Krzysztofie, z panem Zakruckim? — zapytał.

— Rzadko! bardzo rzadko! Niemcy ani rusz przypuścić nie chcą! Dwa razy tylko dotąd się z nim widziałem.

— Czy masz sposób przesłać mu list odemnie?

— Sposób się znajdzie. Jutro nie ma na straży Kroatów, a inspekcję będzie miał stary oficer węgierski, poczciwy człowiek. Jutro i my posyłamy całą ekspedycję.

— Więc oddasz mu ten list odemnie... — rzekł Tadeusz i wręczył list Dederkale.

— A teraz polecam ci, panie Dederkało, jeszcze raz list ten i żegnam! — dodał ściskając dłoń starego konfederata.

Dederkało z smutnem zdziwieniem spojrzał na Tadeusza.

— Jakto? — rzekł — już pan odchodzisz! Czy to się godzi? Czy masz ty serce, panie Tadeuszu?

— Dziękuję ci stary przyjacielu, że dopiero teraz o tem powątpiewać zaczynasz... Jesteś bardzo dobry i pobłażliwy, panie Krzysztofie! Ale puść mnie, ja muszę odejść koniecznie!

— Nie puszczę. A zresztą zobaczymy, czy pan pójdziesz! Zostań pan tylko chwilkę, coś pokażę! Zobacz, a potem idź sobie niedobry człowiecze!

To mówiąc stary pociągnął za sobą siłą Tadeusza ku drzwiom, roztworzył je, i wepchnął ociągającego się do drugiego pokoju. Była to znajoma już naszym czytelnikom sala.

Tadeusz spojrzał przed siebie i cofnął się z stłumionym okrzykiem...

Przed sekretarzem Zakruckiego siedziała Zosia...

Obrócona bokiem do drzwi i stojącego w nich Tadeusza, oparła głowę na ramieniu. Czysty, pełen słodkiego, dziewiczego powabu jej profil, uderzył Tadeusza wyrazem smutku i cierpienia... Kiedy Tadeusz stanął w progu, oczy jej spuszczone ku ziemi podniosły się właśnie ku sekretarzowi i spoczęły na portreciku pięknej damy, który nad nim wisiał...

Było to spojrzenie, w którem było coś więcej niż ciekawość... Malowały się w niem ból jakiś i smutek cichy...

Świetna wdziękiem, uśmiechnięta twarz młodej, pięknej kobiety na portrecie, zdawała się nawzajem z złocistych

ramek patrzeć na smutną dziewczynę... Oczy jej zdawały się ożywiać ognistym, demonicznym blaskiem i z tryumfującym szyderstwem spoglądać na Zosię...

Tadeusz mimowolnie towarzyszył spojrzeniu Zosi i wzrok jego utkwiał na jasnym portreciku... Lecz za pierwszym razem spojrzeniem zadrżał, zachwiał się a z piersi wydobyło mu się szeptem słowo:

— Laura!...

W tej chwili posłyszała Zosia szmer w pokoju, i powstawszy z krzesła, obróciła się ku drzwiom...

Ujrawszy Tadeusza oblała się rumieńcem i spuściła oczy na dół... Tadeusz stał zmięszany, nieruchomy, i zaledwie na ukłon się zdobył...

Dederkało spozierał na nich, a oczy serdecznie mu się śmiały...

— Pan Tadeusz... — szepnęła Zosia cofając się w tył pokoju.

Tadeusz stał jak na żarzących węglach. Widok Zosi był tak niespodziewany, tak silne na nim sprawił wrażenie, że nie mógł zebrać ani myśli ani słów.

— Panno Zofjo — ozwał się wreszcie — pan Krzysztof tak niespodziewanie, podstępnie mnie tu wprowadził...

— Żałuję ofiarę podstęp... Panu, nie mnie przysłuża prawo darować go Krzysztofowi... — odpowiedziała Zosia drżącym nieco głosem, ale z pewną dumą i wyrzutem.

— A pani, czy gniewać się będziesz za ten podstęp?...

— Nie winnam, że pan Krzysztof uznał go potrzebnym... Ale dziwię się panu Krzysztofowi... — odparła Zosia, a twarz jej była blada i spokojna jak dawniej.

— Panno Zofjo! — zawołał Tadeusz — nie bierz słów w tak złem znaczeniu... Niegdyś inaczej witałem, inaczej witany!...

— Niegdyś... — powtórzyła szeptem Zosia...

I skłoniwszy się, zrobiła ruch ku drzwiom przeciwnym.

— Pani! — zawołał Tadeusz posuwając się naprzód — czyż nic więcej nie masz mi do powiedzenia?

— Nic, coby mogło zabrać panu czas zapewne zajęty... — odpowiedziała Zosia cichym głosem, a oczy jej poniewolnie przesunęły się po portrecie Laury.

Tadeusz widział to i oczy swe odwrócił od obrazu, który zdawał się szydzić z niego.

— Nic prócz pozdrowienia ojca, przesłanego panu z więzienia... Ale to było dawno, zapóźno je oznajmiam...

I Zosia, bledsza niż przedtem, z nowym ukłonem zniknęła z pokoju.

— Za późno! — zawołał Tadeusz — o! tak, za późno!

I przyłożył dłoń do palającej swej skroni. Nagle wystąpił naprzód i wyciągnął ramię, jakby chciał kogoś powstrzymać, lub o coś prosić. Wzrok jego przebiegł salę. Była pusta. Tylko stary Dederkało stał za nim i z zdziwieniem wzruszał ramionami.

Nie! sala nie była pustą... Z złożonych ramek wabiła Tadeusza okiem płomiennem i uśmiechem wdzięcznym — Laura.

Tadeusz ze wstrętem cofnął się z progu do drugiego pokoju.

— Bywaj zdrów, stary! — zawołał tu do Dederkały — bywaj zdrów panie Krzysztofie! Kto wie, czy mnie obaczysz kiedy!

— Panie — odparł Dederkało, chwytając Tadeusza za rękę — ja tego nie rozumiem, ja nie nie rozumiem! Na Boga świętego, co tu się stało!

Tadeusz nic nie mówiąc wyrwał swą rękę i pospieszył ku drzwiom.

— Ale zaczekajże, zaczekaj panie Tadeuszu! — wołał pan Kszysztof, chwytając powtórnie Tadeusza za ramię. — Chciałem panu zrobić niespodziankę i zapomniałem o najważniejszej sprawie! Ja mam list do ciebie, panie Tadeuszu, list od pana Zakruckiego!

Tadeusz zatrzymał się nagle i skwapliwie zwrócił się do Dederkały. Z gorączkowym pospiechem uchwycił list podany i nim Dederkało opamiętać się zdołał, zniknął z pokoju....

Tadeusz zatrzymał się dopiero za bramą dworku. Tu stanął przy drzewie i z zapartym oddechem rozłamał pieczętkę. Począł czytać z pospiechem.... List był pisany ołówkiem a po literach poznać było można, że Zakrucki pisząc go korzystał z krótkiej chwili zwolnionej czujności straży....

Zakrucki zaczynał od wyrażenia swej obawy i niepokoju o Tadeusza, który od czasu uwięzienia nie przypominał się ani słówkiem. Ustęp ten owiany był uczuciem szczerej ży-

czliwości — ale krył w sobie także bolesne wyrzuty... Dyktowało go serce kochające — ale dotknięte i zawiedzione...

Po kilku dalszych ustępach, traktujących o rozmaitych osobistych sprawach Zakruckiego, list tak się kończył: „A teraz, kochany Tadeuszu, muszę wspomnieć o skardze Naftala, choćby dlatego, aby dać znak, że wiem o niej. Bądź pewnym, że spokojnie ją przyjąłem. Ja dziś już tak jestem nieczuły na wszelkie klęski, że nawet i ta nowa grożąca mi, znajdzie mnie przygotowanym, jeśli się istotnie fałszerstwu uda zatryumfować nad prawdą...

„Jedno jest tylko w całej tej nieszczęsnej sprawie, co mnie trapi i zasnąć nie daje... Ale jak ci to powiedzieć, mój drogi! Straszno mi... Przebacz mi, błagam, Tadeuszu! Ja wiem, żeś ty w całej sprawie jak krzyształ czysty, ja pierwaj bym oddał głowę moją niż to przekonanie! Przebacz jednak starcowi, jeżeli śmie wyrazić słowa, które oburzają twe szlachetne serce. Ten starzec tyle przeżył, tyle doświadczył!... Trudno mi napisać, co zamierzyłem. Ale słowa te dyktuje mi miłość ku tobie, a miłość silniejsza nad inne względy.

„Tadeuszu, jeżeli — przebacz — jeżeli sprawa ta nieszczęsna tak stoi, że moje wystąpienie przeciw niej nie jest uzasadnione prawdą, jeżeliby zarzut fałszerstwa uczyniony żydowi, mógł ciebie postawić w przykrej pozycji, donieś mi, szepnij słówko, a cofnę wszystko, uznaję wszystko... Cożem napisał! Przebacz starcowi...

Tadeusz zachwiał się, przeczytawszy ten ustęp listu. Zbladł jeszcze bardziej a papier zwinął się w kurczowem ściśnieniu jego dłoni...

— Stało się! — zawołał głosem pełnym boleści — Zakrucki przypuszcza, że się tak haniebną dopuścił podłości!

I serce zabiło go okropnie...

Chwilę stał bez przytomności, bez pamięci! Nagle się obudził z otętwienia i jakby rozpaczą pędzony, biegł dalej....

Ach! jakże ten świat, który przed kilku dniami tak mu był jasny, tak słońca i pogody pełny, zaciemnił mu się nagle, jakimi czarnymi chmurami zasunął się przed jego duszą!...

Tadeusz czuł, że wszystko utracił, co mu najdroższem było w życiu.... Jedno widzenie się z Zosią wystarczyło, aby rozbudzić w jego sercu wszystkie dawniejsze uczucia ku niej, aby zatrzeć w duszy wszystko, co było tylko obłędem, chwilową namiętnością... Uczuł dopiero teraz, że kocha Zosię, że nigdy innej nie kochał, a uczuł w chwili, kiedy stracił na zawsze prawa do tej miłości...

W piersiach jego zawrzała szalona burza... Zdawało mu się, że z tego stanu nie było innego wyjścia — jak tylko śmierć.... Cała namiętność zranionej do głębi duszy odezwiała się w zrozpaczonem młodzianie...

W tej chwili był gotów do najgwałtowniejszego kroku...

Ale i rozpacz miewa swe natchnienia... Takim natchnieniem zabłysła Tadeuszowi myśl, którą dawniej, wśród upojenia przy boku Laury, zająć się nie miał czasu...

Przypomniały mu się wszystkie tajemnicze wieści, które od niejakiego czasu Lwów obiegały... Wieści te mówiły o nowych usiłowaniach walki, do której się gromadziły garstki wojowników polskich, bohaterów rozpacz i poświęcenia...

I stały mu przed oczyma gromadki ludzi, którzy nie chcąc, nie mogąc przeżyć niewoli, szli do walki bez żadnej nadziei, prócz tej może, że znajdą śmierć nie w kajdanach, ale z szablą w wolnej, polskiej dłoni...

Ludzie ci rzucili wszystko na świecie! Słabszym zostawili skargi bezsilne, a sobie jeden tylko, ostatni cel — walkę, której jedynym możliwym tryumfem była śmierć bohaterów...

— Ja do tych ludzi należeć będę — zawołał Tadeusz — ostatni między nimi, jedyny niegodny w ich orszaku!

Postanowienie to było dlań ukojeniem, przejęło duszę jego otuchą rezygnacji. Spokojniejszym już wracał do domu.

A gdy stanął u drzwi swego pomieszkania, ujrzał na nich przybitą kartkę.

Na kartce tej stał napis:

KTO KOCHA OJCZYZNĘ,
NIECH IDZIE NA WOŁOSZCZYZNĘ.

XIX.

Nad Dniestrem.

Była to noc ciemna i wietrzna...

Niebo osłonięte było gęstemi, szaremi chmurami, które łamane przez wichry w najdziwniejsze kształty, rozdzielane w olbrzymie, szare szmaty, pędziły szybko ku wschodowi, pozwalając od czasu do czasu wychylić się na widok księżycowej tarczy...

Okolica była pusta i bezludna, a niepokodna, chmurna noc oblekła ją jeszcze w posępniejszą szatę... Od wschodniej strony sterczał czarną masą las ogromny i głuchym szumem towarzyszył wichrom. Od tego lasu rozpoczynała się pusta, nie przejrzana nizina, obrosła gdzieś tam małymi krzakami, skłębiona nieznacznymi wzgórkami, i ginęła swym krańcem gdzieś w dalekiej ciemni...

Za każdym razem, gdy z poza przedartej opony chmur wypłynął księżyc, jak ognista kula zśród kłębow gęstego dymu, zamajaczył na dolinie tej jakiś jasny, siny smug... Był to Dniestr. Zdawało się, że szerokim swym strumieniem wypływał z łona ciemnej chmury, co zamykała horyzont, a przebiegłszy kilku potężnymi skrętami nagą dolinę, owijał się około lasu i przepadał w jego cieniach...

Na samym brzegu lasu szarzała się jakaś postać. Jakiś mężczyzna owinięty w płaszcz, którego połami wiatr powiewał na wszystkie strony, stał oparty o drzewo. Przy nim dyszał i parskał koń, trzymany za uzdę przez nieznanego.

Z jeźdźca i jego konia spływała całemi strugami woda. Pan i koń przebyli snąć co dopiero Dniestr, a teraz odpoczywają po wysileniach przeprawy. Jeździec przykładł od czasu do czasu dłoń do oczu, i tworząc sobie tym sposobem naturalną lunetę, wyteżał wzrok po dolinie... Koń drżał od zimna i zwiesił głowę ku ziemi z znużenia...

Długo spozierał jeździec po ciemnej dolinie. Ale dolina była pusta i cicha, tylko nieraz z wiatrem załatywało z daleka głucho, niewyraźne echo jakiejś wrzawy...

Nagle tuż w pobliżu odezwał się głośny plusk wody i parskanie konia. Oparty o drzewo człowiek ruszył się nagle z miejsca i zwrócił wzrok ku stronie, z której posłyszał ten odgłos.

Plusk wody i parskanie konia zbliżały się coraz bardziej a towarzyszył im od czasu do czasu głos człowieczy...

Jeździec opuścił teraz swe miejsce, poskoczył do swego konia i wspiał się szybko na siodło. Przy wsiadaniu odezwał się chrzęst szabli — a koń jakby na odgłos ten nabrał nowej siły, podniósł łeb do góry i rażno wspiał się na kopytach.

Jeździec podjechał naprzód i skierował konia ku rzece. W tejże chwili księżyc wydarł się z po za chmur i oświecił okolice. Przy świetle księżyca można było dobrze roz-

poznać całą postać nieznajomego. Wychyliwszy się z konia naprzód, aby tem lepiej wysledzić przyczynę posłyszanego szmeru, opuścił płaszcz z ramion i odsunął z czoła czapkę.

W samotnym tym jeźdźcu poznajemy Tadeusza.

Ubrany był po żołniersku, jakby na wojnę i do obozu. Przy boku połyskiwała szabla, z pod siodła wyglądały olstry z pistoletami, a ładownica i opakowanie konia uzupełniały rynsztunek kawalerzysty. Z odzieży Tadeusza spływała woda, on sam dyszał jeszcze jakby po przebytem dopiero wysileniu. Podjeżdżając ku rzece Tadeusz opatrzył szablę i sięgnął ręką ku olstrom.

W ruchu tym posługiwał się tylko jedną, prawą ręką. Lewa wisiała nieco bezwładnie i obwiązana była białą chustką. Chustka ta miała na sobie ślady świeżej krwi i była tylko od biedy obwiązana. Poznać było można od razu, że Tadeusz sam na prędcie, o ile mu to było podobna uczynić jedną ręką, opatrzył swą ranę.

O kilkadziesiąt kroków od Tadeusza ktoś konno przepływał rzekę. Było to właśnie w miejscu, gdzie rzeka była najgłębszą a prąd jej najgwałtowniejszy. Jeździec i koń walczyli z nurtami widocznie z wyteżeniem sił wszystkich. Ale wyteżenia te były daremne; prąd rzeki skręcał się tu właśnie w szalonym pędzie na doł i uchwycił w swe spienione kłęby znużonego konia.

Koń zatonął głębiej, jakby w znak, że go reszta sił opuszcza, lecz wyciągnawszy szyję i łeb po wodzie, dał się jeszcze naprzód... Ale nacisk prądu stawał się coraz silniej-

szym i stawiać nieprzełamany opór jeźdźcowi uniosł go wraz z koniem w przeciwnym od brzegu kierunku...

Jeździec wydał okrzyk na konia, pobudzając go do ostatnich wysilen, ale biedne zwierzę już ledwie utrzymać się zdołało na wierzchu... Tadeusz widząc unoszonego przez nurty jeźdźca, puścił się za nim brzegiem rzeki. Niebawem zrównał się z nim znowu i ujrzał, że go w tej chwili wir uchwycił gwałtownie i zawinąwszy nim w kółko w toń swą pociągnął...

Koń parsknął raz jeszcze i z lekka zarżał — a po chwili zniknął wraz z swym jeźdźcem pod wodą...

Tadeusz w jednej chwili zeskoczył z konia, zerwał płaszcz z siebie i rzucił się do rzeki...

Z głośnym pluskiem rozdzieliły się pod nim zapienione fale i otoczyły go swym szumem i pryskiem... Tadeusz był dzielny pływaczem i jakkolwiek ranny, szybko zbliżył się do miejsca, w którym zniknęli mu z oczu koń i jeździec. Tadeusz ujrzał tuż koło siebie głowę utonionego, wychylającą się wraz z ramionami z wody.

Jeździec nie był już w stanie utrzymać się dłużej nad falami i tonął w przepaści wiru, czyniąc ostatnie już, płonne wysilenia... Jedna chwilka później, a ratunek Tadeusza byłby już daremny...

Tadeusz chwycił ranną swą ręką tonącego i wydobywając sił wszystkich rzucił się z nim w stronę przeciwną prądowi, do brzegu. Długo walczył z falami, które co chwila porywały go znowu na środek rzeki i co chwila pochłonięciem mu gro-

żyły, ale w końcu wydarł się im szczęśliwie i wraz z to-
pielcem dopłynął do brzegu...

Kiedy się Tadeusz znalazł już na brzegu, padł jak bez
duszy z znużenia. Uratowany jeździec porwał się tymczasem
na nogi, wstrząsł się i rozglądał do koła.

— Brrr! — zawołał — kąpiel zimna! Ale cóż ty panie
bracie, mój wybawco, teraz sam potrzebujesz ratunku?...

Tadeusz powstał z ziemi i rzekł:

— To nic, to zmęczenie tylko!

— Teraz powinienbym ci zacząć dziękować za uratowa-
nie życia — mówił dalej nieznajomy — ale tym razem muszę
ci zrobić zawód, młody przyjacielu, ja mam nieszczęście
być zawsze ratowanym... Widzisz, stary jestem, życie moje
już złamanego halerza nie warte, a ciebie byłoby szkoda...

Mówiąc to uściśnął dłoń Tadeusza.

— Zdziwisz się, że tak mówię — prawił dalej niezna-
jomy — dziw się, ale wierz, mówię prawdę. Kiedym był
w konfederacji i w jednej z ostatnich potyczek z regałami
i Moskalami, byłem tego bliski, wysliznąć się z tej ziemi
po ostrzu spisy kozackiej, czego sobie niewymownie życzy-
łem, znalazł się zaraz pocziwy pan brat, co mi uratował
życie... Kiedym później w Ameryce, pod Savannah, widział
jak na trzy kroki przedemną padł od kuli pan Puławski i
z srogą desperacją rzuciłem się naprzód, aby położyć stare
kości razem z panem Kazimierzem, znalazł się jakiś rajtar
amerykański, co mnie przeszytego kulą uniósł z pobojowi-
ską... Kiedym później wrócił do swoich i pod Maciejowi-
cami pragnął skończyć życie, jak przystało, pod bagnetem

moskiewskim, znowu znalazł się na nieszczęście jakiś wy-bawca i nie dał żołdatowi spełnić dzieła, za które byłbym mu w owej chwili błogosławił...

— Jedni szukają niebezpieczeństw, aby znaleźć śmierć, drudzy spieszą na ratunek, aby się także z nią spotkać... Niebezpieczeństwo jedno i to samo, cel może być także jednaki... — odparł Tadeusz.

— Słuszna uwaga Waszmości — ale ja już mam oso-bliwsze do tego nieszczęście... Ale oto, co najważniejsza, o to nie pytam... Waszmość jak widzę kolega?...

— Jestem z oddziału pana brygadjera Denyski.

— A to kolega, choć się tu po raz pierwszy widzimy. Musisz bowiem wiedzieć, że także należę do tego oddziału, choć go jeszcze nie widziałem... Po Maciejowicach wzięli mnie pokłutego w plen Moskale, i byłbym ich może żyw nie pożegnał, ale udało się uciec... Tym razem pomyślałem już sam, że lepiej paść od kuli, niż gnić w moskiewskim lochu. Na Wołyniu dowiedziałem się, że pan Denysko prze-darł się na Wołoszczyznę, i że ma przekroczyć Dniestr i stanąć znowu między swoimi. Coprędzej tedy wyprawilem się do niego, tak ot, jak mnie widzisz. Koń, szabla i burka! Ale nie zastałem już oddziału na miejscu. Słyszę, że dopiero co wyruszył, aby się przeprawić przez Dniestr, pędzę tedy co sił stanie i myśląc, że już nasi w kraju, przeprawiam się sam, a resztę historii już znasz...

— W dziwnem mnie pan znalazłeś położeniu — ozwał się Tadeusz — choć bowiem należę do oddziału, nic nie wiem o jego losach...

— Jakto? A gdzieżeś Wasze zostawił towarzyszy?

— Przed kilku godzinami rozstałem się z nimi. Wysłany wraz z kilku innymi na podjazd boczny, wziąłem się na prawo od oddziału, i przed dwoma zaledwie godzinami przepравиłem się przez rzekę. U brzegu czekał już na nas silny patrol austriacki, złożony z piechoty i z konnicy. Przywitano nas kulami, i nie dano dostać się na brzeg. Było nas czterech, z tych jeden utonął, dwóch padło już na brzegu, a mnie udało się małym kosztem przedrzeć się przez patrol i stanąć tu pod lasem...

— A o panu Denysce ani słyhu?...

— Właśnie w chwili, kiedy się ucierałem z patrolem, słyshałem strzały karabinowe i działowe w odległości może jednej ćwierci mili. Trwało to bardzo krótko, zapewne to nasi się tam przeprawiali...

— Jak silny był oddział pana Denyski?

— Dwieście koni!

— To mało! A słyshałeś działa, więc Austriacy mieli i działa z sobą... Coż Waszmość zamýślasz teraz zrobić z sobą?

— Mýślę udać się wprost w stronę, zkad strzały słyshałem...

— Więc jedźmy! — zawołał nieznajomy — Ba... jedźmy! a mój koń biedny pod wodą!

— Koń Waszmości wypłynął...

— Gdzie? jak? — zawołał z zdziwieniem nieznajomy.

Tadeusz wskazał na brzeg. O kilkadziesiąt kroków stał koń nieznajomego jeźdźca. Gdy go prąd wody rozdzielił od pana,

i tym sposobem uwolnił od ciężaru, wypłynął on na wierzch, i choć uniesiony dobry kawał naprzód, wydobył się na brzeg, a teraz wolnym krokiem zbliżał się do rozmawiających.

Nieznajomy ucieszył się swym koniem niezmiernie. Skoczył ku niemu, i chwytając go za grzywę począł go głaskać i klepać po szyi.

— Mamy tedy konie — ozwał się do Tadeusza — ale w takim stanie, w jakim się znajdują, nie lepsze one pewno od moich nóg starych.

— Ha! próbujmy — odparł Tadeusz i dosiadł swego konia.

Za jego przykładem poszedł i nieznajomy.

— Ale moje pistolety! — ozwał się naraz — zamokły na nic! Ładownica także pełna wody, z nabojuów błoto się zrobiło! No, ale szabla jest, a to dosyć!

— Mam aż trzy pistolety — odparł Tadeusz — mogę się podzielić. Przyjm pan choć jeden od przypadku.

I wydobywszy jeden pistolet z olstry wręczył go nieznajomemu, sam zaś z pasa wyjął i opatrzył mały ozdobny pistolet.

Była to ta sama broń, którą mu darował młody v. Stahlen.

Spoglądając na pistolet Tadeusz mimowolnie się zadumał. Przypomniało mu się żywo całe zajście wieczorne w kasynie Hechta, a w ślad za niem całe życie lwowskie, Laura, Zakrucki, Zosia...

— Co to Waś się tak zadumał? — zapytał nieznajomy — czy ten pistolet to może upominek z białych rączek?

— Nie! — odparł Tadeusz ruszając z miejsca — to podarek z rąk żołnierza. W tej lufie siedzi kula, która dla dwóch głów już była przeznaczoną. Raz dla tego, który darował, drugi raz dla tego, komu był darowany...

— A tym ostatnim byłeś Wasze, mój młody panie kolego? — zapytał nieznajomy równając się z Tadeuszem.

Tadeusz milczał.

— Bodaj Ciebie! Nie na to kule leją, aby sobie młodzi ludzie niemi łby trzaskali!...

— Pan niedawno złorzeczyłeś tym, którzy ci życie uratowali...

— Co innego, jeżeli ty szukasz śmierci, to z innej przyczyny. Panna nie kocha, w karty się zgrało lub co innego — nie do Waści piję, bo cię nie znam — i już nie ma innego lekarstwa nad ołowianą pigułkę!

— Nie zawsze tak płocze bywają przyczyny...

— Bywają i mniej płocze, ale wszystkie są niegodne, skoro pochodzą z osobistych, prywatnych frasunków. Oj chłopcze! Nie takie ja przebywałem koleje — a kwitować z życia i na myśl mi nie przyszło! Byłem i ja młodszym, a serce mi nie biło leniwiej, niż tobie, kiedy w moją pierś wśliznęła się gadzina, a wygrzana ciepłem najgłębszych uczuć, jadłem swym serce przepoiła, że zczerniało i spaliło się od bólu i gorączki! A przecież nie kwitowałem z życia...

Nieznajomy, który dotąd rozmawiał tonem swobodnym, nieraz prawie w rubaszny sposób wesołym — wygłosił te

słowa z naciskiem namiętności — a czarne oczy roziskrzyły mu się prawdziwym żarem.

— To był najsroższy cios w mojem życiu osobistem — dodał — a zniosłem go przecie...

— Coż więc teraz każe panu szukać śmierci? — zapytał Tadeusz.

— Co mi każe szukać śmierci? — powtórzył nieznajomy — Młodzieńcze, czy zastanowiłeś się ty kiedy nad tą okropną, straszną myślą, która tkwi w tych dwóch słowach: *Przeżyj ojczyznę!* Słuchaj przeżyć ją, przeżyć!...

Słowo to wymówił nieznajomy z takim strasznym naciskiem, że Tadeusz aż zadrżał na siodle.

— O, te słowa zawsze straszną zawierały dla mnie groźbę! — mówił dalej podniesionym głosem nieznajomy. — Czemuż musiała się groźba ta spełnić na mnie! Patrz, stary już jestem, włos siwy bieli mi się na głowie, czyż mogę ja pokazać się uczciwie z tą siwą głową, ja, który przeżyłem ojczyznę!...

— Ależ to dla wszystkich zarówno jest boleścią!... — wtrącił Tadeusz.

— Dla was młodych jest boleść, ale nie ma sromu! Wy już pogrobowcy tylko! Ale my starzy, my cośmy przeżyli ojczyznę! To okropne, to straszne!...

Nieznajomy przerwał na chwilę, a potem mówił dalej:

— Jak my wam, nowemu pokoleniu spojrzeć możemy bez sromu w oczy! Nas palcem swym wytknie historia i powie: Za życia tych ludzi umarła ich ojczyzna! A oni tego dopuścili, a oni żyją dalej!

Tadeusz zrozumiał boleść starca.

— Szczęśliwi nasi ojcowie, których ojczyzna przeżyła — mówił dalej nieznajomy — szczęśliwi wy synowie nasi, jeżeli jej dożyjecie, ale nam umierać jak najprędzej na jej ostatnich gruzach! Dlatego też błagam Boga, aby mi dał umrzeć jeszcze za ojczyznę, dlatego szukałem i szukam śmierci na wszystkich pobojuwiskach! Wy młodzi możecie pragnąć życia, bo co my stracili, wy odzyskać macie!

Nieznajomy zamilkł — ale usta drżały mu jeszcze od silnego wzburzenia.

Tadeusz nie przerywał tego milczenia. Słowa nieznajomego były dlań pełne uroczystej grozy.

Tak jechali chwil kilka w milczeniu. Stanęli teraz właśnie na lekkim wzgórzu, które jakby falą spływało po dolinie... W tej chwili wiatr nadniósł im echo jakiejś pomieszanej wrzawy....

Obaj jeźdźcy stanęli, i wyteżyli wzrok przed siebie. Nieznajomy dźwignął się w siodle, a na twarz jego padło światło księżycowe. Tadeusz, choć zajęty odgłosem wrzawy, spoglądał ciekawie na postać swego towarzysza.

Był to mężczyzna mający około lat sześćdziesięciu. Mimo tego wieku jednak trzymał się jaro i krzepko, a po sprężystości i sile całej postaci poznać było można, że zachował jeszcze czerstwość męskiego wieku. Po licach spływał mu długi, gęsty wąs, biały jak mleko. Po śniadej jednak cerze i po czarnych oczach wnosić było można, że wąs ten, nim go wiek pobielił, musiał być ciemnej barwy. Rysy twarzy, których wybitności nie zatarty jeszcze wcale pode-

szłe lata, zdradzały w parze z ognistem, żywym okiem usposobienie porywcze, namiętne.

Nieznajomy ubrany był w krótką kurtkę, przepasaną skórzanym pasem z stalową klamrą i w ciemną burkę — a na głowie miał kołpak z kordonkiem i z niską kitą.

— Czy słyszysz? — zapytał Tadeusza.

— Słyszę pomieszana wrzawę — odparł Tadeusz — ale trudno domyślać się z niej, z kąd pochodzi.

— Jeżeli pan Denysko miał tylko dwieście ludzi, trudno, aby to była wrzawa z jego obozu...

— Podjedźmy bliżej...

Nieznajomy podniósł się jeszcze wyżej w strzemionach, i wskazując palcem naprzód rzekł:

— Widzisz wasze, tam błyszczą zdala ognie... Widocznie jest tam obóz jakiś! Ruszajmy naprzód a obaczymy...

I obaj jeźdźcy poawałowali naprzód. Właśnie w tym czasie niebo zasunęło się jeszcze gęstszymi chmurami i po całej dolinie rozległa się gruba ciemność.

— Przekłęcie — mruknął nieznajomy — kierujmy się prosto ku ogniom, ale w pogotowiu na wszystko... Być może bardzo łatwo, że to Austriacy!

I obaj towarzysze spięli konie ostrogami. Ognie na polu połyskiwały coraz wyraźniej, a rozgłos wrzawy stawał się coraz bliższym.

— Mój panie kolego — ozwał się znowu nieznajomy — mówimy z sobą tak długo, a nie znamy się jeszcze! Jakże się nazywasz?

— Tadeusz Warski!

Nieznajomy szybko zwrócił się ku Warskiemu, i wstrzymał konia.

— Jak? — zawołał ze zdziwieniem — Warski!

Tadeusz potwierdził.

— Warski, syn Jana, który jeden z pierwszych stanął w szeregi konfederacji barskiej, a jeden z ostatnich z boju powrócił!

— Był to mój ojciec.

— Tadeuszu! — zawołał z wyraźnem rozrzewnieniem nieznajomy — czy żyje twój ojciec?

— Umarł...

— Umarł... Szczęśliwy Jan... — szepnął nieznajomy, i pochylił głowę.

W tej chwili tuż w pobliżu ozwał się tentent koni i chrzęst szabel.

Obaj nasi towarzysze zatrzymali konie, i spoglądnęli ku nadjeżdżającym. Jeźdźców było kilkunastu, białe ich płaszcze rozpoznać było można zdaleka. Konie ich pędziły w pełnym biegu, a niebawem na kilkadziesiąt kroków zbliżyły się do obu rozbitków.

— *Halt!* — odezwał się głośnym okrzykiem jeździec pędzący na czele oddziału.

— Austriacy! — zawołał Tadeusz.

— Naprzód! co konie wyskoczą! — zawołał nieznajomy — albo ich wyminiemy albo się przerąbiemy!

Na te słowa Tadeusz i jego nieznajomy towarzysz zmusili ostrogami konie swe znużone do ostatnich wysiłków

Z szablami na temblakach i z pistoletami w dłoniach rzucili się naprzód.

Oddział jeźdźców, a był to patrol dragonów, dał ognia i zastąpił drogę pędzącym.

Tadeuszowi kula zerwała czapkę, nieznajomemu gwizdnęła koło ucha.

— Naprzód! — zawołał nieznajomy, i wypalił na patrol swój pistolet.

Oczy roziskrzyły mu się zapalem, twarz okryła się żywym rumieńcem, i z podniesioną szablą rzucił się na dragonów. Tuż obok niego pędził Tadeusz...

Od strzału, który wymierzył nieznajomy, padł z konia dowódca patrolu. Cały oddział wstrzymał się nieco w pędzie, a szyk jego się pomieszał. W tej chwili Tadeusz i nieznajomy rzucili się z szaloną odwagą na dragonów. Obaj zniknęli wśród białych płaszczy...

Chwilę słychać było tylko żwawy szcęk szabel i strzały... Gwałtownym atakiem jakby klinem rozbici dragoni owinęli się białym kłębkim około obu nacierających... Nagle szcęk ustał, i z pomiędzy patrolu dwie ciemne postacie wysunęły się na pole w najszybszym pędzie... Byli to nasi rozbitki... Udało im się przełamać szyk jazdy i wyrębać się na czyste pole....

Zostawiając po za sobą pomieszanych dragonów, pomykali się naprzód wśród cieniów nocy. Tadeusz wyszedł cało z potyczki, ale po białych włosach nieznajomego spływała krew obfitą strugą...

Tymczasem patrol dragonów zwrócił konie, i puścił się za oboma jeźdźcami. Tadeusz i nieznajomy pobudzali swe konie do ostatnich wysiłków — ale były to już usiłowania daremne... Znużone konie odmawiały posłuchu, bieg ich wolniał coraz bardziej — a dragoni wśród gęstych strzałów pistoletowych docierali coraz bliżej...

W tejże samej chwili jakaś ciemna wyjąca masa zastąpiła drogę obu jeźdźcom. Była to gromada chłopów, uzbrojona w kosy, widły i cepy....

Konie naszych towarzyszy były już za słabe, aby przełamać ten nowy zastęp... Wstrzymani przez chłopów, dopędzeni przez dragonów, obaj jeźdźcy ujrzeli się dokoła w szczelnem otoczeniu....

Nie minęła chwila, a obu rozbitków rozbrojono i powiązano... Pod eskortą dragonów i całej zgrai chłopów prowadzono Tadeusza i jego towarzysza naprzód... O jakichś sto kroków płonęły obozowe ognie, i wrzał krzyk kilkuset głosów. Do tego miejsca prowadzono jeńców.

Po drodze mijano mały wzgórek, na którym czerniał cały rząd zeschłych nagich wierzb. Przechodząc około tych wierzb, Tadeusz wydał nagle okrzyk zgrozy...

— Co to?! — zawołał nieznajomy, którego twarz cała oblana była krwią.

Tadeusz wskazał na wierzbę.

Na wierzbach tych wisiały ludzkie ciała... Kilkunastu wiśielców, poruszanych wiehrem, chwiała się w powietrzu przy przerażającym skrzypie suchych gałęzi...

— Siedmnastu! — jęknął Tadeusz — to moi biedni towarzysze!

I odwrócił z oburzeniem i zgrozą twarz od trupów.

— Kapitan Melfort! — zawołał nieznajomy, spoglądając na jednego z powieszonych — i on tu! To okropne!...

I zatrzymawszy się nieco, spojrzał na strasznie wykrzywioną twarz kapitana.

Jeden z dragonów popchnął pięścią nieznajomego, i zawołał z czeska:

— Marsz! To wasi koledzy rebellanci! Nie gap się tak jeden z drugim! I wy tu z nimi wnet będziecie!...

Nieznajomy ścisnął skrzepowaną dłoń namiętnie, a z ust wydobyło mu się przekleństwo...

Za kilka chwil stanęli nasi jeńcy przy ogniach obozowych. Ogromna przestrzeń służyła tu za biwak żołnierzom i chłopstwu... Patrole wojskowe i gromadki chłopów przychodziły i odchodziły — odbywając ciągłą straż po okolicy. Dragoni stanawszy na miejscu oddali jeńców oficerowi, raportując bliższe szczegóły ich schwytania, z których wypływało, że obaj powstańcy przydybani przez patrol z bronią w rękę na terytorjum, zabili kaprała i ranili trzech żołnierzy.

Po wysłuchaniu raportu oficer odesłał obu jeńców do sztabu, gdzie się odbywał sąd wojenny nad schwytanymi. Sztab ten znajdował się o kilkaset kroków, w jednej z kilku nędznych chałup włościańskich, które tam stały na ustroniu.

Nim obaj jeńcy staną przed doraźnym sądem, rzucimy tu kilka szczegółów, które posłużą za wyjaśnienie zajść opisanych w tym rozdziale.

Dwa lata właśnie minęło od upadku powstania Kościuszkowskiego. Zaledwie minęło pierwsze ogłuszające wrażenie strasznej klęski, zaledwie w sercach prawych patriotów umilkły pierwsze burze rozpacz — poczęto na nowo myśleć o ratunku wolności i ojczyzny... Myślano o zebraniu sił wojennych, o nowej walce z wrogami.

Rok 1796 wydał pierwsze owoce tej skrytej pracy patriotycznej. Jenerał Dąbrowski począł formować legje we Włoszech — a równocześnie zbierał na Wołoszczyźnie ochotników jenerał Denysko, brygadjer wołyński z ostatniego powstania. Z obu stron rozsypały się odezwy po kraju. Przygotowania czynione na Wołoszczyźnie rozpoczęły się pierwej. Prawie bezpośrednio po upadku powstania Kościuszki, poczęto tam formować zbrojne oddziały. Po całym kraju rozbiegły się zawezwania do udziału. Najczęściej były one krótko sformułowane, bo mieściły się w tych dwóch wierszach:

Kto kocha ojczyznę,
Niech idzie na Wołoszczyznę.

Kartki z temi wierszami przylepiano na drzwiach, i rozrzucono po domach.

Zgromadzenie wołoskie nazywano zgromadzeniem terrorystów. Istotnie złożone ono było z ludzi najgorętszych, gotowych do najzapamiętańszych w zwyczajnej opinii kroków. Poseł francuski *Aubert du Bayet* jeszcze bardziej podniecał tę porywczą gotowość, i namowami swemi przyspieszył przekroczenie granicy austriackiej.

Klub patrijotyczny lwowski, o którym mieliśmy już sposobność wspominać w ciągu tej powieści, zajęty był mocno wyprawą wołoskich oddziałów. Po rozważeniu szkód i korzyści takiej wyprawy, koła patrijotyczne lwowskie zgodziły się na to, aby powstrzymać wtargnięcie zgromadzonych na Wołoszczyźnie Polaków. Za pośrednictwem szefa Drzewieckiego chciano użyć w tym celu generała Kniaziewicza, i rozpoczęto układy.

Ale kroki te nie zdołały już powstrzymać Denyski.

Rząd austriacki poczynił tymczasem przygotowania na granicy od Czerniowiec. Wysłano generała Schneidauera w celu wyparcia Polaków. Schneidauer miał tylko dwa tysiące żołnierzy, lecz siły swe pomnożył chłopstwem, spędzonem w ogromnej liczbie na granicę...

Jenerał Denysko nie zważając na to, wobec wojska i polspolitego ruszenia chłopów Dniestr przepłynął.

Był to krok szalonej odwagi. Jazdy polskiej było dwieście tylko — Austriacy, licząc tylko wojsko regularne, mieli dziesięć razy tyle.

Skutek wyprawy nie mógł być tedy wątpliwym.

Denysko cofnąć się musiał z terytorjum austriackiego, a siedmnastu partyzantów polskich, schwytanych przy przeprawie przez Dniestr, jenerał Schneidauer kazał powiesić...

Tych to nieszczęśliwych ciała widzieli po drodze obaj nasi jeńcy. Nie było najmniejszej wątpliwości, że i ich czekał los podobny...

Jakoż postawieni przed sąd doraźny w tej chwili usłyszeli swój wyrok. Jenerał Schneidauer wysłuchawszy raportu zawyrokował krótko:

— Powiesić!...

Wykonanie wyroku powierzono oddziałowi dragonów — a całą egzekucję nadzorować miał osobno przeznaczony do tego oficer... Wyrok miał być spełniony bezzwłocznie. Kilku dragonów z latarniami i kilkunastu z dobytymi szablami otoczyło Tadeusza i jego nieznanego towarzysza.

Tak stali czas jakiś przed chałupą, w której się sztab mieścił, czekając na oficera, który dziwnie zwlekał swoje przybycie.

Tadeusz milczał, pochyliwszy głowę ku ziemi. Było to milczenie człowieka, który ma przed sobą jeszcze tylko kilka chwil życia do zamknięcia całego ziemskiego rachunku...

Przed jego oczyma stała śmierć nagła, przedwczesna, śmierć w najohydniejszej swej postaci...

Tadeusz śmierci się nie bał... Twarz jego nie zbladła nigdy przed nią, ilekroć wyglądała doń z lufy karabinu, z grotu żelaza, lub z paszczy działa...

Ale śmierć, jasna pani pobojowiska — a śmierć, ohydna oprawczyni kata — to olbrzymia różnica...

O takiej śmierci Tadeusz nie myślał nigdy... Nie bał się jej, ale czuł wstręt do niej... Ten wstręt utrudniał mu rezygnację...

Towarzysz jego nie ulegał snąć takim wrażeniom wyroku. Stał spokojnie i patrzył w czarne niebo — a oczy jego były swobodne, prawie wesołe...

— Sprawa skończona! — rzekł zwracając się do Tadeusza. — Kto ma wisieć nie utonie!

I z lekkim uśmiechem wstrząsł na sobie mokrą jeszcze odzież.

Tadeusz nie podniósł głowy.

— Biedny, młody mój bracie — ozwał się teraz rzewnym głosem nieznajomy — przebacz ten żart płochy... Tadeuszu, synu mój, nie taka śmierć należała się tobie!

— Nie takiej się też spodziewałem... — odpowiedział Tadeusz.

— I ja nie takiej pragnąłem... Śmierć to haniebną, brzydka — ale śmierć za sprawę! I ja wołałbym umierać w polu od kuli, od szabli, pod kopytami ot tego konia dragonskiego! Ale w poświęceniu, któremu się śmierć za kres stawia, nie ma wyboru! Śmierć taka nie żołnierska, nie szlachecka — ale polska! Tadeuszu niech żyje nasza!

— Niech żyje! — powtórzył Tadeusz pewnym już i dzwicznym głosem.

W tej chwili zrobił się ruch między dragonami. Oficer przeznaczony do nadzorowania egzekucji stanął przed frontem. Był to młody jeszcze człowiek. Snać przykrą mu była misja, bo twarz jego była smutna i blada. Podjechał ku jeńcom, i spojrzał na ich twarze oświetlone latarniami.

Widok ich dziwne na nim sprawił wrażenie... Zadrżał cały, zachwiał się w siodle, a z piersi wyrwał mu się pomimowolnie stłumiony wykrzyk!...

Skazani spojrzeli nań ciekawie, jakby im nie uszedł ten znak przerażenia, ale oficer zasunął hełm szybko na czoło, i podniósł kołnierz od płaszcza.

Potem wy dobył szablę, i tonem suchym, zrezygnowanym, zakomenderował:

— Marsz!

Dragoni ruszyli z miejsca, i głuchy tentent koni rozległ się po ciemnej dolinie...

Kiedy cała ekspedycja stanęła już w pobliżu naturalnego rusztowania z drzew, oficer kazał się wstrzymać dragonom. Potem wywołał z nich jednego po imieniu. Był to stary kapral z siwemi, dużemi wąsami. Oficer zsiadł z konia, i rzekł do kaprała:

— Sztak! zsiądź i trzymaj tu koło mnie mego i swego konia!

Sztak spełnił rozkaz.

— Sztak! — mówił dalej oficer — pamiętaj, ty nie nie widzisz i nie nie słyszysz! Tyś ślepy i głuchy! Robisz, co ja ci każę!

Kapral wyprężył się jak struna, i skinął głową.

Oficer zwrócił się do oddziału dragonów i kazał wystąpić obu jeńcom. Jeńcy ruszyli z miejsca, a tuż za nimi wystąpili z szeregu wachmistrz i dwaj żołnierze.

— Zostać! — zawołał oficer — mam się zapytać skazanych o ich ostatnią wolę!

Straż cofnęła się do szeregu...

— Sztak — odezwał się oficer znowu — rozwiązać im ręce!

Kapral milcząc spełnił polecenie, i cofnął się do koni. Oficer przystąpił do jeńców i spojrzał w oczy Tadeuszowi.

— Stahlen! — zawołał Tadeusz z najwyższem zdumieniem.

— Tak jest, panie Tadeuszu — odpowiedział po polsku oficer — to ja jestem! Te konie, które trzyma kapral, dla was są przeznaczone.

— Jesteś szlachetnym, jak zawsze — odparł Tadeusz — ale nie myśl, abym przyjął usługę, którą byś musiał własną okupić osobą...

— Szalony!... — zawołał Stahlen — Spiesz się! O mnie bądź spokojnym!...

Tadeusz jeszcze się zawahał.

— Na miłość Boga, uchodź! — szepnął rotmistrz.

W tej chwili nieznajomy szarpnął Tadeusza za ramię, i rzucił się na dragona trzymającego konie. Jednem silnem uderzeniem powalił żołnierza na ziemię, i skoczył na konia. Tadeusz instynktowo poszedł za jego przykładem. Wszystko to było dziełem jednej chwili...

Kiedy Tadeusz wspinał się na konia, wypadł mu z pasa mały pistolet, darowany mu niegdyś przez Stahlena. Żołnierze rozbijając jeńca nie dostrzegli tej broni.

Stahlen spostrzegł pistolet na ziemi, i spieszenie go podjął.

Uwolnieni jeńcy ruszyli szalonym pędem z miejsca. W tej chwili oddział dragonów, stojący w tyle, ruszył się do ściągania.

— Stać! — zawołał rotmistrz, i zaszedł drogę żołnierzom. Dragoni z zdziwieniem spojrzeli na niego.

— Ja ich puściłem — zawołał — mnie aresztujcie!

I cofnąwszy się kilka kroków w tył odciągnął kurek od pistoletu.

— Nabity — szepnął drżącym głosem — może tą samą kulą, którą wówczas na kartę rzuciłem!

— Wybornie się składa — dodał zaglądając do lufy — zakład mój wykupiony!...

I przyłożywszy pistolet do czoła wypalił...

Padł strzał, a młody rotmistrz z zgruchotaną czaszką potoczył się przed frontem żołnierzy...

Strzału tego nie musiał słyszeć Tadeusz — zniknął on wraz z swoim towarzyszem w ciemnej dali...

XX.

Dwie sceny.

Jesteśmy w obszernej, ale ciemnej i wilgotnej izbie. Jestto pokój z łukowem sklepieniem i z dużemi oknami, opatrzonemi w kraty, przez które zanadto mało napływa światła, aby rozjaśnić cień opylonych szarych ścian.

Cały pokój zastawiony jest pułkami i szafami najrozmaitszego rodzaju, a na każdej pułce i w każdej szafie piętrzą się stosy opylonych papierów i grubych ksiąg, które już samym swym kształtem zdradzają swe urzędowe przeznaczenie. Między dwoma oknami wisi wielki olejny portret cesarza Franciszka w stroju koronacyjnym — a na przeciwnej ścianie umieszczone są dwa inne mniejsze i ciemne obrazy, wyobrażające cesarzową Marię Teresę i jej syna cesarza Józefa.

Duże, czarno malowane biuro i kilka stołków skórą obitych uzupełniają umeblowanie tego pokoju, który całym swym widokiem dziwnie ponure i niesympatyczne sprawia wrażenie. Jakaś ciężka, dławiąca atmosfera wisi nad temi czarnymi sprzętami i wieje z tych zbutwiałych i żółkłych papierów.

W izbie tej, w której od razu domysleć się było można biurokratycznej kancelarji, znajdowały się dwie osoby.

Jedna z nich siedziała przy dużem biurze. Był to mężczyzna w podeszłym już wieku. Był wysoki i chudy, a kolana jego nóg długich zgięte w siedzeniu sterczały ostro ku górze. Twarz miał ściągłą i gładko ogoloną, cerę wyomkłą i żółtawą, nos ostro i delikatnie skrojony, usta blade i wąskie a oczy wielkie, wypukłe, lecz dużemi zwisłemi powiekami pokryte.

Cała postać tego człowieka była w wysokim stopniu charakterystyczna. Nie miał on na głowie peruki ani pudrowanej fryzury, lecz był krótko ostrzyżony, co jeszcze bardziej uwydatniało jego wysokie, w ostre kąty wybiegające czoło. Pod czołem świeciły z pod powiek żywym blaskiem bystre i przenikliwe oczy, których każde prawie spojrzenie wybiegało na zewnątrz w parze z złośliwym, sardonicznym uśmiechem...

Drugą osobą był starzec w szarem odzieniu polskiego kroju, z wynędzniałem, bladym licem i zasępionem czołem. W starcu tym poznajemy Zakruckiego. Ślady dwuletniego więzienia wybiły się wyraźnie na całej jego postaci. Lica jego skurczyły się i zapadły, a długa siwa broda dodawała im jeszcze więcej zgrzybiałości, barki mu się pochyliły — i tylko oczy, pełne blasku i niezłamanego życia znamionowały silnego ducha, którego nie zdołały zgnieść cierpienia.

Zakrucki stał o kilka kroków od drzwi, a ów mężczyzna siedzący przy biurku spoglądał nań bystro i uśmiechał się dyplomatycznie.

— Niech pan siada... — ozwał się do Zakruckiego i wskazał ręką na krzesło.

— Dziękuję, panie konsyljarzu — odparł Zakrucki z lekkim skinieniem głowy — w mojej kaźni mam dość czasu na to, a moja wizyta nie będzie zapewne długa...

— Pan się spieszysz, panie Zakrucki — odpowiedział konsyljarz i po cienkich, bladych ustach przemknął mu się uśmiech ironiczny — a jabym chętnie z panem pomówił...

Konsyljarz mówił po polsku, ale łamanym językiem i niemieckim akcentem.

— Zapewne jako z aresztantem... — odpowiedział Zakrucki z goryczą — jako aresztant jestem na rozkazy... Ale ileż wy mnie razy badać będziecie, czego się u mnie dowiedzieć zamysławacie, kiedy wam jeszcze dwa całe lata na to nie wystarczyły!...

Konsyljarz znowu się uśmiechnął.

— Ja pana nie przywołałem jako aresztanta — rzekł na to — ja pana badać nie myślę... Chciałem z panem pomówić jako z gościem...

— Tak, jako z gościem, po którego posyła się bagnety, aby mu rzucać w oczy naigrawanie i szyderstwo!...

— Więc pan nie lubisz rozmawiać ze mną... *Ich muss es wirklich bedauern!*... Unikasz dysputy, bo obawiasz się klęski... Nie miło być zwyciężonym...

— Nie zwyciężonym być nie lubię, ale oburzonym. Bezsilne oburzenie więźnia i tobie, panie, nie powinno być miłe...

— *Aber entrüsten sie sich nur, Herr Zakrucki!* Ja się wcale gniewać nie będę... Patrz pan na mnie tylko jak na politycznego przeciwnika...

— Nie podejmuję walki, gdzie broń nie równa...

— Twoja w tem wina, panie Zakrucki. Ja walczę rozumem, ty szlachecką fantazją i przesądem...

— Nie, mój panie konsyljarzu — odparł żywo Zakrucki — ja siłą wiary i przekonania, ty szyderstwem i zaślepieniem...

— To mi się podoba... *Jetzt gerathen Sie in Harnisch!*... Panie Zakrucki, pan już dwa lata pozbawiony jesteś wolności?...

— Pan o tem najlepiej pamiętać powinien...

— Ile razy przez ten czas widzieliśmy się z sobą?...

— Miałem tyle przykrych chwil w życiu, że przestałem je liczyć...

Konsyljarz uśmiechnął się tylko.

— Powiedz że mi pan, czy nie sprawdziły się wszystkie moje słowa?

— Powiedz mi pan, czy skłamały moje...

— Powiedziałeś mi przed dwoma laty, że zwyciężycie!

— I zwyciężymy!

— Jak to, czy pan Kościuszko znowu powstanie urządzi?

— Panie Stahlen — odparł Zakrucki — pan mnie nigdy nie pojmiesz... Pan nie wiesz, co to jest wiara i jak daleko po za rzeczywiste wypadki sięgają jej promienie, pan nie wiesz, co to ufność w ideę, i jak jej złamać nie zdoła nawet najboleśniejsza klęska chwili... Panie Stahlen! My raz

zwyciężyli — bośmy przetrwali klęskę, my zwyciężymy znowu, bo idea nie na samem ostrzu szabli się opiera i nie z nią razem wypada z dłoni...

— Proszę was, jaką wy macie ideę? — zapytał z ironicznym uśmiechem v. Stahlen.

— Czy pan umiesz uczuć, co to jest ojczyzna?

— Czy pan umiesz oznaczyć słowami, co to jest ta wasza ojczyzna?...

— Jaką ty ziemię czujesz pod nogami twemi, cudzoziemcze!

— Moją, nie polską... Gdzież dzisiaj ta ziemia polska? Co ją robiło polską? Nazwa chyba...

— Naród!

— Jaki naród? Kto ten naród stanowi? Wy szlachta — a oprócz was nikt. Szlachta jest małą częścią całej ludności, a ludność ta dopiero teraz zdołała za pomocą mocarstw ościennych wyrwać się ze szponów szlacheckich i nie chce pewnie za nic w świecie tej waszej ojczyzny!

— Nie obawiamy się tego. Wolności nie brakuje nigdy zwolenników i wyznawców!

— Wy szlachcice polscy ciągle macie na ustach słowo wolność. Ta wolność wasza nazywała się tak jak *lucus a non lucendo*... Nigdzie nie było większej tyranji jak u was w Polsce, *in der weiland Republik*... Już ciż tej rozpustnej buty i tego rozpasania się magnatów nie nazwiesz pan wolnością. Wolność nigdy nie była na waszym sztandarze! Król wasz był niewolnikiem magnatów, magnaci panami drobnej szlachty, szlachta katem niehumanitarnym biednego

ludu. A lud ten, który jęczał pod waszem jarzmem i pod waszym batem, lud ten do was nie należy, on w n a s swych zbawców uwielbia.

— Lud ten bił się za wolność pod Kościuszką!

— Cha, cha... — zaśmiał się von Stahlen — zanadto rozsądnym jesteś, panie Zakrucki, aby to brać na serjo! Taki mizerny wyjątek nie obala reguły! *Mein Gott!* Ten lud miałby się bić za wolność, za waszą! Ależ on tej wolności nie rozumie, boście go jej nie nauczylili, a jeżeli rozumie, to pewnie jej przy was szukać nie będzie...

— Komukolwiek lud ten dziś służy, w gruncie pozostanie on polskim! Przyjdzie czas, że się i on obudzi!

— Nie wymawiaj tego w złą godzinę! Ja wam tego w własnym waszym interesie nie życzę. Jeżeli się on obudzi, to pewnie tak jak we Francji. Macie bardzo świeży i bardzo niemiły przykład!

— Ale czy lud francuski przestał być mimo to francuskim? Niech się społeczeństwo nawet pochłania w katastrofach, myśl narodowości nawet w krwi bratobójczej nie utonie!

— Nie używaj pan porównania z Francuzami, choć ci je sam nastreczyłem. Wy nie macie społeczeństwa skończonego, wy nigdy nie byli ani państwem, ani narodem. Wy też upadku waszego nie przetrwacie!

— Przetrwamy ciebie i stu twoich następców!

— Jakim sposobem? Aby państwo jakieś przetrwało zupełną klęskę polityczną, musi być narodem, musi mieć żywą ideję ojczyzny. Wy nie byli narodem a lud wasz nie miał

ojczyzny. Czem wy dalej stać możecie? Materjalnych podstaw nie macie, bo gdzież wasz byt, wasze złoto, wasz przemysł — wyście żebracy pod tym względem. Duchowych podstaw braknie wam jeszcze bardziej, prócz wstecznej, ciemnej idei szlacheckiej, nie macie ani oświaty, ani żadnego cywilizacyjnego znaczenia. Przeciw wam siła faktu, potęga przemocy na każdym polu, praca, oświata, porządek — przeciw wam my, a za nami główna warstwa waszego narodu, lud! Po waszej stronie co? lekkomyślność, ciemnota, *die ganze polnische Wirthschaft!* Dla was nie ma już innego ratunku, jak tylko dobrowolnie przyjąć to, co wam niesiemy: naszą cywilizację...

— Waszą narodowość, wasz język? Nieprawdaż?...

— *Sie verstehen mich vollkommen Herr von Zakrucki!* Zyskacie wiele na zamianie. Zamiana ta i bez waszej woli przyjdzie do skutku... Wasz żywioł otoczony jest dokoła i prędzej lub później przestanie być polskim...

— Za wiele się spodziewasz panie Stahlen! Kto nas zniemczy? Wy? albo może wasze kolonje józefińskie? A ja ci powiadam, mój panie, że wy sami utoniecie w naszym żywiole, wy, którzy jesteście apostołami niemieckiej cywilizacji w naszym kraju...

— Ha, coż pomogą moje argumenta w obec pana — odpowiedział z swym zwykłym uśmiechem Stahlen — który jesteś starcem.... Starcy jak brzytwy chwytają się dawnych iluzij, choć im się z rąk wymykają. *Sie wollen ihre letzten Tage süß durchschwärmen...* Ale posłuchaj pan! Kto dźwiga dziś jeszcze sztandar polski? Szlachta! Kto jest ta

szlachta? O, my ją znamy dobrze, bardzo dobrze, lepiej niż wy. My z tej szlachty za głupi tytuł arystokratyczny, za złotą blaszkę, lub klucz szambelański mamy niewolników. Czem ta szlachta manifestowała swą narodowość? karabelą! My tę karabelę nosić zakazali i nie ma już polskiej szlachty — tylko galicyjska, a galicyjskość, to pedagogium niemieckie, dalibóg, bardzo skuteczne! Czy ma ta szlachta godność narodową? O wierz mi, że nie, ja cię gotów przekonać dokumentami... Ja ci wyliczę nawet imiona...

— Musi być mało tych podłych, kiedy ich pan wyliczyć możesz! Ale zastęp prawych jest nieprzeliczony...

— Który to zastęp, czy ten co wiecznie pisze adresa do tronu, oskarżając go o znieważanie polskiej narodowości? Ten zastęp prawych domaga się uroczystymi frazesami swych praw świętych, a jako najgłówniejsze z tych praw wymienia poddaństwo chłopów! Rząd się ulitował w imię ludzkości nad chłopami i poskromił trochę barbarzyńską samowolę szlachty, a szlachta krzyczy, że rząd pogwałcił jej święte prawo... Czy takie zasady nadadzą wam żywności, czy nie będzie to zasługą dla cywilizacji, a kiedy już pan tak słowo to lubisz, dla wolności, jeżeli ten polski *alias* szlachecki żywioł wytępinimy! Wy nie macie jutra, *meine Herren!* Dziś jeszcze pan i garstka podobnych panu podtrzymują złamaną chorągiew, ale jutro, kto ją podtrzymywać będzie?

— Twój wnukowie! — odparł z naciskiem Zakrucki — za kilkadziesiąt lat, twój wnuk mnie na tem miejscu zastąpi...

— Ja wiem tylko tyle, że mój syn was wieś — zaśmiał się z cynicznem szyderstwem Stahlen. — Mam dla ciebie znowu nowinę, panie Zakrucki! Właśnie dziś rano przyjechał ordynans od generała Schneidauera... Czy pan wieś, po co generał Schneidauer wyruszył był nad Dniestr? Pan musisz o tem wiedzieć... *Es war ja auch eine letzte Hoffnung...*

— Wiem, mój panie — odparł Zakrucki i postąpił krok naprzód. — Wiem więcej od ciebie! Powiem ci, żeś słowami twemi splamił grób własnego dziecka!...

— Co to ma znaczyć? — zapytał Stahlen i porwał się z krzesła.

— Powiedziałeś pan, że twój syn wieś... Ja mam dokładniejsze wiadomości o twoim synie! Opowiem ci to, bo nauczyłeś mnie być okrutnym!

— Nie rozumiem pana — szepnął Stahlen blednąc od niepokoju.

— Między tymi, którzy nad Dniestrem paść mieli ofiarą wojennego sądu, znajdowali się mój przyjaciel i mój wychowanek... Egzekucją ich nadzorować miał młody oficer... Ten oficer ułatwił obom ucieczkę a sam się zastrzelił... Nazywał się Herman von Stahlen!

Stahlen zachwiał się. Twarz jego okryła się trupią bladością...

Chciał coś przemówić, ale usta odmówiły mu usług... Oczy jego spojrzeniem rozpacz i bólesci utkwily na Zakruckim...

— Mój syn! Mój syn! — zawołał naraz głosem prze-
rażającym do głębi, z którego odezwało się całe piekło
ojcowskiej boleści, i padł zemdlony na posadzkę...

Zakrucki pospieszył na ratunek.

— Ty kłamiesz! Ty kłamiesz, stary upiorze! — wołał
Stahlen odpychając go od siebie. — Mój syn! Mój Herman,
najdroższe dziecko!!

I blady starzec wił się na ziemi i szarpał swe włosy
w okropnej boleści...

Zakrucki złorzeczył sobie, że w uniesieniu stał się stra-
sznym posłem Hioba. Chciał podnieść z ziemi Stahlena, ale
ten odepchnawszy go, porwał się sam na nogi.

Usiłując przytłumić ból srogi, zawołał:

— Precz mi z oczu! Nie pastw się mojem cierpieniem!

— Nie nauczyłem się tego od ciebie, nieszczęsny star-
cze! — odparł Zakrucki.

Stahlen zadzwonił, a gdy straż nadbiegła, dał jej znak,
by odprowadziła więźnia....

Sam zaś opierając głowę o mur, zaniósł się urywanem,
konwulsyjnym łkaniem....

Zakrucki powróciwszy do kaźni, wyrzucał sobie, że tak
bezwzględnie udzielił Stahlenowi wieści o smutnym zgonie
jego syna. Zakrucki wiadomość o całym zajściu otrzymał
właśnie przed kilku godzinami. Drogą tajną, za pośredni-
ctwem jednego z nadzorców, doszła go cała ekspedycja
z domu, a w niej znajdował się list, zawierający opis wy-

padku. List ten nie był pisany przez Tadeusza lecz przez jego towarzysza.... Towarzysz ten nieznajomy był dawnym przyjacielem Zakruckiego, a skoro dostał się do Lwowa, natychmiast powitał go długim i serdecznym listem....

Siedząc samotnie w swej ponurej celi więziennej, a ochłoniawszy nieco z wrażenia, jakie na nim sprawiło zajęcie z Stahlenem — począł Zakrucki odczytywać po raz drugi list przyjaciela. Przebiegał wiersze listu z rozrzewnieniem — żałując że niepodobna mu widzieć się osobiście z starym druham, z którym niegdyś złe i dobre losy dzielił w szeregach konfederacji barskiej.

Wiemy już, że od uwięzienia Zakruckiego upłynęło całe dwa lata. Przez ten czas zdrowie jego znacznie podupadło, siły się wyczerpały do reszty i tylko silny duch ustrzegł się przed zwątpieniem. Raz tylko jedyny widział się Zakrucki z swą jedynaczką. Odtąd Zosia mimo wszystkich możliwych starań nie zdołała otrzymać pozwolenia widzieć się z nieszczęśliwym ojcem.

Tęsknota za córką i niepewność o jej przyszły los więcej zapewne dojmywały więźniowi, niż samo życie więzienne. Proces jego dotąd się nie rozstrzygnął, dotąd wyroku mu nie ogłoszono. Zakrucki widział przed sobą więzienie bez kresu i z boleśną rezygnacją oswajał się z myślą, że w ciemnych tych murach przyjdzie mu zakończyć żywot... Taki był stan naszego więźnia.

Właśnie gdy Zakrucki doczytał listu, którego każde słowo tak żywo go zajmowało a którego smutna treść do tylu umartwień dawnych dodawała jeszcze nowe — naraz ry-

giel od drzwi zaskrzypiał i pojawił się nadzorca z papierem w ręku. Pismo to przeznaczone było dla Zakruckiego i zawierało wezwanie, aby się stawił przed szlacheckimi sądami jako świadek w procesie o dobra, których był zarządcą. Czytelnicy domyślą się, że chodziło tu o pretensje, które pani Laura sprzedała Żagwinowi. Zakrucki, o ile to możebnem było dla więźnia, bronił sprawy swego nieobecnego przyjaciela jak najgorliwiej, a przesłuchiwany kilka razy, miał teraz ostatecznie wraz z stroną przeciwną stanąć przed kratkami.

Zawezwanie to przybyło właśnie w porę. Stawanie przed sądem nie było wprawdzie zbyt przyjemną czynnością — mogło jednak zająć i rozerwać nieco więźnia, który dziś bardziej niż kiedykolwiek, czuł się smutnym i przygnęcionym.

— Pan pojedziesz zaraz ze mną — rzekł dozorca doręczwszy wezwanie Zakruckiemu.

Zakrucki zebrał się spiesźnie, a eskortowany przez dozorcę i żołnierza wsiadł do krytej bryczki, która go czekała na więziennem podwórzu i udał się do gmachu, w którym się znajdowało *forum nobilem*.

W obszernej sali sądowej zastał Zakrucki sędziów, Żagwina i obrońcę.

Żagwin stał pod ścianą, opierając się dłonią na poręczu krzesła. Cała jego postać zmieniła się do niepoznania. Twarz mu pożółkła i wyschła jak pergamin, policzki się zapadły, a oczy utonęły w swej głębokiej osadzie, rzucając dokoła na pół dzikie i gorączkowe spojrzenia. Ubiór jego był za-

niedbany i brudny, nawet podarty. Widać w nim było człowieka, który jakieś straszne przebył koleje i wyszedł z nich z starganą duszą, z znękanem ciałem....

Nie będziemy tu obszernie opisywać wszystkich przejść Żagwina od czasu ostatniego gwałtownego zajścia w domu Laury. Ograniczamy się tylko na szczegółach, mających związek bezpośredni z sceną, którą nam opisać przyjdzie. Żagwin w obłędzie swej namiętności do Laury, kupił od niej jej pretensje pieniackie, mniemając, że kupuje sobie szczęście całego życia. Wyliczył Laurze dwadzieścia tysięcy dukatów. Suma ta była znacznie większą niż cały jego majątek. Ale Żagwin dobył największych wysiłen, aby ją jak najrychlej uzupełnić. Nietylko że wyczerpał wszystkie swe zapasy w gotówce i kosztownościach — ale nadto zaciągnął jeszcze z poспіechem pożyczkę. Ogołocił się jednym słowem ze wszystkiego, cokolwiek posiadał — dał więcej nawet niż ciężki trud całego życia, bo zaliczkę przyszłej swej pracy... Ale wówczas była to dla niego tania cena...

Kiedy później od Laury zamiast spodziewanej ręki otrzymał proste pokwitowanie sprzedaży pretensyj, ujrzał się strasznie oszukany. Proces był wątpliwy, można go było wygrać, ale przegrać było łatwiej. Żagwin znalazł się prawie w niedostatku. Do tego jeszcze dodać należy, że nieszczęśliwy rabulista w pierwszych tygodniach po owej scenie, która zgruchotała cały gmach jego marzeń, znalazł się w stanie prawdziwego szaleństwa.

Targany wściekłością, trawiony jadem i gorączką nie mógł zebrać tyle spokoju, aby pracować dalej w swym

zawodzie. Umysł jego stał się istnem piekłem — cała istota rozkipiała szaleem gwałtownym. Zarzucił tedy prowadzone procesa, opuszczał zwykłe sposobności zarobku, poodstręczał od siebie strony. Dopiero gdy prawdziwy niedostatek dał się uczuć w jego domu, gdy z matką przeprowadzić się musiał do lichego pomieszkania i poznał, że niebawem z jego nagich kątów szczyrzyć się będzie nędza — ochłonał nieco z namiętnego obłędu.

Teraz dopiero rzucił się do procesu, który kupił od Laury. Uczuł, że musi go wygrać koniecznie, że od jego rozwiązania zależy odzyskanie tego, co okupił całym życiem podłości, szalbierstwa i chciwości. I jakby cudem odzyskał Żagwin dawną swoją sprężystość, podnieconą jeszcze bardziej prawdziwą gorączką, która paląc go chwilki spokoju mu nie dawała....

Zabiegom jego, na które się wysiliła cała jego zdolność rabulistyczna, udało się istotnie bieg procesu przyspieszyć, i cały spór na swoją przechylić stronę. Jeszcze przed zerwaniem stosunków z Laurą, uczynił był w tym celu pierwsze, przebiegle wykombinowane kroki, a teraz z gwałtowną natarczywością dążył do zakończenia sprawy. Nieobecność człowieka, o którego majątek chodziło i uwięzienie Zakruckiego, który jako jego przyjaciel i zastępcą głównie powołanym był do obrony, ułatwiły Żagwinowi w wysokim stopniu zadanie.

I oto właśnie zastajemy go przed sądem, czekającego na stanowczy wyrok. Ważność chwili wybiła się osobnem piętnem na całej postaci Żagwina. Drżał z niecierpliwości,

z przyspieszonym tchem wyczekiwał zaczęcia rozprawy, a rozognione oczy biegały ustawicznie po sali, lub topiły swe spojrzenia w plikach papierów, rozłożonych na sądowym stole.

Kiedy Zakrucki wszedł do sali, Żagwin poruszył się żywo z miejsca i rzucił nań spojrzenie groźne, namiętne, a po spiekłych ustach prześliznął mu się uśmiech jadowity. Odezwał się dzwonek prezesa i rozprawa się rozpoczęła.

Żagwin zabrał głos i przebiegł po krótkce cały proces — a w każdym jego ruchu znać było febryczne rozdrażnienie. Po nim przemówił Zakrucki z spokojem ale i z należytą energją, i usiłował rozbroić zarzuty Żagwina, dowodząc, że starościna Łotocka wydziedziczyła za życia jeszcze swą bratanicę, i że cały majątek zapisała jej mężowi. Testament nieboszczka spisała, lecz nie można go było odszukać. W końcu Zakrucki ofiarował ponowny dowód przez świadków, i żądał w tym celu odroczenia wyroku.

Na to słowo odroczenie wyroku skoczył Żagwin jak oparzony.

— Fałszem jest — zawołał — jakoby starościna wydziedziczyła swą córkę! Przypuściwszy zresztą nawet, że fałsz ten jest prawdą, to jest: że nieboszczka chciała wydziedziczyć swą bratanicę, ktoż udowodni, że to przed śmiercią uczyniła, kto udowodni, że uczyniła to na rzecz jej męża? Przypuściwszy nawet dalej, że uczyniła swym spadkobiercą męża, co oczywistym jest fałszem, gdyż testament taki nie istnieje wcale — to i w takim razie nie można odmówić prawa dziedzictwa żonie. Mężem pokrzywdzonej był pan

Józef Promnicki... Pan Józef Promnicki wyemigrował, a nie wróciwszy do kraju w oznaczonym prawnie terminie, postradał prawo do swej własności, którą windykuje na rzecz istotnej właścicielki...

— Pan Józef Promnicki nie podpada rygorowi urzędowych rozporządzeń — odparł Zakrucki — w mojem bowiem ręku znajdują się dowody, że rząd prolongował mu pozwolenie pobytu za granicą...

Istotnie Zakrucki bez wiedzy swego przyjaciela postarał się o uchylene go z pod rygoru surowego prawa emigracyjnego, wydanego przez rząd austriacki po zajęciu Galicji.

Żagwin rzucił jadowite spojrzenie na Zakruckiego i odpowiedział:

— A więc pan Józef Promnicki umarł! Trzy razy edyktalnie go wzywano z okazji właśnie tego procesu, a mimo to nie stawiał się. Prawnie przyjmuję i twierdzę, że rzeczony Promnicki umarł...

Zakrucki chciał odpowiedzieć, ale Żagwin nie dając mu przyjść do słowa, prawil szybko dalej:

— Cokolwiekbyś naprowadza strona przeciwna na swoją obronę, wszystko to jest właśnie obroną naszą! Jeżeli żyje Promnicki, nie ma prawa do spadku, jeżeli umarł, choćby je był miał, już je utracił. Z wszystkich przypuszczeń podanych przezemnie zaraz z początku tej rozprawy każda przemawia za mną — sąd może w nich wybierać do woli... Proponuję atoli, aby przyjąć za fakt prawnie stwierdzony, że Józef Promnicki umarł...

— Nie umarł! — zagrzemiał w tej chwili jakiś głos obcy od drzwi sali.

Wszystkich oczy zwróciły się w stronę, z której głos pochodził.

Do sali weszło całe grono niespodziewanych gości. Wprowadził ich jeden z urzędników foralnych, który zaraz pospieszył do stołu sędziów i coś im z cicha tłumaczyć począł.

Zakrucki z najwyższem zdziwieniem spojrzał na grono, które tak niespodziewanie wejściem swem przerwało rozprawę... Istotnie był też wszelki powód do zdziwienia.

Na czele przybyłych wszedł mężczyzna po polsku ubrany, z dużym siwym wąsem i obwiązaną głową. Był to nasz nieznajomy z nad Dniestru. Za nim postępował Tadeusz, a za Tadeuszem posuwał się zwolna z wystraszoną twarzą dziad Madej, ciągniony na siłę przez Dederkałę.

Nieznajomy zbliżył się szybkim krokiem do stołu sędziów.

— Promnicki! — zawołał nagle Zakrucki i porwał się z krzesła.

— Tak jest, jestem Józef Promnicki, który tu *in contumaciam* własności swej ma być pozbawiony! Panie mecenasie — dodał zwracając się do Żagwina z uśmiechem — mogę ci zaręczyć, że nie umarłem...

Żagwin zbładł i zachwiał się na swem miejscu. Lecz pomięszanie to chwilkę tylko trwało... Nagle wyprostował się i ozwał z uśmiechem szyderczym:

— Bardzo mnie cieszy, żeś pan nie umarł... Jesteś dla mnie i dla sądu Piotrowinem bardzo pożądanym! Sprawa się wyjaśnia. Dobrze by było, gdybyś pan był umarł, ale

lepiej jeszcze, że pan żyjesz. A więc pan Józef Promnicki, mąż pani Laury z Łotockich Promnickiej żyje! Czy ten żyjący pan Promnicki ma jaki tytuł z pokrewieństwa do spadku po staroście Łotockiej? Nie. Prawo to ma jego żona. Czy pan Promnicki ma inny tytuł do spadkobierstwa, np. tytuł ostatniej woli nieboszczki? Nie. Ostatniej woli nie ma. Pan Promnicki tedy nie ma najmniejszego prawa do dóbr śp. starościny, a sąd raczy orzec to bez niepotrzebnej zwłoki swym sprawiedliwym wyrokiem!

— Mam prawo... — zaczął Promnicki.

— Masz pan testament? — przerwał szybko Żagwin. — Nie! Nie ma testamentu — a więc nie ma żadnego innego tytułu!

W tej chwili wysunął się naprzód pan Krzysztof Dederkało, ciągnąc za sobą dziada Mađeja, który drżąc ze strachu wśród pokornych ukłonów chciał się cofnąć ku drzwiom. Trzymając silnie dziada za ramię, pan Dederkało wyprostował się, odchrząknął i tubalnym głosem według zarwanej trochę praktyki trybunalskiej zawołał:

— Protestuje się, jakoby nie było żadnego prawa! Protestuje się, jakoby nie było testamentu. Testament jest!!

Żagwin rzucił wściekłe spojrzenie na Dederkałę i rzekł:

— Wtargnęły do sali sądowej jakieś niepowołane indywidua, które tok sprawiedliwości gwałtem i burdą przerwać zamysłają! Proszę o bezzwłoczne ich wydalenie!

— Protestuje się nie powołane indywidua! Protestuje się wydalenie! — huknął pan Krzysztof jeszcze głośniej — Wysoki trybunale, ja Krzysztof Dederkało przyprowadziłem tego

tu oto obecnego świadka, który ma w swoim ręku testament śp. JW. starościny Łotockiej!

I wskazawszy na Madeja zawołał:

— Madeju mów!

Madej skłonił się do samej ziemi, a wyciągnąwszy jakiś żółtkły papier z zanadru podał go sędziom.

— Ten papier, najjaśniejsi, miłosierni panowie, znalazłem w klęczniku starym... — rzekł nieśmiało.

— W tym samym klęczniku, na którym modliła się śp. JW. starościna jeszcze dzień przed swoją śmiercią! — dodał Dederkało.

Żagwin pobladł i oniemiał. Nagle skoczył z miejsca i syknął:

— Gotuje się tu jakaś szalbiercza komedja, która dąży do mylenia trybunału! Proszę powtórnie o wydalenie tych obu indywiduów!

A potem przystąpiwszy szybko do Madeja, chwycił go gwałtownie za ramię, utopił weń swój wzrok przenikliwy i zawołał:

— Kto jesteś włóczęgo i kto cię namówił do oszustwa?

Zagadniony tak nagle Madej skurczył się z trwogi we dwoje i odpowiedział pomieszonym głosem:

— Madej jestem, jaśnie panie!...

— Hultaj jesteś i szalbierz! Zkąd pochodzisz, czem się trudnisz?

Madej przestraszony nie zdołał nic odpowiedzieć.

Tymczasem sędziowie przegłębali złożony przez Madeja dokument i uznali w nim formalny testament, podpisany przez świadków, z których jeden był jeszcze przy życiu.

— Zaprześć pan — ozwał się jeden z sędziów — sąd sam człowieka tego wybada.

I dał znak rozjątrzonemu Żagwinowi, aby udał się na swoje miejsce.

— Jak się nazywasz? — zapytał sędzia Madeja.

— Madej, jaśnie panie senatorze! — odpowiedział Madej garbiąc się do najniższego ukłonu...

— A twoje imię i miejsce pochodzenia?

— Ja biedny dziad jestem, którego z łaski przyjęli miłośnicy dobrodziej... Madejem mnie nazywają ludzie, bo pod tem imieniem żebrałem po odpustach...

— Więc to nie jest twoje prawdziwe nazwisko?

— Zwracam uwagę — odezwał się Żagwin — i sprawdzam, że stanął przed sądem nie zasługujący na wiarę włóczęga i żebrak, który nawet, jak się pokazuje, fałszywe przybrał nazwisko.

— Twoje nazwisko? — powtórzył zapytanie sędzia.

Dziad rzucił się teraz w najwyższej trwodze na kolana i zawołał błagalnym głosem:

— Miejcie litość nademną, jaśnie państwo! Ja nic złego nie zrobił! Ja biedny, nędzny człowiek uciekłem przed plagami z mojej wsi i żebrząc po chatach Madejem się nazywałem. Ja się nazywam prawdziwie... Zachary Żagwin!

W tej chwili głuchy stuk odezwał się w sali...

To Żagwin zataczając się obalił stółek, o który był oparty.

Twarz jego okryła się trupią bladością, włosy mu się najeżyły na głowie. a oczy wydarły się na wierzch...

— Mój ojciec!... — szepnął złamanym głosem.

Natura jego, tak silna i wytrwała dotąd, nie mogła się oprzeć tylu silnym wzruszeniom..

W oczach zrobiło mu się ciemno, nogi mu odmówiły posług, i padł jak bez duszy na ziemię...

Zrobił się ruch w sali. Wszyscy pospieszyli na ratunek zemdlonemu... Musiano go wynieść — a rozprawa została odroczoną...

Kiedy Zakrucki wyszedł pod eskortą żołnierza na korytarz, przypadł doń Promnicki i rzucił mu się w objęcia...

Powitanie obu dawnych przyjaciół i towarzyszków broni było pełne serdecznego uniesienia...

I Tadeusz zbliżył się do Zakruckiego i prawie z płaczem uściskał mu kolana... Zakrucki przycisnął go do swej piersi z rozrzewnieniem i całował jego głowę.

— Tadeuszu, czy czujesz jeszcze żal do mnie — zapytał Zakrucki — przepraszam cię za mój list, przebac mi synu drogi!

— Ojcie! ty mnie przebac! — zawołał Tadeusz i całował dłoń starca.

— Puśćmy w niepamięć tę sprawę, która ci tyle przykrości sprawić musiała — rzekł Zakrucki — proces z Naftalem skończył się pomyślnie...

— Dowiedziałem się o tem dziś właśnie... Falszerstwo zostało uznanem — odrzekł Tadeusz.

— Do ostatniej chwili ważyła się szala — mówił dalej Zakrucki — dopiero zeznanie dyrektora teatru Bogusławskiego przechyliło ją na stronę słuszności. Bogusławskiemu winniśmy wdzięczność, on nas uchronił przed siłami szalbierza.

W tej chwili nadzorca dał znak Zakruckiemu, że dłużej czekać nie może, a więzień oderwał się od drogich osób i ruszył do ciemnej swej celi.

Ale zaledwie znalazł się w głuchych ścianach swej kazi — gdy znowu odwołano go do przełożonego więzienia.

— Dzisiejszy dzień bardzo bogaty w wypadki! — rzekł sam do siebie Zakrucki — jakżeż po nim wyglądać będą długie, ciche godziny samotności...

I biedny więzień westchnął.

Gdy stanął w kancelarji, urzędnik przywitał go temi słowy:

— Panie Zakrucki! Miło mi zwiastować panu dobrą nowinę! Pan jesteś wolnym!

— Wolnym! — powtórzył z radośnem zdumieniem Zakrucki i spojrzał prawie niedowierzająco na urzędnika.

— Tak, jesteś pan wolnym, a zawdzięczasz to jedynie panu prezydentowi — von Stahlen!...

— I duchowi jego szlachetnego syna! — dodał Zakrucki z cicha...

XXI.

Zemsta lichwiarza.

Wszyscy, z wyjątkiem najmłodszego pokolenia, pamiętamy stary teatr lwowski, po którym dziś już ani śladu nie ma. W czasie naszego opowiadania teatr ten od niedawna dopiero służył za przybytek Melpomeny. Przed kilku jeszcze laty był on świątynią. Jak wiadomo, teatr ten urządzonym został w kościele św. Krzyża, należącym dawniej do OO. Franciszkanów.

Wprowadzimy czytelnika do wnętrza tego gmachu.

Nowe jego przeznaczenie nie zatarło jeszcze zupełnie śladów dawnego. Sala teatralna przypominała każdym swym łukiem i gzymsem kościół. Sama przestrzeń dawniejszej świątyni, długa a wązka, pozostała ta sama i tylko rzędy krzeseł parterowych zastąpiły ławki kościelne. Do poważnych ścian przyczepiły się barwnymi klatkami łoże — a na gzymsach oparł się nowy plafond, który odciął cały górny strop kościoła i zasłonił jego sklepienia. Utworzony tym sposobem strych, oświetlony przedziwnie oknami gotyckimi, służył dziś za salę do malowania dekoracji, nad którymi pracował słynny malarz Smuglewicz.

Dziwnie wyglądała ta sala tak obcesowo i dorywczo ku nowemu celowi przekształcona!

Było to już pod wieczór — a gmach cały był pusty. Światło skąpo przedzierało się z dworu — a po całej sali rozlegał się ponury brzask, w którego cieniach kościół zdawał się otrząsać z siebie swój strój nowy a przyoblekać się w dawną poważną szatę... Niknęły łoże wśród cieni kościelnych słupów, krzesła przybierały postać dawnych ław kościelnych, a scena, która zajmowała miejsce, gdzie niegdyś znajdował się wielki ołtarz, sprawiała wrażenie, jakby ołtarz ten stał jeszcze i tylko tak grubym osłaniał się cieniem...

Z całego gmachu wiała jakaś surowa powaga a po szarych wysokich ścianach nikłby był nie odgadł, że odbijały się o nie przed chwilą wesołe echa teatralnych igraszek, skoczny takt baletowej muzyki... Światowe dźwięki głuchły na tych ścianach, tak jak odpadały od nich nowe ozdoby i emblemata, które nie zdołały zetrzeć dawnego piętna... Dziwną była postać tego teatru przez fantastyczny kontrast świeżej jego przeszłości z teraźniejszością, a osobliwie w owych czasach, kiedy i wspomnienie dawnego kościoła było bliższe i jego przekształcenie mniej dostateczne. Później teatr w pofranciskańskim kościele uległ gruntowniejszym zmianom i stracił tę początkową dziwną cechę...

Gdyby kto w tej wieczornej chwili znalazł się w tych murach pustych, szarym brzaskiem osutych, byłby może pod wrażeniem ich powagi, ukląkł naprzeciw miejsca, gdzie wznosił się ołtarz główny i byłby modlił się może przed —

deskami, na których niedawno odbywały się wesołe żarty komedji, lub swawolnym płasem suwały się lekko stopy tancerek, ku którym brzmiał śmiech rozbawionych widzów i zwracały się ich okrzyki i brawa...

Z tego wrażenia atoli można się było rychło otrząść, gdyż naraz wśród ciszy gmachu ozwały się wesołe głosy i śmiechy... Słysząc było, jak za ścianą dawnego kościoła po kamiennej posadzce tętniły kroki i gubiły się gdzieś obok wielkiego ołtarza, z kąd dolatywało echo śmiechów i wesołej rozmowy. To aktorowie i aktorki spieszyli na próbę i przerwali swą rozmowę ciszą kościoła-teatru. Tuż obok sceny, czyli dawniejszego wielkiego ołtarza, znajdował się mały, sklepiony pokój. Był to niegdyś skarbiec kościoła, który służył dziś za garderobę. W garderobie tej zastajemy całe grono kobiet i mężczyzn.

Dwoje większych rozmiarów okien gotyckich oświetlało dostatecznie ten pokój, którego ściany zachowały jeszcze dawną szarą barwę a tu i owdzie także dawne do połowy tylko zatarte napisy łacińskie. Tuż obok tych napisów wisiały zwierciadła a do tych zwierciadeł zaglądały postrojone damy, otoczone gronem mężczyzn, z którymi wesołą i żartobliwą prowadziły rozmowę. Miano odbywać próbę z komedyjki *„Miłość i tajemnica”* — a aktorowie i aktorki to recytowali swe role, to nucili półgłosem przypadające na nich pieśni, to znowu przerywali sobie nawzajem pustym śmiechem i wesołemi żartami.

Jedna z młodych aktorek stanęła sobie na środku garderoby, a zaglądając do swego zwitku i nucąc, powtarzała

sobie piosnkę, którą wieczór spiewać miała przed publicznością.

— Szukam w miłości — rozmaitości — romansy liczne — zajścia komiczne... Panie Mierzyński, jeśli pan tak nie będziesz umiał roli jak zeszłego przedstawienia, całą grę mi popsujesz!

— Piesza podróż jest wesoła — i bardzo mało kosztuje — Nie ugrzęzną w błocie koła — ani się resor popsuje... Niech no Waćpanna tylko nie patrzy tak na ową skrajną łożę po lewej — a nie wypadniesz pewnie z roli...

— A do kogo to pani zagłada? Trzeba poskarżyć dyrektorowi! Tak to, tak, zamiast do amanta na scenie wzdycha się do łoży! O Angelino! — ten głos, to echo — jest tu pociechą — moją jedyną...

— Gdzie sufler? Gdzie jest pan Fularkiewicz! Panie Fularkiewicz!

— Tu jestem! — ozwał się głos nieco ochrypły z kąta pokoju.

— Panie Fularkiewicz, co z Waćpana za sufler, drzymiesz w budce, a pozawczoraj zamiast drugiego aktu sufłowałeś mi pierwszy.

— Panie Fularkiewicz, ja panu czuprynę oskubię, zamiast pomagać, mylisz mnie tylko bardziej!

I wszyscy otoczyli do koła suflera, krzycząc nań i obzucając skargami. Pan Fularkiewicz, człowieczek mały, chudy, szpakowaty, z bladą piegowatą twarzą i zgarbionemi barkami, machnął ręką i zawołał swym bezdzwięcznym, rozbitym głosem:

— At pretensje niesprawiedliwe, moje państwo! Nikt się roli nie uczy, a potem sufler winien! Ja sobie mało płuc nie zerwę, a jeszcze krzyczycie, że źle... A czy to dawno temu, jak za pana Każyńskiego cały monolog wydeklowałem, za co mi publiczność brawo dała?

— A pozawczoraj, czyż pan nie zbałamucił Owsieńskiego?

— Wczoraj, hm, wczoraj, to co innego było! Ale że-
bym to ja z was kogo do mojej budy wsadził, ciekawym,
czyby żywcem jeszcze z niej się wydostał!

— Oho, a to dla czego?

— Z was moi państwo żadne nie miałyby odwagi po-
siedzieć tam i minutki! Coż to czy nie wiecie, co to da-
wniej było w tym teatrze?

— Kościół... No i to cię tak zbija z kontenansu! Gdyby
to była dawniej winiarnia, byłbyś śmielszym!

— A co było tam gdzie teraz scena? — zapytał dalej
sufler puszczając mimo uszu aluzję — wielki ołtarz! A pod
wielkimi ołtarzami bywały zawsze grobowce!

— Cha, cha, cha — co też ty pleciesz, panie Fular-
kiewicz!

— A ja wam powiadam, że tam do dziś dnia są jeszcze
groby! Ja tam już sam nigdy nie będę siedział; na przy-
szły wieczór wezmę z sobą lampiarza. Pozawczoraj, kiedy
to mówicie państwo, że Owsieńskiego zbałamucił, to mało
nie zginąłem ze strachu. Wypadła mi była w międzyakcie
książka i musiałem leżeć na dół ze świecą! aby jej poszu-
kać. Brrr! Jak tam strasznie pod tą sceną. Loch ogromny,
ciemny, wilgotny, i trupie powietrze dokoła... Kiedy szuka-

łem książki, patrzę, aż tam w drugim końcu coś się czar-
nieje!...

— I coż to było? — zapytało rozciekawione grono.

— Co było! Trumna, duża trumna!...

— Ot przywidziało ci się! Gdybyś się pan nie leczył
ciągle winem na chrypkę, nie byłbyś widział tej trumny!

— Nie przywidziało mi się, a tego wieczora nawet
chrypki nie miałem... Ale była to trumna, na to przysię-
gnę, bom doskonale rozeznał...

— A w trumnie co było?

— Idź waćpanna zaglądniij, kiedyś ciekawa. Ja wiem
przynajmniej, że trumna w grobie nie bywa nigdy bez nie-
boszczyka....

— Strzeżże się waćpan! — zawołała jedna z aktorek do
swego kolegi — jak będziesz grał ducha w Hamlecie! Anuż
cię tam na spodzie jaki nieboszczyk zatrzyma...

— Byleby tylko waćpanny kiedy nie schwycił! Niebo-
szczykowi może się nudzi w lochu, i zechce postarać się
o towarzyszkę...

— Tylko go nie wyzywajcie, bośmy załedwie na kilka
kroków od niego!

Aktorki mimowolnie zadrżały i cofnęły się na drugi ko-
niec garderoby, gdy wtem wszedł sam dyrektor.

— Panie dyrektorze! Pan Fularkiewicz straszne rzeczy
nam tu opowiada!

— Jakto? Czy może znowu widział z swej budki ja-
kiego nieboszczyka?

— Więc dyrektor wie o tem! Mówże dyrektorze, czy to może być prawdą? — zapytała jedna z aktorek.

— Fularkiewicz opowiadał mi to zaraz tego samego wieczora — odpowiedział Bogusławski — ot zwyczajnie strach ma wielkie oczy, a Fularkiewicza strach zebrał w lochu. A waćpanna na prawdę się boisz? Ten nieboszczyk wie, że pani tylko żywych lubisz....

— Pan dyrektor żartuje, a to naprawdę okropne są rzeczy! A my na grobach i trumnach tańcować musimy!...

— Ja nic nie wiem, tylko tyle, że gramy w dawnym kościele. Kiedy byłem niedawno u pani hrabiny M., i zapytałem tę nabożną matronę, czemu nigdy nie bywa teraz w teatrze, podczas gdy do amfiteatru w ogrodzie Jabłonowskich bez przerwy uczęszczała, odebrałem taką odpowiedź: „Daruj waćpan, nigdy nie zdołam przenieść na sobie, abym się miała śmiać i światowością bawić w tem miejscu, gdzie niedawno słuchając mszy świętej, na kolanach Stwórcę wielbiła!“

— Coż dopiero my, co tu grać, śpiewać i tańczyć musimy! — zawołała aktorka.

— Otoż widzisz waćpanna, zaraz z tego nauka! Nie trzeba rzucać ze sceny oczkami po łóżach i po paniczach, a natomiast trzeba poważnie swój zawód pojmować, to się nie sprofanuje ani murów kościoła ani grobowca nieboszczyków... — odpowiedział z uśmiechem Bogusławski. — Pamiętaj pani, że gdy zamiast sztuki myśli światowe zaprzątą ci główkę, kto wie, czy ci jaki nieboszczyk nie każe z sobą w lochu odprawiać rekolekcij!... Ale dajmy

pokój tym obawom. Moi państwo, do próby. Jak sobie porzyczcie głowy ponuremi myślami, „Miłość i tajemnica” nie dobrze na tem wyjdzie!

I skinąwszy ręką na całe grono, udał się Bogusławski przez ciasny przechód i kulisy na scenę, a za nim ruszyli aktorowie i aktorki. Sufler Fularkiewicz o tyle przezwyciężył swą trwogę, że wsunął nogi do budki, ale za to głowę wystawił wysoko w górę i oburącz trzymał się desek sceny, jakby się istotnie obawiał, aby go upiór jaki nie pociągnął za sobą w ciemności grobowe....

Rozpoczęła się próba — lecz zaledwie uporano się z połową pierwszego aktu, gdy w garderobie odezwał się głośnem echem chód ludzi.

— Czy jest pan dyrektor Bogusławski? — zapytał ktoś obcy z po za kulis.

— Jestem — odparł dyrektor i wyszedł ze sceny.

W garderobie zastał wcale nie spodziewanych i nie miłych gości. Był tam urzędnik z woźnym i dwoma policjantami.

— Czy panowie do mnie? — zapytał Bogusławski spozierając z zdziwieniem na policjantów.

— Do pana i po pana — odpowiedział urzędnik.

— A to w jakiej sprawie?

— W sprawie długu Naftala, który wyrobił areszt na pańską własność i na pańską osobę... Pan będziesz łaskaw być obecnym przy opieczętowaniu pańskiej garderoby i składu dekoracji....

— Jakto, toż ja garderoby i dekoracji potrzebuję codziennie....

— Będiesz się pan musiał obejść bez nich... Zafantowanych przezemnie na rzecz wierzyciela przedmiotów używać panu nie wolno.... Proszę za nami....

Bogusławski prawie oniemiał. Nie był on nigdy przygotowanym na podobne kroki. Wprawdzie obawiał się codziennie egzekucji długu, nie przypuszczał wszakże aby jej tak surową nadano formę.

— Zdaje mi się mój panie — odezwał się po chwili — że wystarczył prosty nakaz zapłaty... Dopiero, gdyby nakazowi temu nie stało się zadość, mogłyby nastąpić tak bezwzględne środki...

— Nie ja, ale pan sam jesteś temu winien. Pan to poddałeś się w swym skrypcie, wystawionym wierzycielowi, takim surowym warunkom....

— Niestety! Przypominam sobie! — szepnął zafrasowany dyrektor. — Opisałem się Belzebubowi — teraz Belzebub staje przedemną z cyrografem! Gdzież jest wierzyciel, Naftal?

— Znajduje się teraz właśnie w pańskim pomieszkaniu, gdzie zajęty zatradowaniem pańskich ruchomości.

Nie było innego sposobu, jak tylko poddać się smutnemu losowi. Bogusławski odesłał do domu swych aktorów, którym tym razem stanęli na drodze zawodu nie umarli ale żywi... Sam zaś towarzyszył urzędnikowi przy opieczętowaniu garderoby i dekoracji, a po ukończeniu tej smutnej ceremonii, która smutkiem i zmartwieniem prze-

jęła biednego artystę, udał się w niemiłym gronie do swego pomieszkania.

Los, jaki teraz spotykał Bogusławskiego, był gorzkim dopełnieniem całego pasma niepowodzeń i zawodów. Stosunki teatru polskiego zmieniły się od niejakiego czasu w najsmutniejszy sposób, a publiczność galicyjska, do niedawna tak pełna zapału dla sceny polskiej, zaprzestała go prawie zupełnie wspierać. Bogusławski usiłował przewyciężyć tę oziębłość dla sztuki ojczystej — ale mimo niezmordowanych starań i znakomitych swych zdolności nie zdołał rozbudzić zajęcia publiczności lwowskiej, której podówczas udział dla rzeczy swojskich i celów patriotycznych o tyle był obowiązkiem, o ile dyktował go chwilowy szal — mody....

W teatrze bywały ciągle pustki. Wprawdzie znalazło się kilka osób, które pospieszyły zasiłkiem dla biednej sceny, będącej podówczas jedynym organem polskiej myśli, jedynym przybytkiem, w którym publicznie brzmiało polskie słowo... Hrabia Potocki otworzył Bogusławskiemu kredyt, oświadczając gotowość ręczyć za jego wypłacalność swojemi dobrami, z czego jednak pełen dumy i delikatnych względów artysta nigdy prawie nie korzystał, a pani Wielhorska, kuchmistrzyni koronna, Francuzka rodem, ofiarowała mu była nawet swe klejnoty do ułatwienia pożyczki. Inni składali bezimiennie datki w kasie teatralnej, jak np. pewien prałat 50 dukatów, a jakiś szlachcic 100.

Ale wszystkie te zasiłki zamiast wesprzeć Bogusławskiego, tylko tem przykrzej go dotykały. Wiedział bowiem, że teatr,

jako instytucja narodowa, stać powinna publicznym udziałem wszystkich, a nie jałmużną kilku gorliwszych osób. Względ ten połączony z szlachetną ambicją, kazał Bogusławskiemu w wsparciach takich widzieć tylko upokorzenie, tylko szyderstwo losu...

Wśród tak opłakanych stosunków nie było dziwnem, że Bogusławski nie mógł zapłacić owego nieszczęsnego długu Naftalowi. Znamy już całą historję tej sprawy. Zaraz w tydzień po owem zajściu z Naftalem i Tadeuszem, otrzymał Bogusławski wezwanie do sądu. Wieść o procesie rozbiegła się po całym Lwowie i rozbudziła do wysokiego stopnia ciekawość publiczności. To też gdy Bogusławski stanął przed sądem — cała prawie sala była przepelniona widzami....

Bogusławski wystąpił z godnością przed sądem. Zeznał tak, jak mu sumienie dyktowało. Oświadczył, że podpisu Zakruckiego nie widział, ponieważ w czasie używania obligu za formularz, był innym papierem zakryty i że sumy wypisanej na obligu wcale nie uważał i nie pamięta. Kiedy jeden z konsyljarzy uważał za stosowne powątpiewać o prawdziwie tych zeznań i wypaliwszy sążnistą przemowę, począł Bogusławskiemu zadawać krzyżujące się pytania, aby go zmieszać i popłatać — Bogusławski wystąpił z taką godnością i tak stanowczym tonem odparł insynuacje, że natychmiast uwolniono go od dalszego badania.

Publiczność, która tyle razy widziała na scenie aktora, widziała teraz w życiu człowieka — a jeżeli aktor po-

siadał już uznanie i sympatje, człowiek tem większy jeszcze pozyskał szacunek.

Naftal przegrał proces a nadto uwikłał się w niebezpieczne podejrzenie fałszerstwa. Byłby też niezawodnie odniósł słuszną karę, gdyby nie zręczność i przebiegłość Żagwina, który jak już nam wiadomo był jego rzecznikiem. Żagwin nie zaparł ani sprytu ani talentu, z którego tak słynął we Lwowie, i uzyskał dla swego klienta uwolnienie od zarzutu oszustwa.

Naftal rzucił się zaraz do wszelkich możliwych środków, aby się pomścić na Bogusławskim. Nie potrzebował szukać sposobności; miał ją bowiem już w ręku. Natychmiast wyrobił sobie u sądów prawo zatradowania całego majątku Bogusławskiego. Cios ten trafił Bogusławskiego w najkrytyczniejszej chwili — a odbierał mu zarazem wszelką możliwość egzystencji, gdyż jak już wiemy opieczętowano mu dekoracje i garderobę i zakazano ich używać.

Kiedy Bogusławski wraz z swymi nieproszonymi towarzyszami stanął w swem pomieszkaniu, zastał już tam Naftala, który przy pomocy dwóch woźnych gospodarował w pokojach. Wszystko cokolwiek stanowiło jego własność, nie wyłączając biblioteki teatralnej, zostało opieczętowanem.

Naftal powitał Bogusławskiego szyderskim, jadowitym uśmiechem. Dyrektor spojrzał nań z oburzeniem.

— Panie Naftal — rzekł przymuszając się do spokoju — ja ci zaraz dziś, jutro najdalej wypłacę, ale wstrzymaj się z fantowaniem... Nie będziesz tego żałował, wynagrodzę cię za to sownie... Uczyni mi tę grzeczność, zapłacę ci za nią.

— Ja także raz jednego pana prosiłem o grzeczność i chciałem zapłacić za nią, ale nie mogłem uprosić — odparł żyd i z rozkoszą zemsty łypnął siwemi oczyma.

— Tyś nie prosił o grzeczność ale o szalbierstwo! To rzecz inna! Ja nie chcę zwłoki za darmo, zapłacę za nią.

— Szalbierstwo! — powtórzył Naftal i znowu się zaśmiał po swojemu — Szalbierz prosił grzeczności daremnie, niech teraz grzeczność daremnie puka do szalbierza!

— Ależ ty nigdy swych pieniędzy nie dostaniesz, jeżeli mi teatralne rekwizyta nie zostaną zwrócone. Odbierasz mi możliwość zarobku a więc i możliwość wypłaty...

— Ja to sobie sprzedam. Ja stracę na tych komedjanckich rupieciach, ale czy ja już jedno stracił na panu! Ja przez pana stracił dziesięć tysięcy dukatów!

Bogusławski chwycił za kapelusz.

— Dobrze więc! Zapłacę ci zaraz. Za chwilę otrzymasz pieniądze, Manicheuszu!

Bogusławski umyślił poświęcić swą drażliwą ambicję i udać się z prośbą do któregoś z znajomej sobie szlachty, byleby się wyrzec ze szponów niegodziwego lichwiarza. Ledwie jednak na krok posunął się ku drzwiom, gdy mu Naftal zastąpił drogę.

— A to gdzie, kto panu pozwolił? — syknął do niego jak gadzina.

— Coż to znaczy oszuście?

— Proszę bardzo nie obrażać! — zawołał Naftal — pan mnie chciałeś zrobić oszustem, ale się nie udało! Pan nie

możesz wyjść sam na miasto! Ja panu nie pozwalam! Wyrobiłem sobie areszt na pańską osobę!

Bogusławski stanął jak skamieniały.

— Ale ja jestem szlachetny człowiek — mówił dalej żyd z szyderskim śmiechem, pastwiąc się nad swą ofiarą — ja panu pozwolę wyjść na miasto, ale dodam panu dwóch policjantów jako straż honorową!...

I wybuchł głośnym śmiechem.

— Czy to być może? — zapytał Bogusławski urzędnika drżąc z gniewu i oburzenia.

Urzędnik milcząc skłonił głowę na znak potwierdzenia.

Bogusławski padł jak zemdlony na krzesło. Straż, bez której nie wolno mu było wychodzić do miasta, wydała mu się przy wielkiej jego drażliwości wstydem, hańbą niemal. Widział się teraz uwięzionym, a tem samem pozbawionym możności wydobyć się z tak fatalnego położenia.

Naftal uważał to zmartwienie dyrektora i po ustach przebiegał mu uśmiech zadowolenia.

— Już wszystko skończone — rzekł po chwili — żegnam pana. Wychodzić panu wolno, ale tylko z tymi dwoma panami.

I wskazał na policjantów, którzy rozgospodarowali się jakby do dłuższego pobytu w przedpokoju. Potem uklonił się raz jeszcze z szyderczą grzecznością i wyszedł wraz z urzędnikiem i woźnymi...

Bogusławski począł się przechadzać po pokoju. Był w stanie przykrego rozdrażnienia — serce jego przepełnione było goryczą. Po tyluletnich wysileniach, po długiej walce i pracy

ujrzał się opuszczonym nędzarzem. Cały był jego i jego towarzyszy, z którymi razem pracował na polu sztuki, został zachwiany, a nie było żadnej nadziei ratunku. Choć już oswojony z niepowodzeniami najrozmaitszego rodzaju — nie mógł się oprzeć zwątpieniu...

Podczas gdy się tak przechadzał wśród najprzykrzejszej zadumy, ktoś z nadzwyczajnym pospiechem i głośnym trzaskiem wpadł do pokoju. Bogusławski ocknął się z zamyślenia i ujrzał przed sobą faktora teatralnego, znanego już naszym czytelnikom Dawidka.

Dawidek był czerwony jak burak, oczy świeciły mu się dziwnym blaskiem, pot lał mu się z czoła a piersi mu głośno dyszały...

— Całuję nóżki wielmożnego pana dyrektora, jak się pan dyrektor dobrodziej miewa! — wybełkotał szybko i z wesołym uśmiechem na czerwonej twarzy.

— Ot widzisz jak, Dawidku — odparł Bogusławski wskazując na świeże pieczętki i na straż w przedpokoju.

— Nu! ja wiem o tem wszystkim! — zawołał Dawidek — pana dyrektora zapieczętowali, zatradowali, zaaresztowali, ja wiem wszystko!

I począł się śmiać wesoło.

— Czyś ty oszalał żydzie! — rzekł Bogusławski patrząc z zdziwieniem na Dawidka.

— Mało co tego nie było z radości, z wielkiej radości! Panie dyrektorze, wielka nowina się stała!

— Ale coż tobie takiego, mów!

Dawidek odsapnął i zawołał:

— Wielka nowina i bardzo dobra. Pan wie, że ja mam żonę — ale pan może nie wie, że moja żona miała matkę!

— Oszalała... — mruknął dyrektor patrząc na żyda.

— Ta matka umarła i cały swój majątek zapisała mojej żonie!

— A to winszuję ci!

— A co, jak to dobrze — mówił dalej żydek — że pana dyrektora zatradowali!

— Ależ człowieku, radość ci rozum odebrała, kiedy to za coś dobrego uważasz!

— A to nic dobrego, że Dawidek ma teraz pieniądze i że Dawidek zapłaci zaraz za pana Naftalowi! — zawołał żyd i spojrzał z tryumfem na Bogusławskiego.

— Tak jest, proszę pana — mówił dalej — ja zaraz te pieniądze panu pożyczę!

— Ale ja wyjeżdżam za miesiąc na zawsze ze Lwowa, a w tym czasie oddać ci ich nie mogę...

— Nu, co to znaczy! A gdzie pan jedzie?

— Do Warszawy.

— Ja pojedę z panem do Warszawy, pan mi tam odda pieniądze i będzie kwita. A co, nie wielka nowina się stała?

— Poczciwy jesteś Dawidku. Zgadzam się i dziękuję ci z góry za tę usługę.

— Ja biegnę zaraz do Naftala i zaraz mu płacę. Ja wróce za pół godziny i zaraz tych dwóch policjantów wyproszę! — zawołał Dawidek i odsapnąwszy z całej piersi wybiegł z pokoju.

XXII.

R e d u t a.

Świat modny lwowski obchodził dzień uroczysty... Wszystko, co tylko należało do tego świata, było tego dnia w ogromnym ruchu i zajęciu. Przez trzy poprzednie dni spoczywały salony, ucichły zabawy, ustały wesołe schadzki— a mówiono tylko o dniu czwartym i przygotowywano się do jego uroczystości. Dzień ten miał uwieńczyć cały nieprzeliczony szereg uciech i zabaw lwowskich, miał ostatnim wybuchem szału pożegnać zeszły sezon salonowy i dopełnić miłych wspomnień eleganckiego świata, który bądź to przez nadejście letniej pory, bądź z powodu przycichnięcia burz wojennych w znacznej swej części gotował się do opuszczenia galicyjskiej stolicy.

Lwów, ów wielki podówczas hotel dla przejezdnych z całej Polski, ów piec galicyjski, za którym tak wygodnie przeczekano sobie, aż przegrzmia pioruny i zamilkną jęki narodu, miał się niebawem wypróżnić... Zadanie swe właściwe, zadanie zapiecka dla tchórzów, swobodnego kąta dla zbiegów z pod narodowego sztandaru, dla maroderów i tak zwanych „spokojnych ludzi“, karczmy hucznej dla birbanckiej gawiedzi, szulerni dla magnacików, lesbijskiej

świątyni miłośnej dla pięknych i rozkosznych pań salonowych — spełnił Lwów wybornie, a wszyscy, którzy go w takiej odwiedzili myśli, opuszczali go z żalem i najmilszemi wspomnieniami...

Na „neutralnym” jego bruku, jakgdyby na ubitym już grobie narodowym, umiano sobie urządzić doskonałą, zaciszną a wesołą salę balową, na której przehasano słodko ostatnie dnie walki i grozy okropnej... Dziś, kiedy po zdławieniu ostatniego bojowego hasła, po skruszeniu ostatniego oręża, ciężka, żelazna stopa przemocy ubiła ziemię na grobie całej reszty Polski, otwarły się granice dla bohaterów i bohaterek wesołego lwowskiego życia, i można było wracać do domu z miłej, wygodnej, „neutralnej” galicyjskiej stolicy....

Nim ją atoli opuszczono, miano się jeszcze wesoło pożegnać. Oznaczywszy termin wyjazdu, salonowe kółka ułożyły cały program pożegnawczych uciech i zabaw. Na zakończenie tych zabaw, na dopełnienie całego programu ostatnim toastem szału urządzono redutę...

I oto, dlaczego dzień był uroczysty we Lwowie!... Reduta miała być przepyszna — a salony trzy dni przygotowywały się do tej ostatniej hucznej maszkarady... Jakoż nie zawiedziono się w oczekiwaniach, reduta była dostatecznie świetną, aby w niejednej czezej duszy męskiej, w niejednem pustem sercu kobiecem stanowić najważniejszy epizod, nawet osobną epokę całego żywota...

Nie będziemy się dłużej rozwodzić nad przygotowaniem, które się złożyły na tak historyczny dzień w życiu modnego

Lwowa, nad nadziejami, których spełnienie zamykać miała w sobie sławna maszkarada, nad romansowemi intrygami, które tej nocy dojrzeć i najsłuszniej rozwiązać się miały. Przejdziemy wprost do samej reduty i wprowadzimy na nią naszych czytelników.

Sala reductowa znachodziła się tuż przy starym teatrze, stanowiąc z nim gmach jeden. Lwów pamięta ją jeszcze dobrze, gdyż od jej zdemolowania zaledwie dwie dziesiątki lat ubiegły. W ostatnich latach urządzenie jej może było już inne, niż za czasów naszego opowiadania, ulegała bowiem wraz z samą salą teatralną w ciągu lat licznym zmianom i przebudowaniom. Główny wszakże kształt i ogólne zarysy tej sali pozostały zawsze w pierwotnym swym stanie. Zbudował ją właśnie w czasie naszego opowiadania dyrektor niemieckiego teatru Bulla. Budowę kierował architekt Merc i nadał jej typ jonickich gmachów.

Reduta, o której mowa, odbywała się nietylko w samej sali do tego przeznaczonej, ale także i w sali teatralnej. W tym celu rozprzestrzeniono i ułatwiono komunikację, istniejącą między jedną a drugą salą i uzyskano tym sposobem ogromną arenę zabawy, na której było gdzie pohulać wesołemu towarzystwu stolicy.

Zaledwie uderzyła godzina rozpoczęcia, sala całemi tłumami masek wypełniać się zaczęła. Na całej ulicy i pobożnych placach panował zgłęb ciekawych widzów i spieszących do sali gości... Przewijały się ulicami najrozmaitsze maski, sunęły gromadki postrojonych elegantów, pędziły niezliczone kolebki i karety, wioząc na salę balową prze-

pysznie maskowane damy.... Zdawało się, że Lwów przeniósł się nad Adriatyk, że pragnął iść w zawody z klasyczną ojczyzną zapustnych igrzysk....

W obu salach redutowych przedstawiał się widok oślepiający jaskrawością barw i światła. Sale były pysznie udekorowane, a niezliczona ilość pajaków i kandelabrow rozlewała po nich całe morze światła. A po tem jaskrawem morzu światła, rozplýwały się całemi tęczami barwy przepysznych kostiumów, żeglowały falami powiewne postacie dam, czarujących wdziękami i strojem, leciały stugłósne echa, szmery i śmiechy, szumiała wesołym rytmem muzyka kilku kapel ogromnych...

Ale najdziwaczniejszej, najczarowniejszej cechy nadawały temu stubarwnemu światu damy całym swym strojem i wystąpieniem. Elegantki lwowskie wysiliły całą swą inwencję, wyczerpały cały zapas modnych pomysłów, przewyższyły się same. Przewyższyły się same nie już w blasku i dziwaczności mody, ale i w bezwstydie, na jaki zdobyć się trzeba było niewieściom czołom, aby z taką swobodą, z takim swawolnem upodobaniem dać modzie tej wyraz swą postacią....

W owych czasach za przykładem owych elegantek grodzieńskich, co za przewodem panny Lulli sromowi publicznemu towarzyszyły wyzuciem się z wszelkich szkrupułów niewieściego wstydu, nadawało hasło modzie to zdanie, *qu'il n'y a que le nu, qui habille...* Ztąd też owo zamiłowanie do klasycznych reminiscencji, do strojów arkadyjskich, do nagości greckiego świata...

To też maski damskie na reducie lwowskiej nadawały zgromadzeniu bardzo — mitologiczną cechę... Olsniewając obnażonemi wdziękami, otoczone tłumem uwielbiających mężczyzn, przesuwwały się po salach wszystkie mitologiczne boginie i wszystkie klasyczne hetery. Całemi rojami snuły się wśród światła Wenery, Dyjanny, Psyche, Aspazje — cały Olimp zeszedł na reductową posadzkę Lwowa. Inne panie nie sięgając po żurnal mód tak daleko w czasy starożytności, wynalazły sobie inny rodzaj kostiumów, które pozwalały także na wielką — oszczędność garderoby. Najwięcej dam lwowskich wybrało sobie kostium *à la sauvage* i wedle tego poubierały się, raczej porozbierały...

Ale nie będziemy opisywali szczegółowo fizjognomji lwowskiej reduty. Swawolę i namiętny szal do orgij ówczesnego lwowskiego towarzystwa scharakteryzowaliśmy już dostatecznie w jednym z rozdziałów poprzednich — a właśnie na tej maszkaradzie, na którą wprowadziliśmy czytelnika, wybijał się szal ten najjaskrawszem piętnem... Przejdziemy od razu do znajomych nam osób i do scen, które opisać mamy w niniejszym rozdziale.

W jednym z zakątów sali oparta o kolumnę stała pani Laura. Postać jej, zawsze tak nadobna i czarująca, jeszcze świetniejszą i wdzięczniejszą wydawała się przy oświetleniu. Miała na sobie kostjum, który niczem nie odbiegał od wspomnianej mody — a o ile to podobnem było, zuchwałością swą przewyższał ją nawet. Ubrana była jako Greczynka. Śliczna jej kibić okryta była tylko lekką przejrzystą gazą... Gors i ramiona były obnażone, a suknia z długim ogonem,

cieniutka, gazowa, spływając po pięknych jej formach okrywała je tylko lekka, przezrysta mgła, której nie dodano do pomocy nic innego, co by nie dozwalało podziwiać uroczych kształtów salonowej bogini...

Był to strój, który za przypadkowem nadeptaniem długiego ogonu w zgiefku narażał nieraz na wstyd zapalone modnisie — a jednak, mimo wielkiego niebezpieczeństwa takiego wypadku, należał do najczęstszych i najulubieńszych...

Laura stała sama i odosobniona. Widocznie życzyła sobie tego, bo za każdym napływem maskowanych i nie-maskowanych gości, między którymi ujrzała znajomych, cofała się jeszcze głębiej w kąt sali, lub ustępowała im z drogi. Zaczepiana mimo to ustawicznie przez maski, nieraz już otoczona przez grono modnej młodzieży, pozbywała się prędko towarzystwa i wracała na swoje stanowisko. Wzrok jej zwrócony był ku stronie wchodowej i śledził bacznie wchodzących, jak gdyby szukał jakiejś oczekiwanej osoby...

Ale daremnem znać było wyglądanie, gdyż znaczny już przeciąg czasu minął od rozpoczęcia reduty, a oczy Laury dotąd nie ujrzały oczekiwanego gościa... Na czole pięknej kobiety osiadła lekka chmurka, twarz jej piękna była zadana, a w dużych czarnych oczach malowały się gniew i niecierpliwość... W całym wyrazie jej postaci widać było obok tej niecierpliwości, także niesmak z zawiedzionej nadziei i obrażoną dumę...

Zapoznamy czytelnika z przyczyną tych uczuć pięknej kobiety.

Cofniemy się w tym celu do chwili, kiedy po raz ostatni widzieliśmy się z Laurą. Było to podczas owej gwałtownej sceny, w której wściekłość Żagwina padła piorunem między nią a Tadeuszem... Piorun ten uderzył niespodziewanie wśród najpiękniejszej pogody, wśród atmosfery świetlanej, rozkosznej, której kręgiem otoczyła piękna kobieta swego kochanka. Żagwin stanął strasznym upiorem między Laurą a Tadeuszem, a słowa jego padły kłębem jadowitych węzów na kwiecistą ścieżkę, po której wiodła się para zakochana...

Scena ta gwałtowna musiała wprawdzie sprawić na Laurze okropne wrażenie — jednakże przy pustym, lekkomyślnym charakterze tej kobiety przebiegła tylko jednym przykrem echem przez duszę, a echo to umilkło niebawem w sercu, w którym jedno tylko było, co mogło zastąpić prawdziwe uczucie — namiętność...

Daleko więcej, niż samo wystąpienie Żagwina, dotknęło Laurę wrażenie, jakie wystąpienie to sprawiło na Tadeuszu. Tadeusz wybiegł wówczas z pokoju bez pożegnania, bez słowa nawet, z wyrazem wstrętu i przestachu na twarzy. Zrazu nie przypisywała temu Laura wielkiej wagi, miała bowiem, że pierwsze to wrażenie umilknie szybko pod przeważnem uczuciem miłości. Zdawało się pięknej kobiecie, że miłość Tadeusza do niej jest tak gwałtowną, tak głęboką, iż nic jej wykorzenić nie zdoła. Laura miała swe osobne wyobrażenia i wedle nich czyniła ten wniosek. To co było namiętnością bez istotnej treści, bo tylko namię-

tnością, podsycaną płomieniem rozkoszy, brała za uczucie, to co było szaleńcem młodego serca, uważała za miłość...

Ale nie tylko na uczuciach Tadeusza omyliła się piękna zalotnica — omyliła się i na własnych. A omyłka ta nabrała dziwnie tragicznej sprzeczności... Przyszło się bowiem przekonać Laurze, że tam gdzie przypuszczała istotną miłość, był tylko szaleńcy upojenia, tam zaś, gdzie widziała tylko szaleńcy upojenia, kryło się zarzewie istotnej miłości — czyli mówiąc inaczej, że Tadeusz jej nie kochał, kochany przez nią.

Kiedy po owej scenie mijały dni — a Tadeusz nie pokazał się u niej, serce drżeć jej zaczęło od jakiejś nieznanej dotąd nigdy trwogi... Nowe, nie pojęte uczucie odezwało się w jej piersi... Byłaż to miłość?... Tak jest. Laura, która związała stosunek swój z Tadeuszem w znaczeniu ówczesnych romansów, która w tym romansie, pojętym po swojemu, upatrywała ze swojej strony tylko szaleńcy, tylko rozrywkę, ujrzała teraz że nieznacznie, powoli, stosunek inne przybrał znaczenie, że w ciągu swej znajomości z Tadeuszem szaleńcy i namiętność płocha przeszły w uczucie.

Laura temu epizodowi swego życia dała z góry tytuł swawolny — a tymczasem dziwna fatalność serca wypełniła go głębszą treścią... Piękna grzesznica uczuła, że nie Tadeusz, ale ona sama padła ofiarą...

Nie dziwmy się, że w skażonem rozpustą i płaskimi namiętnościami sercu ozwała się miłość... Nie masz na świecie tak płochego, tak zbrudzonego serca, aby się w niem wśród danych warunków nie przyjęło ziarno miłości!...

Żagwin był pomszczonym. Wprawdzie katusze, które rozdzierały pierś Żagwina, wściekłość, którą sam siebie szarpał — nie mogły iść w porównanie z stanem, w którym się znajdowała Laura, wszelako było to już dotkliwą karą dla płochej kobiety, że przy rozbudzeniu się głębszego uczucia ujrzała się opuszczoną, wzgardzoną, nieszczęśliwą. Całe jej życie uprzednie, jedno nie przerwane pasmo rozkoszy, z którego czerpała pewność siebie i lekkomyślną otuchę w przyszłość, wydało się jej teraz tak czczem, tak próżnem — że nie było z czego choćby jednej wybrać pamiątki, nie było z czego wysnuć treści do dalszego żywota...

W pierwszych dniach po owem burzliwem zajściu nie traciła nadziei, że Tadeusz powróci do niej i znów utonie sercem w jej oczach ognistych i uwiśnie na zawsze u jej ust różowych, których całus miał w nim niewolnika, których słówka wydawały się mu być warunkiem życia, jak powietrze... Ale minął tydzień, a o Tadeuszu nie było ani wieści. Poczęła więc dowiadywać się o nim i otrzymała wiadomość, że Tadeusz wyjechał, że udał się na wyprawę wołoską.

Jeżeli dotąd uczucie jej dla Tadeusza było wątpliwem, to teraz mogła się najsilniej przekonać po wrażeniu, jakie na niej sprawiła ta wiadomość, że go pokochała namiętnie, bo pierwszą w życiu miłością...

— Odjechał!... — zawołała, a serce dziwną boleścią się ścisnęło — nie pożegnał się! On się mną brzydzi, on mnie nie kocha! On może zginie na wojnie, nie wróci!...

Ale straszniejszą niż myśl o niebezpieczeństwie w boju, była dla niej myśl o obojętności Tadeusza.

— On mnie nie kocha! Nie kocha!... — wołała sama do siebie z boleścią, a w sercu jej wrzała burza namiętności.

Ją tylu ludzi kochało w życiu, tylu mężczyzn byłoby wysączyło z siebie ostatnią kroplę krwi za jeden uśmiech jej ust różowych, za jedno słówko przychylne — a żaden z nich nie doblagał się choćby iskierki współczucia; dziś ona sama żebrze tej miłości, żebrze jej u samego wejścia w wiek, w którym miłość skazaną jest być wieczną tęsknotą, wiecznem pragnieniem!...

I jakby nie chcąc wierzyć w to straszne przypuszczenie, biegła do zwierciadła i tak jak niegdyś Żagwin, spoglądała na siebie, czyli ładną jest jeszcze, czyli to podobna, aby jej Tadeusz nie kochał... Mimo istotniejszego uczucia, które się obudzało w sercu Laury, kobieta ta pojmowała jeszcze zawsze miłość jak te poganki, do których na reducie widzimy ją tak podobną strojem, uważała zawsze za jedyny urok kobiety nadobność ciała, powab wdzięków, porywających do namiętnych rozkoszy....

Zwierciadło odbiło jej śliczną postać i zdawało się ją pocieszać!... Ale cóż jej pomogły czarowny ogień oka, róże na licach, i śnieżne, cudne ramiona, co jej pomógł uśmiech uroczy i wszystkie wdzięki pięknego ciała, jej, biednej Magdalenie, kiedy nie mogły siłą swą uwięzić jednego, jedynego serca!....

Los, który najczęściej jest ślepym oprawcą, nieraz sprawiedliwym sędzią, a zawsze wielkim szydercą — dziwną wyprawił igraszkę, krzyżując drogi tych dwóch znanych nam osób, Laury i Żagwina!... Komedja to obłądów, ciemna, bezładna — ale ileż to nieraz w niej sprawiedliwości!

Laura od tego czasu formalnie usunęła się od wiru salonowego życia. Dom jej był zamknięty dla wszystkich, stopa jej nie wychodziła nigdy prawie po za progi samotnych pokojów. Odbywała nowicjat cierpienia. W oczach jej tęsknota zlagodziła żar namiętności, z ust zniknął uśmiech powabny. A jeśli kiedy stanęła z przyzwyczajenia przed zwierciadłem, widziała z trwogą, że pod wpływem cierpienia — starzeje się.... Przypomniała sobie teraz dopiero, że lata jej młodości skończyły się — a skończyły jakby na okropne szyderstwo, tem, czem się zacząć miały — miłością...

Tak miały się rzeczy, kiedy razu jednego wyszedłszy po kilku samotnie spędzonych dniach na przechadzkę, Laura spotkała jednego z lwowskich kolegów i przyjaciół Tadeusza, właśnie owego birbanta Józefa, którego poznaliśmy na sądzie generała Ponińskiego w kasynie Hechta. Było to w sam dzień reduty. Laura знаła go prawie z widzenia tylko, jednakże poznając w nim przyjaciela Tadeusza, z żywym udziałem oddała mu ukłon.

Ośmieliło to zapewne eks-oficera Józefa, gdyż zbliżywszy się do pięknej kobiety, rzekł jej z powtórным, grzecznym ukłonem:

— Właśnie przed chwilą witałem we Lwowie gościa, którego przybycie może nie będzie pani obojętnem...

Laurze zabiło serce głosiem.

— Pan Warski powrócił z wyprawy wołoskiej... — ciągnął dalej Józef.

— Tadeusz... — szepnęła Laura wzruszonym głosem.

— Tak jest, Tadeusz... — powtórzył ex-oficer Kościuszkowski. — Powrócił po mnogich awanturach, z pod szubienicy generała Schneidauera! Ale on to zapewne pani sam opowie... Ciekawe historie...

— Nie miałam dotąd przyjemności widzieć się z panem Warskim... — odparła pani Laura, a zbladła jej twarz okryła rumieniec, rzadki gość na licu doświadczonyj załotnicy.

— Jakto? Nie był u pani! A! niegrzeczny! — zawołał z rubasznym śmiechem Józef. — Ale, ale, czy będziesz pani dziś na reducie?

— Wątpię.

— Istotnie, cały Lwów się skarży na panią! Zaczynasz pani prowadzić życie zakonne...

Laura uwagę tę pominęła milczeniem.

— Reduta dzisiejsza obiecuje być wspaniałą! Wybieram się na nią wraz z Tadeuszem, który jak się był po trosze wypolerował w obozie, tak teraz znowu zdziczał między Wołochami i w obozie pana Denyski.... Trzeba nań znowu gwałtu używać!

— Czy pan myślisz, że pan Warski będzie na reducie? — zapytała Laura i uczuła po raz pierwszy pomieszanie z powodu takiego zapytania.

— Bez wątpienia! Ja go przemocą przystawię, bo chłopczysko naprawdę zardzewiał!...

Laura zamysliła się na chwilę, a potem spiesźnie pożegnała oficera i udała się dalej.

Nie korzystała już z rozpoczętej przechadzki. Powróciła natychmiast do domu i oddała się rozmyślaniu. Głowę jej zaprzątnęła zupełnie osoba Tadeusza.

— Wrócił i do mnie nie przyszedł!... — mówiła sama do siebie — to niegodziwie, bez miłości! Czyż mnie już wcale nie kocha, czy nawet najmniejsze wspomnienie nie łączy go ze mną? To nieporozumienie, to Żagwin.. Pójdę na redutę — znajdę go, obaczę!

I Laura rzuciła się natychmiast do przygotowań. Obmyśliła strój z większą niż kiedykolwiek troskliwością. Strój ten był nagością więcej niż strojem, ale ta upadła kobieta nie oblekała się weń już dziś dla wszystkich ale jedynie dla Tadeusza. Jego to miała podniesionemi w ten sposób wdziękami oczarować i podbić napowrót... Kiedy mając już wsiadać do powozu rzuciła raz jeszcze spojrzenie na swą postać w zwierciadle, uśmiechnęła się z otuchą i szepnęła do siebie:

— On znowu będzie moim!...

Oto stan, który się wyrobił w duszy Laury od czasu, kiedy po raz ostatni ją oglądaliśmy.

A teraz powrócemy pod ową kolumnę w sali reductowej. Laura stała długo jeszcze samotnie w tym zakątku sali, nie biorąc udziału w szalonym wirze maszkarady. Wzrok

jej wyteżony był ciągle na wiecznie falujące morze gości — ale daremnie... Tadeusza nie było....

Piękna kobieta chmurne, znużone oko spuściła ku ziemi. Wtem nagle usłyszała głos znajomy przed sobą. Przed nią stał barczysty ex-oficer Józef.

— Pani tu sama, smutna?... — zapytał ją z swym rubasznym uśmiechem.

— Czuję się słabą, nieusposobioną do zabawy — odparła Laura.

— Przestrzegam panią, gotują się tu na panią sidła...

— Jakież? — zapytała niedbale Laura.

— Czarne domino jakieś szuka pani zawzięcie... Poznałem w niem Tadeusza — tylko głos zmieniać umie...

Laura ruszyła się szybko z miejsca.

— Gdzie? — zapytała.

— Przyprawdzą to domino do pani zaraz, chciałem panią jednak przestrzedz, bo Tadeusz zawzięcie udaje kogo innego... Mam prawo do wdzięczności, bo z mej przestrogi da się bardzo dowcipnie i wesoło skorzystać...

— Dziękuję i czekam na przeciwnika... — odpowiedziała Laura pokrywając swe zmieszanie.

Ex-rebacz zniknął wśród masek a po chwili ukazał się z czarnem dominem u ramienia. Na kilkanaście kroków przed Laurą zatrzymał się, wskazał masce szukaną damę a sam się cofnął na salę. Maską zbliżyła się szybkim krokiem do Laury.

Był to mężczyzna wzrostu Tadeusza. Czarne jedwabne domino spływało mu prawie do kostek a twarz starannie okryta była czarną larwą.

Laura na krok postąpiła naprzód i wyciągnęła drobną swą rączkę do maski. Odgadywała w niej na pewne Tadeusza....

Maska cofnęła się nieco i utopiła bystre spojrzenie w pięknej Greczynce.

— O nie pomoże ci maska! — zawołała Laura — i pod nią zarumienić się musisz....

— Za tak oszczędną osłonę twych wdzięków, nieprawdaż, moja Greczynko?... — odparła maska zmienionym i nieco drżącym głosem, w którym czuć było gryzące szyderstwo.

Laura spojrzała po swych śnieżnych ramionach.

— O nie korzystaj pan daremnie z swej maski... Ja cię poznałam od razu!

— Tyś mnie poznała!.. — szepnęła z szyderezym śmiechem maska.

— Tak, Tadeuszu!

— Tadeuszu... — powtórzyło z cicha czarne domino.

— Tak, to ty jesteś panie Warski! Czyż taka była twoja miłość? Odbiegłeś mnie, porzuciłeś właśnie w chwili, kiedy się stałam ofiarą potwarzy łotra! Wyjechałeś bez pożegnania, wróciłeś bez powitania!

Słowa te wyrzekła Laura z naciskiem uczucia i drżąca cała przysunęła się bliżej do czarnego domina.

— Tadeuszu ja cię tak kocham! Gdzież owa namiętność, którą zdawała się płonąć twa dusza, gdzież ta wierność, która miała być między nami wiecznem, nigdy nieprzerwanem ogniwem!

— Wierność w twych ustach, kobieto, to szyderstwo!

— Tadeuszu! tobie byłam wierną! O nie odgrywaj tej strasznej roli... Jedyny mój, ukochany, pójdźmy ztąd! Ja tak czekałam na ciebie!

I wymówiwszy te słowa, z uczuciem namiętności uchwyciła maskowanego mężczyznę za rękę i oplótła ją swemi białemi, drżącemi dłońmi... Maską wzdrygnęła się na ten uścisk, jakby na dotknięcie gadu, ale ręki nie cofnęła....

— Uchodźmy z tego zgiełku... Dość już wiru w własnem mem sercu, które patrz, jak drga całe uczuciem. Daj mu ukoić się przy twojej piersi, niewdzięczny, kochany!...

Maska pociągnęła za sobą Laurę i ozwała się zmienionym głosem:

— Chodźmy!

I posunęła się wraz z Laurą szybkim krokiem do drugiej teatralnej sali. Laura uczepiła się ręki mężczyzny i tuląc się doń białemi swemi ramionami, uwisła na nim cała, jak gdyby bała się, aby jej nie odstąpił...

Po drodze zatrzymywały parę gromadki masek i grona znajomych Laurze osób — ale oni nie zatrzymywali się ani na chwilę. Czarne domino z pospiechem szło naprzód, a Laura z wzburzonym sercem, z przytłumionym oddechem szła obok niego, nie zważając na zgiełk, który ją otaczał.

Maskowany mężczyzna przebiegł z nią całą salę teatralną i zatrzymał się przy wielkiej oponie z płótna, która odgraniczała jeden jej koniec. Płótno to okrywało scenę. Maska odsunęła brzeg tego płótna i zniknęła z Laurą po za niem. Znaleźli się przed podwyższeniem sceny. Przez płótno przebijało się słabym odbłyśkiem światło z sali i wrzawa tłumu. Laura na nic nie zwracała uwagi. Rozbudzone uczucie zrobiło ją senną, nieprzytomną prawie...

Na lewym boku znajdowały się drzwi od skarbcza kościelnego czyli dzisiejszej garderoby teatralnej. Drzwi te były trochę odchylone i biło z nich światło i okrzyki. W garderobie umieszczono jeden z bufetów, a w bufecie tym wrzał hałas na pół pijanych gości. Przy świetle bijącym przez odchylone drzwi bufetu widać było u spodu sceny mały, ciemny otwór. Maska uchwyciła jeszcze silniej za ramię Laury i pociągnęła ją za sobą ku temu otworowi, który widocznie był wchodem do budki suflera.

— Tadeuszu, gdzieś mnie prowadzisz! — zawołała nagle Laura wstrzymując się przed wejściem, z którego biło zimne, wilgotne powietrze.

Czarne domino nie dało żadnej odpowiedzi, ale uchwyciwszy przez pół piękną kobietę spuściło się z nią przez otwór. Kilka małych schodków szło tu ku dołowi. Maska z piękną swą zdobyczą zbiegła szybko po stopniach i stanęła na równej ziemi... Tu Laura stanęła i tuląc się do swego towarzysza rozglądała się w około...

Znalazła się wśród grubych, nieprzeniknionych ciemności... Chłód i woń grobowa rozlegały się do koła... Echo wrzawy

reduutowej zamarło tu zupełnie — i było głucho, straszne milczenie...

— Na Boga, gdzież jestem! — zawołała z lękiem Laura.

— W grobie! — odezwał się niezmienionym już teraz głosem jej towarzysz.

Nie był to głos Tadeusza. Był to głos całkiem obcy, a biła zeń dziwna, przerażająca groza...

Laura wykrzyknęła z przestachu i zachwiała się na nogach...

Nieznajomy tymczasem wydobyl stoczek woskowy i zapalił go. Słaby promień światełka przebiegł przez cienie. W brzasku tym zarysowały się ciemne, stare ściany, okryte wilgocią, dyszące zbutwiałym chłodem...

Laura rzuciła wzrok przerażony na swego towarzysza, oświetlonego płomieniem stoczka. Głos jego przekonał ją zaraz, że to nie Tadeusz. Błada, drżąca, wylekła, zawołała ze zgrozą:

— Kto pan jesteś, co to znaczy!

— Kto jestem? — odparł nieznajomy głosem groźnym i pełnym goryczy — twój znajomy, twój ukochany! Chciałaś, bym cię zaprowadził w miejsce, gdzieby ostygnać mogło twoje serce wzburzone! Na mojej piersi ono nie umilknie, dość długo grzało się ono na niej gadem! Ale niech ci twa pierś wszeteczna umilknie przy tych zimnych murach i ot przy tej trumnie, którą widzisz tam w kącie!

— Józef!... — zawołała Laura i z jękiem przestachu w tył się zatoczyła.

Nieznajomy zerwał maskę z swej twarzy... Był to Promnicki...

— Tak to ja jestem, twój mąż, ohydna, wiarołomna kobieto! Jestem ten sam, któremu niegdyś byłaś wszystkim, wszystkim na świecie, a któremu zatrulaś serce i życie!

— Józefie litości!... — jęknęła Laura i kolana ugięły się pod nią.

— Litości!! Nie miałaś jej jako żona dla człowieka, którego skazałaś na całe piekło cierpień, nie miałaś jej jako matka dla dziecięcia, dla jedyne go twego dziecięcia, które konało, kiedyś ty dyszała szale m zabaw i rozpusty... Nie masz tej litości ani na ziemi, ani w niebiosach, która by zmiłowała się ciebie!

Laura wydała tylko słaby jęk przestachu.

— Dla ciebie nie ma litości i kary zarówno! Gdybyś ty miała serce, hyeno, wspomnienie dziecięcia byłoby srogą pomstą na matce, gdybyś ty miała wstyd, wszeteczniczo, spojrzenie w oczy męża byłoby wyrokiem śmierci na żonę! Czemu ty błagasz litości, ty, co nie boisz się kary?...

Nowy, przerażający jęk uleciał z piersi Laury i głucho rozbił się o sklepienie grobowca...

— Pójdź tu i spojrz na tę trumnę i skonaj od jej widoku! To jedyna łaska dla ciebie! Proś Boga, kobieto, abyś nie wstała już żywą, kiedy się ku niej nachylisz!

I Promnicki porwał gwałtownie Laurę za rękę i pociągnął ją za sobą.

Straszną była jego postać. Od bladej jego twarzy odbijały okropnie czarne, roziskrzzone oczy — a usta drżały mu kureczowo....

Wlokąc za sobą Laureę posunął się Promnicki w głąb sklepienia.

Był to loch, który służył dawniej za grobowiec. Przy przerabianiu kościoła na teatr, zapomniano zupełnie o tym grobowcu. Został on nietknięty... Kilkanaście trumien spoczywało tu w filarowych niżach...

Promnicki przebiegł ten straszny rząd trupów i zatrzymał się przed małą trumienką. Była ona z kruszcu i miała wieko szklane...

Pod szklannem wiekiem leżał trup dziewczynki kilkoletniej. Ciało musiało być balsamowane, bo oparło się dotąd zniszczeniu.... Biała koszulka nie rozpadła się jeszcze i okrywała zwłoki dziecka... Na główce był wianek rozmarynu. Wianek ten był jeszcze zupełnie zielonym i odbijał dziwnie od trupich skroni...

Na trumnie był napis: Marysia.

Promnicki stanął przed tą trumna i głosem łkającym zawołał:

— Patrz, matko, to twoje dziecię, to Marysieńka! Co za miejsce dla schadzki z gachem! Niech jej zwłoki mówią do ciebie, przekłeta, niech mówią za mnie! Co ja ci straszniejszego powiedzieć mogę, niż te martwe, zczerniałe usta!... Jeżeli możesz spojrzeć na te zwłoki a nie zabiją cię i żyć będziesz dalej, to Bóg nie ma dla ciebie piorunu!

W tej chwili sam Promnicki zachwiał się osłabiony i oparł się o filar, stawiając stoczek na wieku trumny... Płomień zamajaczył dziwnie na tle szklannem i sinem światłem oblał zwłoki dziecka...

Laura spojrzała, rzuciła się ku trumnie i z okropnym, strasznym jękiem, od którego mury lochu zadrżały, padła bez zmysłów na ziemię...

Kiedy się ocknęła z strasznej tej chwilowej śmierci, straszniejszej nad skon prawdziwy, ujrzała się przed drzwiami bufetu w skarbcu, a około niej stało grono postrojonych dam i mężczyzn z kieliszkami szampanu w rękach, patrzących na nią z zdumieniem i wołających lekarza.... W sali huczna muzyka grzmiała i rozlegały się szalone, wesołe hałasy i śmiechy....

XXIII.

Monodram Żagwina.

Kiedy Żagwin usłyszał na owej rozprawie w sądzie foralnym prawdziwe nazwisko dziada Madeja, nazwisko ojca swego, i pod wrażeniem tej sceny padł jak nieżywy na ziemię — pospieszono mu na ratunek i wyniesiono zaraz z sali sądowej do jednej z izb pobocznych. Po dłuższem trzeźwieniu Żagwin przyszedł do siebie, i duch wstąpił na powrót w jego zamarte piersi. Otworzył oczy, ale oczy te, wybiegając na wierzch z swej osady jakby się z niej całkiem wydrzeć chciały, majaczyły dzikim, gorączkowym ogniem i biegały z wyrazem obłąkania dokoła...

Madej, którego pojęcie całej tej sceny ogarnąć nie zdołało, stał chwilę jeszcze w sali nieruchomy i wylękły, ale kiedy mu Dederkało wyjaśnił znaczenie odkrycia, zadrżał jak w febrze i wydał okrzyk zdumienia.

— Matko najświętsza! — zawołał wzruszony i pogrążony zarazem — to syn mój!... Ten srogi, straszny pan to moje dziecko rodzone!... Panie Krzysztofie, gdzież on jest, prowadźcie mnie do niego, niechże ja mu się przypatrzę!

I Madej rzucił się z miejsca ku stronie, w którą wyniesiono Żagwina.

— Tam u niego będzie gdzieś i matka! — wołał Madej dalej. — Ale jak ja się im pokażę. Ja przeciw mojej własnej krwi świadectwo składał! Panie Krzysztofie, Bóg wam tego nie daruje! Ja wiedziałem, że z tego papieru będzie nie-szczęście, czemużście mi go wydarli, kiedym go w ogień chciał cisnąć!...

— Uspokój się stary — mówił Dederkało — syn twój synem, a sprawiedliwość sprawiedliwością! Jemu się nic nie stanie, to on chciał naszym panom krzywdę wyrządzić...

— A czemuż on panom krzywdę mógł wyrządzić! Oj wy panowie, uwzięliście się na chłopskie dziecko, dlatego, że je Bóg cudowny z nędzy wyprowadził i między książęty posadził! A na co wy dziada trzymali, czy z miłosierdzia? Nie, ze zdrady, aby zgubić jego krew własną!

I łagodne oczy Madeja roziskrzyły się tym razem nienawistnie, a pięść jego wychudła ścisnęła się kurczowo... Zdawało się, że dziwne zajście pomąciło mu zmysły i oplątało rozum obłąkaniem...

— Co ci się śni, stary? — uspokajał go pan Krzysztof — opamiętaj się, nie bredź! Chcesz widzieć syna, to chodź ze mną, ja ci go pokażę.

I wzięwszy Madeja pod ramię zaprowadził go Dederkało do sąsiedniego pokoju.

Zastali tam Żagwina leżącego na zydlu. Koło niego stał doktor wraz z urzędnikami i woźnymi. Twarz Żagwina była ciemno-siną, żyły na czole wyprężyły się mu jak powrozy, oczy wysadzone na wierzch połyskiwały gorączkowym ogniem. Dyszał ciągle i rzucał się na zydlu, podno-

sząc co chwila ściśnioną dłoń i uderzając nią gwałtownie o ścianę...

Madej ujrawszy go przyskoczył doń skwapliwie i odrzucił stojących dokoła:

— Idźcie precz, odstąpcie go! — zawołał. — Zabić go chcecie, otruć, dlatego że chłopskie dziecko! A czy on to wyglądał kiedy na chłopca! A gdyby nie ja, bylibyście może o tem wiedzieli? Dajcie mu pokój, ja go otrzeżwię... Jemu już raz tak było, kiedy go na pastwisku pańskim piorun raził! Ja go tak jak wtenczas położę na zieloną murawę i liśćmi mu okryję oczy i piersi, a będzie mu dobrze...

I przypadłszy potem do chorego, uchwycił nogi jego i całując je i ściskając wołał:

— Synu, jaśnie panie, przebacz mnie nieszczęsnemu... Ja nie temu nie winien. Bóg wielki widzi, że ja o niczem nie wiedziałem!... Panuj ty sobie dalej, a ja ucieknę w świat znowu i zniknę jak kamień w wodzie, i nie przeszkodzę ci w twojem panowaniu i wstydu ci już nigdy nie zrobię! Kopnij mnie nogą, żebraka, ja zejść ci z oczu na zawsze!

I Madej rozplakał się rzewnymi łzami i całował kolana Żagwina...

Żagwin w tej chwili ocknął się jak gdyby z letargu i spojrzawszy na Madeja wydał okrzyk i porwał się z zydła. Z wyczerpaniem sił wszystkich stanął na nogi i zataczając się powiódł okiem do koła. Wzrok jego znowu padł na Madeja i zatrzymał się na jego postaci. Madej zaniósł się łkaniem i rzucił się do nóg synowi... Na widok ten odskoczył Żagwin gwałtownie w tył, odrzucił lekarza, który

go chwycił za ramię i rzucił się w szalonym pędzie ku drzwiom...

Puszczono się za nim natychmiast, ale on nie oglądając się nawet, szybko przebiegł kurytarze i zniknął na ulicy. Kiedy ludzie, którzy go trzeźwili, wybiegli za nim na ulicę, już zniknął między domami...

Odtąd wieść zginęła o Żagwinie. Przez kilka dni nikt nie wiedział gdzie się podziewa. Widziano go tylko tego samego dnia, jak przebiegał ulice jak obłąkany. Strasznie wówczas wyglądał. Bez czapki, z rozburzonym włosom, w potarganem odzieniu, z twarzą siną, okropnie wykrzywioną, z oczyma obłąkanemi leciał przez miasto. Wszyscy uciekali przed nim z drogi, nikt go nie śmiał zatrzymać...

Minęło dni kilka. Zdawało się, że Żagwin przepadł na zawsze. We Lwowie poczęły obiegać najdziwniejsze pogłoski o losie osławionego rabulisty. Opowiadano sobie z najfantastyczniejszymi dodatkami, jego nieszczęśliwą miłość, stratę majątku, proces i ową scenę w sali sądowej. Do tej historii dodawano także niemniej tragiczne zakończenie. Ci, co zawsze chcą wiedzieć więcej od innych, zapewniali, że Żagwin dostał pomieszania zmysłów i błąkał się po okolicach, aż jednego dnia o kilka mil ode Lwowa wyciągnięto jego zwłoki z rzeki, w której przypadkiem czy umyślnie się utopił.

Ale nagle szóstego dnia po zniknięciu Żagwin pojawił się jakby z tamtego świata we Lwowie. Kilka osób widziało go na ulicy w różnych porach i w różnych miejscach. I znowu odmienne i jeszcze dziwniejsze od poprzednich

wieści podawano sobie z ust do ust o nieszczęśliwym prawniku. Nie będziemy ich powtarzać — lecz zapoznamy sami czytelników z ostatnimi losami Żagwina.

Było to pod wieczór, kiedy ulicami Lwowa przesuwiał się jakiś dziwnej postaci człowiek. Odzież jego była poszarpana, buty kurzem okryte, on sam blady i wynędzniały. Człowiek ten szedł szybko naprzód z oczyma wlepionemi w ziemię. Przechodnie spoglądali na niego ciekawie, jedni ograniczali się na spojrzeniu, inni przemawiali doń z zdziwieniem. On jednym i drugim odpowiadał ponurem wejrzeniem i uśmiechem przymuszonym, ale pełnym dzikiej zjadliwości i szyderstwa...

Był to Żagwin. Okropnie los pobił tego człowieka.. Po jego twarzy, wyteżonej kurczowo, widać było, że się przymuszał do spokoju, że chciał zapanować nad swoim nieszczęściem... Ale tytaniczna nawet siła woli i charakteru nie byłaby zdołała choć w części i choć na chwilkę uciszyć burzy, która w łonie Żagwina się srożyła, ugasić piekła, które z serca zrobiło sobie czeluść bezdenną...

Przez tych kilka dni, w których zniknął był bez śladu, Żagwin tułał się jak obłąkany potępieniec. Gdyby był sam siebie zapytał, co pod ten czas robił, nie mógłby dać odpowiedzi. Tyle uczuć kłębiło mu się w duszy, a każde z tych uczuć było tak gwałtownym wybuchem namiętności — że zostało mu chyba ciemne poczucie okropnego bólu, którego doznał... Gdzie przebywał, czem się żywił, tego sam nie wiedział, przypominał sobie tylko, że

po kilkakroć wyrywał się przemocą z rąk ludzi i biegł dalej bez przytomności.

Kiedy po raz pierwszy obudził się z tej strasznej maligny i trzeźwiejszem okiem spoglądał około siebie, ujrzał się przy drodze w pobliżu miasta... Leżał na ziemi, a odzież jego była zbłoconą i mokrą. Nogi bolały go za każdym stąpieniem, a w piersiach czuł żar piekielny...

Żagwin wstał i udał się ku miastu...

Władze umysłu wróciły mu — ale na to tylko, aby objąć całą fatalność swoich losów. Dawna siła i ta żelazna wytrwałość, którą pokonał tyle przeciwności, za pomocą której w młodym wieku szydził z nieszczęścia własnego, odstąpiły go... Uczuł się bezsilnym, nędznym jak robak zgnieciony...

Blady jak trup, z zaciśnionemi sinemi ustami, które spotykając znajomych, do przerażającego krzywił uśmiechu, szedł przez miasto. Mijał pomieszkane Laury i zatrzymał się nagle... Zrobił ruch jak gdyby wstąpić chciał do tej kobiety, a w oczach zapłonął mu dziki ogień, namiętna żądza zemsty... Ale powstrzymał się w zapędzie i ruszył dalej, zacinając jeszcze silniej spiekłe usta...

Szedł dalej, obierając za drogę ulicę, przy której mieszkał, kiedy był na szczycie swego powodzenia. Spojrzał przez okno w te pokoje obszerne i wytworne, i zastał w nich obce twarze... Odwrócił twarz spieszenie i biegł dalej, uciekając od tego miejsca, które tyle wspomnień wzbudzało w jego duszy...

Skręcił boczną ulicą i spieszył ku przedmieściu... Gdy wszedł pomiędzy małe, ubogie domki, odbił się na jego

twarży wyraz jakiś łagodniejszy... Zdawało się, że w oczach zajaśniało mu rzewne uczucie... Żagwin w tej chwili myślał o swej matce... Kiedy jego majątkowe stosunki poniosły zupełną klęskę, Żagwin przeprowadził się z kochaną staruszką na to ubogie przedmieście. Teraz matka, ta jedyna istota, która nie dała mu przestać być — człowiekiem, stała mu przed oczyma, biedna, opuszczona, może w nędzy i głodzie...

Żagwin chwycił się za głowę, jakby się bał, aby mu nie pękła pod ciśnieniem okropnych myśli...

Szybko zdążał naprzód... Przed małym starym domkiem, przed którym zieleniło się podwórze z kilku drzewami, zatrzymał się. Tu było jego pomieszkowanie, tu zostawił starą matkę. Żagwin stanął przed furtką, a w oczach pokazały mu się nagle łzy... Pierwsze łzy i ostatnie w całym jego życiu!... Nie płakał nigdy, kiedy go chłopięciem bito niemiłosiernie, nie płakał nigdy, gdy mu w ciężkich latach młodości dokuczały nędza i głód, kiedy go deptano pogardą i hańbiącym upokorzeniem....

Żagwin otarł oczy i wszedł cicho przez furtkę na podwórze... Ostrożnie podsunął się pod małe okna, ale bał się w nie spojrzeć... Dopiero po chwili tego wahania zdobył się na odwagę, i ukradkiem, chyłkiem spojrzął do pokoju. Okno było rozwarte.

W małej izdebce było kilka osób. Na łóżku leżała jakaś staruszka i spała... U jej nóg siedział Madej i spozierał na nią ustawicznie. Tuż obok śpiącej siedziała z stryjanką swą Zosia... Zosia pochyliła swą główkę nad staruszką, a

w spojrzeniu jej widać było czułą troskliwość... W całym pomieszkaniu znać było ślady dobroczynnej dłoni i troskliwej opieki...

Żagwin patrzył długo na tę cichą scenę, a piersi drżały mu od rozczulenia. Nagle zaskrzypiała furtka i na podwórzu pojawił się Zakrucki z Tadeuszem... Żagwin skoczył na bok i skrył się za tylną ścianę domostwa. Potem chyłkiem wybiegł z podwórza i skrył się za płot przeciwnego domu.... Tam siedział nieruchomo i patrzył ciągle na mały domek.

Naraz ujrzał zajeżdżający powóz, który się zatrzymał przed podwórką... W małym domku zrobił się ruch i po jakimś czasie widział, jak matka jego, prowadzona przez Zosię i Madeja wyszła na ulicę i wsiadła do powozu, który się zaraz oddalił. Żagwin wyskoczył z za płotu i pomknął szybko za odjeżdżającymi. Powóz wkrótce się zatrzymał przed dużym, szarem domostwem, które dobrze było znane Żagwinowi... Był to dwór pana Promnickiego... Tu widział jak Madej, ojciec jego, z łzami wdzięczności całował ręce Zosi, która staruszkę odprowadziła do środka domu....

Żagwin usiadł za drzewem i długo, długo siedział pod dworem... Minał już brzask wieczorny i ciemności nocy spuściły się na ziemię, a skulona postać Żagwina szarzała jeszcze długo pod drzewem. W końcu porwał się z miejsca i począł biedz ku miastu.... Szybko minął wszystkie ulice i zdążał ku Wysokiemu Zamkowi.

Noc była jak grób ciemna i cicha. Żagwin wyszedł na wzgórze Wysokiego Zamku, które podówczas były nagie i dzikie, przebiegł je, i skręcił ku laskowi, który od odwiedzin cesarza Józefa przewano *Kaiserwaldem*... Strudzony szybkim chodem zwolnił Żagwin kroku. Głowę jego wypełniały myśli czarniejsze jeszcze niż noc, która go otaczała... Pod wpływem tych myśli to przyspieszał to zwalniał kroku, a czasem zatrzymywał się całkiem na chwilę.

Żagwin rozmawiał sam z sobą.

Zdawało się, że istota jego podzieliła się na dwie połowy, na dwa żyjące indywidua, na dwóch ludzi, i że ludzie ci toczyli z sobą spór surowy...

Żagwin wstrzymał swe kroki i tak się odezwał do samego siebie:

— Noc ciemna, czarna!... Taka czarna jak twoje sumienie, taka głucha, jak miłosierdzie Boże dla ciebie! Czarniejszej nocy nie znajdziesz może już drugi raz w życiu, korzystaj z niej przyjacielu!...

I mówiąc tak sam do siebie zaśmiał się na cały głos swym zwykłym szyderskim tonem.

— O tak, korzystajmy z niej, nędzny, podły, stary łotrze! Odpraw sąd nad sobą, bo żywot twój spełniony!... Czterdzieści kilka lat żyjesz na świecie; przez połowę życia bili cię ludzie, przez drugą połowę biłeś ty ludzi — aż pod koniec twój padłeś znowu pod ławę! Cięższy młot losu niż twój upór, po co ciebie na świecie, kiedy tej różgi wytrzymać nie zdołasz? Zmiękła ci skóra, nędzniku, bolą cię

razy, płakać nie umiesz, mścić się nie możesz, a poskarżyć nie masz się przed kim!...

Tak mówił Żagwin sam do siebie, a słowa jego pełne dzikiej grozy ginęły głuchem echem w pobliskim lasu...

— Żagwinie, mój braciszku serdeczny, gdyby to łotrom stawiali pomniki, jakiebyś ty miał mausoleum!... Ale świat zawsze był ci wrogiem, nie dał ci nic, nawet szubienicy, tak że sam o niej myśleć dziś musisz!... Odpraw sąd nad sobą zbrodniarzu, odpraw spowiedź i daj sobie absolicję, a jeżeli to potrafisz, dopiero będziesz księciem łotrów!...

Tu zatrzymał się na chwilę w swym pędzie, stanął u brzegu lasu i wołał dalej:

— Zabawmy się w sąd, mój braciszku! Wystawmy sobie, że stoi tu wielki zbrodzień, Żagwin nazwiskiem i czeka na karę! Bądź raz sprawiedliwym, Żagwinie, bądź po raz pierwszy i ostatni sprawiedliwym w twojem życiu i osądź siebie i wydaj wyrok!

I uroczystym głosem, z którego jednak było straszne obłąkanie, mówił:

— Stanął przed sądem Żagwin, mistrz swego rzemiosła! Człowiek ten pogwałcił prawa ludzkie i Boże. Win i zbrodni jego wyliczać nie można, bo rejestr przetrwałby noc całą i nastąpiłby poranek tymczasem. Trzymajmy się więc krótko. Co winien człowiek, co był na świecie apostołem nienawiści?

— Niechaj skazanym będzie na miłość do kobiety bez serca!

— Stało się, ten wyrok został już spełnionym... Skazanemu było głupstwo katem i włożyło mu w ostatniej chwili serce do próżnej piersi, a serce to rzuciło na żer chytrej hyenie! Wyrok spełniony...

— Co winien człowiek, który prawem pisanem jak nożem rabusia rzucił się na ludzi, i wydierał im spokój, kradł mienie, wyciskał łzy, krzywdził, oszukiwał, szalbierzył, rozbijał?... Co winien człowiek, który rozdał więcej kijów żebraczych, niżeli sam lat liczy?...

— Niechaj dla siebie postara się o kij żebraczy i o torbę dziadowską, a w tej torbie niechaj nie będzie nawet małego kawałka chleba, aby nim nakarmił głodną swą matkę!

— Stało się, wyrok spełniony! Złoto skazanego poszło na łup zalotnicy, a łzy i pot, które na niem były, zostały przy nim... Pot ten i łzy te kroplami gorącego ołowiu spływają dziś po skroniach skazańca!

— Cha, cha, cha... — zaśmiał się teraz Żagwin z szatańskim szyderstwem — jak to pięknie idzie! Co to za rozrywka pyszna, a jak tanim kosztem! Bawmyż się dalej, jak dzieci!

I przybrawszy znowu głos groźny i uroczysty wołał dalej:

— Co winien człowiek, który całe życie był wykonawcą niesprawiedliwości?

— Niech będzie sprawiedliwym dla siebie i niech sam będzie oprawcą swoim!

— Wyrok ten spełni się niebawem. Ale to nie wszystkie jeszcze zbrodnie oskarżonego! Pozostały dwie bardzo

wielkie. Co winien człowiek, dla którego była jedna tylko na świecie zbrodnia, do której czuł wstręt, a wstręt ten pokonał w sobie i zbrodnię tę popełnił! Co winien człowiek, który z oszusta stał się Judaszem, który nie wahał się być szpiegiem, który wtrącił do więzienia starca i zamordował w sobie ideę jedyną, dla której jeszcze miał szacunek?...

— Niechaj straci srebrniki, za które podjął się tego czynu, i niechaj mu pazurami szatana rozryje mózg ten widok, jak ofiara jego zbrodni napoi ojca jego i nakarmi matkę!

— I to się stało... — szepnął Żagwin głosem, który tym razem był pełny boleści. — Wyrok spełniony!

I zamilkł na chwilę okrywając dłońmi twarz swą rozognioną...

Nagle podniósł głowę i ręce do góry i zawołał dawnym szyderczym głosem:

— Dobrze! Osądzony był łotrem nad łotry, zbójcą nad zbójce! Ale co winien świat, który z niego zrobił takiego łotra, który mu sam wcisnął taką broń do ręki?

— Winien, aby mu skazany cisnął w oczy wszystkie swe zbrodnie, aby go pożegnał najwyższym szyderstwem, i nazwał go — swym ojcem!

— Brawo! — zaśmiał się strasznym głosem Żagwin — to mi wyrok sprawiedliwy! Ale jeszcze jedna zbrodnia, na którą nie było jeszcze ani sądu ani wyroku! Oskarżony uważa ją sam za najcięższy grzech swego żywota i pyta: Co winien człowiek, który samochcąc przemienił się w głupca, który popełnił takie głupstwo, takie olbrzymie, ohydne

głupstwo, że w obec tego głupstwa zniknął rozum jego całego życia? Co winien ten głupi, po trzykroć głupi człowiek?

— Sądy nie dla głupców... Niech się głupiec powiesi!...

— Wybornie! Głupiec się powiesi i tym sposobem rozumnie życie zakończy!...

I Żagwin wszedł do lasu i wpatrzył się w najbliższe drzewo...

Walka umilkła w piersi jego — sam sobie wyrok ogłosił..

Stanowczym krokiem podszedł pod drzewo i uchwycił silną ręką jedną z gałęzi...

Ale w tej chwili zachwiał się i zatoczył... Chciał się zatrzymać o drzewo, ale gałąź wymknęła się z rąk jego i Żagwin spadł na ziemię...

Nagły atak apopleksji zerwał nić jego życia i wyprzedził samobójstwo...

We trzy dni po tej nocy znaleziono w lasu trupa... Na martwej twarzy skamieniał wyraz okropnej walki i bólu, dłonie były silnie zaciśnięte...

Tak skończył Żagwin...

XXIV.

E p i l o g.

Otóż stanęliśmy u kresu naszego opowiadania...

Nie wiemy, czyli winni jesteśmy naszym czytelnikom jeszcze jakie szczegóły lub dopełnienia. Nie wiemy — bo rozstrzyga w tym względzie więcej sam czytelnik, niż autor.

Tym, którzy z zajęciem towarzyszyli nam na tej wędrówce, nie potrzeba epilogu, aby własną myślą dopełnili sobie ostatecznych drobnych szczegółów i rysów, aby z własnej poniekąd imaginacji dorzucili tych kilka promyczków i tych kilka cieni, które zabrakną do objęcia całości obrazu — tym zaś w których skreślone na tych kartach sceny i wypadki nie potrafiły wzbudzić udziału, tem mniej go potrzeba, bo dla tych obojętnem było zapewne, gdzie położymy to słowo: koniec...

Le secret d'être ennuyant, c'est de tout dire!

Więc niepotrzebnym był epilog. A przecież poświęcamy mu tę kartę ostatnią. Więcej w tem może słabości autora, więcej przyzwyczajenia — niż względu na czytelników...

Ale kiedy po dłuższej wędrówce staniemy u kresu, wzrok mimowolnie zwraca się jeszcze ku stronie, w której znika przebyta drożyna...

Chcielibyśmy objąć tem jednym, ostatniem spojrzeniem całą kolej podróży, pożegnać wszystkie jej ustępy i wszystkie odniesione wrażenia...

Takim kresem, takim ostatnim punktem minionego horyzontu, takim granicznym kamieniem wymarzonego świata, jest dla powieściopisarza tych kilka wierszy, któremi zamyka swą książkę. Niechaj mu więc będzie wolno zgromadzić na tem miejscu jeszcze raz wszystkie te osoby, z którymi żył przez dłuższy czas w stosunkach imaginacji...

Niech staną raz jeszcze ostatni około niego, aby wraz z odrzuconem, nieoschłem jeszcze piórem odlecieć go na zawsze i mówić za siebie i za niego...

*

*

Zacniemy od Tadeusza.

Po przygodach i cierpieniach, których tak obficie doznał od dnia, kiedy go Żagwin wyrwał z zaczarowanego kółka pięknej Laury, odżył on dopiero teraz u piersi Zakruckiego, w pobliżu Zosi... Wszystko co minęło, zdawało mu się snem jakimś dziwnym, pełnym piekielnych kontrastów, bo splecionym z ułudnych powabów i mąk prawdziwych...

Z Laurą nie widział się już nigdy... Bał się widoku jej jako przypomnienia tego wszystkiego, co w krótkim czasie przeżył we Lwowie...

A im bardziej odżywał i im bardziej czuł się całą swą duszą szczęśliwym przy ukochanych osobach, tem bardziej zadrżec musiał na myśl, że niedawno tak bliskim był utraty tego szczęścia... Na każdą taką myśl silniej ścisnął dłoń Zakruckiego i głębiej tonał spojrzeniem w szafirowych oczach Zosi, jakby się chciał upewnić, czy przebaczenie ich jest prawdą a nie snem tylko...

Wkrótce też w starym dworku wiejskim jego ojca zapanowało życie i wesele... Do cichych jego progów, które niedawno jeszcze żegnał na zawsze zrozpaczoną myślą, wszedł Tadeusz z aniołem u boku... W kilka miesięcy bowiem po opowiedzianych tu wypadkach Zosia była jego żoną...

Życiem i szczęściem młodej pary ogrzewał swe znękane serce Zakrucki. Mimo wieku późnego i przebytych prób, wytrwał stary konfederat na narodowym szańcu. Pracą patriotyczną, w której nie znał co to znużenie, co wypoczynek, miłością swą i wiecznie żywą wiarą stanął on na tej mogile, która dzieliła dwie doby Polski. Wzrok jego duszy janusowem spojrzeniem zwracał się ku innej przeszłości, której był świadkiem i uczestnikiem, i wyteżał się zarazem w przyszłość, śledząc jutrzeńki na ciemnym horyzoncie ojczyznej niedoli...

Jakby w nagrodę dla tego cnotliwego męża, sprawił Bóg, iż umarł na wolnej ziemi...

O wiosnie roku 1809 kazał się Zakrucki na wieść o nowych wypadkach na ziemi polskiej przewieść do Lwowa, choć chory był i prawie zgonu bliski... Tu doczekał się dnia, kiedy w stolicę galicyjską wkroczyło wojsko polskie pod

dowództwem Różnieckiego... Zakrucki dobył ostatnich sił i kazał się Tadeuszowi wyprowadzić na miasto... Zdawało się, że zapal zmienił go cudownie znowu w młodzieńca, że odgłos marszu Dąbrowskiego wlał w jego pierś ostygnącą siłę i życie napowrót... Gdy wrócił do pokoju, usiadł na krześle i z uśmiechem szczęścia słuchał okrzyków ludu lwowskiego i fanfar polskich trębaczy... Z tym uśmiechem na ustach zasnął snem wiecznym... Umarł na wolnej tym razem ziemi...

Promnicki po owej katastrofie w grobowcu pożegnał się zaraz nazajutrz z Zakruckim... Opowiedział mu tylko całe zajście z Laurą i prosił o przeprowadzenie zwłok swej Maryni... Cały swój majątek sprzedał, a uzyskane sumy przesłał generałowi Dąbrowskiemu. Sam też niebawem stanął na włoskiej ziemi, gdzie jako legionista przebył wszystkie walki.

I jemu Bóg zgotował nagrodę za całe to życie walki i bólu.

Wrócił w szykach narodowych do Polski i dano mu było skończyć, jak tego pragnął... Poległ w bitwie pod Raszynem...

Laura po owem strasznem spotkaniu z swym mężem zapadła w ciężką chorobę.... W okropnej gorączce targal

się jej umysł przez czas długi... Kiedy przyszła do zdrowia, ujrzała się strasznie zmienioną... Z twarzy jej uleciał wdzięk młodości, który tak długo opierał się latom, uroda jej zniknęła ze szczętem. Kiedy pierwszy raz po przebytej chorobie spoglądnęła w zwierciadło, wydała okrzyk przerażający... Spotkała tam twarz zwiedłą, żółtą, pomarszczoną i tylko oczy płonęły dawnym żarem, jak gdyby nie wygasła w nich jeszcze gorączka...

Los oszczędził jej widoku dwóch scen, z których jedna miała być dla niej oskarżeniem, druga karą... W pierwszych dniach jej słabości niesiono po pod okna jej pomieszkania czarną trumnę Żagwina — a później przejeżdżał tamtędy powóz, w którym jakby na rydwanie szczęścia, jechał Tadeusz z Zosią do ołtarza...

Laura zaraz po ozdrowieniu wyjechała ze Lwowa. Ale dokądże schronić się miała, gdzie ją czekał spokojny przytułek?... Opuszczona i nieszczęśliwa miała przewlec się nędznie po ostatnich ścieżkach swego życia... Nikt też nie wiedział o jej dalszym losie.

Zniknęła bez śladu i tylko głuche wieści głosiły w kilka lat później, że zmarła w Warszawie biedną szpitalnicą...

*

**

Madeja także nie godzi się nam zapomnieć... W trzy dni po ostatniej scenie skreślonej w naszej powieści wieziono przez ulicę Lwowa ubogą, czarną trumnę. Nikt nie szedł

za tą trumną, tylko Madej z żoną i z swymi kolegami, dziadami kościelnymi... Madej płakał, a staruszka która szła obok niego przedstawiała dziwny widok... Ubrana w suknie prawie wytworne zawodziła bolesnym głosem na wzór płaczek wiejskich...

Jedyne to były łzy, które odprowadziły do grobu nieszczęśliwego Zagwina i żalem rodzicielskim padły na grób jego...

Ludzie zatrzymywali się na ulicy ciekawie na widok przechodzącego pogrzebu i szeptali między sobą o nieszczęśliwym prawniku, ale nikt nie przyłączył się do pogrzebowej gromadki...

W kilka dni później pochował Madej i swą żonę... Biedna staruszka nie przeżyła bólu i żalu po synie... Umarła przy czulej opiece litościwej Zosi...

Madej pojechał z Zakruckim na wieś... Ale nie długo przy nim bawił.

Skarżył się, że mu bardzo ciężkie i markotne życie, i zapowiadał, że pójdzie w świat po dawnemu, po dziadowsku. Mimo odradzań i prośb uczynił to w niestrzeżonej chwili... Uszedł wraz z swą lirą i jak przedtem przebiegał siodła i odpusty o zebranych chlebie, śpiewając przy starej, skrzypiącej lirze...

Teraz przejść nam wypada do Bogusławskiego. Wplatając postać jego w naszą powieść, trzymaliśmy się prawie

ściśle tych szczegółów, które on sam o swoim pobycie we Lwowie opowiada. Zaznajomiwszy tym sposobem czytelnika z prywatnemi kolejami sławnego dyrektora, dorzucić musimy jeszcze kilka szczegółów, zamykających jego rolę w tem opowiadaniu.

Nie długo bawił Bogusławski we Lwowie po opisanych wypadkach. Zawiedziony w nadziejach, złamany przeciwnościami, które daremnie pokonać usiłował, opuścił Lwów w roku 1799.

Do tylu rozmaitych przygód, których doznał w stolicy galicyjskiej, przybył jeszcze jeden, dziwny i przerażający wypadek...

Wypadek ten był właśnie tematem przedostatniego rozdziału tej powieści, w którym opisaliśmy scenę w podziemiu byłego kościoła.

Znalezienie trumien i trupów pod sceną dawnego teatru lwowskiego jest faktem historycznym... Przebudowanie kościoła na teatr odbyło się tak niedbale, że nie zaglądnięto nawet do sklepienia, na którym stał wielki ołtarz, a na którym urządzono scenę... Tym sposobem długi czas po kościach nieboszczyków przesuwwały się lekkie stopy tancerek i aktorek...

Odkrycie grobowców sprawiło we Lwowie niesłychane wrażenie... Wkrótce po opisanych przez nas wypadkach przerwano przedstawienia teatralne i wyprowadzono zwłoki na cmentarz lwowski...

Trumienkę, w której spoczywały zwłoki kilkuletniej dziewczynki, z wieńcem rozmarynu na martwej skroni, odpro-

wadzał do nowego grobu olbrzymi orszak publiczności, a zaraz za trumną szli Zakrucki, Tadeusz i Zosia... Promnickiego nie było już na tym powtórny pogrzebie dziecięcia...

I matki, Laury, nie było także... Pasowała się właśnie w tej chwili ze śmiercią...

Przykre były chwile ostatnie pobytu Bogusławskiego we Lwowie. Osładzało je wprawdzie współczucie osób szlacheckich i miłujących sztukę — ale współczucie takie jednostek nie jest nigdy dostateczną pociechą dla ludzi, którzy poświęciwszy całe życie, trud cały myśli i serca ukochanemu zawodowi, widzą w tym zawodzie niejako nagą, smutną pustynię, nad którą rzadko kiedy wschodzi słońce powodzenia i uznania... Chleb to powszedni ludzi — którzy pracują dla ducha swego narodu...

Przed samym odjazdem dotknął jeszcze jeden cios Bogusławskiego... Był to cios podwójnie dotkliwy, bo uderzał w jego zawód i jego osobę zarazem... Owsieński, główna podpora sceny lwowskiej, jeniałny artysta i koryfeusz ówczesnego teatru polskiego, nie towarzyszył już Bogusławskiemu w dalszej pielgrzymce. Zmarł we Lwowie w r. 1799.

Zwłokom jego nie odmówiono już jednak święconej ziemi, jak to jeszcze niedawno uczyniono w Warszawie jednej z zmarłych artystek. Gorycz, jaką myśl na tę wzgardę jego zawodu przepełniała serce wielkiego artysty, nie była więc na szczęście przecuciem podobnegoż pośmiertnego losu...

Przeciwnie wielki aktor polski, któremu, jeśli wierzyć można zdaniom współczesnych, nie mieliśmy i nie mamy równego, spoczął na cmentarzu lwowskim między grobami dwóch arcybiskupów...

Opłakawszy zgon przyjaciela i kolegi, Bogusławski uczuł się jeszcze bardziej samotnym i złamanym... Ale daną mu była pociecha w tym smutku... Kiedy Bogusławski w jednym z ostatnich tygodni swego pobytu we Lwowie, siedząc samotnie w swym pokoju, rozmyślał o swych i swej sztuki losach, zjawił się u niego młody student lwowski.

Student nieśmiało zbliżył się do dyrektora, a w ręku miał z zakłopotaniem jakiś zwitek papieru...

Ośmielony przyjaźniami słowy Bogusławskiego, wręczył mu swój manuskrypt. Był to przekład Martiniego *Drzewa Dianny*.

Młodziutki student z rumieńcem skromności na twarzy wyznał przed dyrektorem, że marzy o zawodzie dramatycznym i pragnie poświęcić mu swe siły... Przekład *Drzewa Dianny* był pierwszą młodocianą jego próbą...

Tym młodym studentem był — Jan Nepomucen Kamiński....

Campo Formio!...

Słowo to było w czasie naszego opowiadania smutnym wyrazem zawiedzionych nadziei, hasłem bolesnego rozczarowania i zwątpienia...

Ileż to od tego czasu przybyło chwil takich, wypadków takich, których się ramionami nadziei chwytały Polacy, aby tem ciężej uczuć swe opuszczenie i nieszczęście, aby znowu na czas jakiś zwątpić o bliskim ratunku i lepszej przyszłości...

Campo Formio! Na układ, zawarty w tem miejscu przez rzeczpospolitą francuską z swymi wrogami, którzy zarazem byli wrogami Polski — umarł nasz znajomy, pan Józef Gozdski...

W układzie tym pominięto Polskę, zawiedziono serdeczne nadzieje wierzących... Nie było to wówczas nawet po raz pierwszy, nie było po raz ostatni...

Tak jest, Gozdski umarł na *Campo Formio!*...

Był to może ostatni pan dawnej daty w Galicji, ostatni szlachcic polski w złem i dobrem znaczeniu tego słowa. Więcej w drugim niż w pierwszym... Miał on wady i miał wysokie zalety szlacheckiej natury... Nie potępiajmy bez miłości pierwszych, nie lekceważmy drugich! Bez tych wad bylibyśmy może nie upadli, ale bez tych zalet czy istnielibyśmy jeszcze dzisiaj, tak jak istniejemy i istnieć będziemy po wieki?...

Ach! okrutnym był los tych ostatnich Mohikanów pańskiej buty i pańskiej swobody! Co złą stroną swej natury zgrzeszyli w wolności, to dobrą krwawo oplakali w niewoli...

Smutne były ostatnie dni żywota Gozdzkiego... Szlachetne jego serce krwawiło się ciągle niedolą ojczyzny... Po rozbiorze Polski wyrzekł się wszystkich dóbr swych ogro-

nych, położonych za kordonem austriackim, aby nie potrzebował składać hołdu carycy... Kiedy jeden z generałów moskiewskich, dawniej osobisty przyjaciel Gozdzińskiego, pisał list do niego i radził mu, aby wrócił do dóbr swoich i objął je w posiadanie, on odpisał:

— Monarchini Wacpana zgwałciwszy prawo narodów, stargała święte obowiązki, niechże i zaborem mego prywatnego majątku się nasyci! Będąc odwiecznym tego mocarstwa nieprzyjacielem, nie mogę być wiernym jej poddanym. Nic mnie znaglić nie zdoła, abym się odprzysięgnął mojej ojczyzny, Polakiem urodziłem się i Polakiem umrę! Kto ojczyznę zabił, niech ją grzebie, ręce moje nieskażone przed Bogiem i narodem zostaną!...

Było w tym liście to samo uczucie, które tak się wyrażało było przedtem w liście do Złotnickiego, marszałka konfederacji targowickiej:

— Mości panie Złotnicki, marszałku konfederacji podolskiej ale w Tulczynie lub Petersburgu obrany... Pytam się jego marszałkowskiej Mości, kto cię upoważnił, abyś szlachcicowi w wolnym żyjącemu narodzie mówić zabraniał?... Nie masz żadnej władzy, któraby mogła zmienić moje przekonanie. Na konfederację targowicką ja nie tylko przysięgać nie będę, ale jej nawet za prawy nie uważam związek. Widzę otchłań przygotowaną na zgubę narodu. Rzucam kraj złemi czynami zhańbiony, pozostawiam mój majątek na łup łakomstwu lub nagrodę zbrodni! O, gdybym śmiercią własną drogiej ojczyzny mojej mógł okupić życie, poszedł-

bym chętnie na stos przygotowany!... Ale niestety, ta już w waszych rękach skona!

I skonała w ręku Targowiczan... A na jej grobie ciężko było umierać prawym jej synom, a żyć ciężiej jeszcze... Los ten spotkał i Gozdzkiego. Żyjąc pod panowaniem austriakiem nie tracił nadziei i powtarzał ciągle:

— Nie umrę, póki nie będziemy Polakami!...

Słowa te popierał czynem i ofiarą. Cały prawie majątek jego był na usługi powstania Kościuszkowskiego. Kiedy mu tę czynność jego patriotyczną wyrzucał gubernator lwowski, on odparł śmiało:

— Rząd słuszne ma o mnie podejrzenie... Krzywdziłbyś pan mnie, gdybyś sądzić mógł inaczej!

Utrzymywał przez cały przeciąg powstania osobną pocztę, przez którą mu podawano wieści o wojnie. Przychodziły wieści radośne ale padły piorunem i nieszczęśliwe... Gdy Gozdzi dowiedział się o upadku powstania i niewoli Kościuszki, płakał rzewnie przez dni kilka i pokarmu żadnego nie przyjmował... Zachorował i śmierci był bliskim... Kazał wynieść z pokoju swego portret Kościuszki, bo mu widok jego boleścią rozrywał serce...

Odtąd dwór w Jaryczowie, jak przedtem był zbrojownią, tak teraz był lazaretem, domem inwalidów, przytuliskiem dla rozbitków powstania. Ale szlachcic został szlachcicem i broń Boże przyjąć w dom najdzielniejszego nawet powstańca, skoro miał wasy ogolone!... Więc roił się dwór od wasaczy marsowych, a on wszystkich karmił

odziewał, umieszczał i przed ściganiem władz austriackich zasłaniał.

I trzymał się jeszcze jako tako pan Gozdzki, choć trudne mu było życie i smutne... Ale wieść o układzie w *Campo Formio* zabiła go.... Odtąd życie nie miało już dlań najmniejszego powabu. Przeniósł się do samotnej wsi Byszek, i tu gryzł się, sechł, marniał — a niebawem dokonał żywota...

Zamknął mu powieki Zakrucki, który pospieszył odwiedzić go w chorobie, i ścisnąwszy dłoń martwą rzekł z boleścią :

— Pokój ci, biedny towarzyszu i bracie! Odbiegłeś mnie starego, abym się powlókł jeszcze dalej w kajdanach po grudzie tego żywota... Umarłeś Polakiem, w niewoli wprowadzie, ale niewola ta odpadała od twej duszy, jak skorupa gliniana od ciosowego pomnika!

I pocieszywszy płaczącego jak dziecko Hołubowicza — z rozżaloną duszą wrócił do swoich, biedny starzec, zostawiony samotnie na gruzach wspólnego ogniska!...

* *

I chyba koniec już naszym kartkom...

* *

Ale Galicja! Co się stało z Galicją?

Gdyby nas kto tak na zakończenie zapytał, coźbyśmy na to odpowiedzieć mogli?... Oto chyba, że w Galicji z każdym dniem — mniej Galicjan...

Od czasu pierwszych Galicjan sto lat niebawem upłynie... Sto lat odcięcia od organizmu narodowego, sto lat obcych stosunków życia — trzy pokolenia wzrosłe na gruncie poniewolnych warunków bytu, to zaiste próba dość długa dla doświadczenia narodowej żywotności...

A przecież w Galicji mało Galicjan....

E pur si mouve!

Z Galicji, co miała być szkołą niemiecką dla Polaków, była raczej szkoła polska dla Niemców. Gdzie są synowie i wnukowie tych, co przyszli tę część Polski tłumaczyć na niemieckie? Szukajcie ich w rządzie gorliwych patriotów, w spisie więźniów, w listach poległych na pobojuwiskach polskich z roku 1831, 1863.... Ileż tam imion, znanych z urzędowej historii pierwszych lat Galicji!...

— Twój wnuk mnie zastąpi... — rzekł Zakrucki do Stahlena w owej rozmowie, którą sobie zapewne przypomną czytelnicy.

I ktoż policzy wszystkich Van Royów, Reitzenheimów, Mansdorffów, Ostermannów, Weberów, Rosenbergów, Tilse-nów, Grossów itd. — co żywym kontrastem, bo walką w szere-gach polskich zadali kłam systemowi germanizacji?..... A przecież, gdy zagłębniemy do urzędowych aktów, stano-wiących historję pierwszych lat rządów austriackich w Gali-cji, znajdziemy te same imiona w wcale innym obozie...

•Galicyjskość• miała być łagodnem przejściem z polskości do niemieczyzny... Dla trzech pokoleń tego kraju trzy miały być stopnie: Polacy — Galicjanie — Niemcy.... I galicyjski

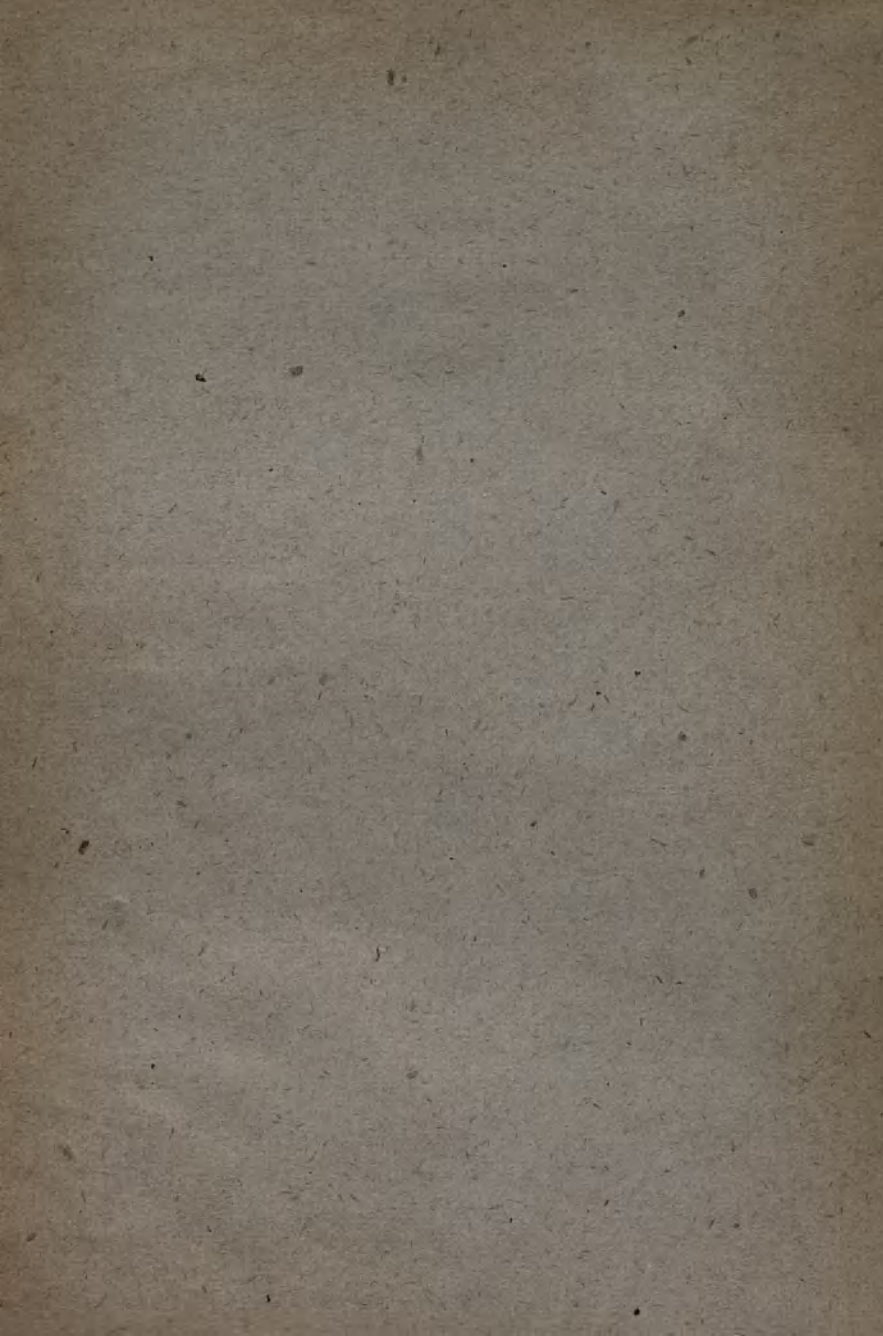
żywiol pozostał przejściem ale w odwrotnem znaczeniu... Pokazało się, że z Niemców Galicjanie, a z Galicjan Polacy...

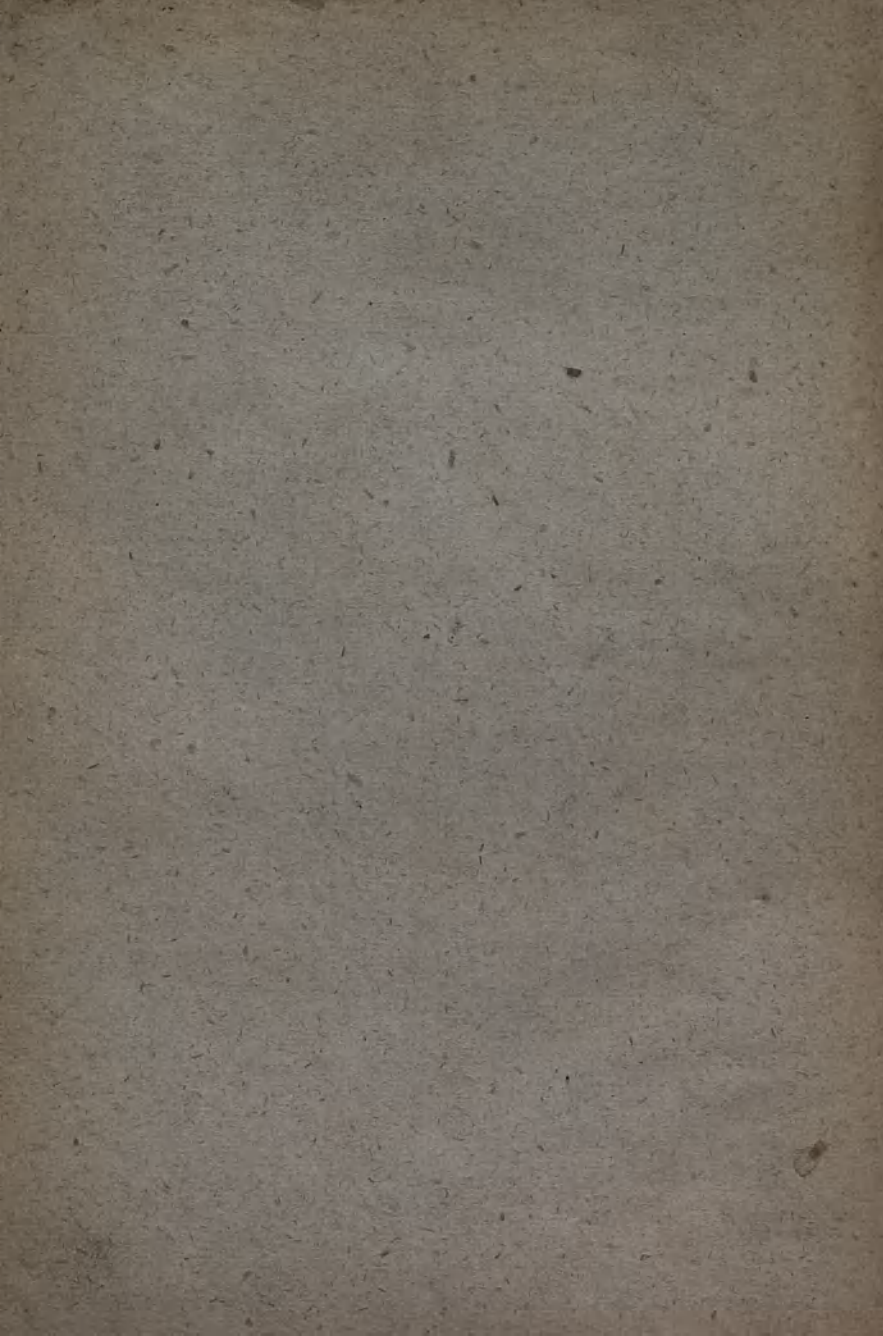
A jeżeli ci kto powie, że jest „Galicjaninem”, to bądź pewnym, że syn jego będzie Polakiem. Z poczwarki galicyjskiej wylatuje motyl polski.

Galicyjskość utrzymała się jednak jako pojęcie nie narodowości, ale jako charakterystyka pewnych usposobień obywatelskich, politycznych, społecznych.... Pod tymi względami niebrak Galicjan... Ale może przyjdzie czas, że jak Mohikanom, tak i im potrzeba będzie Coopera...

K O N I E C.







166

70

15

20

166

241

18

259

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000876114



I 23980